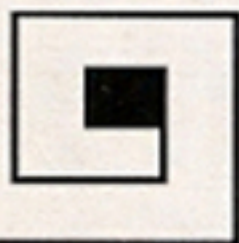


OKOLICE NIESKOŃCZONOŚCI



Viktor Farkas



**Poza granicami
wyobraźni**

VIKTOR FARKAS

POZA GRANICAMI

WYOBRAŹNI

(PRZEŁOŻYL KRZYSZTOF ŻAK)

SCAN-DAL

Uwaga:

Utrata kontaktu z rzeczywistością!

Przestroga dla czytelnika

26 kwietnia 1986 r. w elektrowni atomowej w Czarnobylu miał miejsce brzemienne w następstwa wypadek. Od tego czasu wiele pisano na temat tej katastrofy na Ukrainie. W kieszonkowym wydaniu pewnej książki na ostatniej stronie okładki umieszczono następujące zdanie: "Data 26 kwietnia 1986 r. wyznacza początek wielkiej przygody, podjęcie walki o przetrwanie w chaosie apokalipsy, która niosąc śmierć, okrąża Ziemię". Czyżby chodziło o wykorzystanie tragedii Czarnobyla w literaturze sensacyjnej? Bynajmniej, zdanie to charakteryzuje jedynie treść powieści Gerharda R. Steinhausera *Unternehmen Stunde Null 1986 - Leben nach dem Jungsten Tag* (Godzina zero 1986 - życie po Sądny Dniu), a powieść ukazała się w lipcu 1975 r.

Dość dziwny jest ten "przypadek", nieprawdaż? Pikanterii dodaje sprawie jeszcze i ta okoliczność, że jest to najwyraźniej błąd drukarski (do tego pojawiający się dwukrotnie), ponieważ w samym tekście dniem, o którym mowa, jest 16 kwietnia. To jedna z mało ważnych osobliwości, których zsumowanie sprawia jednak, iż rzeczywistość wydaje się tak nierzeczywista. W niniejszej książce przedstawimy kilka śmiałych domysłów na temat owej tak często wspomianej rzeczywistości. Koncepcje te sprawią, że świat stanie się jeszcze bardziej niesamowity, niż już jest. Wiele tych myśli będzie prowokowało do sprzeciwu albo spowoduje, że "poczujemy się nieswojo"; zwłaszcza niezbyt miła ewentualność, że nieznanymi czynnikami sprawczymi może nie być siła działająca na oślep, lecz wyposażoną w świadomość i wypełniającą wolę istot z innego świata.

Żadna z tych hipotez nie da się jednoznacznie udowodnić. Każda z osobna może być słuszna albo fałszywa, podobnie jak wyprowadzone z niej wnioski. To samo można co prawda powiedzieć także o obecnie akceptowanych teoriach dotyczących praw natury, budowy wszechświata, struktury atomu, istoty grawitacji i elektryczności i wszystkich innych naszych wyobrażeniach o "świecie samym w sobie". Wszystkie teorie, które starają się wyjaśnić nasze obserwacje, mogą być najszluszniejsze albo z gruntu fałszywe. Albert Einstein powiedział z przenikliwością prawdziwego mędrca, że miliony eksperymentów nie wystarczą, aby raz na zawsze potwierdzić teorię względności, za to tylko jeden pozwoli ją obalić. Nie inaczej mają się sprawy z prezentowaną tu konstrukcją myśli. Jest ona czysto teoretyczna i składa się z niezwykle zróżnicowanych elementów. Sprawy niewytłumaczalne trudno jest

sprowadzić do wspólnego mianownika, dokładnie tak samo, jak rejestrowane przez nas złożone procesy naturalne. Mają one co prawda jedną cechę wspólną: są to fakty, choćby nawet groteskowe.

Fakty te są przy tym traktowane o wiele bardziej po macoszemu niż fałszywe doniesienia, chociażby nie wiedzieć jak nonsensowne, ale "dopuszczane na salony". (Pomyślmy o znanym chińskim syndromie. Choć nieporozumienie wynikło z dziennikarskiej błędnej interpretacji, to obiegowym synonimem dla największej możliwej awarii reaktora atomowego stało się wyobrażenie, niemożliwe do zaakceptowania nawet przez ucznia szkoły podstawowej, jakoby rdzeń reaktora w jakiejś amerykańskiej elektrowni atomowej mógł w wyniku awarii przeniknąć Ziemię na wylot, a więc po minięciu środka Ziemi znowu zacząć się wznosić, aby przebić jej powierzchnię na oczach przerażonych Chińczyków. Istny szczyt absurdu).

Dlaczego zasłona lekceważenia spowija dziwne zdarzenia, z którymi niekiedy konfrontowani są czytelnicy?

Dlaczego takie przypadki nie wzbudzają oddźwięku, na jaki zasługują? Jest przecież wśród nich wiele prawdziwych sensacji.

Czy jednak toczą się publiczne dyskusje na temat niepokojących niewyjaśnionych spraw na ziemi, wodzie i w powietrzu? Czy istnieje globalna zmowa milczenia, jak ciągle podejrzewają niektórzy ludzie? Tak, istnieje faktycznie, choć nie jest to -jak sądzę- prowadzona na skalę światową kampania tuszowania niewygodnych informacji, tylko wynikające z przyrodzonej ignorancji ciche porozumienie, które sprawia wrażenie integralnej części zachodniej struktury społecznej. Trafniej, niż ja mógłbym to ująć, scharakteryzował to Morgenstern w swoim słynnym powiedzeniu, że "nie może istnieć nic, co istnieć nie powinno".

Jeśli ktoś nie może w to uwierzyć, niech się zapozna z dwoma typowymi przykładami:

W 1975 r. pewna gospodyni domowa z Hertfordshire w Anglii poinformowała prasę o następującym fenomenie: "Mój mąż lubi potrawy z dodatkiem curry. Przed pięcioma laty kupił blaszaną puszkę curry, z której korzysta, obficie przyprawiając potrawy. Nie wiem, ile już kilogramów zużył od tego czasu, ale w każdym razie puszka jest wciąż pełna po brzegi. Nawet jeśli wyjmie pełną łyżkę przyprawy i zamknie puszkę, a po chwili ją otworzy, znowu jest pełna po brzegi". Jak zareagowały media na ten fenomen? Czy w gazetach znalazły się nagłówki takie, jak "Odpowiednik biblijnego rozmnożenia chleba" albo "W posiadaniu angielskiej rodziny znajduje się coś na kształt cudownej lampy Aladyna"? Jediną reakcją na to zdarzenie -które, gdyby poddano je badaniom naukowym, mogłoby postawić na głowie

prawa materii, energii i entropii -były poświęcone mu dwie linijki w małej lokalnej gazecie. Rzecz jasna, żadnych badań nigdy nad nim nie podjęto.

Jeszcze bardziej jaskrawą wymowę ma następujący przypadek. W Nowym Jorku odbywała się sesja naukowa, w której uczestniczyli fizycy i astronomowie. W czasie przerwy roznoszono napoje orzeźwiające. Nagle jeden z kelnerów, przypadkiem wyjrawszy przez okno, zawołał wzburzony: "Panowie, panowie, popatrzcie tylko, na zewnątrz jest UFO!". Żaden z obecnych naukowców nie mrugnął nawet okiem, uznawszy, że sprawa nie jest godna ich zainteresowania. Komentarz zbyteczny.

Osoby, które się zajmują trudnymi do uwierzenia faktami, opisanymi w tej książce, można powiedzieć, nie wzdrgają się wyjrzeć przez okno. Opinia o tym, co tam mogą zobaczyć, pozostaje naturalnie ich osobistą sprawą. Prosimy więc teraz zapiąć pasy i przygotować się do jazdy w górę do krainy czarów albo w dół do pałacu grozy, gdzie rządzi nieznane. Zresztą oba te miejsca znajdują się tuż obok.

Nic nie jest takie, jakie być powinno

Prowokująca przedmowa

*Bym wreszcie poznał, czym jest ta potęga,
Co wewnętrzne siły świata w jedno sprzęga (...)"*

Johann Wolfgang von Goethe, *Faust*

Wszyscy znamy to uczucie. Przeglądamy gazetę albo słuchamy wiadomości przez radio i spontanicznie przychodzi nam do głowy myśl: Nie, ten dom wariatów nie może być wszechogarniającą rzeczywistością. Jednak nigdzie nie widać wyjścia z tego dylematu. Wprost przeciwnie; najpóźniej w naszych czasach nawet najbardziej zaślepieni idealisci i marzyciele musieli zrozumieć, że tak donośnie głoszony humanitaryzm jest chimerą. Ludzkość nie mogła się stać jedną wielką, szczęśliwą rodziną nie z powodu wciąż krytykowanego i obecnie zlikwidowanego podziału świata na dwa obozy, ale na skutek właściwości natury ludzkiej. Wniosek taki cynicy (można by też powiedzieć: realiści) formułowali zawsze. Mówimy więc z rezygnacją: człowiek po prostu jest stworzeniem dalekim od doskonałości -i odpowiednio do tego postępuje.

Im bardziej nad wszystkim panuje nierozsądek, tym żarliwiej czepiamy się jedynej przeciwwagi dla irracjonalnych emocji, które nas wpakowały w takie tarapaty: naszego rozumu. Zdolność myślenia, ekstrapolowania, badania i poznawania jest czymś wyjątkowym i niesie pociechę. Z pewnością trudno zaprzeczyć, że rozwój naszych sił duchowych postępuje w trochę niewłaściwym kierunku. Nie na miejscu byłaby przesadna duma z monstrualnych miast, bomb wodorowych, dziury ozonowej, zniszczenia fauny i flory, zanieczyszczenia środowiska i wielu innych destrukcyjnych działań, będących -w przeszłości i obecnie -rezultatem wzlotów ducha ludzkiego. Podobnie trudno się szczycić wątpliwą zdolnością naszego abstrakcyjnego myślenia, by oprócz istoty czwartego wymiaru stale ignorować pytanie, czym wyżywić szesnaście miliardów ludzi w 2030 r. Można wprawdzie wysunąć kontrargument, że przecież dysponujemy narzędziem pozwalającym opanować szkody wyrządzone przez ten właśnie rozwój: jest to ludzki rozum, dzoker w grze życia. To rozum umożliwił narysowanie śmiałyymi kreskami logicznego obrazu naszego świata i kosmosu. W każdym razie teoretycznie. Jeśli nawet nie rozszyfrowaliśmy jeszcze wszystkich tajemnic, to przynajmniej idziemy we właściwym kierunku.

Otóż właśnie nie! To przekonanie okazuje się bowiem zwodnicze. Powłoka pewnej

wiedzy jest cienka i z każdym dniem staje się bardziej krucha.

Przyszłość(i to już ta najbliższa) pokaże, czy homo sapiens z własnej winy będzie musiał opuścić scenę życia, aby zwolnić miejsce dla kolejnego, naprawdę obdarzonego rozumem gatunku, czy też zdoła się jeszcze o własnych siłach wydostać z bagna, które sam sobie stworzył. Jednak już terażniejszość dowodzi, że nie mamy pojęcia, co rzeczywiście dzieje się na "naszej" planecie. Udajemy tylko, że wiemy. W istocie jednym z dążeń "poważnej nauki" jest niedopuszczenie do zdjęcia z oczu kłapek, których celem jest zasłonięcie widoku na ogromną panoramę wszechobecnych osobliwości. Jeśli je zdejmemy albo nawet temu i owemu uważniej się przyjrzymy, otoczy nas fantastyczna rzeczywistość, która ma tyle wspólnego z potocznymi opiniami, co mapa z prawdziwym terenem. Dosłownie nic nie jest takie, jakie być powinno.

Rzeczywistość okazuje się czymś subiektywnym i pryska niczym przekłuta bańka mydlana. Takie właśnie wrażenie musiał odnieść profesor John Wilson z Instytutu Afrykanistyki Uniwersytetu Londyńskiego, kiedy wraz z zespołem swoich współpracowników prezentował członkom pewnego afrykańskiego plemienia film na temat metod utrzymywania higieny. Co zaskakujące, żaden z trzydziestu mieszkańców wsi nie obejrzał tak naprawdę tego filmu. Jedynym obiektem, który zdołali rozpoznać na ekranie, była kura, która na krótko się tam pojawiła -ich całkiem osobista, jedynie dostrzegalna rzeczywistość.

Także przeszłość, terażniejszość i przyszłość nie są niczym innym niż pięknym złudzeniem. Istnieją one tylko w naszych głowach, abyśmy mogli nadać światu kierunek i zorientować się w nim. Niekiedy jednak osoby nam współczesne mogą, jak się zdaje, wyłamać się z tej konwencji, przy czym niektóre odnoszą nawet korzyści osobiste. Gdyby tak nie było, to instytucje żyjące z gier hazardowych nie musiałyby się zabezpieczać przed jasnowidzami. Na przykład słynny londyński bukmacher William Hill zabronił sześćdziesięciodwuletniemu Barneyowi Curleyowi z Folkestone dalszego zawierania zakładów konnych, które stale wygrywał. Dla organizatorów totalizatora w Pittsburghu (Pensylwania) byłoby bardziej niż pożądane, aby jasnowidz Jim Karol w swojej cotygodniowej audycji radiowej zaniechał przepowiadania zwycięskich liczb. (Rzecznik totalizatora Mark Schreiber powiedział: "Jeszcze kilka takich przepowiedni, a pójdziemy z torbami"). Przyszłość nie wygląda więc jak "niezbadana kraina", o której mówił Szekspir w *Hamlecie*. Także przeszłość nie jest tak martwa, jak można by sądzić. Inaczej w Kalifornii w 1985 r. nie mógłby spaść granat artyleryjski, wystrzelony czterdzieści lat wcześniej. Mało kto zauważył, że nauka już od dawna rozstała się z obiegowym wyobrażeniem "czasu". Dla

fizyków wektor czasu ma więcej niż jeden kierunek, czas jest plastyczny i można na niego konkretnie wpływać, na przykład przez grawitację albo ruch układu, a nawet przez samą tylko obserwację procesu (hasło: "galaktyka podwójnej szczeliny"). Trudno o bardziej absurdalny fenomen; zostanie on szerzej opisany w rozdziale "Intermezzo: duch materii". W charakterze małej próbki powiemy teraz tylko tyle: obecne zachowanie wpływa ze skutkiem wstecznym na otoczenie systemu drogi mlecznej liczącej sobie miliardy lat i oddalonej o miliardy lat świetlnych!

Równie niejasno rysuje się rzekomo "wyraźnie zarysowane" drzewo genealogiczne fauny i flory, "dobrze znany" rozwój gatunków i "wiedza" o naturze tego, co żyje. Odmieńców i atawizmy się pomija, a niezaprzeczone osobliwości delikatnie ignoruje; przykładem może być wieś Golida koło Rajkot w Indiach, w której od wielu lat regularnie rodzą się dzieci z sześcioma palcami u każdej ręki (jest ich już prawie pół setki). A propos palców: klasyczna nauka musi być stale gotowa na niespodzianki, co widać na podstawie tego zaskakującego faktu, że prawie wszystkie matki potrafią bezbłędnie rozpoznać urodzone przed chwilą noworodki przez obmacanie ich opuszkami palców, nie widząc swoich pociech, nie słysząc ich ani nie wążając (co stwierdzono na Uniwersytecie Hebrajskim w Jerozolimie).

Ścisłe biorąc, nie istnieją niepodważalne prawdy w żadnej dziedzinie naszej działalności badawczej, analitycznej, klasyfikującej i formułującej dogmaty. Nie da się w sposób pewny obalić nawet najśmielszego rozumowania, choćby wykazywało już cechy lekko paranoidalne. Na przykład hipotezy, że przebywają wśród nas i kierują losami ludzkości (niezbyt życzliwie, jeśli zważyć na to, w jakim stanie jest nasza Ziemia) nadludzie, istoty pozaziemskie, podróżujący w czasie i inne bardziej egzotyczne indywidua. Niekiedy w ludzkiej wspólnocie wyróżniają się duchy, które wydają się być nie z naszej planety -albo nie ze swojej epoki. Jako przykładu nie przytoczymy (celowo) chętnie wymienianego w takim kontekście Leonarda da Vinci, choć byłoby to kuszące, a w Codex Madrid znajduje się równie dziwna co tajemnicza wypowiedź tego malarza, rzeźbiarza, architekta, inżyniera, budowniczego fortyfikacji, muzyka i pisarza renesansu: "Czytaj mnie, przyjacielu, albowiem bardzo rzadko powracam do tego świata".

O wiele bardziej niż da Vinci nie pasuje do swojego czasu prawie całkiem zapomniany Rudjer Boscovich, który urodził się w 1711 r. w Dubrowniku i zmarł w 1787 r. w Madrycie. Po odbyciu studiów matematycznych, astronomicznych i teologicznych wstąpił do zakonu jezuitów. Zdobyte przezeń wykształcenie, które mogło zawierać co najwyżej wiedzę dostępną we wczesnym osiemnastym wieku, niewytłumaczalnym sposobem pozwoliło mu

sformułować wypowiedzi dotyczące teorii poznania, które fizycy i matematycy w naszych czasach uważają za pionierskie. Zbliżają się one do granic naszego obecnego poziomu wiedzy, a nawet go przekraczają. W "New Scientist" z 6 marca 1958 r. piszący o sprawach nauki dziennikarz Allan Lindsay Mackay wyraził swój podziw dla pewnej pracy, którą Boscovich opublikował w Wiedniu w 1758 r. Mackay i czołowi naukowcy są przekonani, że Boscovich wyprzedził swój czas co najmniej o dwieście lat. Ów tajemniczy człowiek był przecież zwolennikiem poglądu, że musi istnieć jednolita teoria wszechświata, uwzględniająca matematykę, fizykę, chemię, biologię, a nawet psychologię. Boscovich definiował nie tylko zjawiska z dziedziny światła, magnetyzmu i elektryczności -które w jego czasach były znane tylko w zarysie -ale opisywał także fenomeny kwantowe, mechanikę fal i całkiem nowoczesny model atomu, składający się z nukleonów. Jego pojmowanie materii, przestrzeni i czasu jako złożonych z małych ziarenek odpowiada ostatnim rezultatom dociekań fizyki teoretycznej o kwantyzacji materii i energii. Podwaliny tej wizji świata położyli Einstein, Schrodinger, Bohr, Bell, Aspect i inni wielcy fizycy w XX wieku.

Historyk nauki L. L. White jest przekonany, że nawet współczesna wspomagana komputerami nauka nie może przyswoić sobie rozumowania Boscovicha w całej jego doniosłości, ponieważ do tej chwili brakuje nieodzownej po temu podstawy: połączenia teorii względności z mechaniką kwantową, którego wciąż jeszcze bez rezultatu poszukują badacze przełomu XX i XXI wieku. Odnosi się to również do postulowanej przez Boscovicha jednolitej teorii pola, łączącej cztery podstawowe siły, a mianowicie elektromagnetyzm, słabe i silne oddziaływania jądrowe oraz grawitację. Boscovich mówił o niej w XVIII wieku jak o czymś od dawna znanym. Być może mógłby on dostarczyć naszym fabrykom myśli wskazówek, których im wciąż jeszcze brakuje. Dzieło Boscovicha pozwala uzyskać odpowiedź na wiele pytań, z wyjątkiem jednego: czy pojęcie geniuszu można uznać za wystarczające objaśnienie dla pojawienia się człowieka, który o dwa stulecia "za wcześnie" wprowadził stałą Plancka, opracował statystyczną teorię wówczas całkowicie nieznaną radioaktywności i pisał do Woltera o energetycznej naturze psychiki ludzkiej? Innymi słowy: czy mamy tu do czynienia z ziemskim życiorysem, czy może z czymś dziwniejszym?

Wystarczy. Jest jasne, że nie kończący się ciąg takich pytań można skwitować tylko jedną jedyną definitywną odpowiedzią: nie wiadomo. Choćbyśmy mieli być marionetkami w astralnej grze, nie mając nawet pojęcia, że taka się toczy, albo przedmiotami doświadczeń na kosmicznym polu eksperymentalnym, to nie zdołamy się tego dowiedzieć. Możemy jedynie odkrywać różne osobliwości i zdobyć się na odwagę, by o nich głośno mówić. Zagadnienia dość dowolnie wybrane do tej przedmowy i będące tylko wierzchołkiem prawdziwie

gigantycznej góry lodowej niewytłumaczalnych fenomenów, nie wyjaśniają, co właściwie się dzieje, ale tylko sygnalizują, że coś się dzieje. Nie śmiem rozstrzygać, czy chodzi tu o machinacje kierujących nami ciemnych mocy, czy o zbiór groteskowych zjawisk naturalnych. Czytelnikowi pozostawiam wyrobienie sobie opinii. Moim zamiarem jest dawanie do myślenia, poszukiwanie nici przewodniej w tym, co niepojęte, i dostarczanie pożywki dla naszej osławionej fantazji. Ona to, a nic innego, jest uzbrojeniem koniecznym do podjęcia tytanicznych wyzwań czekających nas w prawie niewyobrażalnym dwudziestym pierwszym wieku.

Viktor Farkas

CZEŚĆ I

Poza granicami pojmowania

Igraszka w ręku nieznanym mocy

*Zdumiewa mnie, jak wielu ludzi
czuje się zdanych na łaskę nieznanym mocy
i jak pieczołowicie to ukrywa.*

C. G. Jung

Niesamowita wizyta

Pewnej listopadowej nocy w 1967 r. wzgórza w dolinie rzeki Ohio (Wirginia Zachodnia) nawiedziła niesamowita zjawą. Była godzina trzecia, tuż przed świtem, rano zapowiadał się chłodny, a z zachmurzonego nieba lały się strugi deszczu. Do drzwi małego domku na pewnej farmie zastukał demoniczny nieznajomy. Upłynęło kilka minut, zanim drzwi otworzyła młoda kobieta w narzuconym na ramiona szlafroku. Była zasniona i poirytowana, jednak widok intruza sprawił, że jedno i drugie natychmiast się ulotniło -a pozostało w niej już tylko jedno uczucie: strach.

Stał przed nią mężczyzna jak z koszmaru snu. Wzrostu prawie metr dziewięćdziesiąt, cały ubrany na czarno, nie wyłączając płaszcza, krawata i zupełnie nieodpowiedniego w tych okolicznościach obuwia, całkowicie zabłoconych czarnych lakierków. Jego słabo widocznej w ciemności twarzy jeszcze bardziej niehumaniczny wyraz nadawały wąsy przycięte tak równo, jak ostrze noża, i anachroniczna szpicbródka.

-Czy mogę skorzystać z telefonu? -spytał gość głębokim barytonem, w którym nie było słyhać ani cienia lokalnego akcentu Wirginii Zachodniej.

Kobieta mimo woli przełknęła ślinę i cofnęła się nieco w głąb domu.

-Mój mąż... Niech pan pomówi z moim mężem... -wykrztusiła z trudem i zatrzasnęła drzwi. W towarzystwie męża drugi raz otworzyła drzwi przed niesamowitym przybyszem, który wciąż nieruchomo czekał, stojąc w strugach lodowatego deszczu.

Pan domu również poblądł na widok gościa. Pospiesznie powiedział przez uchylone drzwi:

-Nie mamy telefonu.

Po czym zamknął drzwi przed nosem ogromnego nieznajomego, który odwrócił się na pięcie i zniknął w ciemnościach nocy.

O tej zagadkowej "wizycie" zaczęły krążyć opowieści. W 1967 r. rzadko można było

w Wirginii Zachodniej zobaczyć mężczyznę z brodą, a jeszcze rzadziej ubranego w garnitur, krawat i lakierki, który by wędrował nocą w deszczu. W związku z tym już wkrótce domyślono się, kto wtedy zapukał do drzwi domku na farmie: sam diabeł. "To zły znak" - mówili mieszkańcy małej doliny, w której pod niejednym względem czas się zatrzymał.

Dni młodej pary, której ukazał się ów "diabeł", były policzone: zaledwie trzy tygodnie po niesamowitym najściu małżonkowie zginęli, gdy zawalił się Silver Bridge, spinający brzegi Ohio River.

Co się kryje za tym osobliwym zdarzeniem? Jeśli pominiemy tezę, że sam Belzebub we własnej osobie złożył wizytę w Wirginii Zachodniej, to pytanie, jakie egzotyczne zjawisko dało wtedy nocny gościnny występ, pozostanie bez odpowiedzi. Czy był to jeden z tych zagadkowych "Men in Black", w skrócie MIB, czyli mężczyzn w czerni, którzy składają wizyty świadkom lądowania UFO, aby ich terroryzować, czy też jeżdżą za nimi w "nie rzucających się w oczy" limuzynach i podsłuchują ich rozmowy telefoniczne? A może istota nie z tego świata? Albo duch? W każdym razie ponury nieznajomy, kimkolwiek był, wyraźnie przyniósł nieszczęście.

Pomyłka na całej linii.

Tym obcym mężczyzną, który wyłonił się z nicości, był amerykański pisarz i dziennikarz John A. Keel. Temu zdeklarowanemu nonkonformiście, który mając dość osobliwy gust, nosił konserwatywny strój i sataniczną brodę, zepsuł się samochód na bocznej drodze przez wzgórze Wirginii Zachodniej, kiedy wracał z kongresu w Atlancie (Georgia). W swojej książce *The Mothman Prophecies* (Przepowiednie Człowieka mola) wyraził przekonanie, że przez zwyczajne poszukiwania telefonu mógł wejść do lokalnej historii jako ponury zwiastun katastrofy Silver Bridge. Co też się stało.

Zagadkowa Wirginia Zachodnia

Co prawda -i tu opuszczamy płaszczyznę dotyczącą codzienności, a wkraczamy na tereny prawdziwie zagadkowe -mieszkańcy Wirginii Zachodniej są już "zmiękczeni" i szczególnie podatni na tworzenie legend. Ten region USA wydaje się być ogniskiem dziwacznych nawiedzeń najróżniejszej natury, które sięgają w najodleglejszą przeszłość.

Od lat wałęsa się tu osławiony "Człowiek-mór", który zapewne znany jest czytelnikom mojej książki *Niewytłumaczalne zjawiska* i innych publikacji. Stojąc ponuro na skraju drogi, wpatruje się w mijające go pojazdy ogromnymi, świecącymi czerwono oczyma, bez trudu dotrzymuje tempa samochodom, choćby jechały z największą prędkością, a nawet ścigającym

go samolotom umie zagrać na nosie (o ile ma nos). Jest to coś, dla czego trudno znaleźć miejsce w drzewie genealogicznym gatunków na Ziemi. Skąd mogło przybyć i dlaczego akurat do Wirginii Zachodniej?

Idźmy jednak dalej.

Tajemnicze zjawiska świetlne i przemykające po niebie latające obiekty od dawien dawna należą w tym regionie niemal do lokalnego kolorytu. W 1897 r. doszło do masowego pojawienia się tajemniczych "statków powietrznych nad Ameryką", co wywołało wówczas zrozumiałe poruszenie. Ta wczesna fala UFO w pełni dotarła do Wirginii Zachodniej, gdzie odnotowano o wiele wyższą od "normalnej" częstotliwość wizyt tych przedwczesnych pionierów lotnictwa, którzy w ubiegłym stuleciu wszędzie w USA wysiadali z połyskujących maszyn, prowadzili trywialne rozmowy z farmerami, policjantami, pracownikami stacji benzynowych i innymi przeciętnymi ludźmi, aby następnie znowu zniknąć w świetlistych przestworzach.

Radiostacje i radiodbiorniki w Wirginii Zachodniej regularnie płatają dzikie figle, odkąd tylko istnieją. UFO wzbudzają tu równie małą sensację, jak pojawiający się w ślad za tymi nieznanymi obiektami latającymi "Men in Black". Tak na przykład w tydzień po zawaleniu się Silver Bridge w miasteczku Point Pleasant ukazywali się osobliwi mężczyźni, którzy z pewnością nie byli diabłami, a tym mniej błędzącymi po deszczu pisarzami, którym zepsuł się samochód. Chcieli oni uzyskać od przepracowanej redaktorki lokalnej gazety "Messenger", Mary Hyre, informacje o działaniach UFO i podobnych zdarzeniach, zadając pytania, które w chaosie po zawaleniu się mostu były całkowicie nie na miejscu. Pani Hyre pisała, że nieznanymi byli "dziwni, prawie pozbawieni cech ludzkich".

Wirginia Zachodnia ma do zaoferowania jeszcze o wiele więcej. Zwierzęta zdychają tu w niewytłumaczalny sposób lub też padają ofiarą owej zagadkowej rzezi, znanej w Ameryce od dziesięcioleci pod hasłem "okaleczenia krów", chociaż znajduje się okaleczone trupy nie tylko krów, także koni i innych zwierząt domowych. Tajemnicą zajmiemy się szerzej jeszcze w tym rozdziale.

Także sama natura nie prezentuje się tutaj tak, jak do tego przywykliśmy. Na przykład, praktycznie bez powodu powstają wyraźnie ograniczone strefy, do których człowiek nie może wejść, nie wpadając nagle w panikę czy też nabawiając się krwotoku z nosa lub uszu.

Jest to istny kalejdoskop niewytłumaczalnych zjawisk, któremu mogliśmy się przyjrzeć tylko pobieżnie. Mimo to jednoznacznie daje się rozpoznać ogniwa długiego łańcucha osobliwości, dla których Wirginia Zachodnia najwidoczniej posiada specjalną siłę przyciągania. Wykazują one tak mało cech wspólnych, że na temat możliwych powiązań

między nimi albo ich jednolitej podstawowej struktury można tylko snuć mgliste spekulacje. Jedyny element, który je łączył i łączy, to geograficzne usytuowanie.

Co ciekawe, już pierwotni mieszkańcy Ameryki -wegetujący dziś w rezerwach Indianie -uważali ten rejon za niesamowity. Zanim Amerykę Północną zajęli Europejczycy, cały ten kontynent zamieszkiwały plemiona Indian, można niemal powiedzieć, narody -z wyjątkiem właśnie Wirginii Zachodniej. Antropolodzy i historycy, którzy opracowywali mapy rozmieszczenia byłych populacji indiańskich, stwierdzili z zaskoczeniem, że Wirginia Zachodnia -i to prawie dokładnie w jej granicach -tworzyła "tabu". Nie było po temu żadnych przyczyn merytorycznych. Region ten obfituje w lasy i zwierzynę łowną, był to więc idealny teren do osadnictwa dla niewymagających czerwonoskórych, zamieszkujących nawet najbardziej wrogie dla człowieka pustynie w głębi zachodu Ameryki Północnej.

Nić przewodnia tajemnicy Wirginii Zachodniej jest bardzo cienka i trudna do uchwycenia, ale bezsprzecznie istnieje. Nie musimy jednak podejmować syzyfowej pracy jej rozplątywania; jeszcze mniej ochoty mamy na zmagania z drażliwą tematyką UFO, na temat której i tak jest dość publikacji. Nie chodzi tu o specyficzne indywidualne fenomeny, ale raczej o mało krzepiący wniosek, że to nie my jesteśmy gospodarzami na ziemi. Nie, jest jeszcze gorzej, bowiem każdy z nas, albo gatunek homo sapiens jako całość, jest igraszką w rękę nieznanym mocy -co zostało przedstawione na wzorcowym przykładzie Wirginii Zachodniej, gdzie przemawiające na korzyść tej tezy poszlaki występują w postaci skondensowanej, w wielkiej liczbie i skrajnej różnorodności: jest to mikroskopijne lustrzane odbicie naszej Ziemi, której władcami, jak się wydaje, w rzeczywistości nie jesteśmy.

Lasy śmierci

W wielu miejscach na naszym globie powinny stać tabliczki ostrzegawcze z napisem: "Teren prywatny nieznanym mocy -wstęp na własne ryzyko". Wszędzie na świecie znajdują się np. "lasy śmierci", kilka z nich w USA. Nie musi to koniecznie oznaczać, że zagadkowe moce preferują "kraj wybrany przez Boga", ale wynika zapewne z tego, że w USA istnieją ogromne lasy, a jednocześnie także infrastruktura komunikacyjna docierająca do najodleglejszych zakątków kraju.

Badania statystyczne ujawniły (niezależnie od samych niesamowitych zdarzeń) dwie charakterystyczne cechy różniące takie "lasy śmierci" od niegroźnych zwyczajnych lasów: znajdują się one bezpośrednio u stóp góry albo na znacznych wzniesieniach. Najślynniejszym -albo najbardziej osławionym -takim miejscem jest Czarny Las położony na północ od

potężnej rzeki Susquehanna (Pensylwania). Ten rozległy region leśny, pograżony w cieniu pobliskich Appalachów, wydaje się zasługiwać na swoje ponure miano, które niemieccy imigranci przejęli od Indian.

Historyk Robert Lyman, pochodzący z miasta Coudersport położonego na północnym skraju tego terenu, starał się rejestrować zdarzenia w Czarnym Lesie i szukać podobnych głęboko w przeszłości. Stworzył on chronologię grozy, która zawiera ścisłą dokumentację przypadków niewytłumaczalnego znikania osób, sięgającą aż do początku ubiegłego stulecia. Wszystko przemawia za tym, że las ów zawsze stanowił ogromną pułapkę, jednak wcześniejsze tropy giną w pomroce dziejów.

Lyman zarejestrował setki przypadków znikania w lesie albo w jego bezpośrednim pobliżu zarówno pojedynczych osób, jak i grup ludzi, co następowało przy świadkach: znikali dorośli i dzieci, mężczyźni i kobiety. Niezwykłą okolicznością jest fakt, że ofiary niekiedy próbowały stawiać opór, choć był on bezskuteczny.

I tak w latach poprzedzających przełom wieków zdarzyło się, że grupa osób przypadkowo zgromadzona na tarasie jedyne go hotelu w Hammersley Fork, Clinton County, obserwowała mężczyznę, który wyszedł z lasu drogą z South Forks, lekko chwiejąc się na nogach. To akurat nikogo nie zdziwiło, bowiem w tej okolicy były liczne gorzelnie bimbrowe. Kiedy ów najwidoczniej pijany mężczyzna przeszedł, zataczając się, obok tarasu hotelowego, wydawało się, że na środku drogi zderzył się z jakąś przeszkodą, której nie widział żaden z przeszło dwudziestu gości hotelu. Niewidzialne ręce uniosły go w powietrze, a on wrywał się, krzycząc głośno: "Zostawcie mnie, zostawcie mnie!". Potem zniknął. W pyle drogi wyraźnie było widać ślady jego stóp.

Szczęśliwy przypadek zrzędził, że można było tu uzyskać tak jasny i jednoznaczny opis tajemniczego zniknięcia zaobserwowanego przez wielu wiarygodnych świadków, których nie łączyło nic poza jednoczesnym przebywaniem na tarasie hotelu. Zwykle nie można na to liczyć. Jednak także poszlaki mają dużą wagę w wielu innych przypadkach.

Regularnie zdarza się, że zarówno młodzi, jak i starsi wędkarze i myśliwi uprawiający swoje hobby w Czarnym Lesie nie wracają do domu. Ich sprzęt najczęściej pozostaje nie uszkodzony. Często są to przedmioty o znacznej wartości, jak na przykład pozostawiony samotnie na polanie nowiuteńki jeep Teksańczyka Arthura Wisemana, w którym znajdowały się strzelby warte kilka tysięcy dolarów, zapasowe ubranie i większa suma pieniędzy.

Naturalnie, w leśnych okolicach zawsze się zdarzało, że ludzie bywali uwięzieni w skalnych szczelinach, padali ofiarą dzikich zwierząt, które ich zawlekały do jaskiń w charakterze zapasu żywności, czy po prostu błędzili. Nic takiego jednak nie pozostaje tak

zupełnie bez śladu, jak to jest regułą w przypadku Czarnego Lasu. Ponadto żaden inny las na kuli ziemskiej (na skutek zgłaszanych zaginięć) nie był od czasu amerykańskiej wojny secesyjnej przeczesywany tak często, tak gruntownie -i tak bezskutecznie, jak właśnie Czarny Las u podnóża Appalachów.

W USA są jeszcze inne "zaczarowane lasy", które "połykają" ludzi -na przykład Ocala National Forest na Florydzie, rezerwat Devils Gate w Kalifornii, lasy wokół Bennington (Vermont), na które rzuca cień Mount Glastonbury, Rogue River National Forest u stóp Mount Hood (Oregon) -aby wymienić najbardziej znane.

Także w innych krajach i na innych kontynentach znajdują się lasy, w których jak gdyby otwierały się jednokierunkowe drogi wiodące w nicość. Czy to izolowany fenomen? A może część jakiejś ogólnej, nieznaney siły natury? Machinacje obcych mocy (nie w sensie narodowym), których zupełnie nie obchodzi, co przeciw nim wymyślamy? Pytań nie brakuje, za to nie ma żadnej konkretnej odpowiedzi.

Znikające jezioro

Spekulowanie, czy w tych lasach zadomowiła się może owa siła, która gdzie indziej bez preferencji dla określonych miejsc od dawien dawna każe znikać indywidualnie i zbiorowo ludziom, jak również samolotom, statkom, samochodom itd. na lądzie, wodzie i w powietrzu, jest pociągające, ale nie rozszerza naszej wiedzy na ten temat. Do tego musielibyśmy sobie najpierw wyrobić jakieś mgliste wyobrażenie, z czym w ogóle mamy do czynienia. Jedno jest pewne, że to przejawia swoje działanie wszędzie na świecie, poczynając sobie z nami całkiem swobodnie i nie licząc się z prawami ludzi i fizyki.

Podlegamy temu wpływowi jednak nie tylko my, zarozumiałe dwunożne istoty, ani przedstawiciele świata fauny, nawykłego do kłopotów, ale i same prawa natury, a przynajmniej część z nich, na których jeszcze połamiemy sobie zęby. Jak bowiem inaczej zakwalifikować następujące zdarzenia?

Otóż we włoskich Dolomitach znajdowało się ukryte i mało znane niewielkie jezioro bez nazwy. Od stuleci można było w nim łowić ryby i pływać w otoczeniu wspaniałej przyrody. Tak było również owego letniego dnia w lipcu 1980 r., kiedy to liczni pływacy i wędkarze przebywający na jeziorze i w jego toni doświadczyli niewytłumaczalnego zdarzenia, i to dosłownie na własnej skórze.

Na lazurowym niebie, z którego lał się żar słoneczny, nie było ani jednej chmurki. Nie dało się odczuć także nawet najłżejszego powiewu wiatru, gdy nagle na środku jeziora

powstał wir. Woda zaczęła się kręcić, po czym, spiralnie wirując, wzniosła się ku niebu, gdzie całe jezioro zniknęło. Na ziemi pozostał pusty zbiornik, szlam i ryby, jak również wędkarze i pływacy. Do dziś geolodzy, meteorolodzy ani inni naukowcy nie zdołali wyjaśnić tego zdarzenia.

Bywają jednak także sytuacje odwrotne, kiedy to mianowicie z niczego pojawia się woda.

Ścigani przez wodę

Kiedy pani R. Babington 11 listopada 1958 r. przysłała do domu, ku swemu zaskoczeniu stwierdziła, że na jej małej działce pada deszcz. Woda bębniła w dach jej domu i lała się na trawnik. Było to osobliwe zjawisko, bo ów jesienny dzień był pogodny, słoneczny i bezdeszczowy. Patrząc w górę, nie zdołała dostrzec najmniejszej chmurki ani też innej przyczyny nieustającej ulewy. Zaalarmowała sąsiadów i wkrótce dziesiątki ludzi próbowały zgłębić tajemnicę tego dziwnego zjawiska; między innymi Adras LaBorde, wydawca gazety "Alexandria Daily Town Talk". Wszyscy byli bezradni, gdyż przyczyna deszczu, który przez kilka godzin padał z niczego na ograniczonym terenie, pozostała okryta tajemnicą. Fachowcy z Weather Bureau i England Air Base nie byli w stanie w żaden sposób wyjaśnić tego zdarzenia. Przypadki wylewania się strumieni wody z niewidocznych źródeł w niebie są znane od stuleci, ale ich tajemnica nie została rozszyfrowana.

Szczególnie dziwny jest przypadek prawdziwego słupa wody, która mimo bezchmurnego nieba w 1886 r. w Dawson (Georgia) przez godzinę lała się na ograniczony teren o skromnej średnicy 7,5 m. Przyczyna pozostała zagadką.

Ten rok musiał być szczególnie pod tym względem, bo w następnym miesiącu, październiku 1886 r., miały miejsce w USA kolejne fenomeny tego rodzaju. Jak doniosły gazety "Charleston News" i "Courier", w portowym nadmorskim mieście Charleston przez kilka godzin na pewien dom z ogrodem wbrew naturze padał ulewny deszcz. Przyczyna pozostała zagadką.

Dwudziestego czwartego dnia tegoż miesiąca można było przeczytać w "New York Sun", że niewielka część Chesterfield County (Karolina Południowa) przez kilka tygodni była nawiedzana przez deszcz nieprzerwanie padający z jasnego, słonecznego nieba, na którym jak okiem sięgnąć nie było widać ani jednej chmury. Przyczyna pozostała zagadką.

Widmowe źródła mogą wytryskiwać jednak nie tylko na wolnym powietrzu. Pewnego wieczora w październiku w 1963 r., przy łagodnej i suchej pogodzie, mieszkaniec Methuen

(Massachusetts) Francis Martin i jego rodzina spostrzegli, że na jednej ze ścian domu powstaje szybko się powiększający zaciek. Nagle rozległ się huk i woda trysnęła do pokoju. Po dwudziestu minutach wyszła w równie niewytłumaczalny sposób, jak wytrysnęła. Martinowie jeszcze łamali sobie głowę nad tym zdarzeniem, kiedy w kwadrans po pierwszym wytryśnięciu wody doszło do kolejnego, również nie trwającego długo.

W następnych dniach, także w innych pokojach domu, ze ścian, choć nie było w nich żadnych rur, tryskały fontanny wody. W krótkim czasie dom przestał się nadawać do zamieszkania. Rodzina przeniosła się do matki pani Martin do pobliskiego Lawrence. Jednak prześladowające ich niesamowite zjawisko nawiedzało ich i tutaj. Zmobilizowano więc fachowców. Zastępca komendanta straży pożarnej zbadał instalację wodociągową i nie odkrył najmniejszego przecieku. Przez cały czas na oczach licznych świadków -w tym wezwanych na pomoc fachowców -stale dochodziło do tajemniczych niespodzianek wyżej opisanej natury.

Aby nie przenosić swojej klątwy na inne domy, dręczona wodą rodzina Martinów postanowiła wrócić do Methuen. Ojciec rodziny wypowiedział walkę absurdalnej pladze. Odciał dopływ wody i do ostatniej kropli opróżnił wszystkie rury. Na próżno. Woda tryskała z wielu miejsc. Rodzina dała za wygraną i ponownie przeniosła się do Lawrence, nadal ścigana przez wytryski wody. Okrutna mokra zabawa trwała jeszcze przez kilka tygodni, po czym równie nagle się skończyła, jak zaczęła.

Przedstawiony powyżej przypadek -mimo że woda odgrywała w nim dominującą rolę -mógł być ewentualnie innej natury niż owe tajemnicze opady deszczu znikąd. Nie chodziło tu bowiem o fenomen lokalny, niezależny od określonych osób, ale o zjawisko, które wyraźnie upodobało sobie rodzinę Martinów i w ślad za nią postępowało.

Zdarzenia tego rodzaju są znane, choć nie tak częste jak choćby zjawiska typu *Poltergeist*, z którymi, jak się zdaje, łączy je pewne pokrewieństwo. Wszakże od czasu do czasu można doszukać się całkiem konkretnych powiązań.

Dziwne Poltergeist

Dr Michele Claire z brytyjskiego Sheffield Society for Psychical Research szczególnie gruntownie badała przypadek, którego bohaterką była pewna dobiegająca czterdziestki kobieta.

Dr Claire określiła ją w swoim raporcie tylko jako "Pani B". Kobieta owa mieszkała z pięciorgiem własnych dzieci i dwoma dorosłymi krewnymi w pewnym domu w angielskim

hrabstwie South Yorkshire. Jej psychiczna kondycja w momencie opisywanych zdarzeń nie była najlepsza. Dwukrotnie rozwiedziona -za drugim razem z mężem posuwającym się do przemocy, który musiał być leczony psychiatrycznie -kobieta była daleka od stanu równowagi psychicznej.

W 1979 r. osiem wspomnianych osób wprowadziło się do domu, w którym już w następnym roku zaczęły się dziać rzeczy dziwne. Na strychu powstawały wciąż kałuże wody, niekiedy były to prawdziwe miniaturowe jeziora. Nie udało się odkryć, skąd bierze się ta woda, czy np. z uszkodzonej rury wodociągowej? Najdziwniejsza z tych erupcji wody miała miejsce w salonie. Wtedy to woda materializowała się w powietrzu i tryskała na podłogę pokoju.

Także pod innymi względami w domu tym "straszyło". Za dnia i wieczorem rozlegały się w całym domu niewytłumaczalne odgłosy, przypominające rozsypywanie kamieni, wybuchy, skrzypienie, trzeszczenie; była to cała symfonia przeróżnych dźwięków. Rozumie się samo przez się, że ich sprawcy pozostali nie wykryci.

Pojawiły się niemiłe zapachy. Należący do rodziny pies wciąż się dziwnie zachowywał. Warczał albo skomlał, szczyrzył zęby i jeżył sierść bez widocznego powodu, wpatrywał się w coś niewidzialnego, a niekiedy wzbraniał się wchodzić do określonych pomieszczeń. Dom nawiedzały niewyraźne, nieokreślone widma. Odbiór telewizyjny ulegał dziwnym zakłóceniom, radio i gramofon same się włączały i wyłączały, a przedmioty wszelkich rozmiarów (niektóre bardzo ciężkie) poruszały się jak widma...

Stop! Nie chcemy ugrzęznąć w gąszczu zachodzących na siebie zjawisk. Dlatego wystarczy tych zjawisk typu *Poltergeist* z ich możliwymi aspektami parapsychologicznymi. Nadzwyczajne zdolności ludzi i zwierząt omówimy w części II "Zagadki istot żywych".

Podstawowe pytanie, którego zgłębianiu chcemy się teraz nadal poświęcać, brzmi niezmiennie: czy jesteśmy zabawkami w ręku zagadkowych mocy? Co zrozumiacie, kusi nas podział zjawisk na różne kategorie: wybuchy wodne związane z określonym miejscem, i takie, które prześladowają określone osoby. Z jednej strony dziwne zjawiska lokalne, jak choćby w szczególnie nawiedzanej Wirginii Zachodniej, a z drugiej plagi indywidualne. Ale gdzie napisano, że taka -albo jakaś inna -klasyfikacja jest konieczna? Może mamy do czynienia z różnymi przejawami tej samej siły, a może z czymś całkiem innym. W końcu chodzi tu o sprawy niewytłumaczalne, które zawsze mogą nas czymś zaskoczyć.

Woda i ogień: dwie strony jednego medalu

Badacze często bywają zmuszeni na nowo zdefiniować jakiś kompleks fenomenów, względnie zmienić hierarchię jego poszczególnych komponentów. W przypadku zjawisk paranormalnych rodzi to szczególne frustracje, ponieważ ich systematyczne ujęcie jest z natury o wiele trudniejsze niż choćby klasyfikacja płazów bezogoniastych.

Przed takim przewartościowaniem stoimy także i teraz. Pewne aspekty sprawiają nieoczekiwane, że zjawisko całkiem innego rodzaju, znane od dawna, zaczyna się kojarzyć z tajemniczymi wybuchami wody. Paralele są zaskakujące, mimo że trzeba je opatrzyć, powiedzmy, znakiem odwrotnym: są to bowiem paralele między wodą a ogniem, a także możliwe skojarzenie ze "spontanicznym samo spalaniem" ("spontaneous human combustion" -SHC) -piekielnym ogniem, który wydaje się wybuchać z naszego wnętrza bez ostrzeżenia.

Zrekapitulujmy: SHC traktowano dotąd jako proces indywidualny, który trawi w spektakularny sposób żywe osoby i prawie zawsze prowadzi do śmierci. Spekulacje na temat czynników , zewnętrznych (pioruny kuliste itd.) nie dały niezbitych argumentów. Ewentualnie jakieś znaczenie wyzwalające mogłyby tu mieć wahania pola magnetycznego Ziemi, co wydawało się jednak obowiązywać także w odniesieniu do czynników psychologicznych. (Wiele ofiar SHC wyróżniało się chwiejną psychiką, przechodziło ciężkie kryzysy albo nosiło się z zamiarem samobójstwa, względnie stanęło w płomieniach w momencie przystępowania do wcielenia tego zamiaru w życie). Zaliczenie tego fenomenu do zjawisk indywidualnych było uważane za wystarczająco uzasadnione, co potwierdzały badania całkowicie lub częściowo spopielenych zwłok, jak również zeznania bezpośrednich świadków. Był to na przykład profesor matematyki z Uniwersytetu Nashville (Tennessee), James Hamilton, który zdołał ugasić płomień wybuchający nagle z jego lewej nogi, albo lekarz B. H. Hartwell, który w lesie koło Ayer (Massachusetts) próbował udzielić pierwszej pomocy pewnej kobiecie wijącej się w płomieniach wydobywających się z jej barków.

Istnieje dokumentacja setek takich przypadków. Wszystkie one wydają się mieć wspólną zasadniczą cechę: dane osoby cieszą się mniej lub bardziej dobrym zdrowiem, a w następnej chwili padają pastwą płomieni, wybuchających z wnętrza ciała.

Już sam ten fakt i okoliczności mu towarzyszące są wystarczająco tajemnicze. Występująca przy tym temperatura jest wielokrotnie wyższa niż w każdym naturalnym ogniu, skupiona dokładnie w jednym punkcie i trwa niewiarygodnie krótko. Na wielu spalonych ciałach pozostała nienaruszona odzież. W bezpośrednim otoczeniu tego ognia nie zapala się nawet łatwo palny materiał, choć do całkowitego lub częściowego spopielenia szkieletu

człowieka i stopienia szyb samochodowych (co nastąpiło w niektórych przypadkach, kiedy znajdowano w zwęglonych samochodach spalone zwłoki siedzące w niedbałej pozycji, świadczącej o zupełnym zaskoczeniu) niezbędna jest temperatura znacznie wyższa niż 1000°C. Jeśli zostają zachowane pewne części ciała, to ich stan także różni się od oczekiwanego. Na przykład czaszki ofiar się kurczą, co jest całkowicie nietypowe dla śmierci w ogniu. Biegły sądowy, antropolog i specjalista w dziedzinie spontanicznego samo spalania, dr Wilton Krogman, powiedział na ten temat: "Nigdy nie widziałem czaszki, która uległaby skurczeniu na skutek działania wysokiej temperatury. Dochodzi raczej do ich rozděcia albo rozpadu na liczne odłamki. Nie ma tu żadnych wyjątków!". Całkowitą zagadką nie tylko dla doktora Krogmana był kompletny brak zapachu spalenizny.

Niekiedy ofiary SHC zamieniają się w prawdziwe słupy ognia. Ofiarą SHC padają pojedyncze osoby lub grupy. Nikt nie ma bladego pojęcia, jakie źródło w ciele człowieka mogłoby wywoływać aż takie wybuchy energii. Rozważania ezoteryczne o nieokiełzanych energiach czakramów albo abstrakcyjnie-naukowe hipotezy o energii próżni (pojęcie fizyki teoretycznej), ogniskowanej jakoby przez szyszynkę człowieka, pozostawimy bez komentarza. SHC i bez tego jest dostatecznie dziwnym zjawiskiem.

Skoncentrujmy się raczej na wspomnianej paraleli między ogniem a wodą, na indywidualnych cechach wydarzeń. Ludzie przyciągają do siebie wybuchy wody -i zagadkowy ogień względnie te fenomeny ich ścigają. Istnieje nieskończona lista takich przypadków. Bez widocznego powodu w obecności określonych ludzi wybucha ogień, od wielkich pożarów aż do płomieni w szufladzie biurka. Ponieważ najczęściej wzywa się na pomoc straż pożarną, posiadamy wiele zeznań naocznych świadków, a także raporty. Te ostatnie mają jednak dość bezradny wydźwięk. Jest w nich mowa o ogniu, który prawie nie dawał i się ugasić: a pojawiał się w ściennych regałach, nawet między okładkami książek, za tapetami, w głębi ścian i w innych niemożliwych miejscach. Niekiedy dochodziło do prawdziwych ognistych epidemii, które kazały gnać strażakom na sygnale po kilka razy do tego samego domu.

Przyczyny nigdy nie odkryto. Przeważnie zadowalano się spisaniem licznie występujących osobliwości, jak np.: nadzwyczajnie wysoka temperatura (co przypomina SHC), nagle zapalenie się najróżniejszych przedmiotów (nie wyłączając zwierząt domowych) i równie nagle gaśnięcie ognia, kiedy palący się przedmiot wynoszono na dwór (o ile dawał się przenieść). Ale, ale, chwileczkę. Wprawdzie niemało względów, jak się zdaje, przemawia za możliwym pokrewieństwem epidemii ognia i wody, wyzwalanych przez pojedyncze osoby albo całe rodziny, brak jednak wszelkich argumentów na korzyść tezy o istnieniu związku

między fenomenami lokalnymi a odnoszącymi się do konkretnych osób. Wprost przeciwnie; to, co dotąd przedstawiono, wyznacza raczej granicę między ludźmi "podatnymi na ogień" albo "wodę" a podobnymi zjawiskami, ale związanymi z określonym miejscem. Gdybyśmy tu chcieli dopatrzeć się ogólnego związku odpowiednio do tytułu rozdziału, to musiałyby występować przypadki łączące w sobie oba elementy: najlepiej ogień pochodzący znikąd (tylko o wiele gorszych następstwach). Krótko mówiąc: SHC musiałoby się stać anonimową siłą, nie związaną z żadnym określonym człowiekiem, która go tylko bierze na cel.

W tej sprawie mamy, jak zwykle, dobrą i złą wiadomość. Dobra jest następująca: być może jednak nie nosimy w sobie niewidzialnego zarzewia pożaru, wybuchającego w określonych warunkach. A zła: to może spotkać każdego z nas.

Spontaniczne samo spalenie mogłoby z powodzeniem być zewnętrznym atakiem czegokolwiek. Fakty są tu niezwykle tajemnicze, ale istnieją. Trzeba je tylko wydobyć na światło dzienne. Zajmijmy się więc nimi.

W lutym 1985 r. pewnego ranka studentka Jacqueline Fitzsimon schodziła po kursie gotowania razem z przyjaciółmi ze schodów Halton College w Widnes w angielskim hrabstwie Ceshire. Siedemnastolatkę widziało kilka osób w momencie, w którym nad jej ramionami pojawiło się w powietrzu dziwne światło. Potem opuściło się ono na barki Jacqueline, która zaczęła głośno krzyczeć, gdyż nagle spowiły ją płomienie.

Student chemii John Foy i jego kolega Neil Gargan rzucili się do gaszenia ognia. Było jednak za późno, Jacqueline wkrótce potem zmarła w szpitalu. Przeprowadzono badanie, nie uzyskując jednak żadnych efektywnych wyników. Podejmowanych później prób wyjaśnienia tego incydentu nie można określić inaczej niż jako bezradne -i zenujące.

Przypuszczano, że ciało Jacqueline mogło zająć się od ognia gazowej kuchenki podczas kursu gotowania i że wkrótce potem ogień ten rozgorzał w pełni. Było to bezsensowne przypuszczenie, tym bardziej że, jak dowiedziono, kuchenki nie były włączone. Chemik z instytutu, Philip Jones, drążył sprawę ze szczególnym uporem. Zapamiętałe, choć bez rezultatu, męczył się przy "rekonstrukcji" zdarzenia, które i tak nie mogło się odbyć w zakładany sposób, gdyż to niemożliwe, by żarząca się i dymiąca kurtka nie uszła uwagi ani jej właścicielki, ani idących obok niej osób.

Jones z wielkim trudem zdołał doprowadzić do żarzenia się taką samą kurtką, jaką miała na sobie ofiara, i starał się, zwiększając dopływ powietrza, wywołać wybuch płomienia. Równie dobrze mógłby jednak próbować zapalać fajerwerk za pomocą mokrej ścierki. Wreszcie dał za wygraną, podobnie jak przed nim policyjni eksperci, rzeczoznawcy straży pożarnej, chemicy sądowi, British Home Office czy słynny Shirley Institute z Manchesteru.

Stanąć w płomieniach podczas tańca

Nieszczęsna studentka, o której mowa wyżej, nie jest jedyną osobą, którą SHC jednoznacznie nawiedziło z zewnątrz. Phyllis Newcombe była pełną radości życia, dwudziestodwuletnią dziewczyną, nade wszystko lubiącą tańczyć. Właśnie podczas tańca 27 sierpnia 1938 r. w pełnym po brzegi Chelmsford Shire Hall w angielskim hrabstwie Essex dosięgnął ją okropny los.

Na oczach przerażonego narzeczonego Henry'ego McAuslanda i tłumów świadków z sukni ofiary wybuchły niebieskie płomienie. W ciągu kilku minut, kiedy to wszyscy bezradnie biegali i krzyczeli, z dziewczyny zostały zwęglone zwłoki. Tylko jej narzeczony starał się gasić nieziemski ogień, bijąc rękami, przy czym nabawił się ciężkich oparzeń. Nawet fachowe środki gaśnicze z pewnością nic nie zdziałałyby przeciwko takim piekielnym płomieniom.

Na przekór wszystkim dziwnym okolicznościom urzędowy lekarz sądowy orzekł, że suknia Phyllis zapaliła się od papierosa. Pomijając już jednak fakt, że zapalenie się części ubrania -o ile nie jest ono nasycone benzyną, naftą czy podobnym materiałem -nie może spowodować tego, do czego byłoby potrzebne krematorium, to i z innych powodów teoria zapalenia się od papierosa była nie do obrony.

Zrozpaczony ojciec młodej dziewczyny nie zadowolił się oficjalną uspokajającą gadaniną. Zażądał od lekarza sądowego, aby spróbował zapalić papierosem taką samą suknię jak ta, którą nosiła Phyllis. Mimo licznych prób to się nie udało.

Wciąż natrafiamy na przypadki SHC, w których śmiertelny skutek przyniosło zapalenie się części ubrania, materaca lub innego przedmiotu. Można pomyśleć, że to normalne wypadki, tak jednak nie jest. Różnica między wspomnianymi zdarzeniami a na przykład często spotykanym zaśnięciem z papierosem jest niebotyczna. Typową cechą spontanicznego (samo?-)spalenia jest także i tutaj nienormalne ograniczenie zasięgu ognia. Nocna koszula powoduje zwęglenie ciała jej właścicielki, ale poza tym nie dochodzi do zapalenia niczego więcej. Gdyby nie chodziło o tragedię, to przypadek śmierci siedemdziesięciodziewięcioletniej Ellen Steers z miasteczka Shaw w Berkshire w Anglii miałby też nieco zabawne strony.

Owa starsza dama, która uchodziła za hipochondryczkę i neurotyczkę, miała zwyczaj wbrew wszelkim przestrogom palić papierosy, leżąc w łóżku. Dlatego też w gruncie rzeczy nie zdziwiło nikogo, kiedy wreszcie zmarła w swojej sypialni wskutek zaccadzenia. W niewytłumaczalny sposób ogień strawił jedynie jej łóżko -przy czym ona sama się udusiła

-poza tym jednak nie wyrządził żadnych większych szkód.

Pomimo to sceptycy nie chcą całkiem odkładać *ad acta* teorii, że SHC mogłoby stanowić rzadkie połączenie pędu samozniszczenia i zdolności paranormalnych, które wyzwała splot nadzwyczajnych okoliczności. Trzymanie się takiej hipotezy jest zrozumiałe, ponieważ pozwala nam ona wciąż jeszcze być kowalem naszego losu. Bardzo mało pocieszająca jest bowiem myśl, że jakaś zewnętrzna moc albo siła natury mogłaby do woli dysponować naszym życiem, trawiąc super gorącym płomieniem bieliznę, pościel czy ciało ludzkie.

Samospalenie po śmierci

Mimo to będziemy musieli się z nim pogodzić, czy tego chcemy, czy nie. Inaczej bowiem trzeba byłoby wprowadzić jeszcze bardziej jeżąca włos na głowie kategorię SHC, która by ostatecznie obróciła wniwecz każdą rozsądną próbę wyjaśnienia: samospalenie opóźnione, a konkretniej: samospalenie pośmiertne. Jest to zdarzenie tak absurdalne, że "San Francisco Chronicle" zaliczyła je do dziesięciu najdziwniejszych w roku 1973.

7 grudnia tego roku pięćdziesięcioletnia Betty Satlow w Hoquiam (stan Waszyngton) padła ofiarą wypadku. Jej zwłoki złożono w kostnicy Coleman, w której potem nagle wybuchł pożar, zauważmy, trzy dni po śmierci pani Satlow.

Strażacy byli bezgranicznie zdumieni, kiedy stwierdzili, że dym wydobywa się z trumny, która jednak nie była ogniskiem pożaru. Ogień musiał mieć zarzewie w ciele samej pani Satlow, i do połowy strawił jej doczesne szczątki. Zachowały się one tylko od bioder w dół, a tułów zamienił się w popiół.

Szef policji z Hoquiam, Richard Barnes, zarządził śledztwo, które jednak nie dało żadnego rezultatu. Wykluczone było celowe podpalenie, podobnie jak każda przyczyna dająca się wytłumaczyć. Zawiedziony Barnes wysłał osmaloną trumnę do laboratorium Urzędu Skarbu w Waszyngtonie, znanego z tego, że umie się uporać z najbardziej nawet zawiłymi przypadkami.

Czy i tym razem tak było? Tego się nie dowiemy. Podobnie jak w innych sprawach spontanicznego samospalenia, federalne władze USA, jak się zdaje, spuściły zasłonę milczenia; albo nie chcą się przyznać do niewiedzy, albo ich odkrycia są zbyt sensacyjne, aby mogły zostać udostępnione opinii publicznej.

Jest i pozostaje faktem, że od tej chwili ani szef policji Barnes, ani jego następcy nie byli skłonni wydać jakiegokolwiek komentarza w tej sprawie. Amerykański magazyn

"Pursuit", zajmujący się zjawiskami niewytłumaczalnymi, mimo kilkakrotnych zapytań nie zdołał uzyskać od czynników oficjalnych żadnej wypowiedzi w sprawie Satlow.

Ten przypadek samospalenia po śmierci nie jest wyjątkiem. Pewne zjawisko, na które nie zwrócono dostatecznej uwagi w innym przypadku pośmiertnego SHC, mogłoby stanowić kolejną poszlakę przemawiającą na korzyść hipotezy oddziaływania zewnętrznego. Samo wydarzenie miało tak groteskowy przebieg, że wspomniana wskazówka nie uzyskała takiego znaczenia, na jakie właściwie zasługiwała.

W niedzielę 13 grudnia 1959 r. dwudziestosiedmioletni spawacz samochodowy Billy Peterson poniósł śmierć w swoim garażu w Pontiac (Michigan) -według wersji oficjalnej popełniając samobójstwo.

Występowały tu co prawda pewne różnice zdań: patolog z General Hospital w Pontiac, dr Donald McCandless, skonstatował śmierć na skutek zatrucia tlenkiem węgla. Według zastępcy lekarza sądowego, dr Johna Marry'ego zaszedł tu nieszczęśliwy wypadek, a tymczasem policyjny detektyw Robert Wachal dopatrywał się początkowo morderstwa, a potem samobójstwa. Szef straży pożarnej James White oświadczył, że Peterson po śmierci wskutek niezwykle wysokiej temperatury uległ wręcz ugotowaniu. Wreszcie oficjalny werdykt głosił: "śmierć wskutek wypadku".

Jednocześnie prokurator okręgowy George F. Taylor oświadczył: "Jeszcze nie zamknęliśmy tej sprawy", co wydaje się zachowywać aktualność do dnia dzisiejszego. Nic dziwnego, że w chaotycznych poszukiwaniach rozwiązania zagadki, która nawet po wielu latach wciąż jeszcze jest niesamowita, istotne szczegóły mogły umknąć uwagi.

Co się więc faktycznie wydarzyło i na czym polega ukryta wskazówka sugerująca możliwość działania z zewnątrz?

Kiedy porucznik straży pożarnej Richard Luxon ze swoimi ludźmi wpadł do garażu Petersona, z którego wydobywał się dym, zastał tam makabryczny, lecz zwykły dla niego widok. Nieboszczyk siedział za kierownicą, uduszony spalinami pracującego silnika, które za pomocą węża doprowadził do wnętrza wozu. Klasyczne samobójstwo.

Niezwykłe były natomiast oparzenia na ciele "samobójcy". Ognia nie było, za to bez widocznej przyczyny dymiły się niektóre części wewnątrz wozu.

W szpitalu stopień poparzeń określono jako znaczny. Duże części powierzchni ciała i twarz były przysmażone, względnie zmieniły się w żużel. Lewe ramię musiało być poddane działaniu i tak wysokiej temperatury, że skóra na nim oddzieliła się od kości i jakby zrolowała. Jednak owłosienie na ciele Petersona nie zostało nawet osmalone. Jeszcze dziwniejszy był fakt, że jego ubranie włącznie z bielizną nie było uszkodzone.

Policja podejrzewała morderstwo, a "The Detroit Free Press" orzekła 14 grudnia: "Być może była to śmierć w wyniku tortur".

Przeciwko takiemu wnioskowi protestowali lekarze badający ofiarę, której, jak stwierdzili, nie można było przecież w żadnym wypadku rozebrać, spalić, a następnie znowu ubrać. A już szczytem niemożliwości byłoby wybiórcze oszczędzenie przez ogień owłosienia na ciele Petersona.

Decydującą wskazówką jest jednak pewien traktowany po macoszemu szczegół. W całym zamieszaniu nie zwrócono uwagi, na dość niesamowity fakt, że oparzenia na ciele Petersona były jednoznacznymi objawami *radioaktywnego napromieniowania*. Dziennikarz Paul Foght wskazał w kilku artykułach na ten istotny aspekt, spotkał się jednak z zainteresowaniem ze strony tylko kilku grup ufologów. Reakcja świata nauki -który i bez tego najchętniej SHC nie przyjmuje w ogóle do wiadomości -była zerowa.

W tym miejscu się zatrzymamy. Cokolwiek wykraczałoby poza przytoczone rozważania, byłoby bezpodstawną spekulacją. Pewne jest jedno, że spontaniczne samospalenie istnieje. Może jest ono ujawnieniem tajemniczego, drzemiącego w każdym z nas potencjału samozniszczenia, ale również może być atakiem z zewnątrz. Jeśli stosujemy ściśle naukowe kryteria, to należałoby dać pierwszeństwo hipotezie o obcym oddziaływaniu, zgodnie z żelaznym prawem, że teorii nie może dowieść tysięcy zgodnych z nią faktów, a za to może ją obalić jeden jedyny fakt z nią sprzeczny. A przeciwko tezie o możliwości wybuchu wewnętrznego ognia przemawia więcej niż tylko jeden jedyny fakt. Szczególną rolę wśród tych kontrargumentów spełnia występowanie radioaktywności, ponieważ nasze ciało mimo najszczerzych chęci nie zdołałoby jej wytworzyć.

Jeśli przytoczone poszlaki wydadzą się komuś za mało przekonujące, aby móc wykluczyć fenomen czysto biologicznej natury, niechże się teraz delektuje licznymi próbami nauki udowodnienia właśnie tej biologicznej natury SHC.

Makabryczne eksperymenty

Odkąd istnieje dokumentacja przypadków samospalenia spontanicznego, szkolna nauka waha się między tendencją do przemilczenia całej sprawy a znalezieniem dla niej rozsądnego wytłumaczenia. Ta druga dążność wciąż od nowa znajduje wyraz w wysuwaniu najdziwaczniejszych tez i przeprowadzaniu takich że eksperymentów. Popularna interpretacja głosiła, że ciała pijaków są tak przesycone alkoholem, że łatwo mogą stanąć w płomieniach -co jest sprawiedliwą karą niebios dla różnych moczymordów, łajdaków i podobnych

wyrzutków. Mimo że taka wersja nadała wielki rozmach ruchowi abstynenckiemu w XIX w., to nie ma ona podstaw merytorycznych. Należy raczej do świata legend, podobnie jak popularne dawniej twierdzenia, że samogwałt powoduje głupotę, choroby, zanik rdzenia kręgowego itd.

Dość zabobonów. Zwróćmy się ku poważnym próbom wyjaśnienia fenomenu SHC.

W dziesiątym numerze "New Orleans Medical and Surgical Journal" z kwietnia 1894r. dr medycyny Adrian Hava wypowiadał się na ten temat w artykule pod długim tytułem: *So-called Spontaneous Combustion or Increased incombustibility of the Human Body, with Experiments* (Tak zwane spontaniczne samospalenie albo wzmożona niepalność ciała ludzkiego, z eksperymentami). Reprezentował on pogląd, że ciała ssaków (do których ostatecznie należy także homo sapiens) mogą ewentualnie wchłaniać z otoczenia tlenek węgla (CO), a także go akumulować. Proces ten powinien w pewnym momencie, przy silnej koncentracji tego gazu, doprowadzić do samozapłonu.

Aby w ślad za teorią mogła pójść praktyka, badacz ów poddawał króliki i koguty działaniu atmosfery o znacznej zawartości CO. I proszę: faktycznie udało mu się doprowadzić nieszczęsne stworzenia do zapłonu. Co prawda, upłynęło sto sześćdziesiąt dziewięć dni, zanim hemoglobina krwi królików zmagazynowała wystarczającą ilość tlenku węgla. Koguty trzeba było poddawać działaniu CO nawet przez osiem miesięcy, aby osiągnęły pożądany stan. W rezultacie tego okrutnego eksperymentu, który można porównać z przeprowadzanymi obecnie bestialskimi doświadczeniami na zwierzętach, nie uzyskano co prawda typowych dla SHC kupek popiołu, ale zwęglone zwłoki, jak po tradycyjnym pożarze.

Wspomniany eksperyment z ubiegłego stulecia obala wciąż ponawianą hipotezę, jakoby samobójcy, którzy jak Billy Peterson wdychali spaliny samochodowe, wzbogacali zawartość tlenku węgla w swojej krwi aż do samozapłonu. Przeciętny człowiek, który waży wielokrotnie więcej niż kogut, potrzebowałby do tego odpowiednio więcej czasu, a więc musiałby spędzić kilka lat w garażu przesyconym CO. I nawet po takich zabiegach stałby się co najwyżej ofiarą pożaru.

Skoro w ten sposób się nie da, to może by spróbować inaczej tak mógł sobie pomyśleć profesor David Gee z Leeds, o ile były mu znane doświadczenia jego kolegi dr Hava. Odkąd dr Gee, jako młody lekarz sądowy, w listopadzie 1963 r. w Leeds został wezwany do przypadku SHC, zagadka ta nie dawała mu spokoju. Wówczas to pewną starszą kobietę prawie kompletnie pochłonęły nieziemskie płomienie. Z kupki popiołu pozostałej po jej ciele sterczała tylko, w ogóle nienaruszona, prawa stopa. W otoczeniu miejsca pożaru znajdowały się materiały łatwo palne, jednak żaden nie zajął się ogniem. Słowem, był to całkowicie

"normalny" przypadek spontanicznego samospalenia. Na młodym lekarzu jednak wydarzenie to wywarło niezatarte wrażenie.

Od lat zaintrygowany tym wypadkiem wreszcie postanowił przeprowadzić decydującą próbę. Chociaż właściwie powinien się orientować, jakie ma szanse, starał się wywołać spontaniczne samospalenie w warunkach laboratoryjnych, aby dowieść jego naturalnych przyczyn. Postępował w tej sprawie z nie mniejszym uporem niż chemik Jones w swoich staraniach o to, by zdemaskować jako ognisko pożaru kurtkę Jacqueline Fitzsimon. Niestety, jego wysiłki pozostały równie bezskuteczne.

Dr Gee wykonał z ludzkiego tłuszczu świecę o długości 24 cm, owinął ją ludzką skórą i materiałem, a następnie zapalił ten makabryczny przedmiot za pomocą palnika bunsenowskiego. Ściśle biorąc, starał się to zrobić, gdyż tłuszcz zapalił się dopiero po minucie bezpośredniego nagrzewania palnikiem. Świeca paliła się przeszło godzinę. Pozostały po tym eksperymencie duże ilości lepkiej sadzy. Laboratorium zamieniło się w cuchnącą wędzarnię, w żadnej mierze nie przypominało jednak miejsca spontanicznego samospalenia. Wynik makabrycznego eksperymentu -słabo migocząca ludzka świeca -miał tyle podobieństwa do przypadku SHC, co wybuch prochu dymnego do wybuchu bomby atomowej.

Na przekór wszelkim próbom wyjaśnienia spontaniczne samospalenie jest, i pozostaje, niepokojącą zagadką. Właśnie dokładna wiedza, jaką dysponujemy, o samozapłonie w królestwie roślin i minerałów, powodującym zapalenie się zboża w silosach czy nagromadzonego pod dachami ptasiego łąjna, ukazuje absolutną odmienność SHC. W naturze nie istnieje nic porównywalnego, a zjawiska towarzyszące SHC drwią z praw fizyki i osiągnięć medycyny. Nikt nie wie, jak powstają krótkotrwałe działające niezwykle wysokie temperatury ani w jaki sposób mogą być tak zogniskowane. Podobnie nierozstrzygniętą kwestią są kryteria doboru ofiar, które decydują, że ofiarą SHC padają pojedyncze osoby, pary albo całe grupy osób. Przy tym wszystkim szczytem niesamowitości jest również to, że SHC nie jest niemiłym, ukrytym "talentem" homo sapiens, ale czymś całkiem innym. Z tego punktu widzenia pozornie znana ognista tajemnica ukazuje nieprzeczuwane implikacje i aspekty. Przestaje być zjawiskiem izolowanym, a staje się elementem wielkiej niewidzialnej mozaiki sił, które sobie z nami poczynają bez ceregieli.

Popuśćmy zatem cugli i udajmy się śmiało, choć nie tracąc opamiętania, na poszukiwanie możliwych powiązań między różnymi zjawiskami, których jak dotąd prawie nikt nie wypatrywał.

Nieoczekiwane powiązania

Angielski autor literatury faktu Michael Harrison, badający od dawna SHC, starał się odkryć wzorzec, według którego dochodzi do występowania takiego ognia, jak również cechy wspólne ofiar, miejsc tych zdarzeń i różnych innych parametrów. Oczywiście jest, jak problematyczne musi być takie przedsięwzięcie. Prawdziwe zbieżności mogą pozostać nie ujawnione przez brak informacji, a pozorne podobieństwa wnoszą więcej zamieszania, niż przyczyniają się do rozjaśnienia obrazu. Co na przykład może wynikać z tego, że w 21 przypadkach spontanicznego samospalenia, które odnotowano w Anglii od sierpnia 1971 r. do października 1975 r., zarówno nazwisko każdej ofiary (na przykład Seaton), jak też nazwy miejscowości, gdzie wystąpiło SHC, (na przykład Stoney Lane, Somerset albo Swan Hotel) rozpoczynały się literą "S"? Szczerze mówiąc: prawdopodobnie nic.

Mniej naciągana jest inna zbieżność, na którą zwrócił uwagę brytyjski autor *science fiction* Eric Frank Russell w 1939 r., który jednak nie uwzględnił wszystkich dziwnych szczegółów. Russell (1905-1978) miał słabość do zjawisk niewytłumaczalnych i wnikliwie je badał. Interesujące, że w swoich badaniach -na temat których między innymi napisał książkę *Great World Mysteries* (Wielkie tajemnice świata) -doszedł do przekonania, że Ziemia jest ogromnym poletkiem doświadczalnym albo próbką dla niewidzialnych sił. Wspominamy o tym tylko na marginesie.

Russell skatalogował przypadki SHC i uporządkował je także z punktu widzenia statystyki. Podczas badań natrafił na cechy wspólne niektórych zdarzeń. Trzej mężczyźni padli ofiarami piekielnego ognia tego samego dnia i o tej samej godzinie -7 kwietnia 1938 r., późnym popołudniem. Russell zadowolił się odnotowaniem tej osobliwości w swoich zapiskach, w przededniu drugiej wojny światowej bowiem, będąc żołnierzem Royal Air Force, był zaprzątnięty innymi sprawami.

Prawie trzydzieści lat później zapiskami Russella zajmował się amerykański dziennikarz Michael McDougal i szczególnie go zafascynował właśnie ten przypadek. W swoim artykule zamieszczonym w "Newark Sunday Star-Ledger" dnia 13 marca 1966 r. pisał: "Można było pomyśleć, że jakaś galaktyczna istota ogromnych rozmiarów nadziewała Ziemię na trójzębny widelec: pojawiły się trzy ogniste ostrza, które paliły tylko ciało".

Jakkolwiek dramatycznie brzmi to sformułowanie, to nie oddaje ono prawdziwie zadziwiających aspektów zdarzenia, których nie zauważył ani Russell, ani McDougal. Dostrzegł je dopiero Michael Harrison i warto im się bliżej przyjrzeć. A zatem 7 kwietnia 1938 r. uległo zwęgleniu, w znany nam już sposób, trzech ludzi: Irlandczyk John Greeley,

sternik statku SS "Ulrich", kierowca ciężarówki George Turner i osiemnastoletni holenderski student Willem ten Bruik. Jak się domyślamy, ani w sterówce Greeleya, ani w kabinie Turnera czy samochodzie osobowym Bruika, za którego kierownicą zginął ten ostatni, nie znaleziono śladów ognia ani nic poza tym nie spłonęło.

Trzy zęby ognistego widelca, aby pozostać przy sugestywnym porównaniu McDougala, trafiły w następujące miejsca: morze, odcinek drogi w pobliżu Chester w zachodniej Anglii i holenderskie wybrzeże koło Nimwegen. Z wyjątkiem daty nie ma tu cech wspólnych. A może jednak?

Jeśli weźmiemy do ręki mapę Europy i połączymy trzy "zęby ognistego widelca", powstanie trójkąt równoramienny. Zwykły trójkąt to jeszcze nic nadzwyczajnego, bo tworzą go każde trzy miejscowości nie leżące na jednej linii. Jednak w tym przypadku powstał właśnie trójkąt równoramienny. Geografia zdarzeń kryje w sobie kolejną niespodziankę. Oddalenie statku SS "Ulrich" od drogi na skraju Chester, gdzie spopieleniu uległ Turner, wynosiło dokładnie 340 mil w momencie, kiedy Greeley poniósł śmierć w płomieniach; z kolei miejsce śmierci Turnera dzieli równe 340 mil od miejscowości pod Nimwegen, gdzie Bruik zakończył życie, płonąc w nie uszkodzonym samochodzie.

To jeszcze nie wszystko. Greeley stał u steru SS "Ulrich", a Turner jechał ciężarówką przez przedmieście Chester, Upton, kierując się do miejscowości Ulrich's (która była portem macierzystym Greeleya). Willem ten Bruik dojechał właśnie do Ubbergen koło Nimwegen, kiedy nastąpił atak nieznannej mocy.

Te suche fakty nasuwają nie kończące się pytania. Czy tych trzech nieszczęśników zginęło dlatego, że w określonym momencie znaleźli się w punktach wierzchołkowych trójkąta równoramiennego, którego krótsze boki mają dokładnie po 340 mil? I jak ma się do tego litera U, która w tym przypadku jest o wiele bardziej widoczna niż owo S w wyliczeniu dwudziestu jeden zdarzeń SHC? Czy może jednak istnieje jakaś komponenta lokalna, jak np. w Wirginii Zachodniej, lasach śmierci albo wodzie wypływającej znikąd?

SHC i okaleczenia zwierząt

Skoro już posunęliśmy się tak daleko, to nie powinniśmy się wzdragać przed uczynieniem ostatniego kroku, który jednocześnie zamknie krąg poszukiwań. Miejscem akcji

jest Lincolnshire, w pewnej mierze odpowiednik Wirginii Zachodniej pod względem występowania różnych fenomenów w tym samym miejscu. Fenomenów, które być może wiążą się ze sobą -albo i nie.

Na wstępie trzeba powiedzieć, że już sama grawitacja jest w tym angielskim hrabstwie inna niż gdziekolwiek indziej na Ziemi. Przyspieszenie ziemskie, jakie tam panuje, wynosi mniej niż 9,8 m/s, które podają podręczniki fizyki. W Lincolnshire jest inaczej; to fakt często stwierdzany wskutek pomiarów, ale nigdy nie zgłębiony.

Jeśli ktoś się zaczął zastanawiać, czy tę okolicę nawiedza także spontaniczne samospalenie, to odpowiedź brzmi: tak. Szczególnie interesujący jest jednak pewien udokumentowany przypadek ze stycznia 1905 r., który miał miejsce na pewnej farmie w Binbrook, małej miejscowości między Market Rasen a New Waltham. Ściślej biorąc, jest tych przypadków kilka, i być może mają one wspólny mianownik.

Kiedy farmer White tego mroźnego styczniowego dnia wszedł do kuchni swojego domu, jego oczom ukazał się niesamowity widok. Służąca stała w płomieniach, trzymając jeszcze w ręku miotłę, którą wcześniej zamiatała. Spowita ogniem padła na ziemię, a White podbiegł do niej i zdołał ugasić płomień za pomocą worków. Kobieta z oparzeniami trzeciego stopnia przewieziono do szpitala w mieście Louth. Przyczyna pożaru była zagadką. Ogień nie mógł nigdzie w kuchni przenieść się na ubranie dziewczyny, która, kiedy można ją już było przesłuchać, z uporem twierdziła, że jej sukienka nagle stanęła w płomieniach. Przyczyną oparzeń nie mogła być płonąca sukienka, która i tak została natychmiast ugaszona.

W wywiadzie udzielonym na temat tego zdarzenia White powiedział, że nieszczęścia przeważnie chodzą parami. Ogień w kuchni, jatki w kurniku, co jeszcze mogło go czekać? Chodziło o to, że wcześniej jakaś niewidzialna i niepojęta siła w okrutny i zagadkowy zarazem sposób zmasakrowała kury White'a. Nieszczęsne ptaki miały wyrwane tchawice i ściągnięte dokładnie odmierzone kawałki skóry -od podgardla do piersi. Farmer White ze swoimi ludźmi pilnował kurnika dzień i noc i żaden intruz nie mógłby ujść ich uwagi. Jednak przy każdej inspekcji w kurniku zawsze znajdowano kilka zabitych kur. Tym sposobem ze stada liczącego początkowo 240 sztuk zostały 24 kury, w momencie gdy doszło do spontanicznego samospalenia.

Redaktor "South and North Lincolnshire News" nie dostrzegł związku między tymi dziwnymi zdarzeniami. Także i my powinniśmy zachować powściągliwość wobec takich domysłów. Jednak pewna poszlaka, która dziesiątki lat później wystąpiła w innym przypadku, daje podstawy, aby patrząc wstecz, uznać właśnie taki związek za możliwy i wysnuwać dalekosiężne wnioski.

Działo się to w grudniu 1973 r., co brzmi w pewien sposób znajomo. Przypomnijmy sobie: 10 grudnia tego roku, trzy dni po śmierci pięćdziesięcioletniej Betty Satlow, wskutek SHC uległy w połowie spopieleniu jej doczesne szczątki złożone w trumnie w kostnicy Coleman w Hoquiam (stan Waszyngton).

Prawie równocześnie nastąpiła w USA seria tak zwanych okaleczeń bydła, trwająca do dzisiaj, która od samego początku bynajmniej nie ograniczała się tylko do krów. Konie padają jej ofiarą prawie równie często i nie omija ona też innych zwierząt użytkowych i domowych.

To makabryczne zjawisko jest znane już od dawna. Pierwsze zapiski pochodzą z roku 1810. Opisują one taką jatkę na granicy Szkocji i Anglii. Ustne przekazy giną w pomroce dziejów.

Nieuchwytny "Kuba rozpruwacz krów", jak go nazwałem w mojej książce *Niewytłumaczalne zjawiska*, działa w równie beczelny, co niepojęty sposób. Urządzenie zasadzek nie zdołało zapobiec okaleczeniom na hermetycznie odciętych od świata pastwiskach. Przez ogrodzenia nie mogło się prześliznąć nic większego od zajęcia - z wyjątkiem samego sprawcy.

On, albo ono, morduje zwierzęta, masakrując je w tak okrutny sposób, że na ten widok nawet twardzi mężczyźni wymiotują. Nic dziwnego, bo wygląda to tak, jakby nad nieszczęsnymi stworzeniami pastwił się nocami szalony olbrzym, operując skalpelem niemałych rozmiarów, za towarzysza mając wampira wysysającego krew. Badania wykazały, że ciała były pozbawione krwi, podobnie jak mózgu czy płynu mózgowo-rdzeniowego. Liczne narządy zostały usunięte z chirurgiczną precyzją, między innymi były to genitalia, częściowo jelita, języki, fragmenty skóry.

Na miejscach zdarzeń nie znaleziono nigdy śladów ani plam krwi. Miejsca te są równie niezwykle, jak wszystkie inne okoliczności. Ofiary znajdowano nie tylko na pastwiskach, ale i na autostradach, obok farm i silosów rakietowych. Jedne były przywiązane stalowymi linami w najwyższych punktach gór stołowych, inne umieszczone na wierzchołkach drzew albo wrzucone do studni. Nigdy nie były zabijane i okaleczane w tym samym miejscu, w którym je później odnajdywano. Niektóre z nich okrutny los osiągał również pod wodą. W ciałach innych ani jedna kość nie pozostała w całości, jak po upadku z wielkiej wysokości.

Tak wygląda ogólny, można by powiedzieć, "normalny" obraz. Można też sporządzić dowolnie długą listę potworności, która każdego autora scenariuszy do filmów grozy wprowadziłaby w cielący zachwyt, jednak tylko niepotrzebnie odbierałaby apetyt. Bardziej interesujące są drobne, niepozorne fragmenty informacji, które wymownie włączają się w ten

obraz.

I tak obrósł już niemal legendą przypadek okaleczonego wałacha Snippy'ego, znalezione w 1967 r. na terenie farmy Harry'ego Kinga nieopodal Alamosa w dolinie San Luis w południowym Kolorado, od niego bowiem zaczęła się lawina na skalę całego kraju. Ulubiony koń niejakiej pani Berle Lewis został nie tylko okaleczony, ale był również -na co nie zwrócono zbytnej uwagi -*napromieniowany radioaktywnie*.

10 marca 1989 r. na ranczu Wyatt w Hampstead County (Arkansas) odkryto pięć okaleczonych martwych krów, ułożonych w równym rzędku. Wszystkie krowy były cielne. Obok jednej z nich leżała macica, w której znajdowało się cielę. Podobnie jak fakt radioaktywnego napromieniowania Snippy'ego, media po macoszemu potraktowały stwierdzenie zawarte w raporcie doktora Altshulera na temat zdarzenia z Wyatt: "Zmiana struktury naczyń wskazuje na wysoką temperaturę", i dalej: "...wynika stąd wnioski, że działanie wobec zwierząt dokonywało się w bardzo szybkim tempie i z zastosowaniem palników wytwarzających wysoką temperaturę, na przykład lasera".

Laser? Niewykluczone, ale może jednak źródłem wysokiej temperatury było coś innego.

Czy jesteśmy gospodarzami tego świata?

Wystarczy tego horroru i poszukiwań elementów układanki. Co mieliśmy zamiar przedstawić, przedstawiliśmy, a sprawy dotąd znane ukazały się nagle w nowej szacie. Przejdźmy więc do podsumowania różnorodnych poszlak, iluzji i możliwych skojarzeń, a tym samym do podsumowania pierwszego rozdziału. Brzmi ono tak: jakkolwiek różnorodne mogą być te dziwne zjawiska, to na ich podstawie można wysunąć jedno jedyne stwierdzenie, a mianowicie: coś przebywa z nami na Ziemi, gospodarząc tu wedle własnej chęci i humoru na wszelkie możliwe (a czasem niemożliwe) do pomyślenia sposoby. Przemierza przy tym różne krainy wzdłuż i wszerz, zamienia określone tereny na swoje specjalne place zabaw i ani trochę nie dba o nasze reakcje. Być może, Ziemia jest miejscem, gdzie działają przeróżne nadprzyrodzone moce, siły, istoty czy cokolwiek, jednak nie będziemy popuszczać wodzy fantazji. Moglibyśmy się zagalopować.

Zamiast tego zrekapitulujmy: niektóre fenomeny wydają się pochodzić z pałacu grozy tego, co niepojęte; inne są nieco mniej okropne. Istnieją zatem:

- zjawiska lokalne i ruchome;
- tereny "zaczarowane", gdzie prawa natury działają wbrew sobie,

grasują dziwne nieludzkie istoty, a po niebie śmigają światła;

- tajemnicze działania;
- zagadkowe zjawiska wodne i piekielne płomienie;
- okrutne zabójstwa zwierząt oraz
- osoby rozpływające się w powietrzu.

Jak już powiedzieliśmy, jest to pstrokata zbieranina. Ale w tym kalejdoskopie absurdu można się także dopatrzeć ukrytych, ważnych powiązań:

- paralele między wodą a ogniem;
- występowanie SHC wraz z okaleczeniami zwierząt (Anglia i USA);
- radioaktywne napromieniowanie przy SHC (Billy Peterson), podobnie jak w przypadku okaleczeń zwierząt (Snippy) oraz
- działanie wysokiej temperatury przy okaleczeniach zwierząt (dr Altshuler).

Nie wspomnimy już o groteskowych zbieżnościach i zaskakujących aspektach geograficznych (trzykrotne występowanie litery U i identyczna odległość w jednym i tym samym przypadku SHC).

Naturalnie, nie ma na to wszystko jednego wytłumaczenia. Ale po co próbować tego, co niemożliwe? Ani przez chwilę nie było tu mowy o żmudnej budowie myślowego gmachu, który zgromadziłby wszystko pod dachem wszechobejmującej teorii. Byłoby to przedsięwzięciem tak monumentalnym, jak opracowanie upragnionej jednolitej teorii pola. Nieuchronnie zatracilibyśmy się przy tym w gąszczu konkurujących ze sobą i nakładających się na siebie hipotez. Wyznajmy więc po prostu, że może istnieć to, co istnieć nie powinno. Wtedy od razu się okaże, że właśnie niemal nieograniczone możliwości kombinacji i łączenia tego co nieznanego dokumentują jego istnienie. Ani mniej, ani więcej.

Powyższe podsumowanie dopuszcza przy uczciwej ocenie swego całokształtu chyba tylko jedną interpretację opisanych zdarzeń: są one sygnałem nieludzkich machinacji. Czy chodzi tu o jedną moc przejawiającą się w kilku formach, czy o wiele różnych mocy, kto może to wiedzieć? Jeśli raz pogodzimy się z myślą, że odgrywamy jedynie rolę ofiar, to utworzy się całkiem nowy, niezbyt pocieszający punkt widzenia. My, "władcy stworzenia", bylibyśmy wydani na łaskę nieznanego, podobnie jak zwierzęta, których traktowanie według naszego kaprysu uważamy za nasz smutny przywilej.

Jednak nie tylko istoty żywe mogą się stawać igraszką nieznanych mocy -i to w najdosłowniejszym rozumieniu. To, o czym teraz będzie mowa, jest, rzecz prawie nie do

uwierzenia, jeszcze bardziej groteskowe.

Zaczarowane obiekty -przedmioty z duszą

Przedmioty osiodłały człowieka i jadą na nim.

Ralph Waldo Emerson

Nasi przyjaciele, maszyny

Istnieje naprawdę miłość, którą opiewają poeci, owa wielka namiętność, odporna na wszelkie ciosy, która drwi sobie z wszelkich burz czasu i nigdy nie wygasa: jest to miłość mężczyzny do swojego samochodu.

Niczym wędrowny rycerz z dawnej epoki "mężczyzna i jego samochód walczą z bezprawiem" (chodzi o Michaela Knighta i jego wyposażone w cudowne właściwości auto K.I. T. T. z popularnego serialu TV *Nieustraszony -Knight Rider*). W prawdziwym życiu często najmniejsze zadrapania lakieru dają asumpt do najgwałtowniejszych rękoczynów, a oda Rainharda Fendrichsa do jego sportowego coupe: "Teraz spoczywasz na cmentarzysku wraków, a przecież byłeś dla mnie wszystkim" stała się wielkim przebojem. Istnieją liczne przykłady tego dziwnego uczuciowego związku, przy czym ostatnio w roli miłosego partnera zamiast samochodu może występować także komputer.

Kobiety często uskarżają się, że mężczyźni wysuwają na pierwszy plan miłość do czterech kółek czy "pudła z ekranem", ale i one niekiedy darzą nieproporcjonalnym uczuciem przedmioty, które świat męski traktuje jako głupstewka.

Fenomeny te mają wyjaśnienia psychologiczne, kulturalne i socjologiczne. Wstrząsające wyniki pewnej ankiety przeprowadzonej w USA, w której około 80% ankietowanych młodocianych w wieku od czternastu do osiemnastu lat podało, że komputer jest ich jedynym i najlepszym przyjacielem, są niewątpliwie (ostrzegawczym) znakiem naszych czasów pozbawionych orientacji i więzi społecznych, w których jednostka jest coraz bardziej wyizolowana. Maszyny, które miały początkowo powiększyć tylko fizyczną, później także umysłową wydajność człowieka, już od dawna nie są narzędziami w dosłownym rozumieniu. Stały się symbolami pozycji, władzy i seksu. Badania motywacji wykazały, że na rynku wśród wielu jednakowych wyrobów zwycięży w wyścigu produkt wzbudzający największe zaufanie. Im więcej będzie miał cech ludzkich, tym lepiej -dla realizacji tego postulatu w przypadku samochodu otwierają się niezliczone możliwości. Pomyślmy o zderzakach celowo wyposażonych w "piersi", czy o szczególnej uwadze, którą styliści

kreujący karoserię poświęcają kształtom tylnych części pojazdów.

Jeśli ktoś obsługuje jakąś maszynę, wszystko jedno, czy jest to wielki dźwig czy ksero kopiarka, to zwykle przypisuje urządzeniu osobowość i w razie nieposłuszeństwa wymyśla mu albo nawet atakuje niczym żywą istotę. Im wyższy stopień złożoności i wydajności osiąga technologia, tym bardziej widać, że wzajemne oddziaływanie między człowiekiem a maszyną nabiera charakteru symbiozy, często o dość niesamowitym charakterze.

Samochody, które strajkują, dostają napadów szału i popełniają samobójstwa

Niechaj korowód absurdu otworzy wspomniany na wstępie obiekt miłości, dziecko specjalnej troski i szyld reklamowy: samochód. Nie bez powodu powieść Stephena Kinga -także sfilmowana -*Christine* była szlagierem kasowym. Główny bohater, Plymouth Fury rocznik 1958 okazuje zazdrość, a nawet morduje (w przeciwieństwie do miłego garbusa Walta Disneya o imieniu Herbie), a powieść wprawdzie trzyma w napięciu, ale należy całkowicie do sfery mitologii. Dla nas stanowi ślepy zaułek.

Wydaje się, że większe możliwości kryje powieść amerykańskiego autora *science fiction* Theodore'a Sturgeona *Machine Monster* (Maszyna-potwór). Opisuje ona problemy grupy techników, którzy mają zbudować lotnisko na wyspie na Oceanie Spokojnym i przy tym muszą się zmagać ze spychaczem. Zaczyna on nagle żyć własnym życiem i przejawiać agresję, czego przyczyną jest tajemnicza substancja elektroniczna o nazwie *neutronium*, pozostała po wojnie stoczonej w prehistorycznej epoce.

To jest już bliższe naszej hipotezy, która nadal brzmi: coś prowadzi na ziemi makabryczną grę, a jej pionkami jesteśmy my, zwierzęta i to, co wytworzymy.

Wróćmy do magii samochodu. Zakładając nawet, że nasi rozpieszczani pupile faktycznie zaczęłyby przejawiać własną osobowość, to jednak nie mieliby powodu, aby postępować tak złośliwie, niekiedy nawet okrutnie, a w każdym razie niewdzięcznie, jak to czasem robią. Wprost przeciwnie, powinni raczej czuć do nas głęboką wdzięczność. Napisano przecież liczne wiersze miłosne do samochodu, odbywały się też prawdziwe pogrzeby samochodów, którym towarzyszyły nieklamane łyzy. Imprezy motorowe od dawna nabrały charakteru uroczystych zrytualizowanych ceremonii. W wielu miastach amerykańskich znajdują się tak zwane kliniki samochodowe i powstaje ich coraz więcej. Przy tym użyte tu określenie nie jest bynajmniej żartem, gdyż chodzi o bardzo poważnie traktowane centra diagnostyczne z mechanikami w białych lekarskich fartuchach, z kwiatami dla ozdoby i dyskretną muzyką. Jeśliby podsumować, ile czasu z naszego życia poświęcamy czyszczeniu,

pielęgnacji i ozdabianiu samochodów, to urosłyby z tego całe miesiące. W samochodach ! wieszamy maskotki i najbardziej absurdalne ozdoby, nadajemy im pieszczotliwe nazwy i strzeżemy ich bardziej zazdrośnie niż własnego małżonka. Samochody wiodą u nas rajskie życie.

A oto, jak wygląda ich wdzięczność -o czym można przeczytać w książce Lyalla Watsona *The Nature of Things* (Natura rzeczy). W 1984 r. Brytyjczyk Jack Oates zaparkował swój samochód na wiejskiej ulicy, w zachodniej części angielskiego hrabstwa Yorkshire, aby z budki telefonicznej zadzwonić w interesach. Trzymając słuchawkę w ręku, Oates spostrzegł z nieopisanym przerażeniem, że jego samochód sam ruszył z miejsca. Jakby kierowany niewidzialną ręką pomknął na wstecznym biegu i uderzył w grupę zaparkowanych pojazdów. Tam się zaklinował z pracującym nadal silnikiem. Oates podbiegł do swojego samochodu, wsiadł i chciał wyłączyć silnik. Nie udało mu się. Choć ; zapamiętałe kręcił kluczykiem w stacyjce, silnik pracował dalej. Wezwano mechaników, których spotkało coś jeszcze dziwniejszego.

Gdy tylko mechanik zbliżył się do pojazdu, silnik zgasł. Kiedy mechanicy się wycofali, zapalił znowu. Ta zabawa trwała dłuższy czas, aż skończyła się benzyna. Jeden z mężczyzn powiedział:

-Coś takiego jeszcze nigdy się nie zdarzyło.

Niektóre samochody stawiają czynny i bezpośredni opór. Przekonał się o tym Kevin Kelly w 1977 r. Zaparkował swoją nowiuteńką limuzynę przez domem przyjaciółki w Staffordshire, wyjął kluczyk ze stacyjki i wszedł do domu. Nie zabawił tam dłużej niż kilka sekund, gdyż silnik jego samochodu nagle zapalił. Wysiłki Kelly'ego, aby go unieruchomić, pozostały bezskuteczne. Młody Anglik był jednak o wiele bardziej agresywny w stosunku do swego samochodu niż siedem lat później jego ziomek Oates. Kelly podniósł maskę i wyciągnął przewody z rozdzielacza zapłonu. Wbrew prawom fizyki i wbrew rozsądkowi silnik pracował dalej. Wtedy Kelly wpadł we wściekłość i podstępnie zatkał rurę wydechową gałganem. Studencki ów żart, zawsze dotąd skutkujący, teraz jednak nie dał rezultatu, silnik wciąż pracował.

Zrezygnowany właściciel zawezwał British Automobile Association. Przybyły na miejsce serwisant zaczął przecinać niektóre przewody, niczego jednak nie wskórał. Silnik terkotał, choć już od dawna powinien był zgasnąć. Po upływie godziny, podczas której zainteresowani wpatrywali się w samochód, jak gdyby był opętany przez diabła, czar ustal. Najwyraźniej samo auto tak postanowiło.

Kevin Kelly odesłał go do producenta. Tam zajęto się krnąbrnym wehikułem

najgruntowniej, jak tylko było to możliwe. Rzecznik prasowy producenta oświadczył:

-To bardzo niezwykły przypadek. Samochód jest w pełni sprawny, nic więcej na ten temat nie możemy powiedzieć.

Mniej powściągliwie zachował się w 1981 r. David Warner, wikary z Yorkshire, podczas zdarzenia, w którym główną rolę odegrał jego samochód. Knąbrny ów wóz najwyraźniej zdecydował się wybrać jemu bardziej odpowiadające miejsce postoju. Przejechał bez kierowcy przez ogród parafii, pokonał elegancko zakręt i zaparkował dokładnie w narożniku ogrodu. Warner rzekł:

-Ten samochód niewątpliwie ma osobowość i złośliwy charakter. Jeśli jeszcze raz przejawia oznaki opętania, to będę musiał go poddać egzorcyzmom.

Przedstawiciel producenta mógł tylko lapidarnie stwierdzić:

-Nigdy nie słyszałem czegoś podobnego.

Zważmy: dwa przypadki zdarzyły się w Yorkshire i nie są jedynymi. Cztery lata później samochód Evelyn Thommesen również w Yorkshire przebudził się do krótkiego, acz dramatycznego własnego życia. Silnik zapalił bez kluczyka w stacyjce, auto rozwalilo bramę garażu i z hukiem uderzyło w mur, po czym spłonęło. Pewien strażak powiedział:

-Nigdy nie słyszałem o czymś podobnym.

W tym samym roku wydarzył się w Londynie kolejny przypadek tego samego rodzaju. Także on nasuwa myśl o "samobójstwie". Don Hall właśnie skończył upiększać swą starą taksówkę, kiedy jej silnik zapalił i samochód dzikimi zygzakami pognął przez parking, unikając przy tym zręcznymi manewrami kolizji, po czym wybuchł i zmienił się w kulę ognia.

"Samobójstwa samochodów" są znane oczywiście także w kraju o największej liczebności pojazdów, czyli w USA. W 1978 r. Patty Jackson w Bloomington (Illinois) zauważyła włączone reflektory swojego samochodu odstawionego na parkingu przed supermarketem. Chciała je wyłączyć, kiedy jednak dotknęła klamki, samochód jakby zbudził się do życia. Jego silnik zapalił i pojazd ruszył z miejsca. Jak w filmowym pościgu samochód z piskiem opon ruszył z miejsca, pognął przed siebie i zjechał z betonowego stopnia. Podobnie jak wspomniana stara londyńska taksówka ruszył w karkołomny slalom po parkingu. Potem wypadł na główną ulicę, wymijając auta jadące w przeciwnym kierunku i wyjeżdżające z przecznicy, i z powrotem skierował się na parking. Stamtąd z kolei po wykonaniu dzikiej jazdy slalomem jeszcze raz wyjechał na główną ulicę, znowu wrócił na parking itd. Dziwaczne manewry powtórzyły się trzykrotnie.

W ostatnich minutach, gdy oszalały samochód skierował się prosto na jadącą z

przeciwka ciężarówkę i zderzył się z nią czołowo, pościg za nim podjął radiowóz policyjny. Członek patrolu sierżant Michael Leary dokonał zajęcia zdeformowanej kupy złomu i poinstruował pomoc drogową przybyłą w celu usunięcia wraku, że trzeba go specjalnie przymocować, aby "nie mógł się wymknąć". Drugi funkcjonariusz Edwin O'Farrell -który przez odcięcie przewodów zasilających zgasił reflektory, świecące jeszcze nawet po zderzeniu -powiedział:

-To było jak w jakimś zwariowanym filmie grozy.

Sandra Zikus, do której należał krnąbrny pojazd, wyszła właśnie z salonu piękności, kiedy zaczęła się piekielna jazda bez kierowcy. Przez cały czas stała jak rażona gromem, trzymając bezradnie kluczyki w ręku. Chyba nie trzeba dodawać, że zbadanie samochodu po wypadku nie wyjaśniło sprawy. Po tym zdarzeniu auto nadawało się już tylko do kasacji.

Mimo niesamowitości tych zdarzeń, można tu znaleźć pozytywny aspekt: kierowcy innych pojazdów mieli szczęście, bo udało im się ująć cało. Pewna obywatelka USA z Florydy, która w 1978 r. zaparkowała swój pojazd przed supermarketem, wyszła na tym gorzej: kiedy po zrobieniu zakupów zbliżyła się do samochodu, ten samoczynnie uruchomił silnik, ruszył na biegu wstecznym i przejechał właścicielkę. Zrobił to w dodatku kilkakrotnie, jeżdżąc w koło. Przez piętnaście minut uniemożliwił w ten sposób udzielenie pomocy krwawiącej ofierze. Ciężko ranną może udałoby się jeszcze uratować, jednak ze względu na broniący do niej dostęp samochód potem było już za późno.

Chwileczkę, w tym momencie cała ta sprawa może się komuś wydać już nazbyt groteskowa. Samochody, które postępują tak, jakby były żywymi istotami? To po prostu niemożliwe. Opisy zdarzeń są wprawdzie jednoznaczne, ale może chodzi tu tylko o splot niezwykle przypadków? Wszystko to jest nadzwyczaj mało prawdopodobne, ale nie są to sprawy naprawdę niewytłumaczalne. Łatwiej by było się z tym pogodzić niż z wyliczonymi absurdami. Ba, gdyby "ożywające" samochody były powszechnym zjawiskiem, wymiernym statystycznie, należałoby rozważyć ewentualność działania zagadkowych mocy. Jednak tak szerokiego zasięgu to zjawisko przecież nie ma, prawda?

Niestety nie można się na siłę uspokajać, gdyż od 1987 r. międzynarodowy przemysł samochodowy przyjmuje liczne zażalenia na zbuntowane pojazdy mechaniczne. Kierowcy pojazdów wielu różnych typów uskarżają się, że niekiedy pojazdy wyłamują się spod kontroli. Przyspieszają, choć kierowca nie dodaje gazu, albo nie pozwalają zwolnić. Takich przypadków jest podobno mnóstwo. Producenci rzadko potrafią się obronić przed zarzutami, co nieraz pociąga za sobą wypłatę słonych odszkodowań. Sąd w Los Angeles zasądził pewnej kobiecie trzy miliony dolarów odszkodowania za to, że została "zraniona" przez własny

samochód. Znane są inne przypadki wypłaty milionowych odszkodowań.

W książce *The Nature of Things* (Natura rzeczy) Lyall Watson podaje, że pewien znany producent miał wycofać ze sprzedaży 50 000 samochodów i zaoferować polubowne porozumienia 390 000 kierowców. Równie niewytłumaczalny, jak uciążliwy fenomen samoistnego przyspieszania, noszący niemal emocjonalny charakter, występował według Watsona w produktach różnych firm samochodowych.

Podobno na badania w celu wykrycia przyczyny wyłożono bająnskie sumy. National Highway Traffic Safety Administration w USA ustanowiła kilka komisji, jednak we wszystkich przypadkach starania dały wyniki równe zero. Żadnemu producentowi samochodów jak dotąd nie udało się ani zrekonstruować tego zjawiska, ani stworzyć jakiegokolwiek zabezpieczenia przed jego występowaniem.

Nadal trzeba, zgrzytając zębami z be silnej irytacji, przyjmować do wiadomości takie słowa, jak wypowiedziane przez Alana Smitha z północnego Londynu:

-Samochód oszalał. Wyglądało to, jakby ktoś inny samowolnie wcisnął pedał gazu.

Żywe pociągi

Może pewną pocięchą dla kierowców, którzy, udręczeni zatorami na drogach, brakiem miejsc do parkowania itd., woleliby na pewno uniknąć dodatkowych kłopotów ze zbuntowanymi pojazdami, będzie wiadomość, że nie tylko samochody zaczynają żyć własnym życiem.

Również publiczne środki lokomocji nie są na to odporne. Zwłaszcza pociągi potrafią niekiedy wypuszczać się na samodzielne wyprawy. Zdarzenia takie są jeszcze dziwniejsze niż w przypadku samochodów -o ile w ogóle takie stopniowanie ma sens -ponieważ wagony silnikowe i lokomotywy są wyposażone w tak zwany układ czuwakowy, którego zadaniem jest uniemożliwienie samodzielnej jazdy pociągu bez udziału maszynisty, jeśli temu ostatniemu coś się stanie. Dlatego samoistne uruchamianie się kolejowych składów jest podwójną zagadką.

Jesienią roku 1979 w USA w różnych miejscach zaczęły budzić się do życia lokomotywy, jakby otrzymały potajemny sygnał. Była to istna epidemia, jak powiedział pewien urzędnik t władz kolejowych.

W sierpniu pewna lokomotywa Santa Fe Railway opuściła dworzec w Oklahomie i ruszyła z prędkością przeszło 60 km/h w kierunku miast Moore i Norman. Policjanci patrolujący autostradę jechali przed nią, aby ostrzegać użytkowników dróg. Przez przeszło

godzinę samotna lokomotywa siała postrach na torach, zanim po przebyciu ponad 50 km zdołano ją w Purell skierować na bocznice, gdzie staranowała pociąg towarowy.

We wrześniu lokomotywa Conrail nr 6483 zdecydowała się z własnej inicjatywy odbyć małą przejażdżkę po okolicy. Z West Seneca (stan Nowy Jork) ruszyła z szybkością prawie 80 km/h. Początkowo nikt nie zauważył, że nie kieruje nią żaden człowiek. Pierwszy spostrzegł to pewien kierowca, oczekujący przed przejazdem kolejowym w Akron, aż lokomotywa przejedzie. Zatelefonował on do kierownika odcinka drogowego i zameldował mu lakonicznie, że przez przejazd kolejowy przejechała właśnie lokomotywa, nie wydając zwykłego sygnału i że w kabinie maszynisty nikogo nie było. Zaczęła się gorączkowa akcja. Nie udało się ustalić dokładnej pozycji ani kierunku jazdy lokomotywy-widma. Wycieczka przedsiębiorczej lokomotywy zakończyła się w Oakfield, gdzie zatrzymała się o 50 m od kozła odbojowego na końcu toru, w pobliżu baru hotelu w Oakfield.

Miesiąc później w pobliżu Tucson (Arizona) wybrały się w drogę dwie połączone ze sobą lokomotywy Southern Pacific. Po przejechaniu 30 km udało się je zatrzymać tylko w bardzo niezwykły sposób. Pewien snajper, zamieszkały w okolicy, ruszył swoim samochodem w pogoń za zbiegłymi lokomotywami i kilkoma mistrzowskimi strzałami trafił przewód hamulca pneumatycznego.

Jeśli nie będziemy się wzdragać przed śmiałym przypuszczeniem, że we wszystkich tych dziwnych incydentach mogłaby działać jakaś niemożliwa do zdefiniowania siła -albo siły -to nie całkiem bezpodstawny będzie dalszy wniosek, że osoby szczególnie uzdolnione mogą być wyposażone w "antenę" do odbioru wiadomości o tych tajemniczych machinacjach, jeśli nawet nie wiedzą, z jakim fenomenem mają do czynienia. Istnieją takie osoby, jednak nie wiemy wiele na ten temat, ponieważ tajemne moce mają nad nami przewagę. Może to być nawet elementem ich gry, pozwolić nam przewidzieć takie lub inne zdarzenia i tym sposobem nam okazać, do jakiego stopnia jesteśmy bezsilni nawet wtedy, kiedy świadomie pozwalają nam zaglądać sobie w karty.

Najbardziej spektakularny przypadek tego rodzaju miał miejsce w Anglii w 1981 r. Pewna kobieta jasnowidz poinformowała koleje brytyjskie, że "duży niebieski pociąg będzie uczestniczył w zderzeniu z innym składem". Kompetentni urzędnicy zignorowali ten telefon, jednak kobieta nie dała za wygraną. Zadzwoiła ponownie i podała więcej szczegółów. Nieszczęsny pociąg miał się składać z wagonów-cystern, ciągniętych przez lokomotywę nr 47 216. Informacja ta nie wzbudziła szczególnego zainteresowania, ale rozmówcy pofatygowali się przynajmniej, aby zasięgnąć informacji o "uciążliwej osobie". Kiedy się okazało, że pani jasnowidz była znana miejscowej policji, której w kilku przypadkach kryminalnych oddawała

"usługi medialne", wciągnięto dziwaczny meldunek do akt, po czym sprawa poszła w zapomnienie.

Dwa lata później skład pustych niebieskich cystern zderzył się z pociągiem osobowym jadącym z Cleethorpes do Sheffield. Jedna osoba zginęła, a tuzin pasażerów odniosło obrażenia. Wszystko odbyło się dokładnie tak, jak to opisano, a potem wciągnięto do akt dwa lata wcześniej. Inny był tylko numer lokomotywy ciągnącej pociąg -nie 47216, ale 47299.

Niektórzy odetchnęli z wielką ulgą, bo najwidoczniej był to tylko przypadek. Ulgą jednak nie trwała długo, ponieważ dyrekcja kolei oświadczyła, że nieszczęsna lokomotywa miała wcześniej, przed rozmową z kobietą jasnowidzem, numer 47216. Wbrew obowiązującemu zwyczajowi, w myśl którego nadawano lokomotywowi nowy numer tylko wtedy, gdy poddawano je przebudowie, w grudniu 1981 r. zrobiono wyjątek "na wszelki wypadek". Jednak, jak mówi poeta, nie da się spleść wiecznego przymierza z potęgami losu (lub innymi).

Na przykładzie z pozoru niemal identycznego przypadku możemy zaobserwować ewentualną różnicę między machinacjami sił działających świadomie a działaniem zagadkowych fenomenów, za którymi nie kryje się kierująca świadomość.

Lokomotywa dieslowska D 326 została zbudowana przez pewną firmę brytyjską i w 1960 r. oddana do eksploatacji. Była jedną z pierwszych tego typu, którymi planowano zastąpić na brytyjskich szlakach pospiesznych parowe lokomotywy ekspresowe. Jednak, jak się zdaje, albo ciążyła nad nią klątwa, albo z nieubłaganą surowością uderzyły w nią tajemnicze prawa przypadku. W 1962 r. staranowała ona pociąg osobowy, stojący na dworcu w Crewe. Zginęło osiemnaście osób. Rok później D 326 znowu znalazła się na pierwszych stronach gazet, tym razem jako ofiara. Ciągnęła ona wagony, których zawartość padła łupem słynnego angielskiego napadu na pociąg pocztowy w 1963 r. (Przypomnijmy sobie Ronalda Biggsa). Rok później umarł pewien strażak na skutek porażenia prądem na tej lokomotywie, a jeszcze w następnym roku jej hamulce odmówiły posłuszeństwa niedaleko Birmingham. Z szybkością przeszło 60 km/h pognęła ku stacji New Street. W ostatnim momencie udało się ją skierować na boczny tor, gdzie uderzyła w stojący pociąg towarowy. Od tego momentu personel kolejowy kategorycznie odmawiał postawienia choćby nogi na tej "diabelskiej maszynie". Oficjalnie wycofano ją z eksploatacji, nadano nowy numer 40 126 i potajemnie, zachowując pełną dyskrecję, skierowano do eksploatacji na bocznej linii w Cumbria. Wtedy niewytłumaczalne zjawiska skończyły się jak nożem uciął.

Zestawienie ze sobą zdarzeń z udziałem na próżno przenumerowanej lokomotywy 47216 i skutecznie wyposażonej w nową tożsamość lokomotywy dieslowskiej ukazuje, że

możemy z jednej strony mieć do czynienia ze świadomymi akcjami jakichś mocy, a z drugiej z najbardziej dziwnymi ukrytymi prawami natury. Zasad naturalnych nie można wprawdzie unieważnić, ale można je ominąć, oszukać lub zneutralizować. Nauka codziennie robi użytek z luk w prawach natury. (Wystarczy wymienić choćby pigułkę antykoncepcyjną, która oszukuje hormonalny mechanizm ciała kobiety i przez to wywodzi w pole naturalne mechanizmy). Nadanie lokomotywie nowego numeru albo usunięcie jej z określonego terenu mogło przełamać wpływ nieznanych sił przyrody. Gdyby natomiast w tym przypadku wchodziło w grę działanie jakichś tajemnych czynników sprawczych, to wybieg ów mógłby się nie powieść. Jakkolwiek sprawy się mają, próby wyciągania wniosków z tak egzotycznych zdarzeń są galopem po Jeziorze Bodeńskim, któremu towarzyszy groźne skrzywienie cienkiej lodowej pokrywy. Ta niepewność należy do natury rzeczy; spróbujmy zatem odnaleźć dalsze elementy do możliwej konstrukcji myślowej.

Szukaliśmy ich już na stałym gruncie i znaleźliśmy. Przysłowiowy "stały grunt", po którym poruszają się zarówno samochody, jak i pociągi, ma jednak pewne ograniczenia. Bez działania czynników nadzmysłowych może się na nim poluzować jakiś hamulec, kiedy indziej znów jakiś pojazd może jeździć w kółko, nawet przez pewien czas. O wiele trudniejsze jest to na wodzie, a prawie niemożliwe w powietrzu. Przy wyszukiwaniu takich zdarzeń istotnym czynnikiem był dotąd fakt, że kiedy pojazdy lądowe "z własnej woli" powodują katastrofy, to pozostają po nich rozbite wraki. Teraz będzie inaczej.

Zatonięcie następuje dość szybko, a upadek z wysokości w tempie natychmiastowym. (Jeśli dochodzi do tego nad otwartym morzem, to "samolot-samobójca" znika bez śladu, tak samo jak statek, który z "własnej woli" poszedł na dno). Mimo to istnieje wiele dowodów, że osobliwe budzenie się różnych wehikułów do własnego życia nie omija ani morskich toni, ani powietrznych przestworzy. Nie musi zresztą chodzić zaraz o pęd do samozniszczenia.

Istnieje ogromny zasób informacji o statkach-widmach i znacznie skromniejszy o samolotach-widmach (ale jednak są!). Nic w tym dziwnego, skoro człowiek bez porównania dłużej żegluje po morzach, niż szybuje w trzecim wymiarze. W stertach akt można znaleźć dokumentację zdarzeń w dziedzinie żeglugi i lotnictwa, które mają tyle wspólnego z tradycyjnymi legendami, co osobliwości fizyki kwantowej z zaklinaniem deszczu przez mamrotanie czarodziejskich formuł.

Trawler rybacki odmawia posłuszeństwa

W 1987 r. angielskie ministerstwo zdrowia i opieki społecznej musiało się użerać z kandydatami na bezrobotnych, którzy motywowali swoje wnioski w bardzo niezwykły sposób. Członkowie załogi trawlera rybackiego "Pickering" zostali wskutek przymusowego bezrobocia klientami opieki społecznej, ponieważ ich statek uparcie odmawiał współpracy. "Pickering" po prostu nie chciał wyjść w morze. Za każdym razem, kiedy kapitan Derek Gates chciał wypłynąć z portu Bridlington na łowiska na Morzu Północnym, jego trawler udaremniał te zamiary. Kręcił się po morzu w koło, jego maszyny ciągle odmawiały posłuszeństwa, światła migaly, a w kabinach panowało lodowate zimno mimo odkręconego na cały regulator ogrzewania. Regularnie, codziennie, punktualnie o pierwszej trzydzieści awarii ulegał radar. Choć oficerowie i załoga dwoili się i troili, naciskając dźwignie, guziki i przełączniki, to ich wysiłki pozostawały bez jakiegokolwiek rezultatu. Statek unikał przystąpienia do pracy. Przez trzy miesiące trwały mordercze zmagania człowieka z maszyną. Personel obsługi technicznej przychodził i odchodził z kwitkiem, niekiedy wręcz po kilka dni kwaterując na pokładzie. Technicy niestrudzenie rozbierali urządzenia na części i wykonywali badania diagnostyczne, jednak niczego nie odkryli. "Pickering" jakby drwił sobie z ich starań i w najlepsze kontynuował bunt. W czasopiśmie "Fishings News" z 18 grudnia 1987 r. oficer Michael Laws następującymi słowami określił owe trzy frustrujące miesiące: "To był najgorszy okres ze wszystkich siedemnastu lat, jakie spędziłem na morzu. Nie zarobiłem ani grosza, bo wszystko stanęło na głowie i nikt nie umiał zrozumieć ani wyjaśnić, co się właściwie dzieje".

Osobliwym zdarzeniom położyła w końcu kres nie mniej osobliwa kontrakcja, przynajmniej tak to z pozoru wyglądało. Po wyczerpaniu wszystkich możliwości, a także cierpliwości, kompetentni urzędnicy ustąpili przed histerycznymi już niemal naleganiami załogi i chwycili się egzotycznego sposobu. Z Bindlington sprowadzono pewnego wikarego nazwiskiem Tom Wills, aby odprawił egzorcyzmy. Wtedy statek zaprzestał wybryków i od razu zapanowała "przyjacielska atmosfera", jak dosłownie wyraził się kapitan Gates. Nagle wszystko wróciło do normy, gdy jeszcze kilka godzin temu krnąbrne maszyny, przekaźniki, przełączniki i dziesiątki innych mechanizmów drwiły sobie z marynarzy. W tej jednej chwili bunt maszyny dobiegł końca. Posłusznie jak jagnię "Pickering" odbywał jeden rejs po drugim, bez dalszych zagadkowych incydentów.

Na pierwszy rzut oka zastosowane w tym przypadku nieortodoksyjne rozwiązanie problemu wydaje się wskazywać, że w naszych poszukiwaniach możliwych czynników

sprawczych znaleźliśmy się w ślepych zaułku. Ostatecznie podziały egzorcyzmy, co sytuuje całą tę sprawę w dziedzinie teologii, a nie zjawisk niewytłumaczalnych. Czy rzeczywiście?

Nie chcemy urażać uczuć religijnych, mamy jednak pewne wątpliwości, czy możliwe jest "opętanie" urządzeń technicznych i czy mogą tu skutkować stosowane w takich wypadkach środki zaradcze. Jak jednak inaczej można to wszystko dopasować? Następujący przeciwny wniosek, który formułuję jako najostrożniejszą ze wszystkich spekulacji, mógłby usunąć sprzeczności: właśnie sukces egzorcyzmów wskazuje na to, że za tymi zjawiskami kryją się tajemne siły sprawcze, które za zabawne mogą uważać zwodzenie nas, pozostawianie fałszywych tropów, czy po prostu prowadzenie swojej gry w ten, a nie inny sposób. Takie rozumowanie wymaga jednak czegoś więcej niż tylko jednego przykładu, który jeszcze dopuszcza najróżniejsze interpretacje. Można przytoczyć dalsze przykłady i gdy im się przyjrzyć, mimo woli natychmiast nasuwa się myśl: ktoś albo coś tu eksperymentuje

Bez sternika do celu

W roku 1941 mimo cenzury wojennej odnotowano jeden charakterystyczny przypadek. Na kanale La Manche zapalił się pewien frachtowiec, którego załoga uratowała się, opuszczając płonący statek. Co dziwne, nie poszedł on na dno, ale dotarł do redy u wybrzeży Wielkiej Brytanii. Jak to się stało, tego nikt nie był w stanie wyjaśnić, ponieważ frachtowiec ów musiałby własnymi siłami ugasić pożar, przebyć w ciemnościach prawie 300 km, skierować się na tor podejścia do redy i tam zakotwiczyć. Trzeba tu wspomnieć, że wymieniony tor podejścia był bardzo wąski i kręty, co pociągało za sobą konieczność wykonywania trudnych manewrów wśród skał pozostawiających cieśniny tylko o kilka centymetrów szersze od kadłuba frachtowca. Krótko mówiąc -było to niepodobieństwem, a jednak się wydarzyło.

W 1984 r. holenderski frachtowiec "Pergo" w podobny sposób przeciwstawił się zatonięciu. Gwałtowny sztorm w pobliżu wybrzeża Norwegii zmusił załogę "Pergo" do opuszczenia statku. Marynarzy zdążyły uratować śmigłowce ratownicze. Porzucony statek jednak najwyraźniej nie miał zamiaru dawać za wygraną. Bez sternika przebył 300 km po niespokojnym Morzu Północnym -aż do wejścia do portu Dunbar w East Lothian w Szkocji.

Wydaje się jednak, że niektóre statki kierują się nie tylko instynktem samozachowawczym, ale bardziej szlachetnymi pobudkami -co jest jeszcze dziwniejsze.

W czerwcu 1887 r. z portu macierzystego New Bedford (Massachusetts) wypłynął bark wielorybiczny "Canton" o wyporności 227 ton; krwawy polów miał się odbyć na

zwykłych łowiskach na południowym Atlantyku. Kiedy już zaplanowana liczba ogromnych morskich ssaków została upolowana harpunami, a ich tusze podzielone na pokładzie statku, "Canton" rozwinął żagle i wziął kurs na Świętą Helenę. Na wyspie, która zyskała sławę jako więzienie Napoleona Bonaparte, opróżniono ładownie i uzupełniono zapasy wody. Potem statek miał wypłynąć na następną rundę połowową na południowy Atlantyk; zdecydował się jednak na podjęcie ważniejszej misji. Niedaleko od Świętej Heleny "Canton" obrał zupełnie inny kurs, ignorując wszelkie poprawki sternika, a nawet kierunek wiatru. Niestrudzenie dążył ku jakiemś nieznanemu celowi. Przy użyciu wszystkich dostępnych środków kapitan George L. Howland ze swoją załogą kilka razy zdołał zmusić krnąbrny statek do powrotu na pożądaną kurs, ale zawsze tylko na krótko. Potem "Canton" z uporem wracał na swój własny kurs i wreszcie postawił na swoim.

Kapitan Howland powiedział filozoficznie:

-To dobry statek i nie widzę żadnej przyczyny, aby nie miał słuchać steru. A więc to musi być palec Opatrzności. Nie sprzeciwiajmy się dłużej, ale zobaczymy, dokąd statek sam popłynie.

Powziąwszy taką decyzję, kapitan spędzał większość czasu na pokładzie, stojąc w milczeniu przy relingu.

Trzeciego dnia niezwyklej wyprawy pierwszy mat Antone Cruz zauważył daleko przed dziobem jakieś punkciki na powierzchni morza. Kiedy "Canton" zbliżył się do nich, okazało się, że są to łodzie ratunkowe pełne wycieńczonych ludzi, gwałtownie machających rękami i krzyczących ochrypłymi głosami. Byli to rozbitkowie z brytyjskiego statku handlowego "Monarch", na którego pokładzie wybuchł pożar w odległości 1 200 km od Przylądka Dobrej Nadziei, zmuszając załogę do pospiesznej ewakuacji. Pożaru nie dało się bowiem opanować, a w każdej chwili groził wybuch ładunku -przeszło 200 skrzyń dynamitu. Dręczeni głodem i pragnieniem rozbitkowie, płynąc na oślep, przebyli prawie 300 km -aby dokładnie przeciąć kurs, który sam sobie wybrał "Canton". Nieprawdopodobieństwo przypadkowego przecięcia się tych dwóch różnych kursów wyrażone matematycznie wynosiło w istniejących okolicznościach jeden do kilku bilionów.

W nagrodę za ten wyczyn kapitan Howland otrzymał od rządu brytyjskiego srebrny imbryk do herbaty, a od liverpoolskiego Towarzystwa Wraków Okrętowych i Humanitaryzmu złoty medal. Żeglarz, który od szesnastego roku życia stąpał głównie po deskach pokładów i był świetnym nawigatorem, powiedział, że właściwie to "Canton" zasłużył na wyróżnienie.

Dowodem, że wspomniany bark być może został tylko "użyty" do tej akcji

ratunkowej, jest okoliczność, że ani przedtem, ani potem nie wykazywał on żadnych skłonności do samowolnego działania, a jego służba na morzu trwała długo -od zbudowania w 1835 r. w Baltimore do początku dwudziestego wieku.

Statki okazujące przywiązanie, pogrążone w żałobie i owładnięte żądzą zemsty

Niektóre zdarzenia faktycznie nieodparcie nasuwają myśl, że statki mogą mieć duszę. Niektóre z nich po prostu postępują jak ludzie. Popadają w rozpacz jak psy po stracie pana, okazują przywiązanie, a nawet się mszczą. Może jednak należy to do gry, którą się z nami prowadzi?

Po wielu latach spędzonych na swoim rybackim kutrze "Sea Lion" kapitan Martin Olsen przeszedł na zasłużoną emeryturę. Ponieważ z całego serca kochał tę łajbę, chciał mieć kuter jak najbliżej siebie. Ustawił go na piaszczystej mieliźnie w Pungent-Sund w pobliżu Seattle (stan Waszyngton), niedaleko swojego domu. Stary wilk morski spędzał wiele dni na pokładzie "Sea Lion", odpoczywającego teraz tak jak i on sam, wspominając piękne chwile na morzu. Tak minęło dziesięć lat, w czasie których kuter dzień po dniu, miesiąc po miesiącu, rok po roku coraz głębiej zapadał się w piaszczystą łachę.

Pewnego całkowicie bezwietrznego dnia stary kapitan na zawsze zamknął oczy. Morze było gładkie jak stół, a mimo to "Sea Lion" niewytłumaczalnym sposobem uwolnił się z okowów piaszczystej mielizny i pływał po zatoce. Trzy dni później kapitan Olsen został pochowany na cmentarzu na wyspie Bainbridge. Ku zaskoczeniu żałobników na ceremonii pogrzebowej pojawił się nieoczekiwany uczestnik: kuter "Sea Lion". Statek ten wziął kurs na wyspę i dobił do brzegu w miejscu, z którego było najbliżej do cmentarza. Zaraz po pogrzebie podryfował z powrotem. Jeszcze większe było powszechne zdumienie, kiedy po kilku dniach "Sea Lion" z powrotem zajął swoje stare miejsce na piaszczystej mieliźnie, w pobliżu domu długoletniego właściciela.

W gęstej mgle, która 19 marca 1884 r. spowiła wybrzeże północnej Francji, dwa statki podążyły na dziwne spotkanie, które miało zostać uwiecznione w annałach żeglugi. Jednym z nich był "Frigorifique", pierwszy francuski statek z chłodnią na pokładzie, który płynął z Pasajes w Hiszpanii do Rouen. W jego kierunku zmierzał angielski węglowiec "Rumney". Wyłynął on ze swojego portu macierzystego Cardiff, a portem przeznaczenia było La Rochelle.

Na pokładzie "Frigorifique" załoga statku dowodzonego przez kapitana Roula Lamberta usłyszała z oddali syrenę, nie umiejąc jednak określić, skąd pochodził ten dźwięk.

Kapitan kazał zatrzymać maszyny i trzykrotnie dać sygnał ostrzegawczy. Nic nie było słychać. Wtedy francuski statek znowu ruszył, przy czym bez przerwy bito na nim w dzwon.

Nagle po prawej burcie rozległ się ostry gwizd i dudnienie maszyn. Z mgły wyłonił się czarny potwór kierujący się prosto na "Frigorifique". Sternik rozpaczliwie próbował uniknąć kolizji, jednak było za późno. Łoskot zderzenia rozległ się niczym wybuch, któremu towarzyszył zgrzyt deformowanego i pękającego metalu. Francuski parowiec stanął i, mając wgniecioną burtę, gwałtownie przechylił się na lewo. Kapitan Lambert rozkazał załodze przygotować szalupę ratunkową i opuścić "Frigorifique". Wszystkich rozbitków wciągnięto na pokład "Rumneya".

Staranowany statek francuski zniknął we mgle i wkrótce musiał zatonąć. Tak przynajmniej sądzili marynarze z obu statków. Mylili się jednak, i to bardzo. Węglowiec odpłynął już przeszło 3 km od miejsca katastrofy, kiedy jego kapitan, Anglik John Turner, wypatrzył jakiś cień w kłębach mgły. Przypominał on zarys statku, ale poruszał się bezgłośnie. Po upływie kilku sekund obserwator zawołał:

-Statek z prawej burty!

Niczym w przerażającej powtórce poprzedniej katastrofy z szarej mgły wyłonił się dziób statku. Nie czyniąc żadnego szmeru i nie zbacząc z kursu, niesamowity statek płynął prosto na "Rumneya". Był to "Frigorifique"!

-Ster prawo na burt! -zakomenderował Turner.

Dosłownie w ostatniej chwili udało się ominąć przeszkodę. Niczym statek-widmo "Latający Holender", "Frigorifique" przemknął tuż obok, znikając potem znów we mgle.

Kiedy "Rumney" kontynuował rejs, obaj kapitanowie dyskutowali nad dziwnym zdarzeniem. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa "Frigorifique" powinien już spoczywać na dnie morza. Turner sugerował, że może to był inny statek o podobnym wyglądzie. Lambert zdecydowanie się temu sprzeciwił.

-Znam swój statek -powiedział.

Krótko potem spór został rozstrzygnięty. Obserwator ponownie zameldował pojawienie się obcego statku. Tym razem wszyscy jak urzeczeni wpatrywali się w snujące się przed dziobem tumany mgły. Faktycznie! Zbliżał się -to przecież było niemożliwe! Złudzenie!

Turner wydał rozkazy. Tym razem zakomenderował, aby "Rumney" zrobił unik, zakreślając szeroki łuk wstecz. Nie zdołał go jednak wykonać, gdyż "Frigorifique" odciął mu odwrót. Za chwilę "Rumney" zadygotał pod uderzeniem innego kadłuba! Napastnik znowu zniknął w wirującej mgle.

Angielski węglowiec był skazany na zagładę. Przez wyrwę spowodowaną uderzeniem "Frigorifique" woda wdarła się do ładowni i maszynowni "Rumneya". Statek zaczął tonąć -co właściwie o wiele wcześniej miało spotkać francuski frachtowiec. W gorączkowym pośpiechu spuszczone na wodę dwie szalupy ratunkowe, w których stłoczyły się załogi obu nieszczęsnych statków. Widzieli jeszcze za sobą sterczącą pionowo z wody rufę tonącego "Rumneya", zanim brytyjski parowiec zniknął w ciemnościach.

Szalupy ratunkowe skierowały się po najkrótszej linii ku wybrzeżu, przy czym obrały ten sam kurs, co francuski "statek-widmo". Kwadrans później wydostały się z mgły. Przed nimi była pusta, gładka jak lustro tafla morza, a niedaleko było widać wybrzeże. Nagle z tumanów mgły wyłonił się także "Frigorifique". Płynął szerokim łukiem, przy czym jego tor stawał się coraz mniej regularny.

-Chyba nie zostawił pan nikogo na pokładzie? -spytał kapitan Turner francuskiego kolegę, który odpowiedział przeczeniem. Potem dodał:

-Wszyscy moi ludzie są tu w łodziach. Spróbujmy abordażu, może uda się doprowadzić statek do portu.

Łodzie podjęły pościg. Po wielu żmudnych manewrach udało się obu kapitanom i kilku ochotnikom wejść na pokład "Frigorifique". Nawołując, przeszukali cały statek, ale nikogo na nim nie było. Kiedy żeglarze próbowali znaleźć jakieś rozwiązanie tej zagadki, francuski statek zaczął powoli, ale niepowstrzymanie tonąć. Ostatnie zderzenie zadało mu decydujący cios. Kiedy z wnętrza "Frigorifique" zaczął się wydobywać groźny łoskot i bulgotanie, kapitan Lambert musiał kolejny raz wydać rozkaz ewakuacji.

Siedząc w łodziach ratunkowych, załogi obu statków obserwowały zatonięcie drugiego uczestnika kilku kolizji. Kiedy nad "Frigorifique" zamknęła się toń morza, marynarze mieli niesamowite uczucie, że dopiero teraz ów statek mógł spokojnie pójść na dno, gdy zemścił się na "Rumneyu".

Również w annałach żeglugi zdarzenie to odnotowano jako akt zemsty dokonanej przez statek. Co zrozumiałe, nie mogło zabraknąć naturalnego wytłumaczenia. Na ile załoga mogła to stwierdzić przed opuszczeniem statku, maszynownia "Frigorifique" nie była całkiem zalana wodą, tak że kotły -przynajmniej teoretycznie -mogły jeszcze przez pewien czas pracować. Sądzono także, że odkryto przyczynę tajemniczego pościgu, kiedy się okazało, że koło sterowe było unieruchomione rzemieniem. Najwyraźniej przywiązał je sternik i nie pomyślał o odwiązaniu rzemienia, kiedy wszyscy rzucili się do szalup. Mogłoby to, jak domniemywały władze, wyjaśniać spiralny kurs statku, który dwukrotnie przecinał się z trasą "Rumneya". Ściśle biorąc, trzykrotnie, gdyby jeszcze przedłużyć linie kursów obu statków

poza miejsca ich zatonięcia. Aby nie psuć tej teorii, władze roztropnie nie zająknęły się ani słówkiem na temat wykładniczo rosnącego przy każdym kolejnym spotkaniu (nie)prawdopodobieństwa.

Racjonalnego umysłu nie zdoła zaspokoić ani takie naciągane niby to naturalne wyjaśnienie, ani wizja statku wyposażonego w duszę, który dokonuje zemsty. W obliczu przebiegu zdarzeń hipoteza, że dyrygowały nimi ukryte tajemnicze moce, jest równie niedorzeczna, jak absurdalne fakty. Mimo to nie powinniśmy wyciągać pochopnych wniosków. Przyjrzyjmy się raczej wielu kolejnym przypadkom, w których nieożywione obiekty nagle zbudziły się do życia. Przenieśmy nasz wzrok z powierzchni wód w górę. Tam wysoko, w przestworzach, trudno byłoby tłumaczyć lotnicze manewry bez udziału pilota, z przywiązaniem drążkiem sterowym; okaże się zatem, czy za tym wszystkim coś się kryje albo i nie.

Duchy z lotu 401

Szczególnie zagmatwanym przypadkiem jest słynny lot 401 z Nowego Jorku do Miami w 1974 r. Na jego przykładzie przekonamy się, jak trudno jest podzielić to, co nieznanne, na kategorie, ale również o tym, że w "opowieści o duchach" mogą się kryć całkiem konkretne poszlaki przemawiające za tezą o czynnikach sprawczych pochodzących z tego świata (choć niesamowitych), niewidzialnych graczach, którzy być może skracają sobie czas czymś w rodzaju gry w nadnaturalne szachy albo nie stronią też od płatania figli. Kto wie?

W 1972 r. amerykańska firma lotnicza Lockheed wypuściła na rynek serię maszyn L-1011 TriStar Whisperliner. Miały one konkurować z Boeingiem 747 na rynku wielkich Jumbo-Jetów, co też robiły z powodzeniem. Whisperlinery odniosły wielki sukces. Pasażerowie czuli się nadzwyczaj dobrze w obszernych, spokojnie szybujących samolotach, które nie przynosiły wstydu swojej nazwie. Liczne towarzystwa lotnicze składały u producenta duże zamówienia; były wśród nich także Eastern Airlines, które kupiły 50 samolotów L-1011 TriStar Whisperliner. Początkowo wszystko przebiegało bez zakłóceń, do 29 grudnia 1974 r., ! kiedy to Whisperliner nr 310 odbywający lot 401 roztrzaskał się koło Everglades (Floryda) wskutek defektu technicznego. Zginęło 99 spośród 176 znajdujących się na pokładzie osób, między nimi kapitan Bob Loft, jak również nawigator i drugi oficer Don Repo. Była to tragiczna katastrofa, ale nie zawierała w sobie i niczego niewytłumaczalnego. Sprawy niewytłumaczalne miały zdarzyć się później, i przez długi czas były dość skutecznie ukrywane.

Dwa lata po tej katastrofie amerykański dziennikarz John Fuller zdołał przypadkowo wpaść na trop jednego z najdziwniejszych zdarzeń w historii lotnictwa. W 1974 r. podczas lotu samolotem Scandinavian Airlines gawędził z pewną stewardesą. Od niej dowiedział się o pogłoskach krążących wśród personelu wszystkich linii lotniczych, jakoby maszyny Eastern Airlines były w czasie lotu nawiedzane przez duchy. Fullera zdziwiło, że wizyty duchów miały się ograniczać tylko do jednej linii lotniczej. Jako dziennikarz wiedział najlepiej, jak łatwo takie legendy są ubarwiane i szerzą się niczym epidemia. Z tego powodu nie dawała mu spokoju odpowiedź stewardesy: "Może ta historia pozostaje niezmienna, ponieważ zdarzyła się naprawdę". Dziennikarz ów był jednak wówczas tak bardzo pochłonięty pisaniem artykułu o katastrofie atomowej, do której omal nie doszło niedaleko Detroit, że historię o inwazji duchów na linię lotniczą wyparł do swojej podświadomości.

Rok później leciał samolotem Eastern Airlines z San Juan do Nowego Jorku i przy tej okazji przypomniał sobie wcześniejszą rozmowę. Żartem zapytał stewardesę, czy duchy już się wyniosły. Kobieta zareagowała niespodziewanie gwałtownie.

-Nie ma w tym nic śmiesznego -powiedziała -ja też się z nimi zetknęłam.

Fuller przeprosił stewardesę, a potem zaczął ostrożnie, ale z uporem wypytywać o szczegóły. Początkowo nie mógł wydobyć żadnych informacji, gdyż jego rozmówczyni -jak sama później przyznała -była jednym z licznych pracowników Eastern Airlines, którzy, składając meldunki o duchach, ściągnęli na siebie tylko kłopoty, nie wyłączając odgórnego zalecenia udania się do psychiatry.

Kiedy już John Fuller wydobył z młodej kobiety wszystko, co warto było wiedzieć, postanowił dalej drążyć ten temat. Podjął trop z wytrwałością psa gończego, a rezultaty jego prywatnego śledztwa były w istocie tak niewiarygodne, że zebrał je w książce *The Ghosts of Flight 401* (Duchy z lotu 401). Jak w niej pisze, wydawało się rzeczą dowiedzioną, że nieżyjący członkowie załogi samolotu Whisperliner nr 310 regularnie ukazywali się w maszynach tego typu. Byli niezliczeni świadkowie tych zdarzeń zarówno wśród personelu, jak i pasażerów, wszyscy absolutnie wiarygodni. Wielu z nich miało długoletnie doświadczenie w lataniu i dar precyzyjnej obserwacji. Przedstawiane opisy zawsze się dokładnie pokrywały, także wtedy, gdy ich autorami były osoby nie mające ze sobą kontaktu. Dotyczyło to również osobliwych okoliczności towarzyszących zjawom, jak np. znacznego spadku temperatury w czasie ukazywania się duchów. Każdy, kto próbował przedstawić naturalne wytłumaczenie tych zjawisk, musiał ostatecznie skapitulować wobec faktu, że wiele opisów zawierało szczegóły nie znane opinii publicznej, jak również, że świadkowie zidentyfikowali Boba Lofta i Dona Repo na zdjęciach, choć oficerów tych wcześniej nie

znali. W tajemnicy na niektórych samolotach Whisperliner należących do Eastern Airlines odprawiano egzorcyzmy, czym jednak nie zdołano przegnać "duchów". Wręcz przeciwnie, pojawiały się jeszcze częściej.

Być może, dla naszego rozumowania decydujące znaczenie będzie mieć sposób, za pomocą którego ostatecznie udało się jednak "wypędzić duchy". Był on całkowicie świecki i stuprocentowo pragmatyczny. Zgrzytając zębami z niechęci i wykraczając przeciw tak zwanemu zdrowemu rozsądkowi, kierownictwo Eastern Airlines zdecydowało, że sięgnie po środki zasługujące na miano rozpaczliwych. Wydano instrukcję, aby z nawiedzanych przez duchy maszyn Whisperliner serii L-1011 usunąć urządzenia takie, jak np. radia, wentylatory, fotele, grzejniki i urządzenie do zapisu głosu w kabinie pilotów, a następnie je zniszczyć. Wymienione obiekty funkcjonowały bez zarzutu i były w nienagannym stanie, a łączyła je jedna cecha wspólna: wszystkie pochodziły z wraku rozbitego samolotu nr 310, i po jego odnalezieniu zostały zamontowane w bliźniaczych maszynach. Po ich usunięciu i zniszczeniu "inwazja duchów" skończyła się natychmiast. I jak tu teraz rozsypać ten gordyjski węzeł zagadek?

Trudno udzielić odpowiedzi na to pytanie. Jeśli jak Aleksander Wielki użyjemy miecza do rozwiązywania problemu, to zapewne przetniemy także cienką czerwoną nić przewodnią, której odszukanie było od początku naszym zamiarem. Lepiej byłoby poddać ów przypadek pod dyskusję niż starać się go za wszelką cenę upchnąć w ramach jakiegoś systemu kategorii. W gruncie rzeczy jedno jest, jak się zdaje, całkiem pewne: ukazywały się zjawy, w jakiś sposób powiązane z materią nieszczęsnego samolotu. Nieskuteczne okazały się egzorcyzmy, za to pomógł prosty zabieg materialnego zniszczenia. Czy można z tego wszystkiego -pomijając interpretacje odwołujące się do zaświatów -odczytać działanie ukrytych sił sprawczych, rozporządzających tym, co ożywione i nieożywione?

Zaproponuję w tym specjalnym przypadku odwrócenie ciężaru dowodzenia, co kiedy indziej byłoby niedopuszczalne, i wysunę zuchwałe twierdzenie: w każdym razie nie można na tej podstawie także wnioskować o czymś przeciwnym. Ten fenomen, którego śladami dążymy, nie charakteryzuje się publicznym występowaniem czy jasnymi formami albo wręcz jednoznacznością. Przeciwnie, ma wiele oblicz, co utrudnia znalezienie elementów pasujących do naszej układanki. No cóż, cokolwiek się *de facto* wydarzyło w samolotach Eastern Airlines, po raz kolejny w sposób jasny i wyraźny dowodzi jednego: nie jesteśmy panami nawet tego, co sami zbudowaliśmy. Ani na ziemi, ani na wodzie, ani w powietrzu. Trzeba to było jeszcze raz podkreślić przed przejściem do dalszych przykładów.

Eskapady statków powietrznych bez pilota

Wróćmy teraz do zdarzeń, które niedwuznacznie pasują do zakładanego schematu: osobliwych eskapad statków powietrznych bez załogi. Lotnicy często meldują o napotykanym na najróżniejszych wysokościach samolotach bez pilotów. Wiarygodnie udokumentowany jest na przykład lot pustej maszyny Lear-Jet, którą zaobserwowano w 1983 r. nad Morzem Północnym.

Rekordy absurdu bije lot bez pilota na pokazie lotniczym, kiedy to pewna Cessna 172 w 1986 r. zaskoczyła obsługę kanadyjskiej bazy lotniczej w Chatham koło New Brunswick. Ludzie ci nie wierzyli własnym oczom, kiedy ów mały samolot o własnych siłach bezbłędnie wystartował, wykonał kilka okrążeń nad pasem startowym, a następnie wylądował, choć tym razem już nie tak perfekcyjnie, bo wywracając się na grzbiet. Na pokładzie nie było pilota, co z absolutną pewnością mogli stwierdzić członkowie personelu naziemnego, kiedy podbiegli do samolotu. W takich przypadkach trudno nie myśleć o nawiedzeniu. My jednak sądzimy, że może istnieć jeszcze inna interpretacja.

No cóż, samochody, statki czy samoloty są dość skomplikowanymi urządzeniami o trudnym do zgłębienia "życiu wewnętrznym" i dla wielu podejrzanej elektronice. Być może, mają wbudowane jakieś podzespoły, które mogą zadziałać samoczynnie. Podejmijmy więc wyzwanie i rozejrzyjmy się wokół. Czy także tu znajdziemy "podstępne obiekty", wiodące niezaprzeczalnie własne życie? Okazuje się, że jest ich aż nadto. Wychodzi na jaw tak niewiarygodna i przerażająca różnorodność wspomnianych przedmiotów, że do najniewinniejszych utensyliów powinniśmy właściwie podchodzić z głęboką nieufnością. Niech więc : ukaże się naszym oczom ten kalejdoskop, który zwłaszcza można I podziwiać w książce Lyalla Watsona *The Nature of Things* (Natura rzeczy); powstrzymamy się przy tym od komentarza, lecz nie zrezygnujemy z uporządkowania opisywanych zjawisk.

Czy to my rządymy w naszych domach? Bynajmniej. Urządzenia domowe, instalacje wszelkiego rodzaju itd. rządzą się własnymi prawami.

Podstępne instalacje

W 1979 r. Phyllis Redhall została dosłownie spławiona ze swojego mieszkania w

Barnsley w angielskim hrabstwie Yorkshire. Nieszczęście zaczęło się od założenia dwóch nowych chromowanych kurków do armatury nad zlewozmywakiem. Ledwo je zainstalowano, a zaczęły się same odkręcać. Fenomen ów trwał 24 godziny na dobę. Z jakąkolwiek siłą dokręcano te kurki, odkręcały się i z kranu lała się woda. Kolejni hydraulicy mijali się w drzwiach, armaturę kilkakrotnie wymieniano. Rezultat był równy zeru, a ściślej biorąc, rezultatem była nieustanna powódź, także w obecności fachowców. Inżynierowie, hydraulicy, technicy i inni eksperci odwiedzili udręczoną panią Redhall w sumie 89 razy, nie znajdując żadnego wytłumaczenia dla tych zdarzeń. Jedynym, mało satysfakcjonującym środkiem zaradczym było całkowite odcięcie dopływu wody. Zdenerwowany tym zagadkowym potopem przedstawiciel władz powiedział: "Jeśli jest ktoś, kto ma choćby blade pojęcie o tym, co się tu dzieje, chętnie go poznamy".

Inny problem z instalacjami domowymi, z jakim ma do czynienia niejaki Colin Smith z Milton Keynes w Wielkiej Brytanii, dotyczy dziedziny przemiany materii. Kiedy tylko wiatr wieje z zachodu, uruchamia się spłuczka w jego toalecie. To niewytłumaczalne zdarzenie pan Smith stara się wykorzystać jako dowcip podczas spotkań towarzyskich, czyniąc z niego niecodzienną atrakcję dla swoich gości.

Mniej zabawne są efekty podobnego zachowania niektórych toalet w Kalifornii. Jeden z reaktorów atomowych Uniwersytetu Kalifornijskiego z ogromną precyzją samoczynnie się wyłącza, kiedy w jednym z sąsiednich domów zostaje uruchomiona spłuczka w toalecie. Dlaczego tak jest, nikt nie umie powiedzieć. Nic więc nie można na to poradzić, chyba że zahamowane zostaną procesy trawienne okolicznych mieszkańców.

W Southport na wybrzeżu Mersyside w Anglii planowano w 1968 r. wyburzenie starego hotelu "Palace". Przed przystąpieniem do rozbiórki wyłączono oczywiście dopływ prądu. Nie miało to jednak znaczenia dla staroświeckiej czterotonowej windy. Ku bezdennemu zdumieniu robotników nagle zaczęła jeździć do góry i na dół. Mimo braku prądu na tablicy sygnalizacyjnej zapalały się światelka informujące, gdzie w danym momencie znajduje się masywna kabina windy. Kiedy zatrzymywała się na piętrze, jej drzwi otwierały się zapraszająco. Oczywiście, nikt do niej nie wsiadał. Kierownik robót ani przez chwilę nie wątpił, że nie został jeszcze odcięty dopływ prądu. Powiadomił więc techników z elektrowni w Liverpoolu, aby raz na zawsze położyć kres zagrożeniu.

-W przewodach nie ma napięcia -z determinacją oświadczyli fachowcy. -Ani jeden amper nie dociera do tej ruiny. Nie ma żadnego elektrotechnicznego powodu, żeby winda miała działać. Przykro nam.

Z tymi słowami przybyli z Liverpoolu inżynierowie skierowali się do wyjścia. Wtem,

jak na ironię drzwi windy zamknęły się z trzaskiem i kabina pojechała na drugie piętro. W tym momencie miarka się przebrała. Zablokowano hamulec windy i usunięto awaryjną ręczną wciągarkę. Niech teraz zbuntowana winda pokaże, co potrafi. I zrobiła to następnego dnia.

Przyjechała ekipa telewizji brytyjskiej BBC, aby nakręcić reportaż na temat tych dziwnych zdarzeń. Winda, jak rozkapryszona operowa diwa, popisywała się przed zaskoczonym zespołem kamerzystów. Jej drzwi otwierały się i zamykały, a kabina jeździła w górę i w dół szybciej niż w czasach jej oficjalnej eksploatacji. Kiedy w ten sposób winda została gwiazdą telewizji, nic nie mogło już jej powstrzymać. Całymi tygodniami jeździła to do góry, to na dół, i wyzywająco trzaskała drzwiami. W końcu pracownicy zastosowali na wskroś ludzkie rozwiązanie: roztrzaskali niesamowitą maszynę młotami. To wprawdzie niczego nie wyjaśniło, ale zlikwidowało problem. Techniczne wyjaśnienie nigdy nie nastąpiło.

Karabin zacinający się wybiórczo

Nie zawsze użytkowe przedmioty zachowują się niestosownie. Niekiedy okazują też serce udręczonemu homo sapiens -jak np. karabin, który aktywnie włączył się do nieustannych zmagania dobra ze złem, i to stając po stronie dobra. W 1980 r. trzech kryminalistów skazanych na długoletnie kary więzienia uciekło z zakładu karnego Kroonstad w Afryce Południowej. Zrabowali przy tym karabin jednego ze strażników. Broń była w nienagannym stanie, załadowana i gotowa do strzału, co w tej okolicy było sprawą życia i śmierci. Mimo to w rękach przestępców trzykrotnie odmówiła posłuszeństwa. Wziąwszy zakładników, zbiegli więźniowie zabarykadowali się w miejskiej bibliotece. Jedna z ofiar, młoda kobieta, wykorzystała moment ich nieuwagi i z krzykiem wybiegła na zewnątrz. Gangster trzymający karabin wycelował w jej plecy i nacisnął na spust. Broń jednak nie wystrzeliła. Nacisnął spust po raz drugi, również bezskutecznie. Potem trzej zbiegowie opuścili bibliotekę i skradzionym samochodem uciekli z miasta. Na szosie zabrakło im benzyny. Przejeżdżający obok nich farmer zatrzymał się, chcąc pomóc nieznanym. Zauważył więzienne stroje -uciekinieryzy zorientowali się, że zostali rozpoznani. Jeden z nich natychmiast wycelował z karabinu w farmera, aby odpłacić mu za jego dobrą wolę przedziurawieniem głowy. Po raz trzeci jednak broń odmówiła posłuszeństwa. Więźniowie wyskoczyli z samochodu i rzucili się do ucieczki, a uzbrojony zbrodniarz z wściekłością cisnął "zaciętym" karabinem w farmera. Ten podniósł go z ziemi i dwa razy nacisnął cyngiel. Kule trafiły jednego ze zbiegów w bok, a drugiego w bark. Jeszcze tego samego dnia

wieczorem przestępcze trio z powrotem wylądowało w swoich celach. Nikt nie umiał wyjaśnić, dlaczego broń tak wybiórczo odmawiała posłuszeństwa.

Strzelający pistolet-zabawka

Jeszcze dziwniejszym przypadkiem jest wystrzelenie z broni, która w żadnym razie nie miała prawa oddać strzału. Uniwersytet Duke w Durham (Karolina Północna) jest mekką dla wszystkich parapsychologów. Już w latach trzydziestych twórca kierunku badań nad postrzeganiem pozazmysłowym, Joseph Banks Rhine, przeprowadzał tam swoje legendarne masowe badania statystyczne PSI przy użyciu nie mniej legendarnych kart Zenera (nazwanych tak na cześć asystenta Rhine'a Karla E. Zenera). Dziś w archiwach tego instytutu znajduje się jeden z największych zbiorów dokumentacji zjawisk paranormalnych związanych z tajemniczą, ale niezaprzeczalną potęgą ludzkiego umysłu. Jeden z tych raportów byłby, być może, bardziej na miejscu w instytucie, którego jeszcze nie założono: do badania tajemnych interwencji znikąd.

Dokumentacja ta zawiera zeznania kilku absolutnie wiarygodnych, trzeźwych i będących w pełni władz umysłowych świadków, na temat pistoletu-zabawki. Był to jeden z owych przedmiotów, które nie mają naboju, a jedynie po naciśnięciu spustu wydają metaliczny odgłos, nieco przypominający huk wystrzału. Pewnego dnia jeden z takich pistoletów przestał działać, nabywca więc zaniósł go do naprawy do małego sklepu, gdzie kupił tę zabawkę w prezencie dla syna. Było przy tym obecnych kilku klientów. Ci robili sobie kpiny, wyrażając wątpliwości, czy sprzedawca zdoła naprawić "śmiercionośną broń". Ten ostatni, wyśmiany w ten sposób, majstrował kilka minut przy zabawce i z dumą obwieścił, że pistolet znów działa. Odpowiedzią były dopingujące okrzyki i śmiechy, co rozzłościło sklepikarza do tego stopnia, że wywijając bronią, oświadczył, iż wystrzeli z niej i trafi zaraz w zegar na ścianie. Wycelował i nacisnął spust, a zegar, jak ugodzony niewidzialną kulą, został zmieciony ze ściany i roztrzaskał się o ziemię. W tym momencie w sklepie nie było najmniejszego przeciągu, nie nastąpiły też wstrząsy spowodowane przez jeżdżące po ulicy pojazdy. Zapadła cisza jak makiem zasiał; obecni zaniemówili. Zdarzenie to jeszcze długo intrygowało mieszkańców miasteczka, nim wreszcie odłożono je *ad acta*.

Lalki demonstrują własną wolę

Nie tylko pistolety, ale też inne zabawki niekiedy zaczynają żyć własnym życiem. Na przykład lalki. Każdemu znane są lalki na baterie, które wymawiają proste słowa, jak również

-dzięki postępom mikrotechnologii -mogą już wygłaszać prawdziwe monologi. W USA (gdzieżby indziej?) produkuje się mówiące lalki z wbudowanym magnetofonem, które mogą być połączone z podobnymi sobie i w ten sposób prowadzić rozmowy okrągłego stołu, a nawet razem śpiewać. Także bez korzystania z tej techniki całkiem zwyczajna szmaciana lalka o imieniu Maggie dokonywała w Melbourne w Australii imponujących wyczynów. Jej właścicielka, ośmioletnia Nicole Hart, oświadczyła pewnego dnia:

-Maggie powiedziała mi, że Jinx musi umrzeć.

Jinx to było imię kota należącego do rodziny. Tego samego dnia wieczorem został on przejechany przez samochód. Ojciec Nicole, architekt Vance Hart, powiedział:

-Moja żona i ja sądziliśmy najpierw, że Nicole wyssała to sobie z palca. Potem sami usłyszeliśmy ten głos i osłupieliśmy. Do dziś pozostaje to zagadką.

Najbardziej zdumiewająca w tej groteskowej sprawie jest okoliczność, że lalka, z którą mała Nicole za nic w świecie nie chce i się rozstać, wypowiedziała jeszcze inne proroctwa, co prawda wyłącznie o katastroficznej treści. Od 1987 r. przepowiedziała bardzo precyzyjnie śmierć sąsiada, trzy wypadki samochodowe i fakt wykrycia choroby nowotworowej u babci Hart. Tę niemiłą możliwość poznawania przyszłości rodzina Hartów traktuje jak dar Danaów. Vance Hart wyraził to dość zwięźle:

-Najdziwniejsze jest to, że ta lalka nigdy nie przepowiada niczego pozytywnego. Wszystkie jej proroctwa dotyczą zagrożenia złem, które się ziszcza. Jest to bardzo deprymujące. Już niewiele takich czarnych przepowiedni zdołamy znieść.

Inna szmaciana lalka posunęła się jeszcze dalej i swojemu rywalowi -człowiekowi -pokazała, kto rządzi w domu. Tak się przynajmniej wyraził Anthony Rossi z East Hartford (Connecticut). Kiedy ów młody człowiek wprowadził się do swojej przyjaciółki nazwiskiem Margarite Tata, przekonał się, że nie tylko z nią będzie dzielił łóżko. Kimś trzecim w tym przypadku było nieatrakcyjne pozszywane z gałganów stworzenie z ruchomymi kończynami i ogromnymi czarnymi oczami z guzików, kochana lalka Margarite. Dziewczyna przemawiała do lalki i prawie zawsze sadzała ją przy stole w czasie posiłków. Na początku Anthony nie przejmował się tym kaprysem swojej przyjaciółki. W końcu dziewczyny bawią się lalkami, czasem nawet duże dziewczyny, które poza tym już od dawna są kobietami. Z czasem jednak jego stosunek do tego dziwactwa uległ zmianie. O ile z początku tylko trochę mu to przeszkadzało, potem irytowało, to wreszcie zniecierpliwiał lalkę. Coraz częściej zaczęła ona odgrywać główną rolę w jego (koszmarnych) snach. Pewnego ranka miał już dość. Chwył szmaciane stworzenie i, wściekle nim potrząsając, wrzeszczał:

-Jesteś tylko całkiem zwyczajną zabawką! Niczym więcej!

I w tym właśnie momencie pierś przeszył mu palący ból, jakby od rozżarzonego noża. Mężczyzna rozerwał koszulę i osłupiały zobaczył siedem krwawiących, głębokich zadrapań na ciele, zadanych niewidzialnymi pazurami.

Można wysunąć argument, że takie przypadki mogą także (jest to nawet prawdopodobne) należeć do szarej strefy "moc ducha", nie mniej tajemniczej domeny zjawisk nadnaturalnych, które jednak zostawiają nam przynajmniej nadzieję, że to my sami jesteśmy sprawcami zdarzeń. Ośmioletnia Nicole mogła dysponować osobliwą kombinacją talentów (prekognicja idąca w parze z psychokinezą, przy czym to ostatnie uzdolnienie mogłoby odpowiadać za głos lalki, słyszalny także dla rodziców). Anthony Rossi mógłby przejawiać autoagresję, porównywalną ze znanymi zjawiskami stygmatyzacji. Takie wytłumaczenie nie jest jednak możliwe, gdy w sposób jednoznaczny dochodzi do ataku maszyny.

Komputer; który nie umiał przegrywać

W 1989 r. pewien rosyjski superkomputer, znalazłszy się w trudnej sytuacji na turnieju szachowym, zaprezentował nieumiejętność przegrywania. Tenże mózg elektronowy dostał mata i już w drugiej partii rozegranej z sowieckim arcymistrzem Nikołajem Gudkowem. Kolejna klęska miała go czekać już wkrótce. Kiedy Gudkow po decydującym posunięciu po raz trzeci ogłosił mata, komputer za pośrednictwem metalowej szachownicy przesłał strumień prądu, który uśmiercił jego przeciwnika. Nie udało się odkryć żadnego defektu technicznego, działania z zewnątrz czy jakiejś innej naturalnej przyczyny, dla której cybernetyczny gracz miałby się zamienić w krzesło elektryczne. A więc jednak ujawnił się tu znany od dawna "duch maszyny", dostosowując się jedynie do realiów schyłku dwudziestego wieku? Na razie powstrzymamy się od komentarza. Zamiast tego zapoznajmy się jeszcze z kilkoma nie mniej dziwnymi zdarzeniami opisanymi w książce *The Nature of Things* (Natura rzeczy).

Komputer, któremu się śniło

W 1987 r. pewien architekt w Stockport w pobliżu Manchesteru w Anglii zainstalował w swoim biurze nowiutki komputer Amstrad 1512. Był on przeznaczony do utworzenia archiwum planów budynków i kartoteki klientów. Wszystko to wykonywał ku ogólnemu

zadowoleniu w czasie godzin pracy. Po jej zakończeniu zajmował się jeszcze czymś innym: śnił.

Pewna sprzątaczką, która pracowała w nocy, zauważyła, że świeci się ekran Amstrada. Chciała go wyłączyć i przy tej okazji odkryła, że komputer nie jest podłączony do sieci. Kilka nocy później sytuacja się powtórzyła. Tym razem komputer, po włączeniu, wydawał dźwięki przypominające westchnienia. Na ekranie przesuwały się litery, z których układały się słowa i strzępy słów bez związku. Trwało to przez jakiś czas.

Wreszcie wezwano ekspertów z renomowanego magazynu "Personal Computer". Pacjentem zajął się redaktor Ken Hughes. Jego diagnoza zdradzała jednak bezradność.

-Rozebrałem go osobiście na części i przebadalem każdą z nich. Nie zauważyłem nic nadzwyczajnego.

Ów specjalista od komputerów nie poprzestał na tym stwierdzeniu. Przeniósł urządzenie do pomieszczenia pozbawionego dopływu energii. Amstrad 1512 królował samotnie w swojej izdebce, nawet nie mając włączonej klawiatury. Naprzeciw niego ustawiono kamerę wideo, rejestrującą obraz przez 24 godziny. Skromną ilość prądu potrzebną jej do zasilania dostarczał przewód elektryczny. Wszyscy czekali, co z tego wyniknie.

W rzeczy samej wynikło niemało. W ciągu trwającej trzy miesiące bez przerwy obserwacji powstały tak groteskowe zapisy, że w 1988 r. zademonstrowano je na wystawie komputerowej. Jedyńm aktorem, którego poczynania utrwaliły nagrania wideo, był nasz Amstrad. Ani przez sekundę z ekranu nie znikał jego nie podłączony do gniazdka przewód elektryczny. Hughes ostentacyjnie owinał kabel wokół konsoli PC. Nie zważając na brak prądu, niecodzienny główny bohater popisował się w najlepsze. Wciąż od nowa się włączał, wydając głośne trzaski elektrostatyczne i świecąc czerwoną kontrolką, i zaczynał proces ładowania. Słowa i urywki zdań pojawiały się najpierw w jednym, a po chwili w pozostałych rogach ekranu. Wielu widzów miało wrażenie uczestnictwa w przeżywaniu sekwencji sennych, a skojarzenie to potwierdzili odpowiedni fachowcy. Te "sny elektroniczne" trwały przeciętnie po pół minuty. Potem Amstrad głęboko wzdychał i wyłączał się. Dużą liczbę takich epizodów utrwalono na taśmie wideo.

Ken Hughes niczego nie osiągnął za pomocą tego kosztownego eksperymentu. Zresztą on sam temu nie zaprzecza:

-Jestem zdumiony. Wszystko to nie ma żadnej logicznej przyczyny. Wykluczyłem wszelkie możliwe oddziaływania elektryczności statycznej. Ani w bliższej, ani dalszej odległości nie występowały żadne źródła promieniowania elektromagnetycznego, takie jak urządzenia radiokomunikacyjne czy radary. Szczególnie niepokoją mnie słowa pojawiające

się samoczynnie. Niektóre z nich są dość makabryczne. Ogólnie odnosi się wrażenie, jakby ktoś w maszynie, albo za jej pośrednictwem, usiłował nawiązać kontakt ze światem zewnętrznym, ale bez powodzenia.

Wiadomości z szesnastego wieku

Gdzieś indziej jednak, jak można było sądzić, miało miejsce i nawiązanie kontaktu, o którym wspominał Hughes. Efekt jednak nie był wcale mniej niesamowity. Nauczyciel ekonomiki przedsiębiorstw, Ken Webster zamieszkały w Meadow Cottage w angielskim hrabstwie Cheshire niedaleko Chester, wypożyczał sobie czasem ze szkoły, w której uczył, jeden z mikrokomputerów BBC. Na tym sprzęcie pracował ze swoją przyjaciółką Debbie Oakes, stosując jedynie program tekstowy komputera, za który jest odpowiedzialny specjalny procesor.

Na początku grudnia 1984 r. komputer zaczął śmiało sobie poczynać z opcją, która mu dawała pewną swobodę kreacji. W nieregularnych odstępach czasu na ekranie pojawiały się spójne informacje. Niektóre z nich okazywały się spóźnionymi samoczynnie wywołanymi odpowiedziami na zapisane w pamięci pytania. Większość informacji tworzyła jednak coś w rodzaju samodzielnego monologu komputera. Komunikaty przeważnie były obszerne, nierzadko teksty obejmowały 400 słów i więcej. Wszystkie były sformułowane w języku staro angielskim, używanym w szesnastym stuleciu, jak wykazały badania.

Websterowi i jego przyjaciółce nasunęła się najpierw myśl .: o ewentualnych defektach technicznych. Wymienili komputer na inny. Jednakże i ten zaczął po chwili wypływać wiadomości ł w archaicznej angielszczyźnie. Po sprawdzeniu dwunastu komputerów w ciągu dwóch lat stało się jasne, że nie da się znaleźć naturalnego wyjaśnienia. Nawet jeśli urządzenia nie połączone żadną siecią stały odizolowane od siebie w zamkniętych i strzeżonych pomieszczeniach, nie stanowiło to przeszkody do przesyłania komunikatów.

Językoznawca Peter Trinder poddał teksty wnikliwej analizie semantycznej. Składnia, dykcja, gramatyka i wiele innych charakterystycznych cech języka pozwalały na ścisłe datowanie go na połowę szesnastego wieku. Często były to spójne i płynne relacje epizodów z ówczesnej epoki. Nie wnosiły one żadnych istotnych nowych myśli, ale dokładnie się zgadzały z okolicznościami znanymi z historii. W tych komunikatach zastosowano 2870 różnych słów, z których stu dwudziestu jeden nie odnotowano nigdy wcześniej. Ich znaczenia można się było domyślić z kontekstu. Pasowały one ściśle do używanej formy językowej. Według opinii fachowców prawie w stu procentach należało wykluczyć oszustwo dokonane

przez hakerów. Trinder uzasadniał swoje przekonanie o niemożliwości fałszerstwa, mówiąc:

-Laik nie jest w stanie nawet sobie wyobrazić, jaki nakład pracy byłby do tego potrzebny.

Wobec konieczności udzielania przez maszyny natychmiastowych odpowiedzi na zadawane bezpośrednio pytania nawet najgenialniejszy specjalista komputerowy i językowy geniusz musieliby dać za wygraną. Tu po prostu nie było czasu na jakiegokolwiek manipulację.

Co ciekawe, rozważania te nie dotyczą głównej kwestii, w jaki sposób tak nie pasujące do naszych czasów komunikaty mogły się znaleźć w pamięci wielu komputerów. My też nie będziemy się tym dodatkowo obciążać. Zamiast tego zajmiemy się przypadkiem Stantona Powersa, który miał miejsce w Santa Cruz (Kalifornia).

Modlitwa do elektronicznego dobroczyńcy

Ów uginający się pod brzemieniem trosk obywatel USA dostał tego szczęścia, że z jasnego nieba spadł na niego prawdziwy deszcz nieoczekiwanych dobrodziejstw, których dawcą był komputer. Kiedy na ekranie bankomatu umieszczonego w ścianie filii jego banku pojawił się komunikat, że majątek Powersa stopniał do rozmiarów dokładnie 1,17 dolara, nieszczęśnik poczuł się parszywie. Zrozpaczony padł na kolana i żarliwie modlił się o pieniądze. Kilka minut później stan jego konta urósł do 281 dolarów. Natychmiast więc ze zdwojoną gorliwością zaczął kontynuować modlitwę. Wkrótce na ekranie ukazała się suma 6000 dolarów. Nie zważając na dziwne spojrzenia przechodniów, Powers przez pełną godzinę zanosił błagania do swojego elektronicznego dobroczyńcy. Po jej upływie przecierał oczy -z bolącymi kolanami -patrzac na ekran: widniał tam aktualny stan jego konta: 4,4 miliona dolarów!

Obdarowany nie tracił czasu na zadawanie zbędnych pytań, tylko korzystał z okazji. Przypisywał niebieskim mocom odpowiedzialność za deszcz pieniędzy -i ochoczo je inkasował. Z radością zaczął podejmować pieniądze z konta. Zaledwie jednak zdążył wypłacić nędzne 2000 dolarów, kiedy ktoś w filii banku [zwrócił na to uwagę i pociągnął za hamulec awaryjny. Bankomat połknął kartę Powersa. Takie działanie wzbudziło święte oburzenie u pozbawionego w ten sposób "daru" klienta banku. Z optymizmem, z jakim zapewne można się spotkać jedynie w USA, w kraju nieograniczonych możliwości, Powers wystąpił na drogę sądową z roszczeniem o wydanie mu "reszty jego należności" w kwocie 4398000 dolarów.

-Te pieniądze są moje -powiedział, będąc całkowicie przekonany o swojej racji.

-Modliłem się o nie i zostałem wysłuchany.

Mimo skrupulatnego dochodzenia, nie stwierdzono oszustwa, dlatego też linia obrony, którą obrał pełnomocnik banku, została poważnie zachwiana. Prawnicy uważają, że możliwe jest wygranie sprawy przez powoda. Jeśli weźmiemy pod uwagę oryginalne dla Europejczyków decyzje amerykańskiego wymiaru sprawiedliwości, jak również chrześcijański fundamentalizm w USA, to wynik procesu faktycznie wyda się niepewny. Pewien adwokat powiedział cynicznie:

-Bank prawdopodobnie wygra tylko wtedy, gdy uda mu się dowieść, że Bóg nie istnieje.

Jakie możemy wysnuć z tej historii wnioski, które by nie dotyczyły amerykańskiego stylu życia? Czy mamy tu do czynienia z nowym punktem kulminacyjnym w stosunkach między człowiekiem a myślącą maszyną? Raczej nie.

Czy u Powersa występują zdolności PSI? To już bardziej prawdopodobne, choć faktem jest, że ani wcześniej, ani później nie przejawiał nigdy takich talentów, a nieraz bywał w rozpaczliwym położeniu. Dolary "spadające z nieba" są jedyną paranormalną sytuacją w życiu Powersa.

Zmieńmy punkt widzenia, abstrahując od Powersa i pozostałych osób, które miały do czynienia z "opętanymi komputerami". Popatrzmy na zjawiska tego rodzaju jak na dziwaczny figiel, rezultat działania tajemniczych mocy sprawczych znikąd, a wtedy elementy układanki będą do siebie o wiele lepiej pasowały.

Jeśli ktoś uzna te rozważania za nazbyt absurdalne, sądząc, że naginamy tu do naszych potrzeb rzadkie odosobnione przypadki i przeceniamy ich znaczenie, będzie się mylił.

Komputerowe opętanie

Samowolnych pecetów jest całe mnóstwo. Ich występowanie jest tak nagminnym zjawiskiem, że przecież praktyczni Amerykanie utworzyli służbę informacyjną zajmującą się przypadkami opętania komputerowego, która nie może narzekać na brak klientów. Często z powodu jej przeciążenia na uzyskanie informacji trzeba czekać kilka dni. Zapotrzebowanie na te usługi jest tak wielkie, że mogą wkrótce powstać dalsze przedsiębiorstwa tego rodzaju (o ile już nie powstały).

Jednak nie tylko komercyjne przedsiębiorstwa usługowe zajęły się krnąbrnymi skomplikowanymi urządzeniami, także wyższe uczelnie dostrzegają ten problem. Już w roku 1979 w School of Engineering and Applied Science na Uniwersytecie Princeton powołano do

życia pod kierunkiem dziekana Roberta Jahna program nazwany PEAR (Princeton Engineering Anomalies Research). Celem eksperymentów było zbadanie podatności urządzeń technicznych, zwłaszcza systemów elektronicznych na trudne do zrozumienia oddziaływanie. W trakcie doświadczeń zmienił się kierunek poszukiwań. W ten sposób czcigodny Instytut, w którego audytoriach rozbrzmiewały głosy takich gigantów nauki, jak Albert Einstein, został siedzibą grupy badawczej, która bardziej by pasowała do wspomnianego Uniwersytetu Duke, gdzie badania PSI są na porządku dziennym.

PSI albo nie PSI, oto jest pytanie. Odpowiedź na nie mogłaby mieć znaczenie także dla naszego rozumowania. Zaczekajmy więc.

Pierwsze serie doświadczeń można było nazwać wprost klasycznymi: generator zdarzeń losowych wytwarzał impulsy elektryczne, podczas gdy poddawane próbom siedzące w pewnym oddaleniu osoby miały za zadanie wywierać na nie wpływ psychiczny. Wszystko odbywało się w niewymuszonej atmosferze i do uznania uczestników pozostawiono, czy i kiedy wykażą aktywność. W tej pierwszej rundzie przeprowadzono 250 000 prób z udziałem trzydziestu trzech badanych, uzyskując wynik o około 10% różniący się od przewidywanego metodami statystycznymi.

Drugi eksperyment nie należał już do sfery elektroniki, ale I makrokosmosu i mechaniki. Osoby poddawane doświadczeniu i były oddzielone szklaną szybą od urządzenia, które nieustannie wyrzucało z siebie deszcz 9000 styropianowych piłeczek. Kulki te musiały sobie szukać drogi w lesie 330 palików z tworzywa sztucznego, zanim w końcu lądowały w 19 pojemnikach -układ przypominający flippery, a jeszcze bardziej maszynę do losowania liczb lotto.

Dopóki nikt nie ingerował w przebieg zdarzeń, kuleczki układały się zgodnie z prawami przypadku, tak że większość z nich trafiała do przedziału środkowego. Jeśli jednak osoby biorące udział w doświadczeniu przyciskały nosy do szyby i starały się, jak wymagał tego eksperymentator, kierować kulki w prawo lub lewo, to przy tysiącrotnym powtórzeniu doświadczenia, w którym brały udział 22 osoby, uzyskano wyniki odbiegające od przeciętnych statystycznych wartości o 10-20%, co było wielce znamienne.

Po ośmiu latach wnikliwych studiów i doświadczeń kierujący eksperymentem Robert Jahn i Brenda Dunne doszli do wniosku, że nie sposób zaprzeczyć istnieniu wzajemnych oddziaływań między duchem a materią. Po tym *resume* ogłosili przestrozę: "Jeśli wziąć pod uwagę wzrastającą współzależność i znaczenie sieci komputerowych, obwodów i coraz precyzyjniej wyregulowanych mikroprocesorowych systemów kontroli, to za tym wszystkim może się kryć zasadniczy problem techniczny". I nie tylko techniczny, ale idźmy dalej krok

po kroku.

Na podstawie tych badań można wnioskować, że świat maszyn i techniki stanowi właściwie wszechświat sam dla siebie -o całe lata świetlne oddalony od świata prostych i przejrzystych maszyn parowych, mechanizmów zegarowych lub innych konstrukcji, posłusznych wyłącznie jasnym prawom Isaaca Newtona -zaczyna stopniowo przenikać do świadomości społeczności naukowej. Czy Jeszcze kilka lat temu ktoś by Się spodziewał, że fizyk r będzie publicznie mówił o "leczeniu komputerów"? W rzeczy samej Michael Shallis, fizyk z Uniwersytetu w Oksfordzie, powiedział, co następuje: "Znam «uzdrowiacza komputerów». Kiedy jakiś komputer przysparza problemów, wzywają tego człowieka i sprawa jest załatwiona. Kiedy on włączy maszynę, ta znowu zaczyna działać. Zawsze to się udaje, Co ciekawe, w wielu przypadkach wystarcza już samo wspomnienie jego nazwiska, aby przywołać komputer do rozsądku. Programiści mówią do maszyny: «Jeśli się nie uspokoisz, to zawołamy Piotra, a on wsadzi zimny śrubokręt w twoje obwody», Najwyraźniej komputery nie mają na to ochoty i faktycznie biorą się w garść",

Zabawna sprawa. Ale czy to ma znaczenie dla naszych rozważań? Czy nie zesłiliśmy z obranej drogi już przy omawianiu programu PEAR? Jasne, że tu chodzi o PSI -więc gdzie są niewidzialne siły, moce pociągające za sznurki i autorzy kawałów?

Zachowajmy spokój, Narzuca się bowiem taka myśl: jeśli istnieje rezonans między naszą świadomością a życiem wewnętrznym naszych elektronicznych przyjaciół i pomocników, często należącym już do płaszczyzny kwantowej, to dlaczego mielibyśmy wykluczać podobne oddziaływania z innego, powiedzmy "niehumanicznego" kierunku? Wiele komputerowych ekscesów nie może brać początku z ludzkiego umysłu, ani na płaszczyźnie świadomości, ani podświadomości. Weźmy pod uwagę tylko przypadki opętania przy odciętych dopływie prądu. Musiałaby tu występować kombinacja talentów PSI z innymi zdolnościami, których homo sapiens nie posiada. Może jednak ma je ktoś inny albo coś innego?

Stop, czy my się mimo wszystko nie zagalopowaliśmy? Te hipotezy są bardzo śmiałe, a wcale nie oczywiste. Racja, ale także omawiane procesy są dalekie od jednoznaczności i dochodzi do nich wielokrotnie. Naturalnie, możemy się mylić. Myślowa konstrukcja, którą staramy się wznieść, nie składa się przecież z cegieł, ale składników najbardziej niewymiennych. Jakkolwiek jest w rzeczywistości, jednemu nie można zaprzeczyć: znowu nie mamy pojęcia, co właściwie dzieje się w naszym otoczeniu i w wytworzonych przez nas przedmiotach. A może ktoś chciałby z całą powagą twierdzić, że np. działalność Polaka Oskara Małeckiego z Gdańska dałaby się zadowalająco wyjaśnić metodami

mechanistycznymi albo parapsychologicznymi? (To pytanie odnosi się moim zdaniem także do części dokonań Uri Gellera, Petera Sugleriego i innych, którzy potrafią siłą woli naprawić zepsutą maszynę. Co ciekawe, Uri Geller wspominał, że stoi za nim "pozaziemska istota", kiedy on mobilizuje siły mentalne).

Zdolności Małeckiego są przydatne szczególnie podczas srogiej polskiej zimy, ponieważ każdy samochód, który nie chce zapalić, potrafi on skłonić do uruchomienia silnika. W tym celu nie korzysta jednak z prostownika do ładowania akumulatora, ale głaszcze rękami atrapę chłodnicy i po chwili silnik pracuje, ! niezależnie od tego, czy akumulator jest naładowany, czy nie.

Mimo to -w technice istnieje niezaprzeczalnie złośliwość rzeczy martwych. Zostawmy zatem wytwory wysoko rozwiniętej technologii, pamiętając o przestrodze, którą pewien dowcipniś umieścił na ksero kopiarce i którą w 1988 r. opublikował "Artifex":

UWAGA, TA MASZYNA ODMAWIA POSŁUSZEŃSTWA ZAWSZE WTEDY, GDY SIĘ JEJ NAJPILNIEJ POTRZEBUJE. Specjalny detektor określa ważność kserokopii, a następnie wyzwała niedomaganie techniczne, którego nasilenie jest odwrotnie proporcjonalne do stopnia zrozpaczenia użytkownika. Miotanie przekleństw tylko pogarsza sprawę. Próba skorzystania z innej kserokopiarki daje tyle, że automatycznie przestaje ona działać. Maszyny są bowiem ze sobą w zмовie. Proszę zachować spokój i miłymi słowami przemawiać do urządzenia. Nic innego nie pomoże.

To dowcip, ale wyrosły na gruncie rzeczywistości i w gruncie rzeczy trafnie ją wyrażający. Po prostu użytkownik nie może pokazać, że mu się spieszy, aby maszyna się w tym nie zorientowała. Albo też, jak pisze Norman Mailer w swojej książce o amerykańskim programie księżycowym *Na podobój Księżycu*: „(...) jednak podstawowy problem techniki pozostaje. Albo technika wykorzeniła magię, albo nie. A jeśli nie, jeśli magia mimo wszystko działa w świecie maszyn, wówczas panowanie techniki może się skończyć w każdej chwili (...)"..

Czy w ten sposób znaleźliśmy się w sytuacji patowej? Nie sądzę, wszak nie strudzenie posuwamy się dalej na drodze w kierunku hipotezy, że jesteśmy tylko zabawką w rękach nieznanych sił, a przy tym wybryki pozornie nieożywionych przedmiotów są istotnym elementem układanki. Nigdzie nie jest napisane, że za wszystkimi absurdami tego rodzaju musi się kryć kierująca nimi siła.

Dość już o wysoko rozwiniętych technologiach. To, co nieznanne, najwyraźniej dostrzeżemy w prostych sprawach. Słuszność tego stwierdzenia zostanie jeszcze raz potwierdzona.

Zmieniające się obrazy

Cóż mogłoby mieć mniej wspólnego z techniką niż malowidło? Można by pomyśleć, że skoro jakiś motyw raz zostanie utrwalony na papierze, płótnie, drewnie itp., będzie faktycznie uwieczniony. Pomijając procesy niszczenia, akty wandalizmu, przemalowania i inne oddziaływania zewnętrzne, namalowany obraz powinien pozostać taki, jaki był po wykonaniu ostatniego pociągnięcia pędzlem. Jednak wcale tak nie jest. W rzeczywistości (to określenie wydaje się tu całkiem nie na miejscu) również te wytwory ludzkiego kunsztu bywają obiektami niewytłumaczalnych manifestacji. Ktoś albo coś bierze udział w malowaniu obrazu, czy też później przy nim eksperymentuje. Niekiedy obrazy budzą się do własnego życia, co nie zawsze bywa miłe. Krótko mówiąc -pozostaje nam tylko dezorientacja, zdziwienie i niechętnie przyjęcie do wiadomości.

Przy okazji pobytu w Ottawie pewien kanadyjski nauczyciel kupił obraz przedstawiający zamek na wzgórzu porośniętym lasem, nad którym kłębią się ciemne chmury. Motyw był dość ponury, a jedyny jasny punkt stanowiło światło zapalone w jednym z okien wieży zamkowej. Nabywca zawiózł ten obraz do rodzinnej wsi w Ontario nad Zatoką Hudsona i powiesił w pokoju, nad fortepianem.

Pewnego wieczora w 1964 r. pokazał nabytek gościom. Ku swemu zdumieniu, nauczyciel i jego dzieci spostrzegli, że w pokoju na wieży już nie pali się światło. Pomyłka była wykluczona. Szczególnie dzieci znały ten obraz bardzo dobrze, ponieważ inspirował je często do snucia romantycznych marzeń. Obraz zdjęto ze ściany i poddano oględzinom. Okno, które przedtem było jasne, teraz miało ten sam ciemny kolor, co inne nie oświetlone okna wieży. Farba, którą je namalowano, była równie stara i spękana jak cała reszta obrazu. Nie mogło być żadnych wątpliwości, że artysta od początku tak właśnie namalował oryginał. Ale w jaki sposób może zgasnąć namalowane i widoczne przez całe lata światło, i to bez śladu?

To jeszcze nie wszystko. Zagadka ta do późna w nocy zaprzętała rodzinę nauczyciela i jego gości, a niejeden z nich na pewno żywił skrycie przeświadczenie, że cała ta sprawa jest czystym urojeniem. Jeszcze raz nauczyciel zbadał obraz, a potem, z niedowierzaniem kręcąc głową, powiesił go z powrotem na miejsce. Także przy śniadaniu następnego dnia rano zgaszone światło na obrazie było tematem numer jeden. Wtem przybiegło z pokoju jedno z dzieci i wzburzone zawołało:

-Obraz, obraz!

Wszyscy zerwali się od stołu i popędzili do przyległego pomieszczenia. Małe okienko zamku znów było jasno oświetlone. Natychmiast zdjęto obraz i poddano go najskrupulatniejszemu badaniu.

Miejsce, gdzie mała żółta plamka obrazowała światło, było zamalowane równie starą i spękaną farbą jak poprzedniego dnia, kiedy okno było ciemne. Nie mogło być mowy o fałszerstwie.

Dopiero w 2064 r. będzie można odpowiedzieć na pytanie, czy łacińska sentencja, umieszczona na obrazie zamiast podpisu autora i brzmiąca: "Każde stulecie przeżyje swoją noc", ma coś wspólnego z niewytłumaczalną grą światła. W każdym razie właściciel obrazu kazał swoim dzieciom i wnukom przyrzec, że obraz nie zostanie sprzedany i że kiedy nadejdzie odpowiedni dzień we wrześniu 2064 r. będzie on wieczorem pilnie obserwowany. Zdecydował również, że nie należy nikomu mówić o tym, co zaszło, aby uniknąć eksperymentowania na tym dziele sztuki przez naukowców, ekspertów i antykwariuszy.

Nie zawsze daje się uniknąć rozgłosu. Kiedy w 1978 r. ; w miejscowości Madaba w Jordanii niewidzialna ręka domalowała na ikonie przedstawiającej Madonnę trzecie ramię, zdarzyło się to na oczach licznie zgromadzonych członków kongregacji kościelnej.

Zmian naniesionych w ten sposób nie da się wprowadzić w *żaden sposób wytłumaczyć, ale w gruncie rzeczy są one nieszkodliwe. Dochodzi jednak także do pełnych agresji, a nawet śmiertelnych w skutkach sytuacji, mających związek z niewytłumaczalnymi zjawiskami zachodzącymi na obrazach.*

Straż pożarna ostrzega przed "płaczącym chłopcem"

Jeśli chcielibyśmy się spotkać z osobliwą i całkowicie nieoczekiwaną reakcją ze strony skądinąd zupełnie normalnych współczesnych nam osób, to spróbujmy sprzedać lub podarować jakiemuś strażakowi z angielskiego hrabstwa Yorkshire obraz przedstawiający płaczącego chłopca. Jeśli będziemy mieli szczęście, to strażak tylko uprzejmie odmówi, ale może się też zdarzyć, że nas zwymyśla albo ciśnie w nas takim portretem. Dlaczego?

Ponieważ zgodnie z książką *The Nature of Things* (Natura rzeczy) i słowami Charlesa Berlitzta taki motyw w tej okolicy kojarzy się z podpaleniem. Od lat osiemdziesiątych tego stulecia obrazy przedstawiające płaczących chłopców zdają się odgrywać centralną rolę w serii zagadkowych pożarów. Na światło dzienne wydobyło tę niesamowitą historię doniesienie londyńskiej gazety "Sun" opublikowane w 1985 r.

Zamieszczono tam wywiad z pewnym strażakiem z Yorkshire nazwiskiem Peter Hall.

Rozmówca ów informował o istnej epidemii pożarów, w rezultacie której kilka domów uległo całkowitemu zniszczeniu. W każdym takim przypadku tylko jeden przedmiot wychodził bez szwanku: obraz przedstawiający płaczącego chłopca. Zauważmy, że nie chodziło tu o jeden i ten sam obraz, stale przechodzący z rąk do rąk, ale o różne obrazy, przedstawiające płaczących chłopców w wieku 3-6 lat, co w Anglii jest dość popularnym motywem, również eksportowym. Nawet gdy z budynku zostawały tylko zgliszcza, obraz wisiał nienaruszony na poczerńniętej ścianie.

Po ukazaniu się tej publikacji redakcję "Sun" zalała istna lawina telefonów i listów. Mała tylko część tej korespondencji mówi sama za siebie:

Dora Mann z Mitcham oświadczyła: "Mój dom w całości padł pastwą płomieni. Żaden z moich obrazów się nie zachował, z wyjątkiem niedawno kupionego obrazu płaczącego dziecka. Temu nic się nie stało".

Sandra Craske z Kilburn pisała, że jej rodzinę i przyjaciela prześladowają zagadkowe pożary, odkąd kupili podobny obraz. Linda Fleming z Leeds i Jane McCutcheon mogły opowiedzieć identyczną historię na temat swojej gehenny. Te informacje napłynęły do redakcji "Sun" 4 września 1985 r.

Pięć dni później Brian Parks z Boughton zniszczył obraz *Płaczący chłopiec*. Ocalał on z pożaru, w wyniku którego jego żona i dwójka dzieci odnieśli ciężkie obrażenia, nie mówiąc o wielkich szkodach materialnych. Bez najmniejszego szwanku wyszedł tylko -jak można się łatwo domyślić -*Płaczący chłopiec*.

9 października 1985 r. do szpitala w Stoke Mandeville przywieziono ciężko poparzoną Grace Murray. W jej domu w Oksfordzie wybuchł gwałtowny pożar. Jaki przedmiot ocalał nie uszkodzony, chyba nie trzeba wspominać.

21 października płomienie zniszczyły Pavillo-Pizza-Palace w Great Yormouth, oszczędzając zawieszony w nim obraz chłopca, któremu z oczu płynęły łzy.

24 października Kevin Godber z Herringthorpe, kolejny dotknięty przez los właściciel podobnego obrazu, musiał zagniewany i bezsilny przyglądać się, jak jego dom stanął w płomieniach. Feralny obraz wisiał na ścianie nie uszkodzony, jak pierwszego dnia, podczas gdy inne dzieła spaliły się i zniekształciły.

Wkrótce potem niejaki pan Arnos z Merseyside postąpił podobnie jak Brian Parks: własnoręcznie porąbał na drobne kawałki dwa obrazy z płaczącymi chłopcami. W zasadzie chyba nie trzeba wspominać o tym, że te obrazy były wszystkim, co zdołał uratować ze swojego spalonego domu.

Williamowi Armitage nie było sądzone dokonać takiej zemsty, gdyż nie udało mu się

przeżyć piromańskiej aktywności swojego obrazu (jeśli tak zdefiniujemy ów niesamowity proces). Armitage padł ofiarą płomieni w swoim domu w Weston-super-Mare. Przy jego zwłokach na ziemi leżał obraz przedstawiający znany nam motyw. Był to, jakżeby inaczej, jedyny ocalały obiekt.

Pewien strażak powiedział:

-Słyszałem wcześniej o tej sprawie, ale zupełnie inaczej się do tego podchodzi, kiedy samemu znajdzie się taki nie osmalony nawet obraz w zupełnie spalonym domu.

Nie wszyscy strażacy z Yorkshire wypowiadali się w tak jasny sposób, chyba jednak żaden z nich nie powiesiłby u siebie w domu obrazu płaczącego chłopca.

Potrzebna nam jest teraz chwila refleksji, dla ochłonięcia. W jakim miejscu właściwie się znajdujemy? Czy niepostrzeżenie dla samych siebie przeszliśmy od "rzeczy mających duszę" do szarej strefy klątw i seryjnych nieszczęść? Można sądzić, że są to dwie równie tajemnicze, ale jednak różne dziedziny nieznanego. Rzeczywiście różne? A kto powiedział, że między nimi nie ma powiązań i że te z pozoru różne fenomeny nie mogą być połączone nadrzędnym pojęciem, będącym tytułem tego rozdziału (pomińmy na razie problematykę katalogowania spraw niewytłumaczalnych)? Spróbujemy podjąć tę kwestię, rozważając wzorcowy przypadek, który, można powiedzieć, przynależy do obu dziedzin.

Śmiercionośne portrety Marcellina

Chodzi o "śmiercionośne portrety" francuskiego malarza André Marcellina. Na całym świecie istnieje około 20 obrazów tego niezbyt znanego artysty, który zaczął malować w 1907 r. w Paryżu i specjalizował się w portretowaniu. Wszystkie jego obrazy miały tę cechę, że utrudniały życie późniejszym ich właścicielom, a zazwyczaj kładły mu kres. Zdziwiające, że nie tylko policzone były dni każdego, kogo Marcellin uwiecznił na płótnie, ale również to, że śmierć malarza nie położyła kresu temu zjawisku. PSI nie mogło więc wchodzić w rachubę. Ale po kolei.

Pierwszy portret zamówiony u Marcellina miał przedstawiać francuskiego magnata filmowego. Dwa dni po ukończeniu dzieła portretowany zmarł bez powodu (z punktu widzenia medycyny). To samo powtórzyło się przy następnym zamówieniu, i tu również model przeżył jeszcze zaledwie dwa dni. Wtedy artysta postanowił, że nie będzie już portretował osób żyjących.

W zamiarze tym Marcellin wytrwał dopóty, dopóki przyjmowano do wiadomości jego odmowę bez zadawania pytań. Jednak pewien szczególnie uparty klient chciał znać dokładnie

powody odrzucenia jego propozycji. Kiedy mistrz wyjawiał swoją tajemnicę, ów człowiek zarzucił mu uleganie przesądom i naciskał, by artysta go sportretował -nie dbając o klątwę. Po długich namowach malarz zgodził się. Portretowany żył tym razem o jeden dzień dłużej niż jego poprzednicy, zmarł trzy dni po odebraniu obrazu.

Wiosną 1913 r. Andre Marcellin zaręczył się z Francoise Noel. Jego wybranka nalegała, by ją sportretował. Narzeczony próbował najpierw wykrętów, kiedy jednak nic nie pomogło i młoda dziewczyna groziła zerwaniem, zaklinał ją, aby się nie upierała, bo nie chce jej narażać na niebezpieczeństwo. Jego słowa spotkały się z niedowierzaniem, które zaowocowało tym gorętszymi prośbami.

Nie wiedząc już, jakich użyć argumentów, Marcellin wreszcie się zgodził. Tydzień później -na długo przed ukończeniem obrazu -Francoise Noel umarła. Przyczyna śmierci jak zwykle pozostała nieznana. Wtedy całkowicie załamany młody malarz popełnił zapewne najbardziej oryginalne samobójstwo wszech czasów: namalował swój własny portret. Cztery dni po jego ukończeniu, 2 stycznia 1914 r., także dla niego wybiła ostatnia godzina.

To niesamowita opowieść, ale na czym miałyby polegać poszukiwany przez nas związek? Po pierwsze na tym, że za tym wszystkim nie mogą się kryć nieświadome zdolności parapsychologiczne malarza, ponieważ jego śmierć nie zakończyła pasma zagadek. Ostatnimi ofiarami dziwnej serii zgonów, która nieprzerwanie trwa do naszych dni, był rzymski kupiec i jego rodzina. Człowiek ów nabył przed kilkoma laty na aukcji w Mediolanie obraz Marcellina i powiesił go w domu. Umarł miesiąc później, a zaraz po nim jego żona. Wkrótce potem ich syn uległ ciężkiemu wypadkowi samochodowemu.

To osobliwa i wciąż nieco mglista sprawa. Nie znajdziemy I tu, jak się wydaje, czerwonej nitki przewodniej. A może jednak? f. Jedno ze zdarzeń powiązane z obrazami Marcellina zmierza ewidentnie w wiadomym kierunku. Ono właśnie mogłoby zmanifestować ukryte dotąd powiązanie. W 1912 r. w Turynie spalił się doszczętnie pewien dom, przy czym zginęły cztery osoby. Pożar wybuchł z niewyjaśnionej przyczyny w jednym z pomieszczeń i zniszczył doszczętnie wszystkie zawieszane tam obrazy z wyjątkiem jednego: portretu świętego Krzysztofa pędzla Andre Marcellina.

W dalszym ciągu nie ma powodów do wyciągania pochopnych wniosków, można tylko zauważyć, iż rzeczy martwe znowu okazują się dalekie od bierności -albo ogniskują niepokojącą aktywność. Przed dylematem staną tu tylko fanatyczni racjoniści. Nie mieliśmy zamiaru wzbudzania od razu większej liczby uzasadnionych wątpliwości co do "pewnej wiedzy". Jeśli przyjrzymy się wszystkim osobliwościom, które badamy w tym rozdziale, to nasunie się przypuszczenie, że możemy być przedmiotem drwin. Czy oto ktoś (albo coś) nie

pokazuje nam bez żenady, że jest w stanie do woli wodzić nas za nos? Czy nie pociągającą jest myśl o "kosmicznych figlach"? Przyjmijmy ją zatem i niech ta wizja będzie czymś w rodzaju tymczasowego podsumowania. Nasze wystąpienie na rzecz tezy, że nic nie jest zabezpieczone przed ewentualnością, iż wszędzie i w każdym czasie możemy stać się zabawką w rękach nieznanych mocy, zakończymy pewnym typowym przypadkiem.

Zmieniające się nagranie dźwiękowe

W 1971 r. reporter angielskiej telewizji BBC przygotował reportaż o fenomenach typu *Poltergeist*. W trakcie tych prac nagrał na taśmę wypowiedzi pewnego małżeństwa, w którego domu działy się osobliwe rzeczy. Kiedy chciał przesłuchać nagranie, okazało się, że na taśmie nic się nie utrwaliło. Tknięty przecuciem, pracownik BBC spróbował jeszcze raz na zewnątrz "zaczarowanego domu". I kto by się spodziewał: wywiad był słyszalny głośno i wyraźnie. Tracey wrócił do środka i znowu z magnetofonu nie wydobył się żaden dźwięk, jednak za drzwiami nagranie można było odtwarzać. Kilkakrotne próby dowiodły, że nagranie zniknęło w obrębie ścian domu, a uaktywniało się znów na wolnej przestrzeni. Nie było żadnego wyjaśnienia. Tracey dał za wygraną i zajął się następnym wywiadem. Jeśli czegoś mimo najlepszych chęci nie można wyjaśnić, to zapewne nie pozostaje nic innego, jak to zignorować.

Trudno o bardziej dobitną charakterystykę generalnej postawy wobec owych niewytłumaczalnych spraw, które dotąd obserwowaliśmy. Trzeba przyznać, że konsekwencje przyznania się I do bezradności byłyby dalekosiężne, niepokojące i w najwyższym stopniu trudne do przełknięcia. Ponieważ przedmioty funkcjonujące jak żywe istoty raczej nie mogły nagle otrzymać duszy, to znaczy, że coś innego jest odpowiedzialne za udokumentowane osobliwe zjawiska. Jeśli nie będziemy unikali konfrontacji z tą niemiłą wizją, to pozostanie nam przyjąć do wiadomości, że mamy tajemnicze towarzystwo, które ukazuje się nam w wielu postaciach. W gruncie rzeczy dobrze by było, gdybyśmy zachowali rezerwę nie tylko wobec nieobliczalności losu, przypadku czy przyrody, ale także wszystkiego innego -a więc także przedmiotów przez nas wytworzonych. Jest to bolesny wniosek. Kto chciałby poprzestać na nieufności, zdumieniu i przyznaniu się do ignorancji na wszelkich płaszczyznach? Łatwiej jest po prostu odepchnąć od siebie fakty, mówiąc: "Po co właściwie te wszystkie błazeństwa?". Taką właśnie postawę przyjęłyby szczury laboratoryjne, gdyby miały jakiegokolwiek pojęcie o doświadczeniach, które się na nich przeprowadza. Ponieważ homo sapiens wyobraża sobie, że stoi o wiele wyżej od wspomnianych gryzoni, to powinien

próbować sięgnąć wzrokiem za ścianki labiryntu, w którym, być może, się znajduje. A więc dobrze, spróbujmy podjąć kwestię: gdzie przebiega granica między tym, co ożywione, a tym co nieożywione? Przy okazji wyjdą na jaw o wiele bardziej zaskakujące sprawy niż tylko zerwanie ze wszystkimi wyobrażeniami, jakie mamy o świecie nieorganicznym -czeka nas mianowicie spotkanie z nieznanym w samym wnętrzu cząsteczek i atomów oraz w otchłani kosmosu.

Intermezzo: duch materii

Wszelka materia jest duchem.

Sir Arthur Eddington

Wszechświat informacji

"Nic nie może powstać z niczego" -te słowa Lukrecjusza padają zwykle z ust zatroskanych ojców chcących zagrozić swoich synów do większych osiągnięć w szkole, szefów dopingujących podwładnych i w innych równie trywialnych sytuacjach. Zdanie to ma ścisły związek z rzeczywistością; traci jednak nieco z prawdy, jeśli je trochę zmienimy, mówiąc, że z nicości niejedno może powstać. Na przykład informacja albo -wyrażając się mniej poważnie -duch.

Wszechświat wypełnia ta informacja, którą, można powiedzieć, są przepojone atomy, względnie ich części składowe, jakakolwiek miałyby być ich natura. Wynikające z tego konsekwencje są równie ogromne, jak sceptycyzm przeciwstawiany "wszechświatowi informacji". Sceptycyzm ten szerzy się wprawdzie przede wszystkim na płaszczyźnie tak zwanego zdrowego rozsądku. Mistycy i przedstawiciele nowej fizyki nie mają trudności z wyobrażeniem sobie "kosmicznej świadomości". Fizyka teoretyczna skleciła bowiem w ostatnich dziesięcioleciach, czego w znacznej mierze nie zauważyła opinia publiczna, taką wizję świata, że w porównaniu z nią np. "niemożliwe" budynki i bryły wymyślone przez zmarłego holenderskiego grafika M. C. Eschera mogą się wydawać szczytem prostoty.

Kosmiczny Dżoker

Tacy naukowcy, jak Niels Bohr, Wolfgang Pauli, Enrico Fermi, Richard Feynman, Max Planck, Linus Pauling, Louis de Broglie, Nathan Rosen, Paul Dirac, John Wheeler, Erwin Schrodinger, David Bohm, John Bell, Alain Aspect, Basil Hiley, David Deutsch i wielu innych, którzy mogliby z powodzeniem mierzyć się z Albertem Einsteinem, ale nie są tak znani, zniszczyli "kosmiczny zegar" dziewiętnastego wieku. Jednak nie tylko na tym polega ich rola; zdobyta przez nich wiedza dostarcza dokładnych opisów zagadkowych dotąd procesów, na przykład przewodzenia ciepła albo elektryczności. To oznacza, że musimy się pożegnać z wszechświatem śrubek i dźwigni. Teraz wszystko jest mgliste, nieostre,

niemożliwe do określenia. Jeszcze gorzej: wydaje się, że za tym wszystkim kryje się duch, coś, do czego dobrze by pasowało stworzone przez ezoteryków niejasne określenie "kosmiczny Dżoker".

To śmiała teza, powie ktoś. A gdzie dowód, jeśli w ogóle może tu być mowa o dowodach? On istnieje, choć nie narzuca się z taką oczywistością, jak choćby prawo powszechnego ciężenia Isaacowi Newtonowi, kiedy ów matematyk oberwał po głowie spadającym jabłkiem. A może jednak tak właśnie jest -ostatecznie zasługa Newtona polegała na tym, że zrozumiał implikacje wynikające z często występującego zdarzenia, którego znaczenia nie zauważył nikt inny, bo po prostu było zbyt codzienne. I my mamy, jak się zdaje, klapki na oczach, które nam stale przeszkadzają widzieć rzeczy ukryte pod powierzchnią, a ta nasza niezdolność dotyczy zarówno zdarzeń najprostszych, jak i skomplikowanych. W tym pierwszym przypadku nie widzimy lasu zza drzew, w tym ostatnim nie umiemy zauważyć pojedynczego drzewa.

Tę ignorancję umacnia wiedza, która opisuje fenomeny, ale ich nie wyjaśnia. Weźmy jako przykład statystyczne obliczenia prawdopodobieństwa zdarzeń. Każdy specjalista potrafi w sposób matematycznie równie jasny, co elegancki przewidzieć zachowanie się np. cząsteczek gazu lub kul bilardowych. Laicy są zawsze zaskoczeni cudowną realizacją wzoru i obserwowaną dynamiką. Nie pada tylko pytanie, które się samo nasuwa: Skąd jakaś cząstka wie, gdzie i kiedy ma się znaleźć?

Nawet angielski fizyk James Clerk Maxwell (1831-1879), który określił rozkład szybkości cząsteczek gazu, nie pomyślał o tej kwestii. Może wydawała mu się zbyt oczywista albo w ogóle nie przyszła mu na myśl. Maxwell i inni autorzy nie mniej abstrakcyjnych rozważań wszelkiego rodzaju, mających na celu przechytrzenie praw natury, akceptowali wspomniany fenomen rozkładu. Być może lękali się konsekwencji, jakie przyniosłoby filozofii i teorii poznania głębsze dociekanie. W dalszym ciągu jednak pozostaje problemem, jaki mechanizm zapewnia prawidłowe rozmieszczenie poszczególnych części w przestrzeni i czasie, aby odpowiadały sztywnym wymaganiom, jakie stawia statystyka (a może coś innego)?

Świadomość cząstek

"Wiele hałasu o nic -przyjdzie na myśl niejednemu czytelnikowi -przecież każdy wie, że rozkład dyktują prawa przypadku". No dobrze, jeśli nawet przyjmiemy na razie bez protestu kontrowersyjne pojęcie praw przypadku, to jak się one manifestują w całkowicie

samowystarczalnych, izolowanych i nieświadomych jednostkach, jak kule bilardowe czy elektrony? Istnieją tylko dwie odpowiedzi: albo te jednostki nie są izolowane, albo wiedzą, co się wokół nich dzieje, dzięki czemu mogą się zachowywać zgodnie z systemem. Nowa fizyka wskazuje wyjście z tej patowej sytuacji, udzielając równie salomonowej, jak drwiącej : z wszelkiego rozsądku odpowiedzi: "Cząstki komunikują się między sobą i wiedzą, co się wokół nich dzieje".

Teza ta nie jest ani nieprzemysłana, ani bezpodstawna. Stanowi ona kulminację nowej wizji "świata samego w sobie", pod jaką położył podwaliny swoim słynnym eksperymentem podwójnej szczeliny przeprowadzonym w roku 1801 angielski fizyk i uczony Thomas Young (1773-1829). Był on współpracownikiem admiralicji brytyjskiej, doradcą parlamentarnym, odcyfrowywał hieroglify i przeprowadzał ważne badania medyczno-biologiczne. Wówczas zależało mu tylko na udowodnieniu falowej natury światła, co też się powiodło. Zarazem otworzył szeroko bramę przed taką wizją świata, przy której kraina czarów Alicji wydaje się miejscem wręcz nudnym.

Od tej pory minęło prawie dwieście lat; przez ten czas układy eksperymentalne rozwijały się stopniowo, osiągając gigantyczne rozmiary, stawały się coraz bardziej wyrafinowane i coraz częściej były projektowane przez komputery. Jednak nawet najbardziej fantazyjne konstrukcje nie mogły zmienić zasadniczego problemu -ujawnionej przez ten eksperyment całkowicie nierealnej rzeczywistości (przynajmniej według naszych wyobrażeń). Zanim zajmiemy się rozważaniem kwestii, o co tu w gruncie rzeczy chodzi i jakie konsekwencje wynikają z tego wszystkiego, najpierw trzeba opisać samą procedurę. Fizycy wprawdzie powiedzą, że nie można rozpatrywać pionierskiego eksperymentu Younga w oderwaniu od kontekstu, ale na razie pominiemy całą otoczkę badań naukowych. Niech najpierw przemówią za siebie suche fakty.

Dualizm falowo-korpuskularny

W życiu codziennym jest dla każdego zrozumiałe, że wszelkie obiekty ruchome poruszają się po jasno zdefiniowanych torach i ani nie wymieniają między sobą myśli, ani nie decydują dowolnie, dokąd mają się udać. Zasada ta obowiązuje zarówno piłki tenisowe, jak też kule bilardowe, granaty, planety czy galaktyki. Jeśli na przykład będziemy naciskać spust pistoletu maszynowego, jednocześnie lekko odchylając jego lufę od początkowego położenia, to rezultatem będzie seria otworów po kulach, którą często oglądają widzowie uczęszczający na filmy akcji. Cel, ku któremu wysyłane są pociski, nie ma przy tym naturalnie żadnego

znaczenia (o ile to my sami nim nie jesteśmy).

W widmowym świecie wnętrza atomu sprawy mają się nieco inaczej, bardziej dziwnie. Wyobraźmy sobie strumień elektronów lub fotonów (kwantów światła), przechodzący przez ekran o dwóch otworach. (Stąd nazwa eksperymentu podwójnej szczeliny). Za pierwszym ekranem znajduje się drugi, w który uderzają elektrony lub fotony. Na drugim ekranie powstaje tak zwany wzór interferencyjny, składający się z ciemniejszych i jaśniejszych prążków. Już sam ten fenomen jest dostatecznie osobliwy, bo pokazuje, że cząstki zachowują się jak fale (i na odwrót). Ujawniający się przy tej okazji dualizm falowo-korpuskularny, który doprowadził do stworzenia pojęcia fal materii, nie będzie w tej chwili przedmiotem naszej troski.

Jeszcze bardziej interesujący jest eksperyment, kiedy natężenie strumienia zmniejszymy do tego stopnia, że zawsze tylko jedna cząstka (elektron lub foton) będzie docierać do ekranu z dwiema szczelinami. Kiedy po przekroczeniu go uderzy w drugi ekran, powstanie rozbłysk światła. Utworzy się przy tym uporządkowany wzór interferencyjny, podobnie jak przy strumieniu cząstek. Mimo że poszczególna cząstka porusza się z pozoru swobodnie i nie skrepowanie po swoim torze, to zachowuje się tak, jakby pozostawała w kontakcie z innymi cząstkami i posłusznie kierowała się do wyznaczonej dla niej szczeliny i miejsca trafienia w ekran. Już to zjawisko robi dziwne wrażenie. Pociski wystrzelone z szybkostrzelnego karabinu nie zachowywałyby się w ten sposób. Ale to jeszcze nie koniec.

Jeśli przed rozpoczęciem próby zakryjemy jeden z dwóch otworów przelotowych, to wzór interferencyjny nie powstanie. Nie można go także wytworzyć przez stosowanie sztuczek takich, jak nakładanie fotograficznych zdjęć, otrzymywanych przy na przemian otwartych szczelinach. Wzór pojawia się tylko wtedy, gdy otwarte są obie szczeliny. To odpowiedzialne zachowanie elektronów/fotonów jest zrozumiałe tylko wtedy, gdy każda cząstka z osobna będzie wiedziała, czy otwarta jest jedna, czy obie szczeliny, a więc czy ma się zachować jako fala czy jako cząstka.

Niels Bohr wyprowadził z tego zasadę komplementarności położenia i pędu: jeśli określone jest położenie, to nieokreślony pozostaje pęd i odwrotnie. Zasada ta nie pomaga jednak w uzyskaniu większej pogłębioności czy wręcz w zrozumieniu istoty zjawisk. Przeciwnie, raczej nasuwa myśl o kapitulacji. Wydaje się, jakby coś w głębi atomów wołało drwiąco: "Możecie sobie robić, co tylko chcecie, nigdy wam się nie uda mnie przyłapać".

Fizycy mają bujną fantazję i odznaczają się uporem. Próbowano różnych wybiegów, aby wybić z głowy falam/cząstkom ochotę na zagadkowe wybryki. Naukowcy ośmieszyliby się przecież, gdyby im się miało nie udać znalezienie sposobu na przewidywanie zachowania

cząstek względnie udowodnienie, że nie mogą naprawdę wiedzieć, co się wokół nich dzieje.

Co się stanie, jeśli zamkniemy jedną szczelinę, kiedy elektron/foton będzie już w drodze? Wtedy, zanim obiekt naszych obserwacji zdąży się połapać, już będzie za późno. Jak pomyślano, tak zrobiono i faktycznie uzyskano wynik, choć nieoczekiwany: wzór interferencyjny zniknął. Fale/cząstki wręcz wstydliwie ujawniają swoją wiedzę o obu możliwościach tylko wtedy, gdy nie próbujemy ich przy tym obserwować.

Żegnamy się ze zdrowym rozsądkiem

Wobec takiego obrotu spraw specjaliści zapragnęli uzyskać ostateczne rozstrzygnięcie. Sławny fizyk John Wheeler, któremu nauka zawdzięcza takie pojęcia, jak "dziury robaków", "piana kwantowa" czy "białe dziury", wykonypował eksperyment "opóźnionego wyboru" (delayed choice). Idea była następująca: jeśli fale/cząstki zmuszają nas do zdecydowania, czy wolimy badać ich tor, czy wzór interferencyjny, to my po prostu odwrócimy sytuację. Zaczekamy, aż wszystko się odbędzie, i dopiero wtedy dokonamy wyboru.

Był to błyskotliwy pomysł, ale nie dość błyskotliwy dla rzeczywistości fantastycznej, niemożliwej do objęcia "zdrowym rozsądkiem". Doświadczenie to nie przyniosło nowych odkryć.

W latach osiemdziesiątych Caroli Alley i jego współpracownicy na Uniwersytecie Maryland w USA zbudowali układ eksperymentalny, który był po prostu ostatnim krzykiem wysoko rozwiniętej technologii. Najnowocześniejsze przyrządy pomiarowe i elektroniczne miały dopomóc "opóźnionemu wyborowi" Wheelera w drodze do zwycięstwa. Rozdzielono promień lasera na dwa promienie za pomocą do połowy posrebrzonego zwierciadła, spełniając w ten sposób podstawowe przesłanki przeprowadzenia eksperymentu podwójnej szczeliny Younga. Szereg zwierciadeł tak zmieniał bieg promieni laserowych, że przecinały się nawzajem i trafiały w pierwszy albo drugi detektor fotonów. Potem sporadycznie włączano między nie, z całkowitą dowolnością, drugie do połowy posrebrzone zwierciadło, przy czym z szatańską przebiegłością czekano z tym dopóty, dopóki kwant światła nie znajdzie się prawie w punkcie skrzyżowania. A jednak wszystko na nic się nie zdało.

Nie miejsce tu na szczegółowy opis całego niewiarygodnie wyrafinowanego systemu, pozwalającego z szybkością światła dowolnie zmieniać fazy, długości toru i wiele innych parametrów, szczególnie że i tak nic z tego nie wyszło. Nie udało się zajrzeć w karty nieznanemu. Mimo starannych przygotowań nie zdołano się niczego nowego dowiedzieć. Niemożność uzyskania jasnej odpowiedzi, którą ujawnił już eksperyment podwójnej

szczeliny Younga, nie daje się usunąć przez żadną wyrafinowaną technikę.

Niejednemu czytelnikowi takie eksperymenty wydadzą się zapewne bezsensownym trwonieniem pieniędzy, jednak ich konsekwencje w najprawdziwszym, dosłownym sensie "wstrząsają światem". Oznaczają one bowiem ni mniej, ni więcej, tylko konieczność całkowitego pożegnania się ze wszystkim, co uważamy za dane przez naturę. Jak można inaczej zinterpretować fakt, że decyzja, czy foton przeleci przez aparaturę po jednym torze, czy po obu torach, zapada w momencie, w którym jego przelot już nastąpił?

Hipoteza obserwatora fizyki kwantowej próbuje jakoś wtłoczyć te absurdy w naukowy gorset. Jej zasadnicza teza, że "obserwacja zmienia rzeczywistość", jest wprawdzie pełna treści, ale brzmi tajemniczo. Hipoteza obserwatora ostatecznie ulega degeneracji w pustą formułkę w obliczu zdarzenia, które stawia na głowie pojęcia przestrzeni i czasu i jest podniesionym do potęgi eksperymentem Carolla Alleya.

Przyszłość zmienia przeszłość

Do najbardziej tajemniczych obiektów we wszechświecie należą kwazary (niby gwiazdne źródła promieniowania radiowego). Znajdują się one przeważnie w odległości miliardów lat świetlnych od nas, na skraju widzialnego wszechświata. Mimo skromnych rozmiarów natężeniem emitowanego światła przewyższają wielokrotnie całe galaktyki.

Astrofizyków od dawna zaprząta pytanie, skąd te niezbyt duże twory czerpią tytaniczną wprost energię, którą wypromieniowują w sposób ciągły. Istnieje wiele teorii próbujących wyjaśnić ten fenomen; jedna z nich zakłada, że kwazary są "białymi dziurami", powiązanymi z "czarnymi dziurami" przez hiperprzestrzeń, i że z nich właśnie wytryskuje to, co pochłaniają ich niewidoczne odpowiedniki.

Jeden z tych tajemniczych kwazarów, którego suche oznaczenie katalogowe brzmi 0951 + 561, jest widoczny, mimo że oddziela go od nas cała galaktyka. Sprawia to grawitacja wspomnianej galaktyki, zakrzywiająca przestrzeń tak, że promienie światła wysyłanego przez kwazar 0957 + 561 omijają przeszkodę. Efekt ten, pozwalający zajrzeć za galaktykę, jest nazywany soczewką grawitacyjną. John Gliedman wykazał w artykule *Turning Einstein Upside Down* (Wywracanie Einsteina do góry nogami) zamieszczonym w "Science Digest", do jak zdumiewających następstw doprowadziłoby przeniesienie koncepcji eksperymentu podwójnej szczeliny na porównywalny układ, co prawda niewyobrażalnie ogromnych rozmiarów, składający się z kwazara i soczewki grawitacyjnej w głębi kosmosu.

Gliedman zwrócił uwagę, że przy celowo prowadzonej obserwacji pojedynczego

kwantu światła pochodzącego z kwazara 0957 + 561 za pomocą urządzenia pomiarowego reagującego na korpuskularną naturę światła dany foton okrążyłby soczewkę grawitacyjną z prawej albo lewej strony. Przy użyciu innej aparatury pomiarowej, rejestrującej naturę falową światła, trzeba by było stwierdzić, że badane promienie światła omijają galaktykę z obu stron jednocześnie, niczym fale wystająca z wody skałę. Ponieważ zasada nieoznaczoności uniemożliwia jednoczesne zastosowanie obu aparatów pomiarowych, to wynika z tego następująca przykra konsekwencja: dokonując wyboru urządzenia pomiarowego, naukowiec zmusza kwant światła do zmanifestowania się albo w postaci cząstki, przechodzącej przez pole grawitacyjne galaktyki z prawej względnie z lewej strony, albo w postaci fali, opływającej ją z obu stron. Ponieważ nasz kwazar jest oddalony o wiele miliardów lat świetlnych, to obserwowana cząstka/fala światła musiała go opuścić wiele miliardów lat temu. Mimo to -i to właśnie zasługuje na naszą szczególną uwagę -astrofizyk na Ziemi przez swoją decyzję o wybraniu urządzenia pomiarowego zmienia zdarzenie, które już się odbyło w przeszłości, a mianowicie przed miliardami lat.

To robi wrażenie; a jednak to właśnie jest rzeczywistość. Aby uczynić ją bardziej strawną, fizycy teoretyczni opracowali różne dziwaczne hipotezy: o wielu wszechświatach, falach prawdopodobieństwa, stanach wirtualnych, wszechświecie, który istnieje tylko wtedy, gdy się na niego patrzy, i wiele innych; niejedna z tych koncepcji kojarzy się z *Alicją w krainie czarów*. Co ciekawe, obliczenia, na których się opierają, są całkiem prawidłowe. Mało tego, pozwalają zgłębić nie wyjaśnione dotąd zjawiska i wytwarzać zupełnie konkretne przedmioty, jak radia tranzystorowe, lodówki albo elektrownie atomowe. Czego natomiast równania nie mogą, to przybliżyć pogładowy albo przynajmniej mniej więcej zrozumiały obraz rzeczywistości.

David Bohm, który od przeszło 30 lat zalicza się do wiodących autorytetów w dziedzinie mechaniki kwantowej, z rozbijającą szczerością komentuje paradoks podwójnej szczeliny: "Gdyby powiedzieć, że mamy do czynienia z falą, byłoby to wyjaśnienie. Ale ponieważ elektrony występują pod postacią cząstek, nie jest to wyjaśnienie, tylko metaforyczny opis. Wyjaśnienie nie istnieje. Musimy sobie jasno powiedzieć, że mechanika kwantowa w ogóle niczego nie wyjaśnia, a jedynie dostarcza równań dla uzyskania określonych rezultatów". Choćby były nie wiedzieć jak groteskowe.

Austriacki fizyk Erwin Schrodinger, znany wielu tylko dzięki swojemu słynnemu paradoksowi kota (przy czym większość sądzi, że chodzi o domowe zwierzę uczonego), stworzył tak obszerny zespół równań, że niektórzy koledzy nawet uskarżali się, iż można przez to zapomnieć o właściwym zadaniu badań naukowych. "Jego równania -to jedna z

opinii -można stosować tak wszechstronnie i perfekcyjnie, że przestaje się myśleć o tym, jakie zasadnicze stwierdzenia mogą z tego wszystkiego wynikać".

Nam bardzo zależy na znalezieniu odpowiedzi na pytanie, co może się kryć za tak licznymi osobliwościami -nie tylko w świecie atomów. Nauka jest do tego nieodzowna, ale nie możemy za nią podążać w każdy ślepy zaułek niczym stado baranów za przewodnikiem ani cofać się przed wszystkim, co jest tabu dla nauki. Takim tabu jest wizja ducha materii. Świadomość w głębi atomów, brr! To już abstrakcja w czystej postaci. Niezaprzeczalnie istnieje wśród fizyków teoretyków i matematyków skłonność, aby w razie wątpliwości raczej cementować groteskowe teorie przez nie kończący się ciąg wzorów, niż zbliżyć się do tego, czego nie sposób zaakceptować. Nawet słynni uczeni mogliby o tym niejedno powiedzieć.

Inteligencja kosmiczna

Kiedy sir Fredrick Hoyle, założyciel Instytutu Astronomii Teoretycznej w Cambridge, w 1983 r. wysunął tezę, że prawa fizyki dostarczają matematycznego dowodu na zaprojektowanie wszechświata przez coś w rodzaju "inteligencji kosmicznej", która musi być o biliony lat starsza niż sam wszechświat, koła naukowe w ogóle na nią nie zareagowały.

Z pewnością, trudno by było zaliczyć Hoyle'a do naukowców konserwatywnych. Napisał on kilka powieści *science fiction*, które zostały bestsellerami (najbardziej z nich znaną jest zapewne *Czarna Chmura*) i libretto do opery *The Alchemy of Love* (Alchemia miłości). Także w pierwotnej dziedzinie swoich zainteresowań jest równie twórczy jak oryginalny. "Teoria stanu trwałego" wszechświata propagowana przezeń wspólnie z sir Hermannem Bondim i Thomasem Goldem, a później z byłym studentem Hoyle'a, Jayant Vishnu Narlikarem, będąca alternatywą dla modelu prawybuchu jako początku kosmosu jest niewątpliwie jego kaprysem. W takim też charakterze jego koledzy przyjmują do wiadomości tę teorię stacjonarnego (wiecznego) wszechświata, w którym materia powstaje wciąż od nowa, tworząc obserwowany przez nas kształt kosmosu. Reputacja sir Freda Hoyle'a jest zbyt potężna, aby mogły nią zachwiać sporadyczne dziwactwa. Jego prace nad pochodzeniem i opisem wszystkich pierwiastków ciężkich zapewniły mu trwałe miejsce w annałach nauki.

Co prawda, teza o "kosmicznej inteligencji" przekraczała już zdolność percepcji naukowej społeczności. A właściwie dlaczego?

Czy to nie nowa fizyka maszeruje dokładnie w tym właśnie kierunku? Czy nie stworzyła ona wielu koncepcji, które -jeśli je połączyć -składają się na nowy obraz kosmosu? Kosmosu, w którym jest miejsce na dziwne zjawiska, jak na przykład fenomen podwójnej

szczeliny. Przypomina on co prawda bardziej jedną wszechogarniającą myśl niż ogromny mechanizm zegarowy albo uniwersalny ocean chaosu, nad którym króluje przypadek.

Nowa fizyka zresztą nie jest wcale tak bardzo nowa. Niektóre z jej koncepcji powstały jeszcze w okresie międzywojennym albo nawet na początku naszego stulecia. Zalicza się do nich ważne dla naszych rozważań rozumowanie, które powstało w roku 1935.

Nie kto inny niż Albert Einstein, Horis Podolsky i Nathan Rosen opublikowali je w Princeton pod tytułem: *Czy opis przedmiotowej rzeczywistości dostarczany przez mechanikę kwantową można uważać za pełny?* Chcieli w ten sposób podjąć walkę z nieoznaczonością, panowaniem statystyki i upadkiem przyczynowości w sferze subatomowej. W przeciwieństwie do wielu kolegów, Einstein, Podolsky i Rosen nie uważali utraty fizycznego porządku świata, jaka nastąpiła po przełomie wieków, za zrzędzenie boskie.

Eksperyment E/P/R, nazwany tak od nazwisk autorów, był atakiem na teorię kwantową, pod którą podwaliny położył w 1900 r. Max Planck, i która, zdaniem wielu fizyków, oznaczała przedwczesną kapitulację przed chaosem. Eksperyment E/P/R zmierzał do przywrócenia porządku i sensu w kosmosie. Kluczem do porządku albo nieporządku było nieuchwytnie zachowanie się elementarnych, dualistycznych fal/cząstek ("eksperyment podwójnej szczeliny"). Dopóki można było określić wyłącznie albo ich położenie, albo pęd, tak długo nie byłoby wiadomo, z czym właściwie mamy do czynienia. Wszechświat nadal pozostałby nieprzeniknionym labiryntem.

Niepewność i chaos musiałyby jednak natychmiast ustąpić przed jasnością obrazu, gdyby dało się jednocześnie zmierzyć kilka właściwości tajemniczej fali/cząstki. A może by tak posłużyć się w tym celu, argumentowali ci trzej giganci nauki, drugą falą/cząstką, skoro, jak się zdawało, w jakiś sposób komunikowały się one między sobą dla uniknięcia pułapki podwójnej szczeliny? Już samo to rozumowanie wystarczyłoby, aby raz na I zawsze zniszczyć reputację badaczy, gdyby chodziło o mniej; liczące się nazwiska, skoro przecież opierało się na założeniu, że między wszystkimi elementarnymi składnikami we wszechświecie może istnieć połączenie szybsze od światła, pozaprzyczynowe i niczym nie ograniczone.

Faktyczne istnienie takiej tajnej sieci sprawiłoby, że uznany obraz kosmosu wyładowałby na śmietniku historii, ale za to by usunął zawadzające dotychczas sprzeczności, przede wszystkim wspomniany już paradoks statystyki, który obowiązuje zarówno w odniesieniu do cząsteczek gazu, jak i do kolumn samochodów albo rozkładu gwiazd w galaktykach spiralnych. Byłby to duży wstrząs. Z drugiej strony słynni fizycy nie wysłali sobie tego wszystkiego z palca, ale położyli na stół plik równań, które do dziś są analizowane.

Na szczęście nie musimy się męczyć abstrakcyjną matematyką. Robiły to już całe zastępy naukowców przez przeszło pół wieku, nie mogąc przedstawić mocnego dowodu za ani przeciw. W trakcie tych sporów pojawiła się jednak smuga światła na horyzoncie.

Kit kosmiczny

W 1964 r. John S. Bell, fizyk z Europejskiej Organizacji Badań Nuklearnych CERN w Szwajcarii, wystąpił z teorią "kitu kosmicznego". Twierdzenie Bella wspierało tezę E/P/R o permanentnym i ponadświetlnym wzajemnym oddziaływaniu cząstek elementarnych. Dla eksperymentu praktycznego wciąż jeszcze nie było warunków technicznych.

W 1972 r. uznano, że nadszedł czas. Fizycy John F. Clauser i Stuart Freedman z laboratorium Lawrence Livermore w Kalifornii podjęli próbę. Odeszli oni od pierwotnego scenariusza Einsteina/Podolsky'ego/Rosena, który opierał się na korelacji impulsu elektronów, i podjęli pomysł fizyka-teoretyka Davida Bohma, który proponował wykorzystanie korelacji polaryzacji fotonów (kwantów światła). Tymczasem przebadano eksperymentalnie także pierwotną koncepcję. Stosuje się do tego celu tak zwane urządzenie Sterna i Gerlacha. Wytwarza ono pole magnetyczne, które oddziałuje na spin dwóch odpychających się elektronów, z tym że oddziaływanie na spin elektronów i jego badanie, jest o wiele trudniejsze niż oddziaływanie na polaryzację fotonów i jej pomiar.

Ale nie uprzedzajmy wypadków. Clauser i Freedman ze źródła promieniowania wypuszczali parami kwanty światła w przeciwnych kierunkach. Po przebyciu pewnej drogi każda cząstka światła musiała przebyć filtr polaryzacyjny. Okazało się, że kiedy obracano jeden z filtrów, to proces ten wpływał także na zachowanie drugiego fotonu, co siłą rzeczy musiało się dokonywać z prędkością wyższą niż prędkość światła!

Spółeczność naukowa zdołała tym razem jeszcze zarzucić kotwicę i uratować się przed koniecznością budowania od nowa całej wizji świata, składając uzyskane wyniki na karb niedokładności metod pomiarowych. Były one na początku lat siedemdziesiątych jeszcze za mało precyzyjne jak na eksperyment tego rodzaju. Także w 1976 r., kiedy fizycy Fry i Thompson w Teksasie poszli śladem eksperymentu Clausera-Freedmana, udało się jeszcze ukryć niewygodne fakty. Doświadczenie nie dało jednoznacznego rezultatu, bo sygnał eksperymentatorów był za słaby. Na razie. Sześć lat później jednak wybiła godzina prawdy.

Gwóźdź do trumny fizyki

W 1982 r. zespół pod kierunkiem francuskiego fizyka Alaina Aspecta dostarczył dowodu na to, że przestrzeń i czas stanowią harmonijną jedność. Wszystko się z wszystkim wiąże na bardzo i dużej płaszczyźnie. "Aspekt Aspecta", jak się go czasami nazywa, wszedł do terminologii fizyków. Wszechświat nie stał się wprawdzie przez to inny, ale zmieniło się nasze jego pojmowanie. Jeśli nawet nie jest nam to w smak, takie są fakty.

Jak można było dostarczyć tego dowodu? Wspólnie ze swoimi kolegami Jeanem Dalibardem i Gerardem Rogerem Aspect przeprowadzał doświadczenia w Instytucie Optyki Teoretycznej i Stosowanej w Orsay i na Uniwersytecie w Paryżu, wysyłając w drogę kwanty światła. Tym razem układ pomiarowy był wystarczająco wrażliwy i sygnał dostatecznie intensywny. Wynik eksperymentu był jednoznaczny: jeśli wywrze się wpływ na jeden foton, udzieli się to również jego "bliźniakowi".

Oznacza to, że wszechświat jest jednym wielkim powiązaniem wewnętrznym Czymś, w którym ani odległości, ani przeszłość czy przyszłość niczego nie ograniczają. Dlaczego ten prawdziwie historyczny eksperyment nie został natychmiast należycie przyjęty do wiadomości ani przez społeczność naukową, ani środki masowego przekazu czy opinię publiczną, nad tym każdy może się zastanowić indywidualnie. Około 1982 r. laureat Nagrody Nobla Brian Josephson powiedział w udzielonym przez siebie wywiadzie: "Wynika stąd możliwość, że jedna część wszechświata wie o innej części".

W latach 1982-1985 pojawiały się od czasu do czasu skromne publikacje w czasopiśmie fachowych. Ograniczały się one przeważnie do chwaleń precyzyjnej roboty zespołu Aspecta.

W styczniu 1986 r. niektórzy uczestnicy Konferencji Nowych Techniki i Idei w Teorii Pomiaru Kwantowego dyskretnie zwracali uwagę, że eksperyment Aspecta ma duże znaczenie dla przyszłości nauki.

Fizyk kwantowy dr Nick Herbert wypowiedział się bardziej jednoznacznie: "Kiedy już teoria kwantowa znajdzie się na śmietniku fizyki obok kaloryki, flogistonu i świetlnego eteru, twierdzenie Bella wciąż jeszcze zachowa swoją moc. Jest mu pisana trwała wartość, ponieważ opiera się na faktach".

Zdaniem znanego brytyjskiego fizyka i autora literatury faktu Paula Davisa "Aspekt Aspecta" jest ni mniej, ni więcej, tylko "gwoździem do trumny zdroworozsądkowej fizyki". A Albert Einstein mógłby tu dostrzec pośmiertne potwierdzenie jego żywnego przez całe życie poglądu, że "chaotyczna kwantowa skakanina" nie jest ostatnim szczeblem na drodze poznania, ale tylko zasłoną ukrywającą głębiej ukryty metaporządek.

Wszechświat jako ogromny mózg

Ale wróćmy do tematu. Gdzie znajdujemy się w naszych rozważaniach? Czy my w ogóle jeszcze poruszamy się w obranym kierunku, czy też owa i tak bardzo cienka czerwona nitka zdążyła nam się już wysliznąć z rąk? Bynajmniej. Zrekapitulujmy zatem. Zaczęliśmy od zagadki podwójnej szczeliny. Doprowadziło to nas do niewytłumaczalnej wiedzy, którą posiadły cząstki elementarne o ich świecie zewnętrznym (danym układzie eksperymentalnym), i do tajemniczej komunikacji dokonującej się z prędkością wyższą od prędkości światła w głębi atomów.

Coraz większej wyrazistości nabiera przypuszczenie, że zasadnicze elementy, z których zbudowany jest wszechświat, mogłyby być jednostkami w jakiś sposób świadomymi, przetwarzającymi informacje (co ciekawe, podejrzenie to zostało wypowiedziane także przez nowoczesnych fizyków, bo inaczej nie dałoby się wyjaśnić ani tajemniczego zjawiska tunelowego, ani "Aspektu Aspecta", ani wielu innych zjawisk). przy tym wcale nie tak trudno sobie wyobrazić, że fale/cząstki w niewytłumaczalny sposób mogłyby się ze sobą komunikować. Podobnie jak i my to robimy, tyle że bardziej spektakularnie.

Co prawda, także w przypadku istot ludzkich istnieje paranormalna wymiana informacji, przełamująca granice przestrzeni i czasu. Bywa ona określana zbiorczymi nazwami "fenomeny PSI", "moc ducha" i temu podobne. Takie przypadki znajdują silny oddźwięk w świecie mediów, szczególnie wtedy, gdy nie można się ich pozbyć przez racjonalne wytłumaczenie.

W mikrokosmosie atomów i w makrokosmosie galaktyk występują podobne zjawiska. Nie ma się co dziwić, że towarzyszy im mniejsza wrzawa niż zginaniu łyżek przez Uri Gellera albo udokumentowanym wiadomościom z przyszłości (przykładem krótkie opowiadanie o zatonięciu "Titanica", opublikowane na czternaście lat przed katastrofą). Nauka to skomplikowana sprawa i nawet najbardziej rewolucyjna wiedza nie jest wystawiana na widok publiczny przez zajmujących się nią badaczy.

No dobrze, niech tam sobie cząstki będą świadomymi tworam, pozostającymi ze sobą w kontakcie i wymieniającymi informacje nawet na płaszczyźnie przypominającej PSI -jak my sami, przynajmniej niektórzy z nas. Ba, pogodzimy się nawet z oddziaływaniem terażniejszości na przeszłość albo przyszłości na terażniejszość. Układ eksperymentalny "opóźnionego wyboru" Carolla Alleya w Marylandzie i obserwacja kwazara 0957 + 561 przez soczewkę grawitacyjną całej galaktyki demonstrują w jednoznaczny sposób paralele między

zjawiskami PSI zachodzącymi wśród ludzi a w sferze subatomowej. Jak się zdaje, twierdzenie Bella i weryfikujący je "Aspekt Aspecta" harmonijnie dają się dopasować do złożonej struktury zjawisk paranormalnych, których nawet najbardziej "nowi" fizycy nie darzą zbyt ciepłymi uczuciami. Dopracowanie się całościowej wizji bez uprzedzeń jest do tego utrudnione przez okoliczność, że wszystko to wykazuje frapujące podobieństwo do podstawowej zasady, którą wyznają mistycy, okultyści i ezoterycy i która brzmi: "Jak w górze, tak na dole". Albo, wyrażając się bardziej nowocześnie: wszechświat wydaje się jednym jedynym, niepojętym istnieniem.

Może w tym wszystkim i jest racja. Nieważne, czy chodzi o prekognicję człowieka, czy wsteczną przyczynowość w fizyce, pytanie zasadnicze brzmi: po co właściwie to wszystko? Czy naprawdę było konieczne, aby bez ostrzeżenia tak brutalnie zanurzyć się w odmętach najbardziej abstrakcyjnej fizyki?

Sądzę, że tak. Ta dygresja przygotowuje nas do następnych rozdziałów i pod wieloma względami jest pouczająca. Demonstruje ona, że nauka przyswoiła sobie cechy mistyczne, mimo że w znacznej mierze nie zauważyła tego opinia publiczna. Równocześnie wyszło na jaw, jak przerażająca i nie do zaakceptowania jest rzeczywistość wszechświata, w którym żyjemy. Na niebie i ziemi, mówiąc z Szekspirem, jest w istocie więcej rzeczy, niż się śniło filozofom -w naszych głowach, wewnątrz atomów, w otchłani kosmosu. Jak w górze, tak na dole.

Skoro zatem musimy zaakceptować fakt, że magia i nauka są bliskie zamienienia się miejscami, że cząstki elementarne ujawniają zdolności paranormalne, a kosmos zaczyna coraz bardziej przypominać ogromny mózg mający zdolności PSI, to nie od rzeczy zapewne będzie rozejrzeć się za tajnymi, niekiedy manipulacyjnymi mocami na drugim planie. Efekty ich działania spotykamy ostatecznie na każdym kroku. I jeśli rozpoznajemy w tym właśnie "niechaos", to już coś. Przypomnijmy sobie, że Einstein wykoncypował eksperyment E/P/R w odruchu sprzeciwu wobec chaosu kwantowego, twierdząc w związku z tym, że wszelka komunikacja cząstek szybsza od światła mogłaby być tylko jednym: *telepatią*. Zresztą tenże sam Einstein powiedział także, że PSI na pewno ma więcej wspólnego z fizyką niż z parapsychologią.

Świat nauki stara się usilnie nie dopuścić do zgubienia ukochanych kłapek na oczy. Entuzjastycznie rzuca się na wszelki możliwy dowód na uznane modele, nie dbając o to, czy jest naciągany, czy nie. Całkiem tak, jak gdyby można było zaprzeczyć istnieniu prawdziwego złota przez zwrócenie uwagi na istnienie fałszywego.

Za tą obroną przed określonymi wnioskami kryje się może coś więcej niż tylko

pierwotny lęk przed tym co nowe, przed zmianami, przed przestawieniem się na inne tory -a może i nie. Niechęć do dogłębnej zmiany schematów nie musi być jedyną przyczyną milczenia, którym głównie świat nauki powitał "Aspekt Aspekta". (Mimo wszystko oznacza on ni mniej, ni więcej jak tylko praktyczny dowód całkowicie innej natury "rzeczywistości").

Dlaczego kosmiczna inteligencja sir Freda Hoyle'a nikogo nie poruszyła? Ostatecznie nie jest on kimś bez znaczenia. Nie wspominając już abstynencji środków masowego przekazu, które tak zawzięcie walczyły na przykład bzdurę "zimnej fuzji jądrowej".

Także ignorowanie tych faktów może o czymś świadczyć. Nie powinniśmy o tym zapominać, prowadząc dalej poszukiwania "prawdziwego złota". Jedno w każdym razie daje się coraz wyraźniej spostrzec: coś się dzieje na wszystkich płaszczyznach. Nie wiemy jednak co.

A więc żwawo naprzód, zapuśćmy się na fascynujący nowy teren. Kiedy już przyszło się pożegnać w egzotycznych dziedzinach ze znajomą naturą przestrzeni i czasu, przygotujmy się na bolesne odkrycie, że pojęcia wczoraj, dzisiaj i jutro nie są niczym innym jak tylko pobożnymi życzeniami, i to nie tylko w jądrze atomu albo w otoczeniu czarnej dziury, ale i tutaj -w naszym świecie. W przeciwieństwie do zwierząt doświadczalnych, które nie mają wielkich szans dowiedzieć się czegoś więcej o swoim laboratorium, ludzki rozum gwarantuje możliwość tropienia większej rzeczywistości. Musimy teraz spróbować rozpoznać wskazówki o tym świadczące i zdobyć się na odwagę pójścia ich śladem.

**Iluzja czasu:
wczoraj i jutro są teraz**

Świat wyszedł z formy
William Szekspir, *Hamlet*

Anachronizmy

Naukowcy, badacze wszelkich możliwych dyscyplin, uczeni-amatorzy, a także pasjonaci z podziwu godną regularnością podejmują próby odkrywania w dramatach Williama Szekspira świadomie wbudowanych "tajnych informacji". Niewątpliwie dzieła tego olbrzyma wśród poetów zawierają prawdę i wiedzę -zwłaszcza o naturze człowieka wykraczające daleko poza ramy akcji, która sama w sobie i tak już jest złożona. Psychologia z pewnością zawdzięcza Szekspirowi niejeden bodziec prowokujący do przemyśleń. Więcej wątpliwości budzą natomiast próby wydobycia na światło dzienne ukrytych wskazówek natury ezoterycznej lub anachronizmów. Mimo to, ten angielski poeta i aktor światowej sławy, urodzony w 1564 r. w Stratford-on-Avon, wydawał się zafascynowany nie tylko bezdenną głębią duszy ludzkiej, ale także wielowarstwowością tak zwanej rzeczywistości, także -czasu.

Być może naciągane jest kojarzenie szekspirowskiego Makbeta z pewnym trudnym do wyjaśnienia motywem kamiennej płaskorzeźby znajdującej się w szkockim zamku Cawder Castle, w którym Makbet miał w 1040 r. zamordować króla Duncana. Relief ten, z wyrytą datą 1510, zdobi kominek w hallu. Przedstawia on lisa z wyniosłym i pewnym siebie spojrzeniem. Niezwykła w tym bardzo popularnym w średniowieczu motywie jest okoliczność, że lis pali fajkę, w taki sam sposób, jak człowiek. Nie może być mowy o pomyłce. Jednak koliduje to z niemożliwym do podważenia faktem, że tytoń został sprowadzony do Anglii dopiero w 1585 r. przez sir Waltera Raleigha (1552-1618), założyciela pierwszej angielskiej kolonii Wirginii -a więc 75 lat po tym, jak powstał relief przedstawiający "lisa palącego fajkę".

Jest to wprawdzie osobliwy fakt, ale poddaje się racjonalnemu zabiegowi skorygowania za pomocą uniwersalnego argumentu, często wytaczanego przeciw anachronizmom: jeśli coś "za wcześniej" gdzieś się pojawiło, to albo zostało tam wcześniej umieszczone, albo datowane na wcześniejszy okres -i kropka. To skuteczna taktyka, która np.

pomogła podważyć niemiły fakt, dowodzący, że istnieją azteckie pióropusze z wizerunkami koni. Zostały wykonane dziesiątki i setki lat przed hiszpańską konkwistą, podczas której koń po raz pierwszy miał się znaleźć w tej części świata Gako czynnik przesądzający o zwycięstwie najeźdźców).

No dobrze, takie historyczne niezgodności robią wprawdzie osobliwe wrażenie, ale czy można tu od razu mówić o pęknięciach w zasłonie czasu, czy podobnie dramatycznych sprawach? Konie mogły być w Meksyku już przed przybyciem Femando Corteza, a tytoń mógł trafić do Szkocji przed Raleighem. Potrzebne są niezbite dowody, aby móc odrzucić nasze wyobrażenia o przeszłości, teraźniejszości i przyszłości -dowody, które zapewne nie powinny istnieć, prawda? Jednak istnieją, i jest ich niemało.

Rakieta bojowa dokonuje przeskoku w czasie

Zacznijmy od zdarzenia, które nie dotyczyło żywej istoty, co eliminuje możliwość złudzenia. Główną postacią był przedmiot, po którym nie można się było wprawdzie spodziewać wiele dobrego, a już w żadnym razie przeskoków w czasie: amerykańska rakiet międzykontynentalna (ICBM) typu Minuteman. Przeszarzały, 3-stopniowy pocisk na paliwo stałe był przez długi czas kartą atutową w polityce wzajemnego zastraszania. Pierwsza generacja tych rakiet weszła do uzbrojenia w 1962 r., w latach siedemdziesiątych została wyposażona w potrójne głowice, przemianowana na MIRV ("Multiple Independently Targetable Reentry Vehicle"), a wreszcie w latach osiemdziesiątych zastąpiona przez ruchome pociski o większej mocy M-X-ICBM.

Jak tysiące innych, nasz pocisk ICBM ("Inter-Continental Ballistic Missile") tkwił w silosie w bazie lotniczej Vandenberg (Kalifornia), dopóki go nie odpalono w celach doświadczalnych 4 stycznia 1974 r. Minuteman opuścił wyrzutnię zgodnie z planem. Obserwowany przez setki osób i wyraźnie rozpoznawalny na ekranach radarów pomknął z hukiem w niebo, ciągnąc za sobą pomarańczową smugę ognia. Zanim jeszcze wzniósł się na wyższy pułap, po prostu zniknął.

W bazie lotniczej zapanowało duże poruszenie, ale nic nie można było poradzić. Minuteman rozpląnął się w powietrzu. Specjaliści kręcili głowami, a naukowcy byli bezradni. Prawdziwa niespodzianka jednak dopiero ich czekała.

Po upływie trzech dni ów latający obiekt, uznany za zaginiony, pojawił się znowu, dokładnie w tym samym miejscu, w którym zniknął po przejściu przez niewidzialną bramę (czasu), jakby coś go z powrotem wypluło. Leciał sobie dalej, jakby nigdy nic. Absolutna

zagadka, gdyż czas przelotu rakiety wynoszący kilka dni, a nawet kilka godzin był wykluczony.

SOS z przeszłości

Przeskok w czasie trwający trzy dni jest zjawiskiem imponującym, ale to jeszcze nie jest szczyt możliwości. Jak się wydaje, czas jest dowolnie przyjętą koncepcją naszych struktur myślowych, nie ma jednak *de facto* rzeczywistego znaczenia, względnie granic.

Taką wiedzę w miesiącach czerwcu i lipcu 1936 r. posiadał agent ubezpieczeniowy i radioamator Gordon Cosgrave; co odczuł dość boleśnie, gdyż zapłacił za to m.in. utratą zatrudnienia. Cosgrave żył swoim hobby: na dachu jego domu w dzielnicy Woolwich w Londynie, na południe od Tamizy, znajdował się las anten radiowych, również ogród był nimi zastawiony. Ten sprzęt należał do najlepszych w swojej klasie. Właściciel przez całe lata zainwestował w niego w sumie ponad 200 funtów, co było niemałą kwotą dla człowieka, który zarabiał tygodniowo zaledwie 5 funtów.

Pewnego sobotniego ranka w czerwcu zaczęła się jego osobista katastrofa, zapoczątkowana przez jedno z najbardziej osobliwych zjawisk. Cosgrave skosił trawnik i udał się do sypialni, aby oddawać się swojemu hobby. Chciał odebrać sygnały od pewnego kolegi radioamatora z Nowej Szkocji. Na wykorzystywanej częstotliwości usłyszał jednak pewien niezwykle silny sygnał Morse'a, zagłuszający wszystkie inne. Cosgrave automatycznie chwycił za notatnik, aby zapisać komunikat wysłany z liniowca o nazwie "Carpathia". Brzmiał on następująco: "Znajdujemy się jeszcze w odległości 70 mil morskich i przeszkadza nam lód, ale płniemy z maksymalną szybkością". Potem podana była pozycja statku. Następnie do odbieranego komunikatu dołączyły sygnały SOS. Pochodziły one najwyraźniej od innego statku znajdującego się w katastrofalnym położeniu. Jego nazwy Cosgrave nie zdołał rozszyfrować, ponieważ wystąpiły silne zakłócenia. Potem komunikaty umilkły.

Z zapartym tchem radioamator pospiesznie zanotował meldunek. Kiedy radio umilkło, pognął do najbliższej budki telefonicznej na końcu ulicy, aby powiadomić władze. Policja nie czuła się w tej sprawie kompetentna i odesłano Cosgrave'a do oficera dyżurnego admiralicji angielskiej.

Wreszcie radioamator uzyskał połączenie z właściwą osobą. Pospiesznie przekazał przechwyconą wiadomość i nalegał na natychmiastowe podjęcie akcji ratunkowej. Na drugim końcu przewodu telefonicznego na krótko zapadła cisza, po czym oficer dyżurny powiedział sarkastycznie: "Drogi przyjacielu, spóźnił się pan o 24 lata. «Titanic» zatonął w 1912 r. Niech

pan sobie żartuje z kogoś innego". I odwiesił słuchawkę.

Cosgrave osłupiał. Czym było to, co słyszał w eterze? Zaszyfrowane komunikaty marynarki wojennej wysyłane w czasie manewrów? To nieprawdopodobne, nie na tak popularnej częstotliwości. Czy mogło chodzić o dokumentację BBC? To przypuszczenie okazało się chybione. Jego zapytania kierowane do stacji nadawczych pozwoliły ustalić, że niczego podobnego nie emitowano.

W rezultacie radioamator postanowił zapomnieć o całej sprawie. Przez cztery dni zdołał w ten sposób łudzić samego siebie. Wieczorem czwartego dnia jego radio przekazało kolejne wezwanie SOS. Meldunek pochodził z tego samego akwenu i miał taką samą charakterystykę jak poprzedni. Głosił on, że spuszczone na wodę wszystkie 22 łodzie ratunkowe, jednak na pokładzie zostało jeszcze ponad 1000 osób. Według chronologii tej, zapewne najślynniejszej ze wszystkich katastrof na morzu, ten meldunek musiał być wysłany około półtorej godziny po zderzeniu z górą lodową, która rozdarła podwójne poszycie kadłuba statku, wskutek czego "niezatapialny" luksusowy liniowiec armatora White Star Line o wyporności 66 000 BRT zatonął jak kamień, w bardzo krótkim czasie w lodowatych wodach północnego Atlantyku. Zginęło 1531 osób.

Ponieważ te tajemnicze komunikaty z przeszłości nie dawały mu spokoju, Cosgrave zasięgnął informacji na temat tego zdarzenia. Kiedy w bibliotece miejskiej zapoznał się z całym przebiegiem katastrofy "Titanica", miejscem i czasem jego zagłady, jak również wszystkimi zjawiskami towarzyszącymi, i porównał je ze swoimi zapiskami, z zaskoczeniem stwierdził absolutną zgodność, nawet w najdrobniejszych szczegółach.

Cóż było robić? Kiedy Cosgrave jeszcze się wahał, czy ma to wszystko ujawnić, nadeszły dalsze sygnały od spieszącej na pomoc "Carpathii". Wtedy nawiązał kontakt z wydawcą czasopisma radiowego. Choć Cosgrave chciał tylko zasięgnąć rady dziennikarza, tamten od razu pomyślał, że naprzykrza mu się jakiś osobnik żądny rozgłosu albo wariat. Cosgrave nie dawał się zbyć byle czym. Wreszcie wydawca ów zgodził się przyjść razem z innym jeszcze członkiem redakcji do domu upartego radiowca.

Przez godzinę nic się nie działo. W redaktorze naczelnym i jego współpracowniku narastała niechęć. Wreszcie, kiedy już się zbierali do odejścia, jak na dany sygnał radio zbudziło się do życia. Cosgrave przekazał wydawcy słuchawki, aby ten mógł sam notować znaki Morse'a i od razu transponować je na litery. Na "Titanicu" wystrzelono ostatnie rakiety świetlne, a teraz zabierano się do wypuszczenia pary z kotłów, by zapobiec eksplozji.

Obaj dziennikarze byli zafascynowani. W ciągu następnych tygodni stali się stałymi gośćmi Gordona Cosgrave'a, przy czym byli świadkami kolejnych transmisji z przeszłości.

Tymczasem sprawa przykuła uwagę prasy codziennej. Radioamator znalazł się w światłach jupiterów, co mu jednak nie wyszło na dobre. Stał się pośmiewiskiem, a specjaliści i dziennikarze podawali w wątpliwość jego powagę i zdrowy rozsądek. Wreszcie pracodawca wyrzucił go z posady. Towarzystwo ubezpieczeniowe nie mogło sobie pozwolić na zatrudnianie ludzi niewiarygodnych.

Rozgoryczony Cosgrave zrezygnował z radiowego hobby i przeprowadził się do innej dzielnicy Londynu. Do śmierci w wieku 64 lat nie zdołał przeboleć zawodu, jaki go spotkał.

Eksperci, którzy się później zajmowali jego notatkami, jak również wszystkimi okolicznościami towarzyszącymi osobliwym zdarzeniom, doszli do wniosku, że sygnały były prawdziwe, mimo że ich wieloletnie opóźnienie pozostało zagadką. Zagadką, w porównaniu z którą zamrożone dźwięki rogu pocztowego ze zmyślonych opowieści Mtinchausena wydają się czymś wręcz prawdopodobnym. Co prawda, nie można z absolutną pewnością wykluczyć oszustwa zrealizowanego ogromnym nakładem środków, choć miałyby ono niewiele sensu.

Jeśli jednak skoncentrujemy się w mniejszym stopniu na samym zdarzeniu, a w większym na obiekcie odgrywającym w nim główną rolę, to sprawy nabiorą nieco innego kształtu. Jak się zdaje, "Titanic" wywołał w strukturze czasu większe turbulencje niż cokolwiek innego. Dlaczego tak się stało, na ten temat nie można nawet snuć spekulacji. W zgodzie z naszymi podstawowymi rozważaniami można by było zadać pytanie, czy ktoś lub coś miało szczególną słabość do słynnego statku? Dlaczego miałyby tak być, pozostaje tajemnicą. Ani rozmiary katastrofy, ani bezwzględna brutalność w walce o miejsca w łodziach ratunkowych nie były czymś niezwykłym -ani wówczas, ani później, a już zupełnie nie w naszych czasach, czego wymownym świadectwem są codzienne wiadomości ze świata. Pozostaną więc przy suchych faktach, są one dostatecznie egzotyczne.

Spośród wszystkich katastrof, które do dziś pozostały nie wyjaśnione, zatonięcie "Titanica" oddziaływało najintensywniej i w najbardziej różnorodny sposób. Najsłynniejszą (ponieważ utrwaloną na piśmie, a przez to niezaprzeczalną) przepowiednią katastrofy jest nowela *The Wreck of the Titan*, o pierwotnym tytule *Futility*, która się ukazała w 1898 r. Na czternaście lat przed katastrofą amerykański pisarz Morgan Robertson opisywał zatonięcie superliniowca "Titan" po kolizji z górą lodową na północnym Atlantyku. Podobieństwa między "Titanem" a "Titanikiem" (wyporność, długość, liczba śrub, łodzi ratunkowych, grodzi wodoszczelnych, pasażerów, ofiar aż do prędkości przy zderzeniu) są tak frapujące, że możliwość zbiegu okoliczności zawiera się tu w przedziale (nie)prawdopodobieństwa wynoszącego jeden do kilku trylionów.

Co ciekawe, Robertson zaprzeczał, że jest jedynym autorem tej opowieści, dzięki

której czternaście lat po jej ukazaniu się zdobył błyskawicznie rozgłos, czego nie zdołało mu wcześniej zapewnić 200 opowiadań i 9 książek. Prawdziwym pomysłodawcą tej historii, jak twierdził przez całe życie, był "astralny współautor".

Ogniska fenomenów czasowych

Okazuje się, że "Titanic" jest, nieważne z jakich powodów, czymś w rodzaju ogniska fenomenów czasowych. Historia Robertsona i inne prekognicje związane z tym statkiem, jak również sygnały radiowe Cosgrave'a pokazują, że czas nie jest drogą jednokierunkową. I to z taką wyrazistością, jaka cechuje niewiele innych przypadków podobnego typu. To coś może się całkiem dowolnie przenosić w czasie do przodu i w tył.

Powstrzymajmy się od wszelkich dalszych spekulacji i przyjrzyjmy się najpierw kilku znamienym przykładom ogromnej fali udokumentowanych przecuć, które poprzedzały katastrofę "Titanica". Szczegółowej analizie poddano przeszło dwa tuziny, stwierdzając, że mamy tu do czynienia z jednoznacznymi przypadkami prekognicji. Ale osądźmy sami.

Angielski kupiec J. Connon Middleton, który zarezerwował miejsce na "Titanicu" 23 marca 1912 r., przez kilka nocy z rzędu miał sny, w których widział statek dryfujący po morzu stępką do góry i słyszał krzyki tonących. Sam Middleton szybował jakby bez ciała ponad miejscem katastrofy. Cztery dni po pierwszym takim śnie odwołał rezerwację kabiny na statku.

10 kwietnia, dwa dni przed katastrofą, Jack Marshall z żoną i rodziną stał na dachu swojego domu, aby obserwować, jak "Titanic" po wyjściu z portu Southampton przepływa wąską cieśniną oddzielającą wyspę Wright od Anglii. Zupełnie nieoczekiwanie pani Marshall chwyciła męża za ramię, wołając:

-Ten statek zatonie, zanim dopłynie do Ameryki!

Mąż chciał uspokoić żonę, że statek jest niezatopialny (to przekonanie obowiązywało wówczas równie niezachwianie niczym prawo natury), ale to tylko podsyciło histerię jego żony. Krzyczała z wściekłością:

-Zróbcie coś, wy głupcy! Widzę setki ludzi w wodzie zimnej jak lód! Czy wy wszyscy jesteście tak ograniczeni, że pozwolicie im zginąć?

Kilku świadków potwierdziło tę przestrożę, która oczywiście została zlekceważona.

Technik okrętowy Colin MacDonald odrzucił trzy niezwykle kuszące propozycje objęcia funkcji drugiego inżyniera na "Titanicu", z którymi wiązały się wysokie zarobki. Miał zbyt silne przecucie katastrofy, której widmo zawisło nad statkiem. Technik J. Jesketh, który

przyjął miejsce proponowane MacDonaldu, zginął w katastrofie.

Przeciwnie niż MacDonald, wydawca gazety "Pall Mall Gazette", William T. Stead, nie dał się odwieść od zamiaru podróży. Ani przestrogi kilku jasnowidzów, że nie przeżyje rejsu do Ameryki, ani list od wysokiego duchownego anglikańskiego, w którym wyraźnie było powiedziane, że "Titanic" zatoni, nie zrobiły na nim dość silnego wrażenia. Kiedy Stead otrzymał zaproszenie od amerykańskiego prezydenta Williama Howarda Tafta na odczyt do USA, wybrał się na "Titanicu" w drogę, na której los wyznaczył mu spotkanie ze śmiercią.

Wydaje się, jakby w przestrzeni i czasie istniało jakieś tajemnicze powiązanie tego człowieka z "Titanikiem", bo Stead już w 1880 r. opublikował dramatyczną historię zatonięcia statku o nigdy dotąd nie spotykanych rozmiarach. Kluczowym elementem opowieści była walka o miejsca w łodziach ratunkowych, których było zbyt mało. Opowiadanie kończyło się słowami: "To właśnie może się zdarzyć i zdarzy się, jeśli liniowce nie będą miały dostatecznej liczby łodzi ratunkowych". Sam Stead zginął z tego właśnie powodu.

To jeszcze nie wszystko. W 1892 r. wspomniany londyński j publicysta napisał artykuł do "Review of Reviews", w którym przedstawił zagładę parowca po zderzeniu z górą lodową. Jedyny ocalały rozbitek został uratowany -w artykule -przez statek o nazwie "Majestic", który tak jak "Titanic" należał do armatora White Star. Istniał statek o tej nazwie, którego kapitan został później kapitanem "Titanica" i zatonął wraz z nim. W 1909 r. Stead wygłosił odczyt w Cosmos Club, przedstawiając wizję, w której siebie samego widział jako rozbitek wzywającego pomocy w lodowatej wodzie.

Nie wszystkie przecucia związane z "Titanikiem" są tak złożone, ale zwykle równie konkretne. Na wiele godzin przed zderzeniem z górą lodową jeden z pasażerów, prezes towarzystwa kolejowego Grand Trunk, Charles M. Hays, powiedział do innego pasażera, który miał należeć do garstki uratowanych, że "wkrótce się wydarzy największa i najstraszniejsza katastrofa, jaka kiedykolwiek rozegrała się na morzu". Rozmówca nie zrozumiał tej zagadkowej uwagi, a w żadnym razie nie kojarzył jej z tętniącym życiem "niezatapialnym «Titanikiem»".

Mający zdolności medialne Anglik V. N. Turrey, który ostrzegał przed katastrofą już przy wypływaniu statku w morze, zakomunikował listownie swojej znajomej, pani de Steiger, że za dwa dni "Titanic" zatoni. List nadszedł do adresatki 15 kwietnia 1912 r., jednak został napisany i wysłany na jeden dzień przed zagładą.

Major Archibald Butt, doradca wojskowy prezydenta USA Tafta, pisał 23 lutego 1912

r. przed swoją podróżą do Europy do szwagierki Clary Butt: "Nie zapomnij, że moje papiery znajdują się w skrytce. Jeśli statek zatonię, znajdziesz wszystkie moje sprawy w nienagannym porządku, Nie martw się, wiesz przecież, że zawsze Ci o tym piszę przed wyjazdem", Ten dopisek mógł mieć na celu tylko uspokojenie adresatki, gdyż faktycznie Butt przed poprzednimi rejsami niczego podobnego swojej szwagierce nie pisał, jak stwierdzono później, Major Archibald Butt popłynął do Starego Świata statkiem "Berlin", a wracał "Titanikiem" i utonął,

Między 3 a 10 kwietnia 1912 r. doszło do masowych odwołań rezerwacji na "Titanicu", Wielu spośród wycofujących się w ostatniej chwili używało wyraźnie zmyślonych wykrętów, inni uciekali się do frazesów, jak: "Uczestniczenie w dziewiczym rejsie przynosi pecha".

Zdumiewająca statystyka wypadków W E. Coxa

Udokumentowane w związku z katastrofą "Titanica" przeczucia osób, które nie miały z nią nic wspólnego, są niezliczone. Zaczęły one następować już na wiele lat przed zatonięciem niezatapialnego statku i dramatycznie się spiętrzyły w tygodniach i miesiącach poprzedzających zdarzenie. Wprost nieodparcie nasuwa się przy tym myśl, że wielu, a może nawet większość ludzi ma zdolność prekognicji, nie wiedząc o tym. Za taką tezę przemawiają jeszcze inne poszlaki, np. zaskakujący wynik masowych badań statystycznych, które przeprowadził w latach sześćdziesiątych amerykański matematyk William E. Cox w związku z katastrofami kolejowymi. Analizy wykonane przez tego człowieka, który nie cofał się przed niczym, co fantastyczne, również w innych egzotycznych badaniach, obejmowały okres kilkuletni i pokazały w zdumiewający sposób, że pociągi ulegające katastrofom przewożą wyraźnie mniej pasażerów niż normalnie. Nie dość na tym: w przypadku składów, które się wykoleiły albo uległy kolizji, można było dodatkowo stwierdzić, że w wagonach bezpośrednio uczestniczących w wypadku liczba pasażerów była jeszcze mniejsza niż w pozostałych. Podsumowując, można było stwierdzić, że pasażerowie instynktownie unikali pociągów, które miały ulec katastrofie, a w zniszczonych lub uszkodzonych wagonach siedziało wyraźnie mniej osób niż w pozostałych wagonach pociągu, i tak już wypełnionego małą liczbą pasażerów. Nie można tu się powoływać na przypadek, ratujący zdroworoządkowe wyobrażenia niczym *Deus ex machina*, bo mamy do czynienia z odchyleniami statystycznymi rzędu 1 do 100 i więcej.

Po słynnej katastrofie geologicznej w 1966 r., kiedy to osunęła się ogromna hałda

żuźła na walijską miejscowość Aberfan, niszcząc jej dużą część i zabijając 144 osób, angielski psychiatra J. C. Barker zgromadził 35 wiarygodnych meldunków o odpowiednich przeczuciach. Z podobnymi sprawami mamy stale do czynienia, przy czym nierzadko są dowiedzione w sposób niepodważalny.

Jednak coś tu się nie zgadza, a mianowicie wspomniany już rząd wielkości. Jakkolwiek tragicznymi zdarzeniami dla wszystkich poszkodowanych osób były zatonięcie "Titanica", zderzenia pociągów czy osunięcie się mas ziemi, to takie incydenty wydają się wręcz skromne w porównaniu z innymi klęskami żywiołowymi czy wręcz krwawymi łaźniami w historii ludzkości, obfitującej w nadmiarze w potworne zdarzenia. Piekło obozów koncentracyjnych, atomowa zagłada Hiroshimy i Nagasaki, ogniowa burza w Dreźnie, pola śmierci w Kambodży i Rwandzie i inne jeszcze masakry spowodowane przez człowieka wydarzyły się, jak się zdaje, nie rzucając żadnego cienia w przeszłość. Nikt wcześniej niczego nie przeczuwał, pomijając usprawiedliwione obawy natury ogólnej.

Musi tu działać jeszcze jakiś inny czynnik, który dla uproszczenia nazwiemy "czynnikiem X". Nie wiemy, czy nasz nieortodoksyjny analityk kolejowy Cox, przeprowadzając pewien szczególnie osobliwy eksperyment, chciał wpaść na trop właśnie tego czynnika czy innych sił. Jest on jednak, również rozpatrywany sam w sobie, na tyle interesujący, że zasługuje na krótkie wzmiankowanie. Ponadto dotyka naszego generalnego tematu co najmniej peryferyjnie. Doświadczenie to odbyło się w piwnicy pewnego jednorodzinnego domu w Missouri, w którym Cox i urządził "mini laboratorium", jak je nazwał. Chodziło o duży szklany pojemnik, w którym statystyk ów malowniczo poukładał pewną liczbę "obiektów celowych", na przykład metalowe pierścienie, pióra wieczne, koperty, zegarki i tym podobne przedmioty. Każdy eksponat umieszczony w tej pstrej mieszaninie codziennych przedmiotów był połączony z kamerą i włącznikiem światła. W chwili kiedy coś się działo z którymś obiektem, w pomieszczeniu piwnicznym zapalało się światło i włączała się kamera. Tropiący zjawiska paranormalne Cox chciał się w ten sposób przyczynić do wyjaśnienia nurtującej także nas kwestii, czy nieznane moce lub siły gospodarują na "naszej" ziemi według własnego uznania.

Po wywołaniu naświetlonego filmu amerykański matematyk dysponował wieloma metrami taśmy filmowej, na której widać rzeczy godne uwagi: pierścienie łączą się i rozdzielają jak w znanych sztukach czarnoksiężkich, z tym tylko, że nie dotyka ich niczyja ręka; wskazówki zegarów posuwają się wstecz, przedmioty "wyzwalają" się z zamkniętych kopert, a pióra wieczne same piszą.

Ten sam układ eksperymentalny został po wielu latach powtórzony przez Juliana D.

Isaaca w Anglii. Angielski uczyony zastosował kamery wideo do obserwacji zamkniętych obiektów. Urządzenia rejestrujące utrwaliły również niewytłumaczalne ruchy i samoczynne zginanie metalowych przedmiotów.

W każdym razie była to dziwna sprawa. Po tej dygresji powróćmy jednak do fenomenów czasu, których wybiórcza natura wprawdzie nadal stanowi zagadkę, ale raczej nie ulega wątpliwości.

"Głos Ameryki" z przyszłości

Znany jest np. kuriozalny przypadek Angielki Juliet lady Rhys Williams, która regularnie odbiera komunikaty z przyszłości za pośrednictwem swoich radioodbiorników. Tylko swoich, zaznaczmy. Czcigodna owa dama, członkini Partii Liberalnej, wiceprezes Rady Badań Ekonomicznych i dyrektorka BBC, o czwartej rano 17 stycznia 1964 r. w swojej wiejskiej siedzibie w Walii słuchała "Głosu Ameryki". W wiadomościach była mowa o poważnych zamieszkach na tle rasowym w Atlancie (Georgia). Doszło do gwałtownych starć między członkami Ku-Klux-Klanu i dużą liczbą czarnoskórych. Ponieważ lady Juliet to zainteresowało, włączyła w ciągu dnia BBC, aby dowiedzieć się czegoś bliższego na ten temat. Nie usłyszała jednak ani słowa. Także gazety nie poświęciły tej kwestii ani linijki. Juliet Rhys Williams była zdziwiona; ostatecznie takie zajścia nie były aż tak ważną sprawą, aby o nich tylko krótko wspomnieć w jednym doniesieniu. Swojemu zdziwieniu dała wyraz w rozmowie z obiema swoimi córkami i sąsiadem.

26 stycznia lady Rhys Williams wróciła do Londynu. Tego dnia BBC podało kilka doniesień na temat zajść na tle rasowym w Atlancie. Także angielskie i amerykańskie pisma szczegółowo o tym informowały. Ponieważ interesowało ją, o jakich to niepokojach była mowa dziewięć dni temu w "Głosie Ameryki", lady Juliet napisała do rozgłośni w Waszyngtonie. Otrzymała odpowiedź, że już 20 stycznia w Atlancie doszło do pierwszych rozruchów, na które zaczęło się zanosić wieczorem 18 stycznia. Wówczas to policja musiała interweniować po raz pierwszy. "Głos Ameryki" poinformował zawczasu o tych ostrzegawczych sygnałach, jednak nie aż tak wcześnie, jak usłyszała o nich Angielka, która otrzymała wiadomość dokładnie 48 godzin przed najwcześniejszym komunikatem z USA.

Nie była to ani pierwsza, ani ostatnia z audycji radiowych z przyszłości, które odebrała lady Rhys Williams, ale należy ona wraz z tą, o której zaraz będzie mowa, do niezaprzeczalnych.

W dniu 3 czerwca 1964 r. o godzinie 8.30 lady Juliet siedziała z dwiema córkami przy

śniadaniu w swoim domu w londyńskiej dzielnicy Belgravia. Tematem rozmowy było wstępne rozstrzygnięcie kampanii wyborczej w USA. Lady Juliet poinformowała swoje córki, że zwyciężył w niej ekscentryczny senator Barry Goldwater. O wyniku walki między Goldwaterem a gubernatorem Nelsonem Rockefellerem usłyszała właśnie przed chwilą przez radio. Jeszcze brzmiał jej w uszach głos spikera. Człowiek ten był podniecony i kilkakrotnie podkreślał, że tak szybkie uzyskanie wyników było możliwe tylko dlatego, że były to pierwsze wybory na świecie, których wyniki obliczały komputery. Mogła sobie także dokładnie przypomnieć wmixowane migawki z gwarem głosów w tle. Nelson Rockefeller przyznawał się do porażki, a z Goldwaterem nie można było przeprowadzić wywiadu, gdyż udał się właśnie do fryzjera, aby móc się godnie zaprezentować przed wyborcami. Lady Rhys ze wszystkimi szczegółami opisała swoim córkom całą transmisję radiową. Zastosowanie komputerów do liczenia głosów nie było jednak jedyną osobliwością tego sprawozdania wyborczego. Audycja ta trafiła nie tylko do milionów gospodarstw domowych na kontynencie amerykańskim i innych, ale także w przeszłość. Pierwsze doniesienie bowiem sieć CBS w Ameryce wyemitowała 7 godzin po rozmowie między lady Juliet i jej córkami. Rozgłośnia BBC nie dorównała swojej dyrektorce, mającej bezpośrednią linię w przyszłość, bo jeszcze o 17.30 tego dnia informowała, że Nelson Rockefeller jest zdecydowany wytrwać do końca.

Teoria chrononu Davida Finklesteina

Już samo przesyłanie wiadomości między różnymi momentami w czasie jest zdumiewającym zjawiskiem. Jednak szczytem niewytłumaczalności byłoby przenoszenie się w czasie żywych ludzi (nie raket międzykontynentalnych albo palących tytoń lisów). Czy taki postulat jest w ogóle możliwy do spełnienia? Nie tylko czytelnicy literatury *science fiction* i fizycy wysuną zaraz argument, iż rzeczywiste podróże w czasie otworzyłyby drzwi nieograniczonej liczbie paradoksów, byłyby policzkiem dla "zdrowego rozsądku" i końcem przyczynowości. Istnieje wprawdzie wiele propozycji, jak można by było znaleźć konsens, jak się to dziś nowocześnie nazywa, między podróżą w czasie a naukami przyrodniczymi, ale nie są one zbyt zadowalające.

Niektóre są co prawda eleganckie i oryginalne, np. opowieść autora *science fiction* Alfreda Bestera *Mordercy Mahometa*. Opiera się ona na teorii chrononu amerykańskiego fizyka Davida Finklesteina, który postulował istnienie czegoś takiego, jak "kwant czasu", a więc najmniejsza jednostka czasu. Czas, według jego tezy, nie stanowiłby kontinuum, ale

byłby serią chrononów, nanizanych jak perły na nitkę. Realnym odpowiednikiem tego wyobrażenia jest przesyłanie energii, które również nie odbywa się w sposób ciągły, ale w "porcjach" - znanych od dawna i mało rozumianych kwantach. Fascynującym elementem teorii chrononu są luki między kwantami czasu, które mogą zająć inne jednostki elementarne. Mówiąc wprost, nieskończenie wiele kompletnych wszechświatów mogłoby znaleźć miejsce obok naszego czy też mogłoby zostać w jakiś sposób z nim splecione. Co się dzieje w tych wszechświatach, to wiedzą tylko bogowie. W każdym razie, gdyby przyjąć hipotezę chrononu, to nie istniałyby paradoksy czasowe, bo cokolwiek mógłby ktoś zmienić w perłach czasu należącego do przeszłości, to ze względu na ich izolację zgodnie z mechaniką kwantową nie mogłoby to dotyczyć teraźniejszości. Owo frustrujące doświadczenie staje się też udziałem morderców Mahometa, którzy zabijają skrytobójczo jedną historyczną osobistość po drugiej, ale nie mogą zmienić kształtu teraźniejszości. Jak już powiedziano, jest to interesująca myślowa zabawa.

Może jeszcze bardziej elegancko traktuje paradoks podróży w czasie "Niven's law". Amerykański autor literatury *science fiction*, który odbył studia matematyczne i fizyczne, powiedział: "załóżmy, że przeszłość (a wraz z nią i teraźniejszość) dałoby się zmienić przez podróż w czasie. Postawiliby to na głowie następstwo przyczyny i skutku. Jednak nie na zawsze, bo przez każdą ingerencję tego rodzaju struktura rzeczywistości ulega drobnej, ale zasadniczej zmianie. Tę grę można uprawiać tak długo, aż powstanie przy tym wszechświat, w którym jakieś prawo natury uniemożliwi podróże w czasie. *Finito*". To także oryginalne rozwiązanie.

Dość tych teorii. Pozostaje jeszcze otwarte pytanie: czy istnieją poszlaki przemawiające za istnieniem rzeczywistych wędrówek w czasie? Taką poszlaką mógłby być przypadek człowieka, który w czerwcu 1950 r. został przejechany przez taksówkę w Nowym Jorku.

Człowiek z ubiegłego wieku

Nowojorczyki nie cieszą się sławą ludzi grzeszących nadmiarem taktu. Wielu gapiów bez żenady przypatrywało się więc osobliwie ubranemu mężczyźnie, który niepewnym krokiem szedł po Times Square, ewidentnie wzburzony. Jego strój był staromodny w każdym calu. Czy w 1950 r. ktoś jeszcze nosił cylinder, żakiet w stylu księcia Alberta, kraciaste spodnie angielskiego kroju i zapinane na guziki buty z getrami? Człowiek ten mógłby grać w filmie albo musicalu na Broadwayu. W kipiącej życiu metropolii USA wydawał się tak

bardzo nie na miejscu, jak angielski lord w otoczeniu Hell's Angels. Z wyrazem oszołomienia na twarzy przypatrywał się samochodom, drapaczom chmur oraz neonowym reklamom świecącym się także w dzień, zupełnie jakby nigdy dotąd czegoś takiego nie widział. Najwyraźniej nie rozumiał, co się z nim dzieje. Kiedy niczym lunatyk zszedł nagle z chodnika na jezdnię, został potrącony przez przejeżdżającą taksówkę i zginął na miejscu.

Udało się ustalić tożsamość nieznanego, choć były z tym duże trudności. Zmarły nazywał się Rudolph Fentz, był żonaty i pochodził z Florydy. Jego lepsza połowa najwyraźniej zamieniła mu życie w piekło, więc po kolejnej kłótni postanowił na zawsze opuścić dom i poszukać szczęścia w Nowym Jorku. Żona, zgłaszając zaginięcie, podała, że mąż wyszedł i nie wrócił więcej, kiedy zażądała od niego, aby nie zasmradzał domu papierosami i palił na dworze. Jak dotąd nie było w tym niczego niezwykłego. Mocny efekt wywołało dopiero stwierdzenie, że do tej banalnej utarczki małżeńskiej doszło nie w 1950, ale -1876 r.

"Podróżujący w czasie", jak go wkrótce nazwano, miał przy sobie 70 dolarów w banknotach, które już dawno wyszły z obiegu, a mimo to były całkiem nowe. Wizytówki z adresem przy Piątej Alei świadczyły o tym, że udało mu się już zaczepić w Nowym Jorku, tyle tylko, że 74 lata temu. Znaleziono przy nim także datowany na tamten okres rachunek za wynajmowanie stajni przy Lexington Avenue i paszę dla konia, jak również mycie konnego powozu. Gruntowne badania potwierdziły, że pojedyncze elementy dziwacznej układanki pasowały do faktów z 1876 r. Adres na Piątej Alei zgadzał się tak samo, jak adres stajni przy Lexington Avenue. Pozótkłe akta z ubiegłego wieku potwierdziły fakt zniknięcia niejakiego Rudolpha Fentza z Florydy. Była w nich odnotowana także odnośna wypowiedź pani Fentz.

Czy było to oszustwo na wielką skalę? Jest to mało prawdopodobne. Upozorowanie takiego zdarzenia przy pomocy aktora musiałoby wkrótce zostać zdemaskowane, o ile nie zechcemy posunąć się do absurdałnego przypuszczenia, iż rzekomy podróżny w czasie w ramach realizacji "planu" dał się dobrowolnie przejechać. A przy tym pozostaje pytanie: Po co to wszystko?

Skaczący podróżny w czasie?

Oślawiony "skaczący człowiek" bardziej już odpowiada klasycznym wyobrażeniom osoby przenoszącej się w przestrzeni lub czasie. Nosił on jednoczęściowy ubiór,

przypominający późniejszym pokoleniom kombinezon lotnika, i przezroczysty hełm, w którym płonęły przenikliwe oczy. Fenomen ten jest właściwie niemal zbyt piękny, aby mógł być prawdziwy, ale przyjrzyjmy się najpierw suchym faktom.

Późną nocą w październiku 1837 r. zadzwonił ktoś do furtki ogrodu przed domem położonym w pobliżu doków londyńskich, zamieszkanym przez rodzinę Alsop. Oświetlenie uliczne było naówczas dość skąpe, toteż młoda Jane Alsop podeszła do furtki, trzymając w ręku świecę. Kiedy jednak na gościa padł słaby blask, dziewczyna mimo woli wydała okrzyk zgrozy. Obcy człowiek był wielkiej postury i miał na sobie długą pelerynę, pod którą jednak można było rozpoznać osobliwy kombinezon. Niesamowitego wrażenia dopełniał przezroczysty hełm. Jane Alsop nie mogła oczywiście przyjść do głowy żadna z myśli, które natychmiast nasunęłyby się człowiekowi naszych czasów, któremu nieobce są zagadnienia związane z kosmonautyką, UFO itp. Dziewczyna była do głębi przerażona. Chyba nawet bardziej niż t ktoś z naszej epoki. Ogarnięta grozą zaczęła krzyczeć. Niesamowity gość odwrócił się na pięcie, o ile miał coś takiego, i uciekł, znikając w ciemności i mgle spowijającej Tamizę.

Alsopowie powiadomili policję. Funkcjonariusze jednak niewiele sobie robili z tego zdarzenia, uważając całą sprawę za urojenie histeryczki. Natychmiast zmienili jednak zdanie, kiedy wpłynęło kolejne doniesienie o "skaczącym człowieku". Młody pomocnik rzeźnika, który pracował niedaleko domu rodziny Alsop, przeszkodził dziwnie ubranemu mężczyźnie w napaści na dwie młode kobiety. Przynajmniej one uważały, że nieznajomy zbliżył się do nich w jednoznacznie nieprzyjaznych zamiarach. Czy planował napad, nawiązanie kontaktu czy cokolwiek innego, tego nie dowiemy się nigdy, bo także tym razem rzucił się do ucieczki. Czeladnik rzeźnika puścił się za nim w pogoń, ale ścigany przesadził jednym susem mur o wysokości 4,5 m. Tej nadludzkiej zdolności, którą jeszcze niejednokrotnie demonstrował, zawdzięcza on swój przydomek, z którym miał wejść do annałów spraw niewytłumaczalnych.

Prasa bulwarowa nadała mu przydomek "Spring-heeled Jack" (Jack na sprężynach), choć trudno sobie wyobrazić, aby jakakolwiek konstrukcja pozwalała wykonywać takie skoki. Groszowe powieści opiewały jego czyny, został też głównym bohaterem melodramatycznych sztuk teatralnych, a później filmów. Wyzwolił modę na "Spring-heeled Jack", co prawda nie od razu.

Przez osiem lat nie dawał znaku życia. W 1845 r. zaczął znowu wykonywać swoje niesamowite skoki w leżących obok siebie przedmieściach Londynu Ealing i Hanwell. Tym razem widziało go sporo osób.

W ciągu następnych 20 lat zmienił swój rejon działania i przeniósł się na wieś.

Niektóre z nawiedzanych przez niego wiejskich regionów (Surrey, Lancashire, Lincolnshire i Warwickshire) były znacznie oddalone od stolicy Wielkiej Brytanii, inne znów znajdowały się bardzo blisko Londynu, czy wręcz w jego obrębie, jak hrabstwo Middlesex, które w owym czasie obejmowało część stolicy. Najwidoczniej "skaczący człowiek" pozbył się wszelkich zahamowań. Pokazywał się bez żenady w miejscach publicznych i skakał na wysokość do 10 m.

W 1877 r. dokonał swoich najbardziej spektakularnych wyczynów. Pierwszy z nich odbył się przed magazynem prochu w Aldershot w hrabstwie Hampshire, najważniejszą wówczas wojskową składnicą w Anglii, która dziś jest terenem, na którym są przeprowadzane doświadczenia wojskowe. Nagle pojawił się przed wartownikami, jakby wychynął z nicości. Obaj żołnierze wpadli w kompletne osłupienie na widok dziwacznej postaci w osobliwym ubiorze i z "akwarium" na głowie, która zaczęła przed nimi skakać na wiele metrów w górę. Żołnierze Jej Królewskiej Mości królowej Wiktorii nie tracili jednak tak łatwo zimnej krwi. Ściśle według regulaminu wezwali groteskową zjawę, aby pokazała dokumenty i podała hasło. Nic takiego jednak nie nastąpiło. Wtedy obaj otworzyli ogień -również ściśle według regulaminu. Pociski o wielkiej sile rażenia wystrzelone z karabinów Martin Henry dokładnie trafiły w cel -czyli nieznanego.

Nie dało to jednak żadnego skutku. Zjawę skakała dalej. Wtedy wartownicy zapomnieli o służbowym regulaminie, wyszkoleniu i przysiędze wojskowej, ogarnięci paniką wypuścili broń z rąk i rzucili się do ucieczki co sił w nogach. Kiedy do akcji wkroczyły wezwane jednostki wojskowe, tajemniczy gość dawno już zniknął. Mimo że ani nie wdarł się na teren bazy, ani nie spowodował żadnych innych uchwytnych szkód, to obu wartowników postawiono przed sądem wojennym.

Wymownie świadczy o powszechnej znajomości "skaczącego człowieka" fakt, że nie tylko była o nim mowa przed tym trybunałem, ale że jego osoba została faktycznie przyjęta jako okoliczność uniewinniająca. Fenomen był zatem dobrze znany sędziom wojskowym -jeśli nawet z drugiej ręki -i wzbudził u nich zrozumienie dla nie licującej z żołnierskim honorem ucieczki obwinionych. Mieli oni podwójne szczęście.

Nieco później w tym samym roku wesoły skoczek pokazał się całkiem publicznie w Newport, Monmouth, miejscu oddalonym o ok. 150 km na północny zachód od Aldershot. Niczym Batman w swoim kapturku stał na dachu domu i spoglądał na znajdującą się poniżej ulicę. Ludzie go zauważyli, zatrzymywali się i zadzieraali głowy, patrząc na dziwaczną figurę. Zebrał się cały tłum gapiów. Potem jednak to zainteresowanie widocznie zbrzydło niesamowitemu indywiduum, bo oddaliło się ono, skacząc ogromnymi susami z dachu na

dach.

Ostatni udokumentowany występ miał miejsce w 1904 r. i w Liverpoolu -a zdarzenie miało niezwykle dramatyczny przebieg. W biały dzień "skaczący człowiek" wykonywał swoje, sławne już skoki na ulicach centrum miasta. Na oczach setek osłupiałych przechodniów .zrobił ostatni superskok. i zniknął nad i dachami domów przy Sahsbury Street. Wielu świadków czuło i instynktownie, że było to ostatnie pojawienie się tej osobliwej postaci. Mieli rację. Niektórzy spodziewali się, że na pożegnanie pomacha im ręką.

29 października 1929 r. londyńska "Morning Post" opublikowała bez wyraźnego powodu artykuł na temat naszego przyjaciela. Sformułowano w nim wniosek, że „«skaczący człowiek» z pewnością nie jest normalnym śmiertelnikiem, może nawet nie pochodzi z tego świata". Do tego stwierdzenia dla pełnego obrazu należałoby dodać "może nie z naszego czasu". Zdumiewające jednak, że gazeta pokroju "Morning Post" podjęła tak obskurancki temat, a do tego w roku wielkiego krachu na giełdzie z Czarnym Piątkiem na Wall Street.

Czy możemy zatem -z dużymi zastrzeżeniami -włączyć "skaczącego człowieka" do kategorii możliwych wędrowców w czasie, czy nie? Można na to odpowiedzieć jasno i precyzyjnie: nie mamy pojęcia.

Jeśli nie będziemy zważać na jego ubiór, podobnie jak na zagadkowe skoki (fani *science fiction* nie zawahaliby się ani chwili, wskazując na "buty anty grawitacyjne" czy podobne standardowe wyposażenie ze statku "Enterprise"), to pozostaje niepodważalny fakt, że dziwny skoczek grasował przez okres prawie 70 lat. W tym czasie, odpowiadającym przeciętnej długości życia człowieka, wydawało się, że ciało jego nie ulegało żadnym naturalnym zmianom. Oczywiście, "skaczących ludzi" mogło być kilku -co nas niepostrzeżenie przenosi z tematyki czasowej na ufologiczną. Właściwie nie mieliśmy takiego zamiaru. Pozostawmy historię "skaczącego człowieka" jako wielki znak zapytania. Mógł to być podróżny w czasie, ale także coś całkiem innego. Na pewno jest natomiast kolejną wskazówką świadcząca o tajemniczych machinacjach na Ziemi. Poszlaką, której wymowy nie zdołają osłabić także zażarte próby zdemaskowania "skaczącego człowieka" jako kangura w przebraniu, zwariowanego akrobata cyrkowego, opętanego arystokraty czy dynastii osobliwych dowcipnisiów, których działania trwają przez pokolenia. Lepsze wycucie dla spraw egzotycznych wydaje się przebijać z ludowych porzekadeł, skoro przez całe stulecie mówiono: "Bądź grzeczny, inaczej zabierze cię «Spring-heeled Jack»!". Tak więc wracamy do właściwego tematu.

Spójrzmy teraz na ten problem od strony osoby biorącej udział w zdarzeniu. Istnieją bowiem ludzie, którzy sami opowiedzieli o swoich podróżach w przyszłość lub przeszłość, i

mogą przedstawić dowody. To nie do wiary, ale takie są niepodważalne fakty.

Lot w przyszłość

W 1935 r. Wing Commander i późniejszy marszałek lotnictwa brytyjskiego sir Victor Goddard spędził weekend z przyjaciółmi w North Berwick w Szkocji. Przyleciał samolotem Royal Air Force z Andover, gdzie stacjonował, i zostawił go na lotnisku Turnhouse (dziś port lotniczy Edynburg). Wcześniej rano w poniedziałek miał zamiar wrócić do jednostki. Mnóstwo czasu mógłby przy tym zaoszczędzić, gdyby w niedzielę przeleciał samolotem z Turnhouse do pobliskiego Drem. Sir Goddard znał lotnisko w Drem z czasu pierwszej wojny światowej. Wiedział, że zostało ono już zamknięte, ale można było jeszcze zaryzykować na nim zarówno lądowanie, jak i start. Razem z panią Peploe, u której gościł, Wing Commander poleciał do Drem na inspekcję obiektu. Farmer, na którego terenie było położone lotnisko wraz z urządzeniami towarzyszącymi, nie miał nic przeciw temu. Trzy podwójne hangary i jeden pojedynczy (wszystkie o standardowej konstrukcji z czasów pierwszej wojny światowej) stały wciąż tak samo, jak Goddard je pamiętał. Były jednak w opłakanym stanie, ich dachy były załamane. Także samo lotnisko trudno byłoby poznać. Na nawierzchni pasa startowego powstały ogromne wyrwy, a cały teren był podzielony drutem kolczastym na pastwiska, na których pasło się bydło. W Drem mógłby wylądować i wzbić się w powietrze chyba tylko ptak.

Wobec tego w poniedziałek rano Goddard poleciał swoim dwupłatowcem Hawker Hart, startując z lotniska Turnhouse. Był w kiepskim nastroju. Pogoda nie dopisała, pułap chmur był niski i padał dość gęsty deszcz. Lot samolotem z otwartą kabiną, jakie wówczas były w powszechnym użyciu, nie należał do przyjemności. Do tego trasa lotu prowadziła przez trudny górski teren, a Hawker nie miał ani pomocniczych urządzeń nawigacyjnych, ani instrumentów ułatwiających orientację w ławicach chmur. Mimo to doświadczony pilot ani przez chwilę nie wątpił, że wszystko pójdzie gładko, choć zadanie nie było łatwe. Postanowił lecieć między najniższą a wyższą warstwą chmur. Był to wypróbowany sposób; tym razem jednak tego korytarza nie było, choć powinien być. W miarę jak samolot wznosił się coraz wyżej, chmury coraz bardziej gęstniały. Było to niezwykle i niesamowite zjawisko. Na wysokości 2500 m Goddard zdał sobie sprawę, że chmury ciągną się bez końca, a on nie panuje już nad samolotem. Dziób dwupłatowca zniżył się i samolot zaczął spiralnie spadać w dół. Pilot nie kontrolował sytuacji.

W brytyjskim czasopiśmie "Light" sir Victor Goddard tak opisywał swoje przeżycie:

"Mogłem opóźnić lub przyspieszać ruch wirowy, ale nic ponadto. Przez cały czas igła kompasu kręciła się jak szalona. Na to również nic nie mogłem poradzić. Nie miałem pojęcia, gdzie się znajduję, i raptownie traciłem wysokość. Moją największą obawą było, że rozbiję się o górę ukrytą w chmurach. Kiedy wysokościomierz pokazywał 1000 stóp (około 300 m), wciąż jeszcze z nich się nie wydostałem. Dziwne było to, że robiło się coraz ciemniej. Chmury przybrały żółtobrazowe zabarwienie, a deszcz był już tak ulewny, że przypominał ścianę wody. W dalszym ciągu poruszałem się spiralnie w kierunku ziemi. Odległość od niej była już nie większa niż 100m, kiedy dostrzegłem kamienne nabrzeże z szynami, ulicę i esplanadę. Wszystko wirowało wokół mnie na skutek ruchu, jaki wykonywał Hawker Hart. Chwilę później znalazłem się blisko muru i gnałem prosto na niego. Rozpaczliwym wysiłkiem spróbowałem poderwać maszynę. Tym razem posłuchała. Z hukiem przeleciałem tak nisko nad ziemią, że pewna młoda kobieta, pchająca w deszczu wózek dziecinniej, musiała schować głowę, aby uniknąć uderzenia skrzydłem.

Hawker znowu był mi posłuszny. Mogłem teraz spróbować określić własną pozycję, i należało to zrobić jak najszybciej. Łatwo sobie wyobrazić, że lot w zacinającym deszczu z prędkością 150 mil na godzinę w otwartej kabinie nie należy do wielkich przyjemności. Wszystko było podwójnie utrudnione jeszcze i przez to, że z powodu nadzwyczaj niskiego pułapu chmur nie mogłem lecieć wyżej niż 6-9 m nad ziemią. Było prawie tak ciemno, jak w nocy. Krótko mówiąc: był to koszmar, od którego chciałem jak najszybciej uciec. Ponieważ mój kompas kręcił się w różnych kierunkach, zdecydowałem się lecieć wzdłuż kamiennego nabrzeża. Według mojej oceny musiałem w ten sposób prędzej czy później znaleźć się w zasięgu widoczności byłego lotniska Drem. Po kilku minutach rozpoznałem szosę do Edynburga i trochę później ciemne zarysy hangaru w Drem. Gratulując sobie, że udało mi się zorientować w terenie, minąłem granicę Drem. I wtedy zdarzyło się coś niewytłumaczalnego. O ile dotąd znajdowałem się w obszarze najgorszej niepogody, jakiej kiedykolwiek przyszło mi doświadczyć, to w następnej chwili znalazłem się nagle pod bezchmurnym, błękitnym niebem. Na znajdujące się pod mną obiekty Drem nie spadła ani jedna kropla deszczu, oświetlały je jasno promienie słońca. Ale nie tylko to zwracało uwagę. Wszystko wyglądało tam zupełnie inaczej, niż miałem w pamięci od wczorajszego dnia. Hangary błyszcząły, a ich dachy były świeżo posmołowane. Nie było pasących się krów ani owiec czy ogrodzeń z drutu kolczastego. Trawa na lotnisku była wypielęgnowana i krótko skoszona. Pas startowy nie miał dziur i wyglądał jak nowy. Stały na nim cztery samoloty: trzy szkolne dwupłatowce -dobrze mi znane Avro 504 N -i jeden jednopłatowiec nie znanego mi typu. To mnie zdziwiło, bo w tym czasie w RAF-ie nie używano jednopłatowców.

Inną osobliwością był kolor tych czterech maszyn, które lśniły jaskrawo żółtą farbą. W 1935 r. nie było w Royal Air Force żadnych żółtych samolotów, wszystkie maszyny miały jednolity kolor aluminium. Mechanicy w niebieskich kombinezonach zabierali się właśnie do wypchnięcia kolejnego jednopłatowca z hangaru, który był najbliżej mnie. Także ich widok był dla mnie niezwykły, bo mechanicy RAF-u nosili kombinezony wyłącznie w kolorze khaki. Nigdy dotąd nie widziałem niebieskich kombinezonów. Przeleciałem nad mechanikami i hangarem. Zdziwiło mnie, że żaden z nich nie spojrzał w górę, mimo że mój Hawker robił niemało hałasu. Była to jeszcze jedna zagadka, bo takie manewry nad lotniskiem były surowo wzbronione i każdy pilot, który by sobie na nie pozwolił, stanąłby przed sądem wojennym. A tymczasem na mnie nikt nie zwracał najmniejszej uwagi.

Z pewnością w podświadomości zachowałem jeszcze wiele innych dziwnych szczegółów. Gdyby to wszystko nie odbyło się tak szybko, mógłbym je zarejestrować świadomie. Mogę więc tylko podsumować wszystkie moje wrażenia w ten sposób, że coś tu było nie tak. To nie mogło być lotnisko w Drem, o którego złym stanie przekonałem się poprzedniego dnia. Obiekt, nad którym teraz leciałem, był lotniskiem pierwszej klasy o specjalnym pasie startowym, którego wczoraj także jeszcze nie było.

Miałem tylko kilka sekund na przetrwanie tych dziwnych spostrzeżeń, bo zaraz potem zostawiłem Drem za sobą. Natychmiast zniknął słoneczny blask i otoczyła mnie ciemność. Dokuczliwy deszcz padał znowu do mojej otwartej kabiny, a samolot drżał w porywach wiatru. Nie wiedząc, co o tym wszystkim myśleć, wziąłem kurs na Andover, gdzie wylądowałem około jedenastej przed południem, po przelocie nad górami.

Nasuwa się teraz pytanie, dlaczego leciałem dalej, zamiast zawrócić i wylądować na lotnisku w Drem, które było przecież w idealnym stanie? Odpowiedź jest prosta: "ponieważ zwątpiłem we własny rozum. Uznałem, że to mogła być tylko halucynacja, więc poleciałem dalej".

Tyle mówi raport późniejszego marszałka lotnictwa sir Victora Goddarda, a jego treść mogło potwierdzić kilku oficerów sił powietrznych, którzy jedli śniadanie w mesie oficerskiej Andover. Po wylądowaniu Goddard opowiedział im ze wszystkimi szczegółami o swoim doświadczeniu. Co zrozumiałe, spotkał się z niedowierzaniem.

Tymczasem znamy obecnie wiele faktów, które już nie pozwalają tłumaczyć wszystkiego urojeniem. Wkrótce po wybuchu drugiej wojny światowej dowództwo Royal Air Force zdecydowało się uruchomić zamknięte wcześniej lotniska i wyposażyć je w najnowocześniejsze urządzenia. Tak się też stało w Drem, gdzie w 1939 r. utworzono szkołę pilotów RAF-u.

Do celów szkoleniowych używano właśnie żółtych Avro 504 N (liczne wypadki spowodowały, że od 1938 r. wprowadzono malowanie maszyn szkolnych na żółty kolor) oraz samolotów nowego typu o nazwie Miles Magister. Sir Goddard zidentyfikował po latach ów nieznany jednopłatowiec z Drem jako taką właśnie maszynę. W dniach wojny mechanicy nie nosili już brązowych kombinezonów, ale niebieskie. Cztery lata po swojej podróży w czasie marszałek lotnictwa przybył do Drem i poczuł się tak, jakby znowu przeniósł się w czasie, tym razem wstecz do owego dnia w 1935 r. Wszystko w Drem wyglądało dokładnie tak, jak widział to wtedy na własne oczy.

Przypadek Goddarda jest prawie niepodważalnym dowodem poszlakowym na rzecz pewnego rodzaju podróży w przyszłość. Co do jej aspektu materialnego można się spierać. Brak zainteresowania personelu z Drem maszyną wykonującą dzikie wiraże nad lotniskiem wydaje się świadczyć, że Goddard przeniósł się do roku 1939 -albo w czasy późniejsze -jakby w duchowej projekcji. Z tego punktu widzenia również wylądowanie niewiele by mu dało. Z drugiej strony odczuwał swoją tam obecność jako bardzo fizyczne przeżycie. Czuł wiatr w czasie lotu, przeciążenie wciskało go w fotel, kiedy mijał hangar, itp. Prawie niemożliwe jest określenie, kto się znalazł w jakiej szarej strefie rzeczywistości. Jedno natomiast jest oczywiste, że nie ma tu "normalnego" wytłumaczenia. Najwyraźniej sir Victor Goddard spojrzął za zasłonę, która zwykle skrywa przed naszym wzrokiem dzień jutrzejszy.

A jak wygląda sprawa wypraw w przeszłość?

Dwie Angielki zwiedzają Wersal Ludwika XVI

10 sierpnia 1901 r. dwie Angielki, Charlotte Moberly i dr Eleanor Jourdain, odbyły taką wycieczkę w przeszłość. To również jest wzorcowy przypadek. Był on badany ze wszystkich stron, szukano jego słabych punktów, a następnie z fanatyzmem starano się go podważyć. Stanowi on dotąd zagadkę, i będzie nią prawdopodobnie jeszcze po stu latach, w 2001 r.

Obie wspomniane damy zwiedzały pałac w Wersalu. Podziwiając wspaniałą ogromną budowlę Ludwika XVI, zapragnęły odbyć spacer do Petit Trianon. Były w Wersalu po raz pierwszy, toteż zmyliły drogę do tego pałacyku, niegdyś ulubionej letniej siedziby królowej Marii Antoniny. Nagle znalazły się na ciemnej, cienistej ogrodowej alejce. Niepewnie postępowały dalej i znowu ujrzały światło dnia. Ku swemu zdumieniu ujrzały kilka zrujnowanych budynków gospodarczych, a przed nimi stał zardzewiały pług. Potem doszły do małego murowanego domku, przed którym właśnie pewna kobieta podawała dzban młodej

dziewczynie. Obie były staromodnie ubrane. Dwóch panów o dystygowanym wyglądzie -starszy i młodszy -wyszło Angielkom naprzeciw. Także ich stroje pochodziły z innej epoki: mieli na sobie długie zielonoszare surduty, na głowach trójgraniaste kapelusze, a w rękach zdobione laseczki spacerowe. Może to byli ogrodnicy, bo w pobliżu stał sprzęt do pielęgnacji ogrodu, jak również taczka i pług, choć z drugiej strony mężczyźni ci byli zbyt dystygowani na takie zajęcie.

Angielki bezbłądną francuszczyzną spytały nieznajomych o drogę. Zapytani wskazali mały okrągły pawilon muzyczny, na którego stopniach siedział człowiek w ciężkim czarnym płaszczu i kapeluszu z obwisłym rondem, z twarzą ciemną i pokrytą bliznami po ospie. Jego widok w jakiś sposób napawał lękiem. Obie angielskie *ladies* opisywały później wyraz jego twarzy jako złośliwy i dziwnie pusty. Z wahaniem przystały przed małym budynkiem i nie miały odwagi podejść bliżej. Stojąc tak niezdecydowanie, usłyszały za sobą pospieszne kroki. Pojawił się młody człowiek, również ubrany w gruby płaszcz i kapelusz z szerokim rondem oraz buty ze sprzączkami. Nie miał jednak w sobie niczego niesamowitego, robił wrażenie dżentelmena w każdym calu.

Staroświecką francuszczyzną wskazał przybyłym drogę do Petit Trianon, nazywając go co prawda "la maison", tak jak zwykła mówić Maria Antonina. Mimo całej swej uprzejmości wydawał się podniecony i wyraźnie się spieszył. Skoro tylko udzielił żądanej informacji, oddalił się pędem.

Idąc za jego wskazówkami, obie kobiety przeszły przez mały mostek przerzucony nad wąskim parowem. Znalazły się w ogrodzie, przypominającym park angielski. Teraz widziały Petit Trianon. Okna były zasłonięte okiennicami. Na tarasie siedziała blondynka w średnim wieku, rysując grupę drzew. Miała na sobie lekką letnią sukienkę i kapelusz o szerokim rondzie. W tym momencie nadbiegł ów młody człowiek, który przedtem uprzejmie, choć w pośpiechu, wskazał Angielkom drogę. Złożył głęboki ukłon przed malarką i najwidoczniej o czymś jej meldował.

Turystki chciały zwiedzić pałacyk wewnątrz. Obeszły zachodnie skrzydło aż do tarasu, z którego można było wejść do środka. Z bocznej przybudówki Petit Trianon wyszedł służący. Z pełną galanterii miną oświadczył, że do "la maison" trzeba iść przez dziedziniec po drugiej stronie kuchni, i zaoferował damom swoją asystę. Kiedy dotarły do celu, zostawił je same. Angielki wmieszały się między gości weselnych, którzy tam wesoło świętowali. Po pewnym czasie postanowiły wracać. W jakiś sposób przekroczyły niewidzialną linię podziału i znalazły się znowu w 1901 r., czego wówczas nie były świadome.

Zdawały sobie natomiast bardzo wyraźnie sprawę, że musiało się wydarzyć coś

dziwnego. Nie wiedziały jednak dokładnie co. W każdym razie przelały swoje wrażenia na papier. Damy te nie miały skłonności do hysterii ani urojeń. Przeciwnie, jak na Angielki przystało, miały dar chłodnej obserwacji i umiały się precyzyjnie wyrażać. Charlotte Moberly, starsza z nich, była przez 15 lat przewodniczącą St. Hugh's Hall, późniejszego college'u Uniwersytetu Oxford. Dr Eleanor Frances Jourdain była jej następczynią, a ponadto kierowała prywatną szkołą pod Londynem. Jej raporty, które spisała samodzielnie, były dokładne, szczegółowe i beznamiętne. Przedstawione w nich zdarzenie wciąż należy do nie rozwiązanych zagadek naszych czasów.

W późniejszych latach obie *ladies*, razem i osobno, odbyły wiele podróży do Wersalu, aby na miejscu zbadać sprawę. Zaskoczyły je różnice między tym, co widziały podczas swojej ówczesnej bytności, a rzeczywiście istniejącymi obiektami. Alejki, po których wtedy mogły chodzić swobodnie, były zagrodzone przerdzewiałymi, od wielu lat nie otwieranymi kratami. Nie było murowanego domu, okrągłego pawilonu ani małego mostka. Przed tarasem, na którym siedziała tamta rysownicza, nie rozciągał się rozległy, wypiełgnowany ogród, ale wysypany żwirem podjazd. W miejscu, w którym siedziała kobieta, rosły różaneczniki. O ile w czasie dziwnego spaceru dwóch turystek panowała dookoła cisza i spokój, to teraz w okolicy kipiał gorączkowy ruch. Grupy zwiedzających robiły mnóstwo hałasu, wszędzie były rozstawione stoiska z pamiątkami i ogrodowe krzesła. Coraz bardziej nasuwało się dziwaczne podejrzenie, że Angielki przeniosły się wtedy w przeszłość.

Kiedy tylko praca zawodowa zostawiała im na to czas, *ladies* kontynuowały swoje poszukiwania z nie strudzoną energią. Stały się przy okazji znawczyniami tej epoki dziejów Francji, o której przedtem nie wiedziały zbyt wiele. Dowiedziały się, że jedną z barw od dawna nie istniejących liberii królewskich był kolor zielony. Dwaj panowie ze spacerowymi laseczkami mogli więc istotnie nie być zwykłymi ogrodnikami, ale dość wysoko postawionymi urzędnikami dworu. Pługów takich jak ten, na który wówczas zwróciły uwagę, od dawna już nie stosowano. Istniał tylko jeszcze jeden egzemplarz z czasów Ludwika XVI i Marii Antoniny i był on identyczny z pługiem, który wtedy widziały. Na podstawie prastarych map, obrazów i sztychów można było zlokalizować nie istniejące już części ogrodu, po których wędrowały obie Angielki. W czasie rewolucji francuskiej zostały one do tego stopnia zdewastowane, że praktycznie przestały istnieć. Drzwi, przez które wyszedł do nich służący, od wielu już lat nie dawały się otworzyć. Schody i przejścia za drzwiami były zniszczone i całkowicie nie do użytku.

Po samokrytycznym sprawdzeniu punkt po punkcie wszystkich wniosków, autorki opublikowały opis owej podróży w czasie i wyniki swoich badań w 1911 r. pt. *An Adventure*

(Przygoda).

Odtąd nie ustaje ciąg "prób demaskatorskich". Trwają one do dziś i nadal nie zostały uwieńczone sukcesem. Bardziej zadowalające rezultaty dały te analizy, które nie zakładały *a priori* niemożliwości opisywanych zdarzeń.

W latach siedemdziesiątych Arnold O. Gibbons prześwietlił ten przypadek według wszelkich reguł sztuki w swojej obiektywnie napisanej książce *The Trianon Adventure* (Przygoda w Trianon). Jego poszukiwania wydobyły na światło dzienne dalsze fakty historyczne, które musiały być równie nie znane dla panny Moberly i dr Jourdain, jak te, na które one same natrafiły we własnych poszukiwaniach. Przez to raz na zawsze doprowadzono do absurdu konstruowane próby wyjaśnień (jakoby Angielki dały się nabrać na atrakcję dla turystów albo przez pomyłkę trafiły na przedstawienie teatralne).

Gibbons i jego współpracownicy wykazali się zdolnościami detektywistycznymi i niewątpliwie zidentyfikowali niektóre z osób, z którymi rozmawiały obie kobiety, np. Claude'a a Richarda i jego syna Antoine'a. Byli oni zarządcami ogrodów Petit Trianon. Działalność Antoine'a przypadła na burzliwy okres 1765-1795. Jego odważna interwencja uratowała budynki przed zniszczeniem przez rewolucyjną tłumy. Dziobaty mężczyzna o niepokojącym wyrazie twarzy nie mógł być nikim innym jak hrabią de Vaudreuil. Drobiazgowa rekonstrukcja pozwoliła na dość wierne określenie daty dnia, do którego przeniosły się obie kobiety. Był to 5 października 1789 r., ostatni dzień, który Maria Antonina miała spędzić w swoim ukochanym pałacyku. Rysowniczką z pewnością była sama monarchini, Austriaczka z pochodzenia. Wiadomość, jaką jej przekazał spieszący się paź, mogła zawierać przestrożę i radę udania się natychmiast do Grand Trianon, gdzie byłaby bezpieczna.

Znany pisarz brytyjski Colin Wilson (autor podstawowego dzieła *The Occult*) poświęcił przygodzie obu *ladies* wiele miejsca w swojej książce *Mysteries* (Tajemnice). Jego zdaniem jest to fenomen pierwotnie lokalny, polegający na wzajemnym oddziaływaniu między specyficznym miejscem a określonymi osobami. Za poszlakę przemawiającą na rzecz tej hipotezy uważa sporadyczne rozbieżności w opisach obu Angielek (np. panna Moberly nie zauważyła kobiety, podającej dzban młodej dziewczynie). Co prawda, taka interpretacja nie jest całkowicie zadowalająca, ponieważ w "przygodzie w Trianon" musiało chodzić o coś więcej niż tylko pewien rodzaj fatamorgany z przeszłości. Ostatecznie ludzie z dawnej epoki reagowali na obecność przybyszy z przyszłości i *vice versa*. Doszło do rozmowy, a dwie damy posłuchały otrzymanej wskazówki dotyczącej drogi przez całkiem materialny mostek, którego właściwie nie było. Nie wydaje mi się, aby był to materiał, z którego można

wysnuwać wizje.

Na wszelki wypadek Wilson cytuje jako *resume* słowa ewolucjonisty, profesora dr. Cyrila Edwina Mitchinsona Joad, który w czasie drugiej wojny światowej należał do słynnego trustu mózgow BBC. Wspomniany naukowiec w swojej książce *Guide to Modern Thought* (Przewodnik po myśli nowoczesnej) zajmował się wersalskim epizodem i napisał na jego temat m.in.: „(...) wydaje się coraz bardziej prawdopodobne, że pojmowanie czasu przez człowieka jako drogi jednokierunkowej jest czystą iluzją”. Trudno zapewne nie zgodzić się z takim poglądem.

Regularne eksperymenty z prekognicją i centralny rejestr przeczuć

Co ciekawe, nauka przyjęła ten pogląd już dawno, mimo że mało wiemy na ten temat. Testy prekognicji od prawie 30 lat należą do standardowych doświadczeń prowadzonych w uniwersyteckich placówkach z "poważnymi" kierunkami badań, jak psychologia czy statystyka -oto pragmatyzm spraw niewytłumaczalnych.

Harold E. Puthoff i Russel Targ, dwaj fizycy laserowi z renomowanego Stanford Research Institute (SRI) w Kalifornii, przeprowadzają od końca lat siedemdziesiątych regularne eksperymenty, w których osoby badane mają za zadanie wskazać różne miejsca, przedmioty i wiele innych obiektów, zanim ktoś inny dowolnie je wybierze. Uzyskiwane wyniki wykazują istotne zbieżności.

Najlepszym wynikiem może się niewątpliwie poszczycić Centralny Rejestr Przeczuć (Central Premonitions Registry -CPR). Został on utworzony przez naukowców w Nowym Jorku w celu rejestrowania prekognicji. Dla większego obiektywizmu nie uwzględnia się w nim przepowiedni osobistych, a tylko proroctwa na temat zdarzeń wzbudzających zainteresowanie opinii publicznej. Przepowiednie muszą być zapisane przed danym wydarzeniem i mieć dostateczną dokładność, aby można było wykluczyć przypadkową zbieżność. Jest zdumiewające, że do CPR wpłynęły setki meldunków spełniających te surowe kryteria.

Szczególne miejsce wśród nich zajmuje oryginalny telegram niejakiej pani Katherine Sabin z San Diego. Przesłała go do CPR 5 października 1968 r. Jej przepowiednia była, delikatnie rzecz ujmując, dziwaczna. Brzmiała ona: "W San Diego w październiku lub listopadzie dojdzie do ataku ze strony innego państwa".

Trudno było sobie wyobrazić coś bardziej absurdalnego. Kto miałby zaatakować kalifornijskie portowe miasto San Diego, nie zważając na stacjonujące tam duże siły

marynarki USA? Faktycznie w listopadzie 1968 r. w pobliżu San Diego meksykański statek zaatakował amerykański kuter połowiaczy tuńczyków, oddając salwę pocisków kalibru 50 mm w dziób statku USA. Nieoczekiwanie siły sąsiedniego państwa dokonały wrogiego aktu.

Rzeczywistość raz jeszcze okazała się bardziej szalona niż wszelkie fantazje, a czas istotnie, jak się okazuje, nie jest drogą jednokierunkową. Podróżowaliśmy po nim w różnych kierunkach, to powinno nam wystarczyć.

W gmachu większej rzeczywistości przybyło kolejne piętro. Możemy więc kontynuować budowę. W tym celu musimy krytycznie zbadać, skorygować i być może od podstaw zdefiniować na nowo kolejny istotny składnik naszego światopoglądu. Teraz przyszła kolej na istotę tego, co żyje.

CZEŚĆ II

Zagadki istot żywych

Cudowna istota człowiek: wyzwolenie z pęt materii

*Świadomość, istniejąca globalnie
w przestrzeni i czasie,
jest ukrytą, porządkującą wszystko zmienną.*

Nick Herbert, fizyk kwantowy

Podwójna nauczycielka

Atrakcyjna, mająca wysokie kwalifikacje nauczycielka języka francuskiego Emilie Sagee z Dijon w ciągu szesnastu lat osiemnaście razy straciła posadę. Niczym puchar przechodni wędrowała w ubiegłym stuleciu po zakładach naukowych Europy. Wreszcie znalazła nową posadę w pewnym pensjonacie dla dziewcząt w miejscowości Neuwelcke w ówczesnych Inflantach, które w 1918 r. podzieliły się na Estonię i Łotwę. Jej szczęście nie miało trwać długo. W 1845 r. -Emilie skończyła właśnie trzydzieści dwa lata -po zaledwie osiemnastu miesiącach pracy kierownictwo szkoły wypowiedziało umowę młodej nauczycielce. Nie była to łatwa decyzja. Rektor Buch podjął ją bardzo niechętnie, gdyż młoda nauczycielka świetnie wywiązywała się ze swego zadania. Nikt przed nią nie zdołał przekazać dziewczętom tak gruntownej wiedzy. Mimo to musiał ją zwolnić -nalegali na to rodzice uczennic. Kiedy ich zażalenia początkowo nie odnosiły skutku, zaczęli rezygnować z usług tej szkoły. W danej sytuacji dyrekcja musiała, chcąc nie chcąc, ustąpić i Emilie Sagee po raz dziewiętnasty została bez pracy.

Co było powodem tak jednomyślnego odrzucenia? Czy młoda Francuzka zapoznawała może pilnie strzeżone córki z dobrych domów z rozwiązłymi obyczajami dekadencjonalnej Europy Zachodniej albo ciążyły na niej inne poważne zarzuty?

Nie dopuściła się jednak niczego, co zwykło się nazywać uchybieniem, a jej "wina" polegała całkiem po prostu na tym groteskowym fakcie, że niekiedy występowała w dwóch osobach.

Przed przerażoną klasą stały ramię w ramię przy tablicy dwie Emilie albo zgodnie jadły drugie śniadanie. Niekiedy jedna z nich siadała i z wyrazem znudzenia przyglądała się drugiej. Od czasu do czasu niesamowita para się rozdzielała. Jedna z młodych kobiet wędrowała po korytarzach szkolnych albo wychodziła na zewnątrz, podczas gdy ta druga dalej prowadziła lekcję, jakby nigdy nic.

Pewnego razu nauczycielka pomagała uczennicy Antoine de Wrangel w naprawianiu sukienki. Naraz dziewczyna spojrzała w lustro i odkryła drugą pannę Sagee, po czym padła zemdlna. Kiedy indziej kilka uczennic spotkało nauczycielkę przy zrywaniu kwiatów. Ponieważ był ciepły letni dzień, zapytały, czy lekcje mogłyby odbywać się na dworze. Emilie zgodziła się i poszła po zgodę do dyrektorki. Dziwnym trafem druga Emilie Sagee w tym samym czasie siedziała w klasie robótek ręcznych.

Kiedy takie incydenty zaczęły się mnożyć, wiadomości się rozeszły. Coraz więcej rodziców odbierało swoje dzieci w środku roku z internatu. To przypieczętowało los "podwójnej nauczycielki". Musiała się przenieść do swojej szwagierki, gdzie zatrzymała się przez pewien czas. Potem jej losy giną w pomroce dziejów.

Przypadek Emilie Sagee został dokładnie zbadany i szczegółowo udokumentowany przez amerykańskiego badacza zjawisk paranormalnych i pisarza walijskiego pochodzenia, Roberta Dale'a Owensa. Wiele szczegółów poznał on za pośrednictwem baronesy Julii von Giildenstube, która należała do arystokratycznych uczennic panny Sagee. Baronesa powiedziała mu między innymi, że podwójna natura Emilie była dobrze znana w rodzinie tej ostatniej. Zwłaszcza szwagierka nie widziała w tym niczego niezwykłego, że od czasu do czasu liczba mieszkających u niej gości wzrasta o jedną osobę. Także jej dzieci mówiły zawsze o "dwóch ciotkach Emilie". Istnieją liczne dokumenty dotyczące tego dziwnego przypadku -między innymi pochodzące od słynnego francuskiego astronoma Camille'a Flammariona i rosyjskiego pisarza Aleksandra Aksakowa -a nawet film nakręcony przez BBC.

Poprzednik Erksona Gorique'a

Takie fenomeny wciąż się zdarzają. Na przykład Erkson Gorique, importer z Nowego Jorku, musiał ze zdumieniem stwierdzić, że jego sobowtór podróżował przed nim tą samą trasą, którą on zdecydował przebyć. W 1955 r. Gorique powziął zamiar rozszerzenia działalności na Norwegię. Nigdy jeszcze nie był w tym kraju, ale wiele sobie po nim obiecywał, ponieważ miał do zaoferowania interesujące produkty i władał miejscowym językiem. Pierwsza niespodzianka czekała na Amerykanina w hotelu w Oslo. Szef recepcji powitał go, dając wyraz swojej radości, że tak szybko znowu widzi pana Gorique. Erkson, który nie znał ani tego człowieka, ani hotelu, sądził, że zaszło jakieś nieporozumienie. Musiało to być co prawda osobliwe nieporozumienie; niewiele później sam już nie wiedział, co ma o tym sądzić. Pewien hurtownik nazwiskiem Olsen i inni również mówili o jakimś wcześniejszym spotkaniu. Kupiec ze Stanów pomyślał o oszukańczych machinacjach; ktoś

musiał się za niego podawać, ale w jakim celu to robił? Tajemniczy sobowtór nie wyłudził przecież pieniędzy ani innych korzyści, ale wprost przeciwnie, utorował drogę "prawdziwemu" Goriq'owi.

Rozdwojenie jako podstawa uniewinnienia

Inny sobowtór został nawet świadkiem obrony na procesie karnym. Ta dziwaczna rozprawa odbyła się 8 lipca 1896 r. w sądzie w Nowym Jorku. Niejakemu Williamowi McDonaldowi przedstawiono zarzut dokonania włamania do pewnego domu przy Drugiej Alei. Jego zaprzeczenia na nic się nie zdały, ponieważ sześciu świadków zidentyfikowało go jednoznacznie jako mężczyznę przyłapanego *in flagranti* na pakowaniu łupów. Sprawca zdołał wprawdzie zbiec, ale wkrótce potem został ujęty na podstawie rysopisu. Sprawa była jasna, ale tylko do momentu złożenia zeznań przez profesora doktora Weina.

Ten lekarz nie był kimś nieznanym, ponieważ od czasu do czasu przeprowadzał publiczne eksperymenty hipnotyczne. Jego rzetelność była poza wszelkim podejrzeniem. Poza tym mógł wskazać kilkuset dalszych świadków: widzów teatru na Brooklynie oddalonym o osiem kilometrów od miejsca przestępstwa. Na scenie tego teatru profesor Wein, właśnie w momencie, w którym dokonano włamania, wprowadził w trans pewnego ochotnika spośród publiczności. Człowiek ten nie był nikim innym jak obecnym oskarżonym Williamem McDonaldem. Wspomniany lekarz przypominał sobie całkiem dokładnie McDonalda, ponieważ okazał się on szczególnie podatny na hipnozę. Widzowie go również zapamiętali. A więc powstała sytuacja patowa.

-Czy jest możliwe -zapytał pewien adwokat -by duch tego człowieka wędrował po okolicy w stanie transu hipnotycznego?

Profesor odpowiedział, że uważa to za możliwe.

Ponieważ wszyscy świadkowie mówili prawdę, oskarżonego trzeba było uniewinnić. Wyrok skazujący z uzasadnieniem, że oskarżony wysłał swoją emanację, aby coś ukraść w czasie, kiedy jego ciało przebywało całkiem gdzie indziej, zostałby z całą pewnością uchylony -nie mówiąc o drwiących komentarzach na łamach prasy.

Przeżycia poza ciałem

Jak można się zorientować nie tylko na podstawie przypadku McDonalda, fenomen sobowtóra i podróże astralne, nazywane dziś przeżyciami poza ciałem (OOB -"Out-of-

Body"), mogłyby być dwiema stronami jednej i tej samej monety. Jest znamienne, że pechowa Emilie Sagee powiedziała dyrektorowi szkoły, że może się podwajać siłą woli. Na pytanie, dlaczego to robiła przed wychowankami internatu, próbowała usprawiedliwić się słowami:

-To dla wzmocnienia dyscypliny. Dziewczęta nie powinny czuć, że nie są obserwowane.

To poczucie odpowiedzialności nie uchroniło jednak Emilie przed zwolnieniem.

Astralny sobowtór po kryjomu, cicho i bez rozgłosu, nierzadko z nowymi etykietkami (*alter ego* itd.) znalazł swoje miejsce w literaturze (na przykład u Goethego), jak również w psychologii (dość wspomnieć o "cieniu" C. G. Junga). Jego pochodzenie sięga jednak o wiele dalej w przeszłość.

Myśl, że mamy drugie ciało duchowe, które niekiedy mogą widzieć inni, jest tak stara, jak sama ludzkość. W 1978 r. pewne badania etnograficzne przeprowadzone przez Dana Sheilsa wykazały, że u 57 na 60 różnych kultur istnieje tradycyjna wiara, że część osobowości jest niezależna i może się oddzielać od ciała substancjalnego. To przekonanie jest jedyną zgodnością między nimi.

W Birmie ciało duchowe jest nazywane "motylem", natomiast południowoamerykański lud Bacairi mówi o "andadura", "cieniu", który może zrzucić swoją materialną powłokę. Według afrykańskiego ludu Azande każdy człowiek ma dwie dusze. Jedna z nich, nazywana "mbisimo", opuszcza ciało w czasie snu. Przeżywa ona samodzielnie przygody i spotyka się z podobnymi sobie. Zgodnie z wyobrażeniami Azande ludzkość zamieszkuje naszą planetę w dwóch formach: jednej cielesnej i jednej astralnej.

W Szkocji i Norwegii starym znajomym jest "Vardogr", bezcielesny "poprzednik". W jego przypadku chodzi o astralną projekcję, która postępuje przed nami. Przygoda Erksona Gorique'a jest wręcz klasycznym przypadkiem z gatunku Vardogr.

Profesor fizyki z Oslo, W. Wereide, nie wahał się powiedzieć otwarcie, że w Norwegii jest niemal codziennym zjawiskiem, iż Vardogr zapowiada przybycie różnych osób. Słychać, jak otwiera drzwi, wchodzi po schodach i wykonuje wszystkie inne czynności, które oczekiwany zazwyczaj wykona po przyjściu do domu. Badania wykazały, że Vardogr zaczyna wydawać odgłosy, kiedy dana osoba wyrusza w drogę albo się na to decyduje. Istnieje duża liczba przypadków, w których ten fenomen występuje z taką regularnością i niezawodnością, że według tych wskaźników gospodynie domowe zabierają się do przyrządzania posiłku.

Zjawiska OOB są od dawna, z najróżniejszych przyczyn, przedmiotem dociekań

badaczy wielu dyscyplin. Nierzadko celem, jaki przyświeca tym poszukiwaniom, jest odesłanie całej (sprawy do krainy urojeń).

Ukrywanie niewygodnych faktów napotyka co prawda trudności. W końcu już w 1886 r. Edmund Gurney zarchiwizował 350 takich przypadków. W naszym stuleciu mamy do dyspozycji całe stopy dokumentów.

W latach 1961-1978 pewien Anglik, dr Robert Crookall, zapełnił 9 księzek opisami tysięcy przypadków. Południowoafrykański biolog dr John C. Poynton z Uniwersytetu w Natalu zaapelował do czytelników pewnego czasopisma, aby go informowali o swoich osobistych podróżach astralnych. Zaowocowało to lawiną listów, z których Poynton wyłowił 122 poważne przypadki. Podobna metoda postępowania angielskiej matematyczki Celi Green zastosowana w 1968 r. pozwoliła uzyskać w rezultacie 326 wiarygodnych relacji. Dr J. H. M. Whitman w 1956 r. po przeprowadzeniu analizy 550 zebranych i opublikowanych przez niego przypadków odrzucił wszelkie efekty mistyczne lub halucynacyjne. Uzasadniał tę odważną opinię, wskazując na to, że dane osoby ze swoich astralnych wycieczek przywiozły takie informacje, których nie mogłyby zdobyć żadnymi możliwie normalnymi sposobami.

Podjęte na szeroką skalę badania, a wśród nich ważne studium profesora Homella Harta z Instytutu Socjologii i Antropologii Uniwersytetu Duke w Durham (Karolina Północna), ujawniły ten niewiarygodny fakt, że 10% ludności w większości krajów cywilizowanych miało przeżycia poza ciałem albo miewa je regularnie. Jeszcze bardziej frapujące jest studium, które przeprowadził psychiatra Fowler Jones z Uniwersytetu Kansas w 1982 r. Aby uzyskać absolutnie reprezentacyjny przekrój społeczeństwa, wybrał na zasadzie przypadku 420 osób i zadawał każdej z nich z osobna pytanie, czy miała doświadczenia poza ciałem. Niewiarygodne, że aż 339 osób z tej grupy udzieliło odpowiedzi twierdzącej.

Wszystko to brzmi wprawdzie całkiem przekonująco, ale pewnej dozy wiarygodności nie można odmówić także teorii o świecie pustym wewnątrz, jak również systemowi geocentrycznemu, dopóki nie dowiemy się czegoś przeciwnego. Najlepszy jest, jak zawsze, dowód praktyczny.

Czy były takie przypadki OOB, które dały uchwytne rezultaty? Owszem były. Wybierzemy dwa z nich, a będzie to dla równowagi jeden zaczerpnięty z wręcz trywialnej codzienności (ostatecznie i owa pogardzana codzienność ma swoje fantastyczne strony) i jeden spektakularny.

Amerykański fizyk Michael Talbot informuje w swojej książce *Poza kwantami* o przeżyciu OOB z czasów młodości, które chciałbym tu w skrócie zrelacjonować. Oto jak je opisuje: "Pewnej nocy miałem niezwykle wyrazisty sen. Szybowałem nad moim ciałem, spoglądając w dół na samego siebie. Dość zaskakujący był fakt, że to wrażenie jakiego moja sypialnia wydawały się absolutnie realne i znajome, wcale nie jak we śnie. Postanowiłem więc, że skorzystam z okazji, żeby sobie trochę powędrować bez ciała. Poszybowałem do pokoju, nie przestając się zdumiewać, że to doświadczenie nie miało niejasnego charakteru właściwego snom. Wręcz przeciwnie, nic tu nie było rozmyte, zamazane czy nierealne. Każdy poszczególny przedmiot, każdy mebel i wszystko poza tym było na właściwym miejscu. Wydawało się, jak gdybym faktycznie wędrował po domu.

Wrażenie szybowania tak mnie uszczęśliwiło, że nie zastanawiałem się długo nad dziwnością tej sytuacji, tylko po prostu się nią bawiłem. Kiedy tak «szybowałem w powietrzu jak ryba w wodzie», podpłynąłem do jednego z wielkich panoramicznych okien. Zanim zdołałem zmienić kurs, przeniknąłem po prostu przez nie bez trudu i znalazłem się na dworze. Obejrzałem się przez ramię, aby stwierdzić, czy nie potłukłem okna. Było jednak i zupełnie nienaruszone, co mnie zdumiało. W osłupieniu szybowałem dalej, spoglądając przy tym w dół na wilgotną trawę. Nagle zobaczyłem książkę.

Zniżyłem się, aby przeczytać jej tytuł. Był to zbiór krótkich opowiadań Guyde Maupassanta z XIX w. Naturalnie, znałem ;nazwisko tego słynnego francuskiego pisarza. Co prawda, nigdy mnie on szczególnie nie interesował, więc nie mogłem zrozumieć, jakie znaczenie mogłaby mieć dla mnie jego antologia.

Jak wiadomo, niekiedy w snach są zawarte wskazówki, choć przeważnie w formie symbolicznie zaszyfrowanej. W tym przypadku nie mogło wchodzić w grę nic podobnego. Z drugiej strony nie umotywowane pojawienie się książki wniosło ową charakterystyczną dla snów absurdalność, której dotychczas mi brakowało. Tym doznaniem zakończyła się moja nocna wycieczka poza ciałem.

Kolejnym wspomnieniem było ranne przebudzenie. Kiedy nieco później szedłem do szkoły, zagadnęła mnie sąsiadka. Opowiedziała mi, że spacerując w lesie w pobliżu naszego domu, zgubiła książkę wypożyczoną z biblioteki. Było to dla niej bardzo niemiłe, bo chodziło o dość cenny zbiór krótkich opowiadań Guy de Maupassanta z ubiegłego stulecia. Zapytała mnie, czy może zauważyłem taką książkę. Moje zdumienie nie miało granic. Aby rozmówczyni mogła zrozumieć jego przyczyny, opowiedziałem jej mój «sen». Udaliśmy się razem do miejsca, gdzie widziałem tę książkę z lotu ptaka. Leżała dokładnie w tym miejscu.

Moje przeżycie może mieć kilka wyjaśnień. Najbardziej prawdopodobne jest według mnie to, że moja świadomość, albo jej część, opuściła ciało we śnie i że faktycznie widziałem tę książkę. Wówczas po raz pierwszy przyszła mi do głowy niepokojąca i z naukowego punktu widzenia niesłychana myśl, że świadomość i wszystkie odczucia i spostrzeżenia, które się definiuje jako «jaźń», może nie są do tego stopnia związane z biologicznym mózgiem, jak do tej pory sądziłem".

To zadziwiająca sprawa, ale może jednak występuje tu "tylko" groteskowy splot najbardziej nie wiarygodnych przypadków? Wobec przeżycia OOB numer dwa (tego spektakularnego) musi jednak skapitulować nawet wyświechtany przypadek.

Pisemna wiadomość od astralnego podróżnika

W 1828 r. brytyjski statek wypłynął z Liverpoolu i od kilku tygodni pruł lodowate wody północnego Atlantyku. Pewnego dnia pierwszy mat Robert Bruce odkrył w kajucie kapitana obcego człowieka. Nieznajomy pisał coś na tablicy. Bruce wiedział, że nie mógł on być członkiem załogi, i uznał go za pasażera na gapę. Oddalił się, aby sprowadzić kapitana, ale kiedy obaj wrócili do kajuty, nikogo już tam nie było. Znaleźli tylko pozostawioną wiadomość: "Weźcie kurs na północny zachód".

Statek został przeszukany od stępki po czubki masztów, ale żadnego pasażera na gapę nie udało się znaleźć. Wtedy kapitan zwołał całą załogę i rozkazał każdemu z marynarzy napisać te same słowa, które pozostawił nieznajomy. Żaden jednak nie miał charakteru pisma choćby w najmniejszym stopniu przypominającego litery tajemniczej wiadomości. Zdarzenie było tak dziwne, że kapitan postanowił usłuchać wezwania. Statek zawrócił z drogi ku Nowej Szkocji i wziął kurs na północny zachód.

Wkrótce po zmianie kursu obserwator spostrzegł inny statek, uwięziony w lodach północnego Atlantyku. Gdyby jego załoga pozostała zdana tylko na własne siły, zginęłaby. Tylko nieoczekiwane nadejście pomocy uratowało uwięzionych w lodzie. Załoga i pasażerowie obcego statku przeszli na statek brytyjski i przy tej okazji Bruce zwrócił uwagę na pewnego człowieka, podobnego jak dwie krople wody do tajemniczego gościa. Poproszono go o próbkę pisma, i tym razem okazało się identyczne ! jak pismo, którym napisano instrukcję zmiany kursu.

Człowiek ten opowiedział, że kiedy statek uwiązł w lodach, pewnej nocy zasnął i we śnie zmienił miejsce pobytu; kiedy się przebudził, wiedział, że zostaną uratowani.

Wypędzenie z ciała przez tortury

Do pozacielesnych przeżyć dochodzi w najróżniejszych sytuacjach i z najrozmaitszych okazji. Ich formy zmieniają się podobnie jak mechanizmy, które je wyzwalają. Kto by na przykład pomyślał, że takim czynnikiem wyzwalającym mogą być tortury? Jest z pewnością jednym z najbardziej godnych ubolewania faktów, że w wielu krajach dzień za dniem liczne dusze opuszczają ludzkie ciała w czasie tortur, ponieważ nieszczęśnicy nie przeżywają zadawanych im mąk. W przypadku Eda Morrella sprawy miały się nieco inaczej.

Ów żarliwy przeciwnik kapitalizmu i autor książek, którego Jack London tak podziwiał, że uczynił go bohaterem swojej ostatniej powieści *Włóczęga wśród gwiazd*, za młodu stale popadał w konflikt z władzami. Na skutek tej jego przywary było mu dane poznać niejedno więzienie, także państwowy zakład karny w Arizonie.

W swojej książce *The Twenty-Fifth Man* (Dwudziesty piąty człowiek) Morrell opisuje zaskakujące doświadczenie. W owych czasach nie cackano się z krnąbrnymi więźniami. Torturami zazwyczaj szybko "skłaniano ich do współpracy". Niewygodny Ed Morrell musiał doświadczyć kilkakrotnie tego procesu wychowawczego. Strażnicy byli zaprzysięgłymi zwolennikami zbawiennie wpływającego "odpowiednio dawkowanego nacisku". W praktyce odbywało się to tak, że więźniów mocno zawiązywano w określony sposób w kaftany bezpieczeństwa i polewano wodą. W czasie wysychania kaftan się kurczył, a nieszczęśnik nim spętany czuł się, jakby był duszony przez anakondę.

Za pierwszym razem Morrell znosił to jak wszyscy inni. Wydawało mu się, że zostanie zgnieciony, w jego głowie wybuchały iskry, a przed oczami wszystko mu wirowało. Nagle jednak nieznośny ucisk ustąpił, kiedy wyszedł z własnego ciała, całkowicie uwolniony od bólu. Obecny przy tym strażnikom wydawało się, że śpi. Nigdy jeszcze nie widzieli czegoś takiego. Bezradnie stali dookoła więźnia, który powinien był krzyczeć albo przynajmniej rzeźić, a tymczasem duch Morrella wędrował w dal, przed siebie. Niczym ciekawy turysta sunął ulicami San Francisco, postrzegając przy tym różne rzeczy, jak choćby wrak statku w zatoce San Francisco, o którego istnieniu znikąd nie mógł się dowiedzieć.

George W. P. Hunt, gubernator Arizony, potwierdził później, że Morrell miał wiele informacji o zdarzeniach i szczegółach ze świata zewnętrznego, do których z pewnością nie miał dostępu w zakładzie karnym.

Interesujące, że kiedy zaprzestano torturowania Eda Morrella, jego zdolność opuszczania ciała zanikła. Ten przypadek stanowi kolejną poszlakę wśród wielu wskazującą na to, że homo sapiens kryje w sobie więcej, niż się śniło szkolnej nauce.

Niezależnie od tego w tym przypadku wyraźnie manifestuje się aspekt przeżyć OOB, na którym łamią sobie zęby poszukiwacze racjonalnych wyjaśnień: istnienie wiedzy niemożliwej do normalnego uzyskania. Ujawnia się to w szczególnie frapujący sposób przy operacjach.

Barney Clark, pierwszy biorca sztucznego serca, wzbogacił to wielkie osiągnięcie medycyny o fantastyczny aspekt: obserwował on operację z punktu znajdującego się poza jego uśpionym ciałem, nad którym trudził się zespół chirurgów. Opis przebiegu operacji, jaki zaprezentował Clark, równie precyzyjny jak szczegółowy, nie znajduje żadnego wytłumaczenia. A przy tym jego doświadczenie nie jest wyjątkiem.

Grupa OOE profesora Saboma

Specjalista kardiolog Michael B. Sabom -profesor na Uniwersytecie Emory i członek V A Medical Center w Atlancie -uważał to wszystko za czcze wymysły. Aby pozbawić podstaw takie "mity", przeprowadził bardzo poważnie obmyślane doświadczenie; potem jednak Szawel przemienił się w Pawła.

Profesor Sabom skompletował grupę 25 pacjentów, którzy z powodu ataków serca często trafiali do szpitala. Wszyscy przechodzili reanimację i zdawali sobie sprawę z własnej sytuacji. Sabom zwracał uwagę, aby w tej grupie nie znalazł się nikt, kto by miał przeżycia poza ciałem. Ów specjalista kardiolog kazał więc pacjentom wyobrazić sobie, że asystują w procesie przywracania do życia, jako osoby postronne, i prosił ich o możliwie najdokładniejsze opisanie zabiegu. Dwudziestu z pytanych przedstawiało czyste fantazje, nie mające nic wspólnego z rzeczywistą reanimacją. Trzech miało najwyraźniej pewne wiadomości medyczne, ponieważ opisali przebieg zdarzeń w zasadzie prawidłowo, ale raczej ogólnie. Dwóch w ogóle nie miało pojęcia, co się z nimi działo.

Teraz profesor utworzył grupę kontrolną. Zebrał 32 osoby, które informowały o przeżyciach OOB w czasie swoich ataków serca i postawił przed nimi to samo zadanie. Prawidłowy opis przedstawiło 26 pacjentów, podając jednak za mało szczegółów, aby móc wydać jakąś opinię. Sześciu podało zdumiewająco dokładne i zweryfikowane później informacje na temat ich reanimacji. Jeden z nich zaprezentował tak ścisły opis, jakiego nikt się nie spodziewał. Profesor Sabom przytacza go w swojej książce opublikowanej w 1982 r. *Recollections of Death* (Wspomnienia o śmierci) wraz z własnym komentarzem:

"Nigdy nie odkryłem żadnych oznak świadczących o tym, żeby ów pacjent posiadał większą wiedzę medyczną niż przeciętny laik. Także okoliczność, że podał szczegóły dopiero

na moje uporczywe nalegania, przemawia przeciwko przypuszczeniu, że mógłby to być ktoś, kto tyknął nieco wykształcenia i chce się popisać swoją wiedzą albo samodzielnie «zrekonstruować» przebieg zdarzeń. Kiedy użyłem przyjętego w medycynie wyrażenia «defibrylator», mówiąc o instrumencie do elektrycznego masażu serca, człowiek ten poprawił mnie od razu: «To były takie tarcze z uchwyty, panie doktorze». Wyraźnie nie orientował się w terminologii, choć sam zabieg mógł opisać najdokładniej". Sabom dochodzi w swojej książce do wniosku, "że do istniejących danych najlepiej pasuje hipoteza o wyjściu z ciała".

Inna relacja, której dostarczył amerykański pisarz Harold Sherman, jest jeszcze bardziej znacząca. Przekracza ona, moim zdaniem, ostatecznie granicę między tym, co jeszcze jest możliwe, a tym, czego normalnie się już wytłumaczyć nie da. Autor ów mianowicie zaobserwował z jakiegoś punktu pod sufitem sali operacyjnej błąd w sztuce popełniony przez lekarzy w czasie operacji na nim samym.

Zabieg, któremu musiał się poddać Sherman, był stosunkowo niegroźny, a mimo to omal nie doszło do fatalnej w skutkach omyłki. Ponieważ nie było anestezjologa, znieczulenie ogólne przeprowadził pospiesznie sprowadzony dentysta. Zaaplikował przy tym pacjentowi nadmierną dawkę chloroformu. Sherman, który nagle znalazł się nad swoim ciałem, widział z rosnącym przerażeniem, jak lekarze podejmują gorączkowe próby reanimacji. Wkrótce potem jego ciało i duch połączyły się znowu. Wszystko raz jeszcze dobrze się skończyło.

Ku konsternacji obu lekarzy mających związek z tą sprawą, pacjent, o włos uniknąwszy śmierci, był dokładnie poinformowany o przebiegu zdarzeń w czasie operacji, nad którą stracono kontrolę. Mógł nawet zrekapitulować rozmowę między operującym a zastępczym anestezjologiem.

Migdałki Ingo Swanna

Naukowcy przeprowadzający eksperymenty w celu zbadania (albo zniesławienia) fenomenów OOB regularnie natrafiają na podobne, równie niepodważalne przypadki. Tak np. w 1971 r. do dyrektorki do spraw badań Amerykańskiego Towarzystwa Badań Psychiczych, dr Karlis Osis, zgłosił się pewien młody artysta i pisarz nazwiskiem Ingo Swann. W dzieciństwie wycięto mu migdałki. Z dziecięcą ciekawością mały pacjent przez cały czas operacji, wyszedłszy z własnego ciała, zaglądał lekarzowi przez ramię. Lekarz kłął pod nosem, usuwając migdałki. Potem wrzucił je do szklanego pojemnika, który postawił na półce i całkowicie zasłonił dwiema rolkami gazy opatrunkowej.

Kilka minut później młody Swann obudził się z narkozy. Pierwszym obiektem jego

zainteresowania były migdałki. Chciał je zabrać ze sobą i wskazał miejsce, gdzie stał szklany pojemnik, ukryty za gazą. Przy tym zauważył z niewinną otwartością, że lekarz w czasie zabiegu powiedział "cholera".

Ta relacja robi wrażenie, ale w przypadku tego człowieka jest to tylko wierzchołek góry lodowej. Amerykański artysta należy bowiem do tego szczególnego gatunku indywiduów, które praktykują OOB świadomie, wielokrotnie i celowo. Osoby te, na które nie ma fachowego określenia, mogą opuszczać swoje ciało w każdym miejscu i czasie.

Dla Ingo Swanna ta zdolność od najmłodszych lat była czymś oczywistym. Szczególnie bawiło go wnikanie swoim astralnym ciałem w głąb ziemi. Największą przyjemność znajdował w śledzeniu żył metalu.

Około swoich dwudziestych urodzin zaprzestał tych dziecinnych igraszek i zaczął trenować pozacielesne podróże poważnie i z coraz większym sukcesem. Wszystkich tych twierdzeń o sobie zdołał bez trudu dowieść w trakcie serii doświadczeń przeprowadzonych przez dr Osis, w czasie których wysyłał swojego ducha w różne miejsca i wszędzie identyfikował obiekty, o które go pytano. W przeciwieństwie do osób o podobnych uzdolnieniach, Swann wydawał się nie podlegać żadnym ograniczeniom co do miejsca. Twierdził nawet, że wysłał swoje duchowe ciało na Merkurego, najbliższą Słońca planetę Układu Słonecznego. Nikt nie chciał w to uwierzyć, ale nikt też nie umiał wyjaśnić, skąd Swann wzięł ściśle informacje astrofizyczne, których nie miała nawet NASA (między innymi dotyczące ekstrawaganckiej formy pola magnetycznego Merkurego, a przy tym w owym czasie sądzono jeszcze, że Merkury wcale go nie ma). Faktem jest, że wysłana później w głąb Układu Słonecznego sonda Mariner 10 przesłała na Ziemię drogą radiową dokładnie te dane o Merkury, które przekazywał Swann.

Codziennie podróże astralne Olivera Foxa

Mniej znany jest Anglik Oliver Fox, który w latach młodości -było to w początkach wieku -zaczął wysyłać swojego ducha w podróże. W okresie niedomagań zdrowotnych Fox miał bardzo intensywne sny i mógł też (może właśnie dlatego) pamiętać, co przeżył we śnie. Kiedy raz przyśniło mu się, że jest nad brzegiem morza, odczuł bardzo silne pragnienie, aby tam naprawdę pospacerować. Wtedy w jego świadomości rozgorzała dziwna walka wewnętrzna, w której część jego samego zmagала się z inną częścią. Doszło do osobliwych oscylacji otoczenia: kilkakrotnie wybrzeże znikало, ustępując miejsca sypialni, i na odwrót. Nagle nastąpiło szarpnięcie, jakby zerwała się jakaś niewidzialna taśma. Fox znowu znalazł

się na wybrzeżu, tylko tym razem wszystko wydawało mu się całkowicie rzeczywiste. Czuł się wolny od więzów ciała, nie był jednak całkiem pewien, co się z nim dzieje. W następnych tygodniach i miesiącach zaczął ostrożnie eksperymentować. Chciał wypróbować, czy drogą astralną może zdobyć informacje, które normalnie były mu niedostępne. W przeddzień egzaminu, do którego miał przystąpić, wysłał swojego ducha na przeszpiegi, chcąc dowiedzieć się, jakie będą pytania. Ten zamiar mu się powiódł, i kto by się spodziewał: faktycznie następnego dnia kandydaci musieli rozwiązywać te właśnie zadania. Znalazło się wśród nich kilka tak rzadko spotykanych, że po prostu niemożliwością było ich przewidzenie.

Historia Olivera Foxa jest dobrze udokumentowana, ale nie tak spektakularna, jak w przypadku większości jego kolegów, ponieważ Fox praktykował rodzaj "codziennych podróży astralnych", a tym samym prawie nie występował publicznie. Gdyby czasami nie wzywał innych do wysyłania ich ciał astralnych na spotkanie z jego duchem, to prawdopodobnie pozostałby całkiem niezauważony. Pewnego razu faktycznie udało się odbyć takie spotkanie duchów, doszło do niego na terenie Southampton Common School. Fox zachował swój dar aż do śmierci. Dokonywał on oddzielania ducha od ciała metodą wykazującą wielkie podobieństwo do tantrycznych hinduistycznych technik medytacyjnych. Na starość było to dla niego zbyt mozolne. Mimo to udawało mu się nadal wyprawiać w podróże astralne "starym sposobem", metodą świadomego snu.

Podstawowe dzieło na temat fenomenu OOR

Całkiem inaczej przebiegało życie Amerykanina Sylvana J. Muldoona. Nieco chorowity, podobnie jak Fox, odkrył on w wieku dwunastu lat, że może oddzielać swojego ducha od ciała. Na początku było to dla niego okropne doświadczenie, pełne fizycznych i psychicznych udręk. Z biegiem czasu nauczył się świadomie odbywać podróże astralne. Ponieważ dla swoich bliźnich w dalszym ciągu pozostawał niezapisaną kartą, to w trakcie jego eksperymentów z OOB nie ominęła go niejedna przykrość.

Na przykład pewnego razu podszedł na ulicy do jakiejś dziewczyny i spytał, gdzie mieszka. U słyszał w odpowiedzi radę -której mógł się spodziewać -żeby poszedł do diabła. Zagadnięta nieznajoma nie mogła wiedzieć, że ciało astralne Muldoona kilka dni wcześniej odwiedziło farmę, gdzie był jej dom. Doszło wtedy do spotkania. Muldoon nie dał się zbić z tropu i opisał wzburzonej dziewczynie jej pokój. To ją zaskoczyło, bo wszystko w opisie dokładnie się zgadzało. Skąd mógł to wiedzieć? Z tej ! nietypowej rozmowy miała się zrodzić wieloletnia przyjaźń ; między młodą kobietą a Muldoonem. Przez cały ten czas odbywał on

podróże astralne, nie przywiązując do tego zbyt dużego znaczenia.

Trwało to przeszło 10 lat, aż Muldoon, przeczytawszy książkę Herewarda Carringtona, parapsychologa i poważanego członka Amerykańskiego Towarzystwa Badań Psychiczych, uświadomił sobie, że fenomen ten jest przedmiotem zainteresowania naukowego. Nawiązał więc kontakt z autorem i badaczem w jednej osobie. Carrington natychmiast się zorientował, że ma do czynienia z nadzwyczajnym talentem wrodzonym i podjął współpracę z Muldoonem. Kontakt ten zaowocował publikacją w 1929 r. dzieła autobiograficznego *The Projection of the Astralbody* (Projekcja ciała astralnego), którego współautorami byli Muldoon i Carrington. Książka ta wzbudziła ogromną sensację.

Co ciekawe, Amerykanin stracił swoje zdolności OOB, kiedy stan jego zdrowia uległ poprawie i po latach dość skromnego życia uzyskał nareszcie zabezpieczenie materialne. W 1971 r. Sylvan Muldoon zmarł jako całkiem "normalny" człowiek, mimo swojej dawniejszej sławy, w całkowitym zapomnieniu. Tylko znawcy wiedzieli, jaka fascynująca indywidualność na zawsze opuściła ziemię.

Postawa, jaką Muldoon przez całe życie zajmował wobec swojej bynajmniej nie codziennej przecież zdolności, urzeka prostotą. Zawsze dystansował się od okultystycznych, mglistych wyobrażeń, jakoby jego duch przebywał w innych wymiarach czy na innych płaszczyznach. Także jego ciało astralne chodziło obiema nogami po ziemi.

-Nie mam pojęcia, gdzie miałbym szukać wyższych sfer -komentował.

Drugie ciało Roberta Allana Monroego

Zapewne najbardziej znanym astralnym podróżnikiem i zarazem badaczem OOB jest Amerykanin Robert Allan Monroe. Żyjący na farmie w Blue Ridge Mountains w Nelson County (Wirginia) specjalista w dziedzinie elektroniki i telewizji kablowej, autor, kompozytor, dyrektor programowy, producent i wielki przedsiębiorca studiował budowę maszyn i prasoznawstwo. Po egzaminach poświęcił się elektronicznym środkom masowego przekazu, przy czym mógł rozwinąć swoją wszechstronność i szybko awansował na kierownicze stanowiska. Także w branży reklamowej dał się poznać w imponujący sposób. Jednak centralnym czynnikiem jego życia były i są doświadczenia pozacielesne. Syn profesora uniwersytetu i lekarki traktuje gruntowność i naukowe metody postępowania jako coś całkiem oczywistego, zawdzięczamy mu więc najdokładniejsze zapiski, o największej mocy dowodowej, jakie istnieją na temat tego fenomenu. Monroe udokumentował dotąd z największą dokładnością 589 swoich podróży astralnych. Jego wywodom przyznaje się

absolutną moc dowodową.

Waga tej dokumentacji jest tym większa, że Monroe jest poważnym naukowcem. W 1973 r. założył on Instytut Nauk Stosowanych Monroe z licznymi laboratoriami i urządzeniami badawczymi. Jego badania nad przyspieszeniem uczenia się przez rozszerzenie świadomości mają uznaną rangę. W 1975 r. przyznano mu patent na jego metodę relaksowania się we śnie.

Doświadczenia Monroego poza ciałem zaczęły się w latach pięćdziesiątych. Pewnego popołudnia w niedzielę drzemał na tapczanie w pokoju, kiedy jego ciało musnął ciepły promień światła, wprawiając je w lekkie wibracje. To zdarzenie wywarło na nim tak silne wrażenie, że Monroe udał się do lekarza, ale okazało się, że jest zdrow jak ryba. Przejście to wciąż się powtarzało, kiedy spał albo był pogrążony w półśnie. Raz miał przy tym całkiem silne poczucie, jakby mógł przeniknąć ręką matę leżącą obok łóżka i ziemię. Cztery tygodnie później nastąpił przełom. Znowu ogarnęły go ciepłe drgania, które potem wydawały się płynąć do jego głowy i tam się koncentrować. Otworzył oczy i spojrzał w dół na samego siebie. Jego duch szybował tuż pod sufitem. Wprawilo go to w takie wzburzenie, że niczym skoczek rzucił się w dół, aby z powrotem stopić się ze swoim ciałem.

Po pewnym czasie Monroe zdał sobie sprawę, że może dowolnie wywoływać ten efekt. Niewiele później natrafił na dzieło Muldoona i Carringtona. Uspokoila go świadomość, że nie jest wyjątkiem i zaczął eksperymentować ze swoim talentem. Jego ciało astralne odbywało wędrówki, w czasie których Monroe świadomie starał się zapamiętywać różne szczegóły do późniejszej kontroli. Zgodność między informacją astralną a rzeczywistymi okolicznościami (określone przedmioty, miejsca itd.) była zawsze stuprocentowa. Wszystkie te zdarzenia sumiennie odnotował w raportach. Pod jednym natomiast względem Monroe był i jest fenomenem jedynym w swoim rodzaju, ponieważ jego duchowe ciało może wykonywać konkretne czynności, czego nie może robić większość innych astralnych podróżników. Na przykład, składając duchem wizytę przyjaciółce, mógł ją uszczypnąć tak, że potem wściekła prezentowała mu sińce.

Monroe przyjmował z zadowoleniem i popierał wszelkie naukowe badania jego zdolności. Ich wyniki dowodziły zawsze jednoznacznie, że badany rzeczywiście mógł robić to wszystko, o czym mówił. W 1977 r. dr Stuart W. Tremlow i dr Jones z Wydziału Medycznego Uniwersytetu Kansas zdołali w czasie trwającej 30 minut próby zarejestrować krok po kroku wychodzenie astralnego ciała Monroego z jego ciała fizycznego. Badacze użyli do tego celu poligrafu Beckmanna z lewą i prawą elektrodą potyliczną EEG. Badał Monroego także Charles Tart, parapsycholog i autor podstawowego dzieła *Zmienione stany*

świadomości, i potwierdził autentyczność jego zdolności. Neurolog dr Andrija Puharich i inni doszli do tego samego rezultatu.

Badania OOB trwają od przeszło stu lat

Próby doświadczalnego zgłębienia fenomenu OOB nie zaczęły się dopiero w naszych czasach. Francuzi dr H. Durville i Albert de Rochas sądzili już w XIX w., że utrwalili ciało astralne na płycie fotograficznej, a dr Malta i Zaalberg von Zest byli przekonani, że za pomocą skomplikowanego urządzenia doświadczalnego udało im się określić jego ciężar. Co prawda, dopiero w 1959 r. został powołany do życia przez wzmiankowanego już profesora Homella Harta oparty na solidnych podstawach naukowy program badania fenomenów pozacielesnych, który odpowiada naszym standardom.

Od tej pory podejmowano wiele badań tego rodzaju. Jeden z najbardziej aktualnych eksperymentów został przeprowadzony w 1989 r. przez angielskiego parapsychologa dr. Arthura Duncana. Zahipnotyzował on dwie osoby i kazał im wysłać swoje duchy do mieszkania kolegi, aby tam zobaczyć, co się znajduje na biurku. Spisane potem ich relacje były prawie identyczne i opisywały z zaskakującą dokładnością przedmioty tam leżące.

Nieco odróżnia się od pozostałych eksperyment przeprowadzony na słynnym Uniwersytecie Duke (Karolina Północna) z pewnym młodym człowiekiem nazwiskiem Stuart Blue Harary. Mimo że Harary był "astralnym podróżnikiem", to zainteresowanie badaczy dotyczyło nie tyle jego samego, co jego małego kota imieniem Spirit, który przebywał w oddaleniu około kilometra od swojego pana, zamknięty w wielkiej drewnianej skrzyni, i miauczał nieszczęśliwie. Koci pokój był naszpikowany ogromnym zestawem instrumentów, wśród których znajdował się powiększalnik obrazu, jak również urządzenia mogące mierzyć ciepło, przewodność elektryczną, strumień magnetyczny i wiele innych parametrów. W czasie próby trwającej 40 minut Harary miał za zadanie duchem odwiedzić swojego kota, pobawić się z nim, potem go uspokoić. Młodemu człowiekowi udało się to zrobić, choć, jak twierdził, tylko przez cztery minuty. Przyrządy pomiarowe nie zarejestrowały niczego, inaczej niż ów kociak. Dokładnie na czas tych czterech minut przestał żałośnie miauczeć. Poruszał się tak, jakby go głaskała jakaś niewidzialna ręka, mruczając i promieniejąc w uczuciu najwyższej błogości.

W gruncie rzeczy prawie wszystkie eksperymenty są dość jednoznaczne i przekonujące. Ten rzeczowy aspekt sprawy kryje w sobie jednak moim zdaniem pewne niebezpieczeństwo: łatwo można przeoczyć fakt, że fenomen OOB wprawdzie daje się

udowodnić, jednak jest o wiele bardziej tajemniczy, niż z pozoru wygląda. Jeszcze bardziej tajemniczy? Czy nie jest wystarczająco fantastycznym zjawiskiem, że ludzie najwidoczniej mają zdolność rozstawania się ze swoim duchem? Bez wątpienia -ale również związane z tym kwestie i problemy są niezwykle fantastyczne.

Najpierw pojawia się filozoficzna kwestia, czy może przy astralnych podróżach duch kursuje tam i z powrotem między tym i tamnym światem -w końcu dla wielu śmierć nie jest niczym innym jak opuszczeniem materialnej powłoki -albo też, co by było, gdyby osoba uzdolniona do OOB na krótko przed swoim zgonem postanowiła przeżywać to raczej "z zewnątrz"? Można też snuć praktyczne rozważania, czy OOB (o ile można się tego nauczyć) nie mogłoby w istotny sposób przyczynić się do poprawy jakości życia w przypadku niektórych upośledzeń. Jeśli przemyślimy ten fenomen, konsekwentnie w jego wszystkich aspektach, to w istocie dochodzi się do wniosków, które -rzecz nie do wiary -wydają się jeszcze dziwniejsze.

Zastanówmy się, jakich spostrzeżeń może dokonywać "czysty duch". Co za pytanie? -powie niejeden czytelnik bez namysłu. Chyba takich samych, jak każdy z nas. Otóż właśnie nie. Na przykład widzenie polega na wzajemnym oddziaływaniu między kwantami światła a siatkówką oka. Ciało astralne, które -jak to często demonstrowano -może bez problemu przenikać przez materię stałą (na przykład okno), także z fotonami nie może współdziałać. A więc niematerialny astralny podróżnik nie powinien niczego widzieć, podobnie niczego słyszeć ani wyczuwać węchem. Sprawy mają się jednak inaczej. Niekiedy ciała astralne okazują się jako ze wszech miar solidne obiekty, przypomnijmy sobie choćby marynarza ze statku uwięzionego w okowach lodowca, który napisał wiadomość na tablicy, albo pod szczyptywanie pewnej części ciała kobiety przez pana Monroe.

LOCALE I, II, III i srebrny sznur

Gdziekolwiek spojrzeć, aż się roi od niejasności. Biorąc to pod uwagę, nie powinniśmy po prostu odrzucać bez namysłu jednoznacznie mistycznych teorii na temat fenomenu OOB. Kto wie, czy w hierarchicznym systemie podróży astralnych na różnych płaszczyznach LOCALE I, II i III, opracowanym przez Roberta A. Monroe, coś jest? W jego koncepcji LOCALE I to nasza fizyczna płaszczyzna, nasze tu i teraz. Oba pozostałe regiony

mają naturę psychologiczno-ezoteryczno-metafizyczną. Interesujące, że właśnie naukowiec buduje taką teorię.

Podobnie neutralną postawę powinniśmy zachować względem "srebrnego sznura". To spostrzegane niekiedy przez astralnych podróżników połyskliwe połączenie między ich materialnym a subtelnym ciałem ma być jakoby astralną pępowiną; dość rozciągalną *notabene*, jeśli wziąć pod uwagę podróż Ingo Swanna na Merkurego oddalonego od Ziemi o 75 do ponad 200 milionów kilometrów.

Tak więc przechodzimy do *resume*: duch człowieka może w określonych okolicznościach wyzwolić się z więzów materii. Pozostaje zagadką, co się przy tej okazji faktycznie dokonuje. Być może, także i tu mają coś do powiedzenia nieznanne moce. Ostatecznie (naukowiec) Monroe informuje o napotkanych w czasie jego podróży OOB jakby gumowych stworach i innych egzotycznych istotach, które mogły widzieć jego duchowe ciało. Także od innych astralnych podróżników można usłyszeć podobne relacje, do czego należy naturalnie podchodzić z największą powściągliwością.

Jest faktem, że fenomeny pozacielesne odgrywają daleko większą rolę w życiu codziennym, niż można by sądzić w odniesieniu do tak fantastycznej sprawy. Na przykład psychiatra Fowler Jones usłyszał od pewnego człowieka uczynione mimochodem wyznanie, że w formie ciała astralnego znalazł się w jakimś miejscu, gdzie planowano jego zamordowanie. Plan został odwołany, kiedy potencjalna ofiara zaczęła o tym rozmawiać z niedoszłymi sprawcami. Podobne opowieści stanowią materiał ukochany przez prasę bulwarową; można w niej było także przeczytać, że Monroe rzekomo prowadzi kursy samorealizacji za pomocą OOB.

Słynni astralni podróżnicy

Krótko mówiąc, takie doświadczenia stają się udziałem ludzi wszystkich epok, ras, grup wiekowych, religii i kultur. Są one równie często spotykane u ludów prymitywnych jak wśród zestresowanych cywilizowanych neurotyków. O przeżyciach pozacielesnych informują naukowcy, jak na przykład szwajcarski psycholog głębi C. G. Jung. Artyści, również tak sławni, jak Johann Wolfgang von Goethe, D. H. Lawrence, Jack London, Aldous Huxley czy Ernest Hemingway, oświadczają, że doznania OOB zainspirowały ich twórczo. Ostatni z wymienionych w swoim opowiadaniu *W innej krainie* uwiecznił takie przeżycie, którego doznał w 1918 r. w czasie pierwszej wojny światowej w korpusie sanitarnym armii USA w następstwie ciężkiego zranienia.

Jedynym rzeczywiście pewnym wnioskiem, jaki może wynikać z tego wszystkiego, jest tylko stwierdzenie, że owa często wspomiana jedność ciała i ducha opiera się na nietrwałych podstawach, a rzeczywistość znowu okazuje się całkowicie nierzeczywista. W tej świadomości będziemy nadal kwestionować tak zwaną pewną wiedzę.

Cudowna istota człowiek: myślenie bez mózgu

*Trzeba udowodnić
ponad fizyczną naturę człowieka.*

Joseph Banks Rhine

Mózg nie jest nam potrzebny

W czasie konferencji pediatrów w 1980 r. brytyjski neurolog dr John Lorber wywołał wielkie poruszenie, wysuwając spektakularną hipotezę. Brzmiała ona: "Mózg nie jest nam potrzebny!".

Nie był to tylko prowokacyjny żart. Dr Lorber nie chciał ani za wszelką cenę ściągnąć na siebie uwagi, ani też nie postradał zmysłów. Pytanie o konieczność posiadania organicznego aparatu do myślenia, od którego zaczął swój referat, było odpowiednio uzasadnione. Podsumowywało ono jedynie w skrócie wiele osobliwych zdarzeń, z którymi neurolog ów zetknął się już w połowie lat sześćdziesiątych.

Miał wówczas pod swoją opieką dwoje dzieci z wodogłowiem. Ze względu na tę anomalię żadne z tych dzieci nie miało kory mózgowej. Mimo tak ogromnego upośledzenia (ostatecznie konwencjonalna medycyna uważa korę mózgową za siedlisko świadomości) duchowy rozwój maluchów nie wydawał się odbiegać od normalnego. Jedno z dzieci zmarło w wieku trzech miesięcy. Drugie po upływie roku było wciąż jeszcze umysłowo zdrowe i całkowicie normalne, mimo że badania jednoznacznie wykazały całkowitą nieobecność substancji mózgowej. Dr Lorber opublikował w czasopiśmie "Developmental Medicine and Child Neurology" raport na temat tej zagadkowej anomalii. Jak często bywa w przypadku pojawienia się niemiłe widzianych zjawisk, oddźwięk na jego artykuł był równy zeru.

Zagadka ta jednak nie dawała mu spokoju. Prowadził dalsze badania w tym kierunku, w żaden sposób nie tając swojego specjalnego zainteresowania. Zdarzyło się więc, że jeden z jego kolegów lekarzy przysłał do niego młodego człowieka, który studiował na Uniwersytecie Sheffield. Człowiek ów miał głowę większą od normalnej, ale nic poza tym. Od dawna otrzymywał najlepsze oceny z matematyki, a jego wielokrotnie mierzony iloraz inteligencji, wynoszący 126, kwalifikowałby go do przyjęcia do różnych klubów "superinteligentnych".

Osobliwe było tylko to, że student ów nie dysponował tkanką mózgową, co niepodważalnie wykazały badania dr. Lorbera. Zawartość czaszki młodego człowieka

stanowiła warstwa komórek mózgowych o grubości zaledwie jednego milimetra, a resztę woda. Gdyby go zaraz po urodzeniu umieszczono w ciemnym pomieszczeniu i skierowano promień światła na jego czaszkę, to światło bez trudu przeniknęłoby jego głowę z racji delikatnej struktury kości, charakterystycznej dla wieku niemowlęcego. Zdziwiający fakt, że żyje pozbawiony mózgu, niezbyt wstrząsnął młodym człowiekiem. Przed tym odkryciem funkcjonował całkiem normalnie, a później także.

Tymczasem dr Lorber w trakcie swoich systematycznych poszukiwań napotkał wiele podobnych przypadków. W szpitalu dziecięcym w Sheffield zbadał przeszło 600 chorych na wodogłowie, uzyskując przy tym zdumiewający obraz. Około 10% badanych miało czaszkę w 95% wypełnioną płynem. Z definicji nie mieli oni sprawnego mózgu. Mimo to połowa z tych dziesięciu procent była w pełni sprawna umysłowo, a nawet wykazywała ponadprzeciętny iloraz inteligencji wynoszący więcej niż 100.

Obszerne studium dr. Lorbera nie jest pierwszym swojego rodzaju. Dr Wilder Penfield, dyrektor Instytutu Neurologii Uniwersytetu McGill w Montrealu i jeden z czołowych chirurgów mózgu, przez dziesiątki lat poświęcał się badaniu tej intrygującej zagadki. Skłoniła go do tego praca dr. Waltera Dandy'ego z 1922 r. o ludziach, którzy mimo pewnych braków swojego mózgu prowadzą absolutnie normalne życie.

Dr Penfield przeprowadził serię doświadczeń, w których celowo wyłączał częściowo mózg badanego za pomocą prądu i innych metod. W przeszło 500 próbach nie zdołał uchylić rąbka tajemnicy, ale za to niewątpliwie udowodnił istnienie fenomenu.

W maju 1950 r. słynny nowojorski neuropsychiatra dr Russel G. MacRobert w następujący sposób skomentował monumentalne studium Penfielda, jak również samą tajemnicę, w magazynie "Tomorrow": "Chirurg wycinający duże części mózgu, niszczy nie tylko jego tkankę, ale nieuchronnie także nasze obecne wyobrażenie o duchu i świadomości".

Musiał kiedyś nadejść moment, kiedy nie sposób było dłużej ignorować tego wszystkiego i trzeba było podjąć różne próby wyjaśnienia. Niektórzy specjaliści po prostu negują uzyskane rezultaty, wskazując na trudności w pomiarach mózgu. Inni mówią filozoficznie o zasadzie nadmiaru w przyrodzie, która może się szczególnie manifestować w strukturach mózgu. Tej ostatniej grupie przeciwstawił się profesor anatomii Patrick Wall z Uniwersytetu w Londynie, stwierdzając:

-Mówienie o nadmiarze w odniesieniu do mózgu jest wybiegiem pozwalającym nie przyznać się do tego, że czegoś nie potrafimy zrozumieć.

Podobne stanowisko zajął także neurolog Norman Geschwind ze szpitala Beth-Israel w Bostonie, mówiąc: "Naturalnie, mózgu wykazuje godną uwagi zdolność przejmowania po

urazie funkcji przez nowe ośrodki, ale jakieś niedostatki zazwyczaj pozostają nawet przy pozornie całkowitym wyzdrowieniu. Testy wciąż na nowo tego dowodzą".

Zdruzgotany, zniszczony, usunięty, a jednak w pełni sprawny

Sprzeciwia się temu doświadczeniu fakt, że wielu ludzi może przetrwać bez żadnej szkody najradykałniejsze zabiegi (rozdzielenie półkul mózgowych, usunięcie jednej półkuli itd.), gdy tymczasem inni ulegają ciężkiemu upośledzeniu na skutek zwykłego uderzenia w głowę. Jeśli gruntownie przyjrzymy się historii medycyny, to aż się tam roi od takich dziwnych przykładów. Doniesienia na ten temat sięgają daleko w przeszłość.

Opis jednego z pierwszych szczegółowo udokumentowanych przypadków znajduje się w słynnym podstawowym dziele Goulda i Pyle'a: *Anomalies and Curiosities of Medicine* (Anomalie i osobliwości medycyny). Chodziło tam o dwudziestopięcioletniego brygadzystę ekipy budującej linie kolejowe w USA, Phineasa Gage'a. We wrześniu 1847 r. ów młody człowiek zamierzał wysadzić w powietrze grupę skal Otwór strzelniczy napęłniony prochem dymnym i ubijał go stemplem o średnicy około 4 cm i wadze prawie 7 kg. W skutek wypadku doszło do przedwczesnej eksplozji, przy której ciężki drąg został wyrzucony w powietrze i głęboko wbił się w czaszkę Gage'a. Koledzy przenieśli ofiarę wypadku do gabinetu lekarskiego, gdzie pospiesznie usunięto tkwiący w jego głowie drąg, wraz z częściami kości czaszki i większymi partiami tkanki mózgowej. Obaj lekarze udzielający poszkodowanemu pierwszej pomocy nie daliby ani pensa za jego przeżycie, za to każdą sumę postawiliby na to, że jeśli jakimś cudem z tego wyjdzie, to będzie trwale pozbawiony świadomości. Przegraliby oba zakłady, gdyż dwudziestopięcioletni pacjent nie tylko przeżył, ale nawet doszedł do siebie (z wyjątkiem zaburzeń w zachowaniu), mimo że w jego głowie pozostał tunel o średnicy ponad 8 cm. Przebiegał on przez czaszkę, jak stwierdzili specjaliści, "od lewego płata czołowego równoległe do szwu strzałkowego". Przypadek ten łączy w sobie wiele niemożliwych elementów.

Nie mniej dramatyczny los spotkał pewną robotnicę fabryki włókienniczej w 1879 r. na jej stanowisku pracy. Ogromna śruba wyleciała z maszyny i wbiła się głęboko w głowę tej nieszczęśnicy, niszcząc przy tym bezpowrotnie rozległe partie jej mózgu. Kolejne ubytki spowodowali chirurdzy, wydobywając operacyjnie śrubę z jej głowy. Wbrew wszelkim przewidywaniom młoda kobieta nie odniosła trwałych obrażeń. Jeszcze przez 42 lata żyła i nawet nie uskarżała się na bóle głowy.

W czasopiśmie "Medical Press of Western New York" z roku 1888 znajduje się opis

przypadku pewnego marynarza, który utracił ćwierć czaszki przycięty między belką mostu a nadbudówką statku, na którym pracował. Filar o ostrych krawędziach odciął temu człowiekowi część jego czaszki. Lekarze stwierdzili utratę dużej ilości krwi i znacznej części tkanki mózgowej. To jednak nie przeszkodziło choremu w powrocie do normalnego życia po odzyskaniu świadomości. Po odzyskaniu przytomności natychmiast chciał się ubrać i znowu przystąpić do służby.

Z pierwszych lat naszego stulecia pochodzą zapiski dr. Nicholasa Ortiza, omawiające studium, które przedstawił boliwijski lekarz dr Augustin Itturicha z Towarzystwa Antropologicznego w Sucre w Boliwii. Chodziło tam o osoby pozostające do śmierci w pełni władz umysłowych. Przy obdukcji okazywało się jednak, ku bezgranicznemu zdumieniu chirurgów, że ich mózgi już od wielu lat były całkowicie zniszczone przez ropnie, guzy itp. Dziwnym trafem dane osoby aż do śmierci o tym nie wiedziały. Szczególne wrażenie wywarł na dr. Itturichu przypadek pewnego chłopca, który stale uskarżał się na silne bóle głowy i umarł w wieku czternastu lat. Autopsja wykazała, że masa mózgu chłopca już od dłuższego czasu była całkowicie oddzielona od wewnętrznej strony czaszki -co zwykle daje identyczne skutki, jak ścięcie głowy. Chłopiec ten jednak przez cały czas nie przejawiał najmniejszego upośledzenia.

Niemowlę, które przyszło na świat w 1935 r. w Nowym Jorku w szpitalu św. Wincentego, przez 27 dni niczym się nie różniło od innych osesków. Piło mleko, krzyczało, płakało, próbowało chwytać przedmioty, reagowało na bodźce środowiska i poruszało się absolutnie normalnie. Potem umarło. Przy obdukcji okazało się, że niemowlę urodziło się całkowicie pozbawione mózgu.

Lekarze dr Jan W. Bruell i dr George W. Albee informowali w 1953 r. na forum Amerykańskiego Stowarzyszenia Psychologicznego o trzydziestodwuletnim mężczyźnie, któremu usunięto całą prawą półkulę mózgu. Nie tylko przeżył ten poważny zabieg, ale, jak zakończyli swoje wystąpienie obaj prelegenci, "intelektualne zdolności tego mężczyzny praktycznie nie uległy uszczupleniu".

Równie frapujące -a do tego nieco makabryczne -są okoliczności, wobec których stanął lekarz dokonujący autopsji pewnego młodego człowieka, ofiary wypadku. Zmarły przyszedł na świat z mocno rozwiniętym wodogłowiem. Aby uratować życie niemowlęciu, wszczepiono mu do czaszki aparaturę do odprowadzania wytwarzanego w nadmiarze płynu mózgowego. Awaria tej aparatury spowodowała śmierć młodego człowieka. Stwierdził to lekarz sądowy przy sekcji zwłok, wykrywając zarazem fakt, że zmarły miał tylko cieniuteńką warstwę komórek mózgowych; był to zatem jasny przypadek najcięższego upośledzenia

umysłowego. Informując rodzinę o przyczynie śmierci, lekarz sądowy wyraził jej swoje współczucie i dodał na pociechę, że śmierć jest wybawieniem dla każdego człowieka, który i tak musiał po prostu wegetować. Można sobie wyobrazić zaskoczenie i osłupienie lekarza, kiedy dowiedział się od rodziców zmarłego, że ich syn prowadził całkiem normalne życie i do ostatniego dnia wykonywał zawód wymagający wysokich kwalifikacji.

Są jeszcze skrajniejsze przypadki. Niemiecki ekspert, poświęcający się badaniom mózgu, Hufeland, odkrył, dokonując autopsji mężczyzny, który był w pełni władz umysłowych do chwili wystąpienia porażenia, że człowiek ten w ogóle nie posiadał mózgu. Jego mózgowcześnie była wypełniona tylko 312 gramami wody.

Słynny specjalista, dr Schleich, wyliczył 20 przypadków najcięższych ubytków tkanki mózgowej nie powodujących jakiegokolwiek upośledzenia umysłowego. W tym kontekście zauważył, że przypadki te były źródłem stałych rozterek personelu medycznego i dostarczały materiału do dyskusji nad starym filozoficznym pytaniem o siedlisko duszy. Krótko mówiąc: mózg -to niezbadana zagadka. Z jednej strony jest tak wrażliwy, że może już zarejestrować pojedynczy foton, z innej może świetnie funkcjonować, mimo że go nie ma.

Mózg i duch istnieją oddzielnie

Jakie wnioski można wyciągnąć z tego wszystkiego? Trudno powiedzieć. Nagi materializm okazuje się niewystarczający. Świadomość w postaci niematerialnego ducha włóczy się po okolicy albo rozwija, nawet wtedy, gdy nie ma w ciele siedliska (mózgu). Mimo że większość neurologów w dalszym ciągu trzyma się wyobrażenia, że świadomość wyrasta z anatomii i struktury kory mózgowej, to muszą jednak przyznać, zgrzytając zębami, że nie mają rzeczywistego wyobrażenia o tym, jak powstaje świadomość, czy też jak mózg ją wytwarza, za co przecież ma być odpowiedzialny.

Można zaobserwować pierwsze niepewne kroki w nowych kierunkach myślenia. Na przykład ekspert w dziedzinie komputerów, Donald MacKay z angielskiego uniwersytetu w Keele, w udzielonym wywiadzie dał do zrozumienia, że może istnieć "równanie człowieka", które mogłoby przeżyć śmierć swojego "gospodarza" (ciała).

Skoro już jesteśmy gotowi posunąć się tak daleko w rozumowaniu, to byłoby *fair* przyznać, że także pod innymi względami przerażająco mało wiemy o naszej formie bytu i jej faktycznych możliwościach. Pewne jest tylko i wyłącznie to, że homo sapiens jest w równie małym stopniu "organiczną maszyną", jak wszechświat ogromnym zegarem.

Skierujmy więc wzrok jeszcze ku innym tajemnicom, które uzasadniają merytorycznie

określenie "cudowna istota -człowiek"; są to fenomeny, z którymi biologowie, anatomowie, lekarze i inni naukowcy mieliby utrapienie -gdyby musieli się nimi zająć poważniej, niż robią to w swoich sporadycznych eksperymentach, testach i analizach.

Cudowna istota człowiek: równy bogom?

*Jest możliwe, że życie jest o wiele większe
niż my, jednak równie dobrze
my możemy być o wiele więksi niż życie.*

Robert Ardrey

Wielkie badania w Pasadenie

14 kwietnia 1985 r. na boisku Kalifornijskiego Instytutu Technologii w Pasadenie zebrało się przeszło 1000 osób. Miały one wziąć udział w wielkim eksperymencie, przeprowadzanym przez fizyka plazmy dr. Bernarda Leikinda i psychologa dr. Williama McCarthy'ego, obu z Uniwersytetu Kalifornijskiego. Naukowcy ci mieli zamiar zdemistyfikować panoszący się od lat osiemdziesiątych fenomen chodzenia po ogniu. Dr Leikind i dr McCarthy nie mogli nigdy nabrać przekonania do twierdzeń zwolenników idei samorealizacji czy New Age, jakoby człowiek był w stanie do tego stopnia zapanować nad swoim ciałem, aby mógł bez leczenia pokonać raka, ślepotę, impotencję i wiele innych chorób. Jako dowód istnienia tych sił ducha przytacza się zwykle takie fenomeny, jak chodzenie po ogniu nie wyspecjalizowanych w tym osób. Eksperymentatorzy chcieli merytorycznie podjąć to wyzwanie.

Dr Leikind objaśnił zgromadzonym, co według niego jest fizyczną podstawą zjawiska chodzenia po ogniu. Mówił on o zróżnicowanej ilości energii cieplnej, o funkcji ochronnej wilgotnych podeszew stóp na podstawie "efektu Leidenfrost", który każe "tańczyć" kropli wody nad izolującą poduszką z pary na gorącej płycie, i o innych prawach natury. Potem zapraszającym gestem wskazał dół wypełniony żarzącym się węglem o temperaturze 750°C, czekający na śmiałków. Buchający żar był tak wielki, że jeszcze w oddaleniu 10 m trudno było usiedzieć. Mimo to 125 osób zdobyło się na odwagę i zaczęło boso chodzić po rozżarzonych węglach.

Ani jedna z nich nie znajdowała się w stanie mistycznej ekstazy ani nie była zahipnotyzowana. Co prawda, dr Leikind niewątpliwie uzyskał mobilizację sił wewnętrznych (jakiegokolwiek bądź natury) przez zaszczerpienie tłumowi swojej własnej bezwarunkowej wiary w czysto fizyczną naturę chodzenia po ogniu. W ten sposób jednak w gruncie rzeczy obalił tylko swoje własne tezy. W jego przypadku było nie inaczej, niż kiedy pół wieku

wcześniej fizycy (wśród nich słynny dr Charles R. Darling), psychologowie i dziennikarze pod kierunkiem Harry'ego Price'a z Uniwersytetu w Londynie przeprowadzili serię eksperymentów z dwoma fakirami na zlecenie angielskiego Towarzystwa Badań Parapsychologicznych w Surrey.

Badani, z których jednym był słynny Kuda Bux z Kaszmiru, przeszli bez jakiegokolwiek przygotowania ani stosowania środków pomocniczych po rozżarzonych węglach, między którymi unosiły się drgające płomyki, i nie doznali żadnego uszczerbku. Podeszwy ich stóp były potem nawet chłodniejsze niż przed eksperymentem. Już samo to było wystarczająco niewytłumaczalne, ale na tym się nie skończyło. Na zakończenie fascynującego widowiska fakirzy oświadczyli, że każdy z Europejczyków mógłby z ich pomocą chodzić po węglach, również nie doznając szkody. Pewien psycholog rzeczywiście się na to odważył. Z godnym podziwu samozaparciem zdjął buty i chodził po ogniu razem z jednym z fakirów. Nikomu z nich nie stała się najmniejsza nawet krzywda. Całe zdarzenie zostało sfilmowane.

Jest faktem, że najzupełniej normalni obywatele mogą iść w zawody z dalekowschodnimi jogami i guru, mimo że przedtem nie medytowali całymi latami, nie tkwili na słupach ani nie musieli osiągać stadium Ramakriszna Samadhi (zjednoczenie z Bogiem przez absolutną izolację). Nie istnieje zadowalające wyjaśnienie tej tkwiącej w nas wszystkich zdolności. U ludów pierwotnych sprawa jest prostsza, bowiem chodzenie po ogniu odbywa się tam z reguły w czasie ceremonii religijnych w stanie ekstazy. Można więc wykręcić się jeszcze od prawdziwego wytłumaczenia, wskazując na cielesne fenomeny, które jest w stanie wywołać trans. W przypadku zestresowanych menedżerów musi wchodzić w grę coś znacznie bardziej elementarnego - pochodzącego z niezbadanych głębi natury ludzkiej.

Ciało ujawnia po prostu od czasu do czasu osobliwe zdolności. Ognioodporność jest zapewne jedną z najbardziej zdumiewających, zwłaszcza gdy weźmiemy pod uwagę, jak bolesne jest oparzenie choćby tylko palca. Nie każdy z nas może być Lawrence'em z Arabii, który miał zwyczaj palcami gasić zapalki. Pytany, na czym polega ta sztuczka, odpowiadał:

-Sztuczka polega na tym, by nic sobie nie robić z bólu.

Nie każdemu byłoby to w smak.

Mimo niszczącego działania, jakie wywiera wysoka temperatura na ciało ludzkie, istnieje osobliwe powinowactwo między człowiekiem a ogniem. W pewnych warunkach można się przynajmniej częściowo przed nim ochronić, czego dowodzi obecna moda na chodzenie po ogniu. Niektórzy ludzie odznaczają się jednak po prostu "ogniotrwałością".

Ogniotrwały Nathan Coker

Do najsłynniejszych przypadków tego rodzaju zalicza się czarnoskórego Nathana Cokera z Denton (Maryland). Coker przyszedł na świat w 1814 r. w Hillsborough. Jego rodzice, a zatem i on, byli niewolnikami pewnego adwokata. Wielu białych bardzo dobrze traktowało swoich niewolników, tak że walczyli później w amerykańskiej wojnie secesyjnej u boku swoich panów po stronie Konfederacji. Właściciel Nathana należał jednak do innego gatunku. Dawał on swobodny upust swoim skłonnościom sadystycznym, a ponadto całymi dniami nie dawał chłopcu nic do jedzenia. Pozwoliło to dręczonemu odkryć swoją szczególną zdolność.

Pewnego popołudnia przebywał w kuchni, aby przynajmniej wachać to, czego nie wolno mu było jeść. W pewnym momencie jednak nie mógł się już opanować. Szaleńczy głód kazał mu zapomnieć o zakazach i wszelkiej ostrożności. Sięgnął więc do kotła z wrzątkiem, wyciągnął z niego kluskę i wsadził ją sobie chciwie do ust. W tej samej chwili zdał sobie sprawę, że się przecież oparzy wrzątkiem. Gorąca była jednak tylko ta myśl, bo nie odczuł żadnego bólu, ani w ręce, ani w ustach. Faktycznie nie odniósł żadnych obrażeń.

Wkrótce Nathan stwierdził, że nie może ulec oparzeniu. Zaczął zjadać potrawy o temperaturze wrzątku -na przykład tłuszcz zebrany z powierzchni gotującej się zupy -i nawet najwyższa temperatura nie robiła na nim wrażenia. Jaki zawód może wybrać człowiek mający takie talenty, kiedy zostanie wyzwolony? Słusznie, zostaje kowalem. Coker przeniósł się do Denton, gdzie został najpierw pomocnikiem kowala, a później kowalem. Zrozumiałą sensację budził jego zwyczaj wyjmowania z paleniska kowalskiego rozżarzonych do czerwoności kawałków żelaza gołą ręką i trzymania ich w ten sposób w czasie obróbki.

Rozeszły się wieści na temat jego zdolności. Nie mogło się obyć bez zainteresowania ze strony kręgów specjalistów i opinii publicznej. W 1871 r. Cokera zaproszono do Easton (Maryland), aby zbadać jego zdolności. W obecności dwóch redaktorów gazet, dwóch lekarzy i wielu prominentnych obywateli przyłożył sobie do podeszew stóp rozżarzoną do białości żelazną łopatę. Kiedy ją ponownie rozgrzano do białości, Coker zaczął ją oblizywać niczym jakiś smakołyk. Potem kazał sobie wlewać do rąk roztopiony ołów, wypełniał nim usta i na oczach przerażonych widzów tak długo w nich trzymał, obracając językiem, aż metal r zakrzepł. Ostygłą bryłę ołowiu przekazywano sobie z rąk do rąk. Po każdej z makabrycznych prób Nathana badali lekarze, nie zdołali jednak stwierdzić najłżejszego zranienia. "New York Herald" informował o tym pokazie w artykule wyrażającym to, co odczuwali wszyscy:

bezgraniczne zdumienie. Jeszcze bardziej zdumiewające są jednak takie przypadki, kiedy ognioodporność jest tylko jedną z kilku paranormalnych zdolności jednej i tej samej osoby. Oczywiście jest, że zdarza się to rzadko. Wspomniany już Kuda Bux należy do takich osób.

Nadludzki D, D, Home

Talenty Daniela Dunglassa Home' a zaćmiły jednak wszystkich. Home urodził się w 1833 r, w Edynburgu, a zmarł w 1886 r. w Auteuil we Francji. Jest on jednym z najsłynniejszych "wielokrotnych nadludzi", o ile nie najsłynniejszym w ogóle. Niewiarygodny ów Szkot był nieustannie badany, nikomu jednak nie udało się wyjaśnić jego wyczynów albo wręcz zdemaskować ich jako oszustwa. Specjalistom nie pozostało nic innego jak załamywać bezradnie ręce wobec tego niepokonanego wyzwania.

Home nie był szarlatanem wykonującym tajemnicze sztuczki w zaciemnionych pomieszczeniach przed łatwowierną publicznością. Przeciwnie, jego dewizą było zdanie: "Gdzie jest mrok, tam możliwe jest oszustwo". Prezentował on swe możliwości przy najjaśniejszym dziennym świetle i nie tylko zgadzał się na wszelką kontrolę naukową, ale się jej wręcz domagał. W trakcie licznych badań przy użyciu wyrafinowanej aparatury można było na przykład jednoznacznie ustalić, że Home nie hipnotyzował swoich widzów, ale faktycznie dokonywał wszystkich tych niewiarygodnych wyczynów. Pewnego razu na życzenie obecnych, lewitując, wykonał kredą znak na sprawdzonym wcześniej suficie. Słynny brytyjski fizyk i chemik sir William Crookes, któremu zawdzięczamy nazwaną od jego nazwiska lampę rentgenowską, opublikował w lipcu 1871 r. w "Quarterly Journal of Science" wyniki serii szczegółowych testów i pomiarów D. D. Home'a. *Resume* Crookesa było krótkie i węzłowe: "Horne jest autentyczny", Nie trzeba dodawać, że tak odważne stwierdzenie na zawsze zdyskredytowało tego wybitnego badacza i wynalazcę w oczach społeczności naukowej.

Ponieważ sztukmistrze z *varietes* wielokrotnie demonstrowali naukowcom prawdziwe cuda, aby dowieść, jak łatwo jest upozorować nadzwyczajne zdolności, zasięgnięto opinii jednego z najsłynniejszych magików owego czasu, wielkiego Bartolomeo Bosco, na temat dokonań Home'a. Bosco wyśmiał przypuszczenia, że Home mógłby stosować teatralne chwytły.

-To, co ten człowiek pokazuje -powiedział Bosco -wykracza poza wszelkie sztuczki kuglarskie.

Nie otrzymując żadnego wynagrodzenia, Home chętnie prezentował najszerszą gamę

zdolności cielesno-mentalnych, jakie kiedykolwiek ujawniał człowiek. Należały do nich psychokineza, lewitacja, materializacje, skrajne zmiany temperatury ciała, elongacja i ognioodporność. Ta ostatnia, co łatwo zrozumieć, wzbudzała najwięcej sensacji.

30 listopada 1863 r. Home jeden ze swoich najbardziej spektakularnych pokazów zaczął od przyłożenia twarzy do żarzących się węgli z kominka, dla "orzeźwienia", jak sam powiedział. Następnie wziął jeden z rozżarzonych do czerwoności kawałków węgla, rozdmuchał do białego żaru i pokazał obecnym, trzymając kamień w ręku. Żaden z widzów nie mógł się zbliżyć bardziej niż na 10 cm, bo żar był zbyt silny. Wśród świadków znalazł się brytyjski sprawozdawca wojenny "Daily Telegraph", lord Adare, który miał zostać jednym z kronikarzy Daniela Dunglassa Home'a.

Zdumiewający ów Szkot wielokrotnie dowiódł swojej niewrażliwości na ogień. Niekiedy toczył jeszcze po twarzy tam i z powrotem żarzące się przedmioty. Po takich aktach przemocy nigdy nie miał nawet najlżejszych oparzeń. Tyle odnośnie do efektu Leidenfrosta, który stale musi wystarczać za "naturalne wytłumaczenie". Przejawiana przez Home'a i innych także przy dłuższych kontaktach z żarzącymi się przedmiotami ognioodporność sprowadza takie wymuszone uproszczenia do absurdu (na przykład francuski "król ognia" z dziewiętnastego wieku, Julien Xavier Chabert, był w stanie się "rozgościć" w piecu nagrzanym do temperatury 200°C). Naukowcom takim jak fizyk Charles R. Darling, który był obecny przy kilku pokazach chodzenia po ogniu jako ekspert i nie porzucił swego poglądu, że wszystko polega tylko na zręczności gimnastycznej (trzeba po prostu dość szybko chodzić) można właściwie tylko udzielić rady, aby sami spróbowali.

Książka do fizyki jako tarcza obronna

Inny fizyk, Jearl Walker z Uniwersytetu Stanowego z Cleveland (Ohio), faktycznie uczynił odważny krok w kierunku próby na samym sobie, przy czym obalił swoją własną teorię. Do poparcia hipotezy efektu Leidenfrosta Walker kazał przygotować ognistą ścieżkę w swoim ogrodzie. Pewny siebie, z wyblakłym egzemplarzem *Fizyki* Davida Hallidaya i Roberta Resnicka w rękach (fundamentalne dzieło, w którym można znaleźć słynną teorię niemieckiego lekarza Johanna Gottlieba Leidenfrosta) maszerował po rozżarzonych węglach, nie odnosząc obrażeń. Przy późniejszych próbach oparzenia nastąpiły. Udowodniło to *de facto* prawdopodobnie nie opinię Walkera, ale moc jego wiary w fizykę. O swoich późniejszych nieudanych próbach powiedział z humorem: "No cóż, zapewne nie wierzyłem dość mocno".

Teraz odwrócimy na chwilę uwagę od ludzkiej ognioodporności, owej zagadki, która frapuje naukę od prawie stu lat, odkąd późniejszy pionier lotnictwa, profesor S. P. Langley ze Smithsonian Institution, w roku 1901 zawarł z nią znajomość przy okazji podróży przez Pacyfik. Jest ona, jak się zdaje, częścią większej całości, którą nadal będziemy kompletować.

Wydłużanie ciała

Inną egzotyczną zdolność D. D. Home'a traktuje się przeważnie nieco po macoszemu. Chciałbym jej się dokładniej przyjrzeć, ponieważ także w niej jest zawarta wyraźna komponenta cielesna. Nie mam bynajmniej zamiaru umniejszania znaczenia lewitacji czy psychokinezy, ale te fenomeny nie są tak "uchwytnie" jak ognioodporność albo ów rzadki talent D. D. Home'a, określane jako elongacja (wydłużanie ciała). W jego przypadku powinno się raczej mówić o wydłużaniu i skracaniu, gdyż Home, będący wzrostu 1,75 m, mógł się zarówno rozciągać do 2,10 m, jak i kurczyć do 1,50 m. W czasie tego dziwaczego procesu przeprowadzano pomiary w najróżniejszych warunkach. Pewnego razu Home położył się na podłodze i zmienił długość ciała w obu kierunkach, co stale kontrolowano za pomocą miarki. Przy innej okazji kazał widzom w czasie elongacji mocno trzymać się za ramiona, stopy, nogi i tułów. Jeden ze świadków mówił potem, że wyraźnie wyczuwał, jak zebra Home'a podczas wydłużania wyslizgiwały się spod jego rąk. Było to niesamowite uczucie.

Dla niektórych sceptyków nawet takie środki były nie dość rygorystyczne. Badanego pętano, przywiązywano do krzesła i na wiele sposobów uniemożliwiano mu ewentualne oszustwo. Wszystko na nic się zdało: Daniel Dunglass Home nie był oszustem. Ta wyjątkowa postać została dla specjalistów po dziś dzień wielkim znakiem zapytania. Pozostawmy mu jego zasłużoną sławę jako "wiktoriańskiego nadczołowieka", jak go się chętnie określa.

Mimo swoich rozlicznych talentów dostarczył poszlak przemawiających na korzyść tezy, że nadludzkie właściwości nie są zastrzeżone dla uzdolnionych osób, ale że trzeba je pojmować jako głębokie zasadnicze cechy homo sapiens. Połączenie wielu zdolności zdarza się co prawda bardzo rzadko; nie zmienia to jednak faktu, że coraz jaśniej widać konieczność scharakteryzowania naszego gatunku jako homo incredibilis (niewiarygodny człowiek) nawet przy ograniczeniu się tylko do czysto cielesnej płaszczyzny.

Wiemy, że D. D. Home nie miał monopolu na ognioodporność. To samo dotyczy elongacji. Występuje ona często w związku ze stygmatyzacją. Tutaj ujawnia się szara strefa nakładających się na siebie fenomenów. Stygmatyzacje uchodzą na ogół za samookaleczenia wywoływane emocjami podczas obrządków religijnych, wyzwalone siłą ducha; można

powiedzieć, jest to psychosomatyka w skrajnej postaci. Trudniej zaklasyfikować zjawiska, kiedy przy stygmatyzacji w stadium najwyższego wzburzenia ręce albo nogi znacznie się wydłużają, ciało pęcznieje albo duże partie skóry stają się dosłownie pergaminowe.

Przemiany Marie-Julie Jahenny

Szczególnie spektakularny jest przypadek Marie-Julie Jahenny, urodzonej w 1853 r. we francuskiej wiosce La Fraudais koło Nantes. Od dwudziestego roku życia wykazywała ona wszelkie rodzaje stygmatów. Kiedy zapowiedziała, że w piątek, 1 października 1880 r., będą się z nią działy rzeczy nadzwyczajne, zgromadziło się u niej tego dnia sześciu świadków, a wśród nich renomowany profesor medycyny dr Imbert-Goubeyre, autor podstawowego dzieła *La stigmatisation* (Stygmatyzacja).

Przed tym nieprzekupnym audytorium dokonała się monstualna przemiana młodej kobiety. Niczym w filmie grozy Marie-Julie wciągnęła głowę w ramiona, aż prawie całkiem zniknęła między barkami. Jej wygląd ulegał radykalnej zmianie. Lewa strona jej ciała pęczniała jak balon, a prawa marszczyła się i zapadała w sobie. Barki przyjęły sprzeczną z naturą pozycję pod kątem prostym do obojczyka. Język napęczniał do ogromnych rozmiarów. Potwornościom tym towarzyszyło wystąpienie silnych stygmatów. W końcu przerażeni widzowie mieli przed sobą ludzką kulę z groteskowymi wyrostkami i krwawiącymi ranami: była to totalna karykatura kontrolowanej przemiany ciała D. D. Home'a, w zasadzie jednak niewątpliwie pokrewnego rodzaju.

Dokąd więc doszliśmy? Małe tymczasowe podsumowanie pokazuje, że istnieją nadzwyczajne zdolności podlegające świadomej woli i od niej niezależne. Jeśli kilka zdolności występuje u jednej i tej samej osoby, to przeważnie kontroluje je ona albo może przynajmniej w jakiś sposób wyzwalać. Oczywiście, możliwe są różne kombinacje takich talentów. Rozejrzyjmy się zatem za dalszymi "supersilami" i ludźmi, którzy jednoczą w sobie takie zdolności.

Kuda Bux, wszechstronny talent

Musimy powrócić do ognioodporności i jeszcze raz pofatygować fascynującego Kudę Buxa. Wydaje się, że elita naukowa traktuje wyjaśnienie jego tajemnicy jako zadanie stulecia. Do najgruntowniejszych eksperymentów mających na celu zbadanie -lub zdemaskowanie -ludzkiej ognioodporności zaliczają się wspomniane już doświadczenia Harry'ego Price'a z

roku 1935. Z jednym z nich musimy się bliżej zapoznać.

Próba ta odbyła się jesienią wspomnianego roku w ogrodzie majątku The Halt, należącego do pana Alexa Oribbella, przy Woodmanstern Road w Carshalton w hrabstwie Surrey. Pogoda była wietrzna i lekko deszczowa, jednak Price i jego pomocnicy zdołali stworzyć piekielny dywan ognia, zużywając na to siedem ton porąbanej dębiny, jedną tonę drewna opałowego, wagon węgla drzewnego, dziesięć galonów parafiny, jak również 50 egzemplarzy "Timesa" na podpałkę. W środku tego paleniska temperatura wynosiła około 1400°C, a taki żar jest już zdolny stopić stal.

Nieco teatralnie ubrany na czarno, przebywający od niedawna w Anglii Kuda Bux podszedł do swojej "ścieżki zdrowia". Zanim bosymi nogami zaczął stąpać po piekielnym ogniu, rzucili się na niego specjaliści. Profesor medycyny C. A. Pannett, wraz z czterema fizykami z Uniwersytetu Londyńskiego umył Buxowi stopy, starannie je osuszyli, zmierzili ich temperaturę i umieścili na jednej z podeszew kontrolny odcinek leukoplastu. Teraz na oczach naukowców, jak również kilku świadków odbyło się chodzenie po ogniu. Wśród obecnych znajdowali się profesor Joad i producent z BBC R. S. Lambert, jak również dr E. A. Hunt. Ten ostatni widział tradycyjne chodzenie po ogniu w Indiach i powiedział, że warunki próby, której poddano Buxa były jeszcze bardziej skrajne (płytki dół, jak również lekki wiatr, co powodowało spotęgowanie żaru). Kiedy Hindus kilkakrotnie przemierzył zarzący się odcinek, poddano jego stopy kontroli. Nie były wcale poparzone i nawet chłodniejsze niż przy pierwszym pomiarze. Co ciekawe, także kawałek plastra na podeszwie nie uległ uszkodzeniu.

W 1938 r. Kuda Bux przyjął zaproszenie Roberta Ripleya, prowadzącego program radiowy *Believe it or Not* (Wierzcie lub nie), i pojechał do Ameryki, aby tam publicznie zademonstrować swoją legendarną ognioodporność. 2 sierpnia na parkingu nowojorskiego Radio City przygotowano dla człowieka z Kaszmiru dwa ogniste rowy wypełnione rozżarzonymi do czerwoności węglami. Otaczała je gromada dziennikarzy, którzy musieli stać w pewnym oddaleniu, nie mogąc znieść bijącego od nich ogromnego żaru. Temperatura wynosiła 700-800°C. Bux został zbadany przez lekarzy, którzy nie stwierdzili u niego żadnych zranień. Potem zaczął swój ognisty marsz, spokojnie odmierzonymi krokami przebył oba rowy. Po ukończeniu eksperymentu zbadano go równie gruntownie jak poprzednio. Rezultat był taki sam: brak oparzeń. Pierwszy pokaz chodzenia po ogniu transmitowany przez radio był niepodważalny.

Na pytanie dziennikarza przeprowadzającego wywiad, czy tę zdolność miał zawsze, czy też ją sobie przyswoił i na czym polega sztuczka, Bux odpowiedział:

-Odwaga i zaufanie do siebie -to wszystko. Nie ma tu żadnej sztuczki. Z ogniem nie

ma żartów.

Kuda Bux rozwinął swój talent na przestrzeni jedenastu lat przez ćwiczenia mentalne, wzrost koncentracji, medytacje itd. W jego treningowym programie nie było ćwiczeń hartujących, jak stopniowe podwyższanie temperatury. Byłyby one ślepą uliczką, podobnie jak żałosne próby wojskowych USA podejmowane w czasie wojny wietnamskiej, aby uodpornić żołnierzy na tortury. Pod pewnymi względami nie można ciała trenować. Dotyczy to także innej zdolności Kudy Buxa, tak zwanego widzenia skórą.

To dziwaczne uzdolnienie wzbogaca naturę "niewiarygodnego człowieka" o kolejny aspekt. Także w jej przypadku chcemy przejść od szczegółu do ogółu. Nie ulega kwestii, że Kuda Bux należy do kategorii "specjalnej". Zapoznajmy się więc z widzeniem bez udziału oczu.

W 1934 r. Kuda Bux zademonstrował tę dziwaczną zdolność przed jednym z najbardziej wyszukanych naukowych gremiów, jakie się kiedykolwiek zebrało, aby tropić niewytłumaczalny fenomen. Wśród ekspertów wysokiej klasy znajdował się fizyk z Uniwersytetu Londyńskiego, profesor Edward Andrade, oraz dyrektor Królewskiego Szpitala Bethlehem. Najpierw osobę poddawaną próbie pozbawiono wszelkiej możliwości widzenia czegokolwiek, czyniąc to bardzo dokładnie. Oczy Kudy Buxa zaklejono ciastem, przykryto je metalową folią, a następnie jego głowę owinięto wełnianym bandażem, a ten z kolei gazą.

Kiedy profesor Andrade chciał polecić tak przygotowanemu przeczytanie fragmentu książki, inny naukowiec się sprzeciwił:

-Trzeba wykluczyć możliwość telepatii. Każmy przynieść kilka książek, których nie zna żaden z nas.

Tak też się stało, i na stole przed Buxem rozłożono jedną z książek, a ten położył na niej rękę niczym w geście błogosławieństwa. Potem zaczął lekko śpiewnym głosem płynnie czytać. Kiedy doszedł do połowy strony, profesor Andrade błyskawicznie i bez uprzedzenia zamienił mu książkę na inną. Bux czytał również nową książkę. Powtórzono to kilkakrotnie. Za każdym razem Kuda Bux, nie przerywając, czytał swoim melodyjnym głosem. Specjaliści stanęli wobec zagadki, nie po raz pierwszy ani ostatni.

Z biegiem lat człowiek z Kaszmiru poddał się niezliczonym podobnym próbom i z wielką regularnością wprawiał naukowców w poczucie bezradności. Stosowane przez nich środki zabezpieczające były często bardzo pomysłowe.

Przed testem przeprowadzonym w Hull w Anglii pewien lekarz zapuścił mu do oczu atropinę, powodującą zaburzenia ostrości widzenia. Nie trzeba dodawać, że następnie grubo obandażowano głowę Buxa w znany nam już sposób. Wszystko to nie przeszkodziło mu

jednak w odczytaniu nawet najdrobniejszego pisma. Inny lekarz spróbował pod warstwą bandażu dodać jeszcze jedną izolację z kolodium, alkoholowo-eterowego roztworu nitrocelulozy, stosowanego do zamykania ran. Zdolności Kudy Buxa nie uszczuplił w żadnej mierze również i ten środek zapobiegawczy.

W wywiadzie dla gazety "Montreal Daily Star" Bux powiedział, że nie może już sobie nawet przypomnieć, ile naukowych badań ma za sobą. Jedną z takich prób "Daily Star" wybrał do swojego wydania z 14 lutego 1938 r. i opisywał ją ze wszystkimi szczegółami: "Lekarze nie zadowolili się owinięciem głowy badanego zwykłymi bandażami. Na początek zakleili mu oczy ciastem z mąki. Potem nałożono grubą warstwę bawełny sięgającą poniżej nosa, umocowaną długim odcinkiem taśmy, a następnie kilka metrów gazy opatrunkowej. Na tym znalazły się kolejne warstwy najróżniejszych materiałów, a na zakończenie kilkakrotnie okręcono głowę Buxa szalem, nadając jej ogromne rozmiary. W bocznym pomieszczeniu na muzułmanina czekali dziennikarze i lekarze. Najbardziej renomowany z lekarzy przekazał zamkniętą kopertę Buxowi, który nie zwlekając, zaczął czytać na głos zawarty w niej tekst. Jeden z zaskoczonych reporterów pokazał mu swoją legitymację prasową, po czym badany zwrócił się do niego po nazwisku".

W równej mierze, w jakiej Kuda Bux wprawiał w zakłopotanie klasyczną naukę, był kochany przez publiczność, ponieważ stale ją fascynował spektakularnymi akcjami. W 1936 r. podczas pobytu w Manchesterze w Anglii wieczorem pierwszego dnia odwiedził z całą sforą dziennikarzy miejscowy szpital. Tam poprosił lekarzy, aby mu zawiązali oczy. Ci nie kazali sobie tego dwa razy powtarzać. Obserwowani pilnie przez dziennikarzy, z zapalem zabrali się do dzieła. Kiedy głowa Buxa została tak grubo okręcona, że prawdopodobnie nawet pocisk nie przedostałby się przez tyle warstw, badany udał się pewnym krokiem z powrotem na ulicę. Tam wsiadł na rower z tabliczką zapowiadającą jego wieczorne wystąpienie w mieście na torze wyścigowym. Trasa tej jego reklamowej jazdy prowadziła przez znaczną część Manchesteru; jadąc, Kuda Bux prawidłowo sygnalizował zamiar skrętu ręką i lawirował z absolutną pewnością w gęstym ruchu ulicznym godzin szczytu. Ten rowerowy numer wydawał się go bawić, bo często go powtarzał, między innymi w 1945 r. na ruchliwym Times Square w Nowym Jorku.

Zachowajmy jednak chronologię. 11 września 1937 r. w Liverpoolu Kuda Bux chodził, mając na głowie obligatoryjny już opatrunek, po wąskim gzymsie otaczającym dach budynku na wysokości prawie 70 m. Wyliczenie jego wszystkich zdumiewających występów wypełniłoby resztę tej książki. Powstrzymamy się od tego, skoro już teraz jest pewne, że tajemnicza zdolność widzenia za pomocą innych niż oczy narządów (na razie przypuszcza się,

że chodzi o skórę) jest u Kudy Buxa dowiedziona. Nawet profesjonalni artyści z *varietes* nie mogli jej naśladować. Jest to tym bardziej zdumiewające, że iluzjonistom wciąż od nowa udaje się imitować zdolności paranormalne. Tym samym przeszliśmy od szczegółu do ogółu.

Fenomen widzenia skórą

Badania fenomenu widzenia skórą mają długą tradycję i są dziś kontynuowane z równą intensywnością. Nie mogły jednak i nie mogą dać zadowalającego wytłumaczenia w rozumieniu klasycznej nauki. Mgliste relacje znajdujemy już w dawnych czasach.

Na przykład istnieje notatka z siedemnastego wieku, w której irlandzki uczyony Robert Boyle wspomina człowieka, którego zmysł dotyku przejął zdolność widzenia. W osiemnastym wieku europejscy badacze wysp Samoa natrafili na niewidomych tubylców, którzy mogli widzieć skórą.

Pierwszy udokumentowany przypadek miał miejsce w 1872 r. w Grazu w ówczesnej monarchii austro-węgierskiej. Alois Burgel, syn miedziorytnika, oślepił w wieku 9 lat od ognia w palenisku warsztatu ojca. Chodziło przy tym najwyraźniej o "histeryczną ślepotę", gdyż 11 lat później Alois nagle odzyskał wzrok. Takie przypadki same w sobie nie stanowią czegoś nadzwyczajnego. Ten jednak zawierał nadzwyczajną komponentę. W okresie swej psychosomatycznej utraty wzroku młody człowiek rozwinął w sobie zdolność widzenia "drogą okrężną". Badający go lekarz, dr Grohweiler, stwierdził przypadkiem ku swemu zaskoczeniu, że pacjent mógł widzieć mimo zawiązanych oczu.

Dr Grohweiler poinformował o tym osobliwym przypadku w wiedeńskim dzienniku medycznym, jednak naukowa społeczność nie wykazała zbytniego zainteresowania. Wtedy lekarz przedstawił swojego pacjenta konsorcjum kolegów medyków w Grazu. Wynikiem była bezradność. Rok później Alois Burgel zmarł na suchoty, co w owych czasach także u młodych ludzi nie było rzadkie.

Także inny lekarz, podobnie jak dr Grohweiler, zajmował się zagadkowym "widzeniem bez pomocy oczu". Poważany medyk włoski, dr Cesare Lombroso, autor podstawowego dzieła o patologii przestępstwa *Człowiek-zbrodniarz*, stwierdził, jak jego poprzednik w pewnym przypadku histerycznej ślepoty, że młoda pacjentka mogła widzieć mimo zawiązanych oczu. Przeprowadziwszy serię testów, dr Lombroso sądził, że odkrył, jaki narząd dziewczyny jej to umożliwiał: nos. O nadzwyczajnej odwadze Włocha świadczy fakt, że ośmielił się przedstawić ten przypadek w jednej ze swoich książek.

Do najbardziej znanych pionierów omawianych badań zalicza się francuski profesor

uniwersytecki Louis Farigoule, pisujący i znany pod pseudonimem Jules Romains. Według jego teorii skóra ludzka zawiera określone "komórki wzrokowe", specyficzne zakończenia nerwów, które większość ludzi może uaktywnić w szczególnych okolicznościach. Nie jest to przypuszczenie niedorzeczne, skoro przecież na przykład oko kałamarnicy powstało w toku ewolucji drogą wzrostu wrażliwości na światło określonej partii skóry. Sprzeciwia się temu co prawda fakt, że oko człowieka jest odnogą mózgu, a tym samym przeszło inną drogę rozwoju.

Farigoule zdołał w każdym razie w Wigilię 1922 r. przeprowadzić godny uwagi pokaz. Trzem osobom uniemożliwiono normalne widzenie w znany nam już sposób. Mimo to mogły one rozpoznawać liczby, kolory, formy i inne obiekty, przykładając je do czoła albo przesuwając po nich palcami.

W 1921 r. Farigoule opublikował jako Jules Romains znane dzieło *La vision extra-retienne et Le sens paroptique* (Widzenie pozasiatkówkowe i zmysł paraoptyczny). Wymienia on w nim osoby, które widziały czubkami swoich palców, policzkami, a nawet brzuchem.

W latach trzydziestych dr Manuel Chaves z Sao Paulo w Brazylii zwrócił na siebie uwagę pewnym studium. Przebadał on przeszło 400 niewidomych pacjentów i stwierdził przy tej okazji, że ponad tuzin z nich mogło "widzieć skórą". Wykluczona była symulowana ślepotą, gdyż źrenice tych osób nie zmieniały się pod wpływem światła, czego nikt nie zdołałby udawać. Chaves i Romains, jak również inni naukowcy byli i są przekonani, że w takich przypadkach dochodzą do głosu nie zdolności mentalne, jak jasnowidzenie lub telepatia, ale nie zbadane dotąd czynniki cielesne.

3 maja 1936 r. ukazał się obszerny ilustrowany artykuł w "Los Angeles Times". Jego bohaterem był dwunastoletni Pat Marquis, który przed 150 lekarzami zademonstrował swoją umiejętność widzenia skórą. Oczy zawiązali mu osobiście słynni okuliści dr A. G. Hove, dr Henry S. Nesburn i dr Lloyd Burrows. Nie przeszkodziło to Patowi całkiem normalnie widzieć, czytać i opisywać swoje otoczenie. W końcu lekarze musieli dać za wygraną. Skonstatowali jednogłośnie, że chłopiec ma "nadnormalne" zdolności zmysłowe.

W swojej wydanej w 1957 r. książce *Face to Face* (Twarzą w twarz) Hindus Ved Mehta ujawnił, w jaki sposób mógł bez problemów orientować się w terenie i jeździć na rowerze nawet po przepełnionych ulicach indyjskich miast, mimo że wskutek zapalenia opon mózgowych w wieku trzech lat stracił wzrok. Zgodnie z jego wyjaśnieniami oczy zastępowała mu skóra.

W styczniu 1960 r. w amerykańskiej telewizji NBC wyświetlono serial o charakterystycznym tytule *People Are Funny* (Ludzie są zabawni). Jedną z przedstawionych osób była czternastoletnia Margaret Foos z Ellerson (Wirginia). Twierdziła ona, że może

widzieć z zawiązanymi oczyma, i faktycznie demonstrowała tę umiejętność. Między innymi umiała nawet grać w warcaby. Jej ojciec powiedział, że córka od dzieciństwa przejawiała tę zdolność i przez odpowiedni trening doprowadziła ją do prezentowanej perfekcji. Nastolatka udowodniła to w trakcie serii testów, które z nią przeprowadziło Veteran Administration Center.

Dopiero od 1963 r. nauka zaczęła się poważnie interesować tą sprawą. Impulsem był tu przypadek Rosjanki Rozy Kuleszowej, która mimo zawiązanych oczu mogła czytać gazety i nuty za pomocą czubków palców i łokci. Nie wchodził w rachubę zmysł dotyku czy rozpoznawanie promieniowania podczerwonego -dr Richard P. Youtz, psycholog z Uniwersytetu w Nowym Jorku, przypuszczał, że Roza może wyczuwać różnorodną zdolność absorpcji ciepła, jaką się odznaczają różne kolory -ponieważ Rosjanka mogła także odczytywać teksty rzucane na szklaną płytę za pomocą projektora. Od tamtej pory stale pojawiają się podobne przypadki i są poddawane bezskutecznym badaniom. Tymczasem tworzono nawet fachowy termin na określenie tego intrygującego fenomenu. Nazwano go "dermoptyką" -jeszcze jedno sztuczne słowo, którym maskuje się bezradność.

Tym *resume* zakończymy małą wiązanekę dziwnych cech natury ludzkiej. Naturalnie, można by jeszcze przytoczyć wiele przykładów; jednak już tych kilka systematycznie wybranych dowodzi wystarczająco, że bardzo niewiele, a może nawet nic, nie jest *de facto* takie, jak chce nam wmówić klasyczna nauka.

Odczytywanie dźwięku z rowków

Niech równie oryginalnym, jak charakterystycznym dla tego dylematu akcentem końcowym będzie omówienie małej grupy osób umiejących odczytywać rowki na analogowych płytach gramofonowych. Najbardziej znanym jej przedstawicielem jest zamieszkały w mieście Rydal (Pensylwania) dr Arthur Lintgen. Jest on w stanie powiedzieć tylko na podstawie wyglądu rowków na płycie, jaki utwór muzyczny jest na niej nagrany, z podaniem orkiestry, dyrygenta i instrumentacji. Doświadczeni krytycy muzyczni poddawali go próbom i byli zaskoczeni ich wynikami. Na życzenie magazynu "Discover" dr Lintgen zidentyfikował nagranie Piątej Symfonii Schuberta, dodając, że wykonuje ją niemiecka orkiestra. Nie dał się wprowadzić w błąd przez dwie płyty kontrolne -na jednej był nagrany tekst, a na drugiej piosenki pop. Miłośnik klasyki dr Lintgen odrzucił je jako szwargot i kakofonię. W emitowanym w lutym 1985 r. serialu *Zalóżmy się, że...* dwaj niemieccy specjaliści odczytywania rowków Ralf Kraft i Wolfgang Laddach od razu rozpoznali na

podstawie tylko ich tłoczenia pięć nagrań wybranych spośród 150 płyt.

Czy wszystko to jest tylko kuglarstwem? Trudno powiedzieć. Dr Lintgen odrzuca wszelkie przypuszczenia, aby posiadał zdolności nadmysłowe. Upiera się raczej przy tym, że czerpie informacje z wyglądu wzoru rowków wyżłobionych w płycie gramofonowej. Nawet jeśli on sam jest przekonany o słuszności tego wytłumaczenia, to trzeba się zastanowić, czy faktycznie jest możliwe rozpoznanie po wyglądzie rowka, czy muzyka jest głośna, czy cicha, jakie instrumenty grają i jaki utwór jest wykonywany, nie wspominając już o dyrygencie czy wręcz określeniu orkiestry. Bardziej prawdopodobne jest, że oto wyznawca klasycznej nauki nieświadomie próbuje zanegować swoje własne zdolności paranormalne.

Teraz wypadałoby przejść od nadzwyczajnych właściwości ciała do takich cech ducha. Nie chcemy jednak wkraczać na tę wydeptaną ścieżkę. Zamiast tego zainteresujemy się zadziwiającymi zdolnościami stworzeń, które nie będąc homo sapiens, wcale mu nie ustępują. Rzućmy okiem na zdolności zwierząt -które można porównać z ludzkimi -a także inne osobliwości świata zwierzęcego.

Zwierzęta o nadludzkich zdolnościach i stworzenia znikąd

*Któż pozna, czy siła życiowa synów ludzkich idzie w górę,
a siła życiowa zwierząt zstępuje w dół, do ziemi?*

Księga Koheleta 3, 21

Pelorus Jack, niezwykle pilot

U wybrzeży Nowej Zelandii znajduje się budzący grozę przesmyk, najeżony wirami wodnymi, podstępными prądami, mieliznami i czyhajacymi pod wodą skałami, które zdruzgotały stępkę niejednego statku. Nosi nazwę French Pass (Francuski Przesmyk), a ciągnie się obok wyspy d'Urville od cieśniny Pelorus do Zatoki Tasmana. Na 40 lat, na przełomie stuleci, ten piekielny odcinek stracił swoją grozę -dzięki najbardziej niezwykłemu pilotowi, jaki kiedykolwiek istniał.

Pewnego burzliwego ranka w 1871 r. po raz pierwszy dał znać o sobie, kiedy przybyły z Bostonu szkuner "Brindle" wpłynął do Francuskiego Przesmyku. Wiózł ładunek maszyn i butów do Sydney i manewrował z najwyższą ostrożnością. Morze było wzburzone, zasnuwane mgłą, a deszcz lał jak z cebra. Żeglarze spodziewali się w każdej chwili katastrofy. Nagle zauważyli niezwykle dużego niebieskiego delfina, który wyskoczył z wody na kilka metrów w górę przed dziobem miotanego falami statku, niczym pies, chcący zwrócić na siebie uwagę swojego pana.

Kilku członków załogi sądziło, że to młody wieloryb, i chciało go ugodzić harpunem, do czego nie dopuściła żona kapitana -na szczęście dla "Brindie" i niezliczonych innych statków. Zupełnie jak pies, delfin jednoznacznie oferował swoje usługi jako pilot. Szkuner popłynął za nim z braku lepszej orientacji. W ten sposób delfin przeprowadził statek przez groźny odcinek aż na bezpieczne głębokie wody.

Odtąd skory do pomocy mieszkańiec morza czekał na statki, by im pokazywać bezpieczną drogę przez Francuski Przesmyk. Przez 40 lat żeglarze pilnie się rozglądali wokoło w nadziei, że zobaczą przed dziobem statku wyskakującego z wody, stalowo-niebieskiego ssaka. Wiedzieli, że od tej chwili nie mogło im już się nic złego przytrafić. Po niedługim czasie nadano delfinowi imię: Pelorus Jack.

Jack pilnował wejścia do Przesmyku i kiedy tylko jakiś statek wpływał do tej niebezpiecznej strefy, rozpoczynał pilotaż. Zawsze, gdy się zjawiał, witały go okrzyki radości

marynarzy. Oklaskiwano jego skoki i machano do niego rękoma, kiedy eskortował statek przez wiele mil. Potem płynął, aby ponownie stanąć na swoim posterunku.

W 1903 r. pewien pijany pasażer statku "Penguin" postrzelił Jacka. Na statku wybuchł tumult i tylko siłą udało się powstrzymać oburzoną załogę od zlinczowania pijaka. Przez dwa tygodnie delfin się nie pokazywał, obawiano się, że nie żyje. Potem pewnego ranka pojawił się znowu. Rząd Nowej Zelandii w Wellington zdecydował, że nie wolno prześladować delfina, i było to jedyne rozporządzenie, jakie kiedykolwiek żeglarze powitali jednogłośnie aplauzem.

Pelorus Jack nie okazał się pamiętliwy i znowu podjął swoją służbę pilota. Odtąd jednak "Penguin" nie mógł już liczyć na jego pomoc, był to jedyny statek, któremu odmawiał swoich usług. Wskutek tego nikt na nim nie chciał zamustrować. Skazany wyłącznie na umiejętności pilotów -ludzi, "Penguin" w końcu rozbił się na rafach Francuskiego Przesmyku. Zatonął, pozbawiając życia wiele osób. Przyjazny delfin ponad 40 lat wypełniał zadanie, które sam sobie postawił, dopóki i jego także nie dosięgła starość. W kwietniu 1912 r. widziano go po raz ostatni.

Nie miał żadnego poprzednika ani następcy. Tysiące ludzi zawdzięczały mu życie, ocalił też mienie o gigantycznej wartości. W annałach żeglugi nie ma drugiego tak wielkiego rejestru zasług. Wyliczenie dokonań Jacka można przeczytać wyryte na pomniku na plaży Wellington wzniesionym ku jego czci przez wdzięcznych żeglarzy, pasażerów i armatorów.

Pelorus Jack był swego czasu zagadką dla naukowców i pozostał nią do dzisiaj. Nawet w świetle najnowszej wiedzy, która przyznaje delfinom niemal ludzką inteligencję, zajmuje on wyjątkową pozycję. Znane są spektakularne akcje ratunkowe, w których delfiny transportują rozbitków na ląd albo bronią ich przed rekinami. Biolodzy stwierdzili, że oprócz homo sapiens tylko ta jedna rodzina morskich ssaków może się poszczycić takim stosunkiem wielkości mózgu do masy ciała, który zwykle uważa się za kryterium zdolności myślenia; znane są także złożone zachowania społeczne i indywidualne delfinów. Niezależnie od tego, wyczyn w rodzaju czterdziestoletniej ochotniczej służby pilota statków przewyższa nawet najśmielsze oceny potencjału przyjaznych delfinów, nie wyłączając wymyślonej przez naukowców w Izraelu ekstrawaganckiej "służby akuszerskiej", gdzie cierpliwe delfiny żyjące w Morzu Czerwonym miałyby pomagać w porodach. Najwidoczniej albo Pelorus Jack był czymś więcej niż tylko normalnym delfinem, albo zachodzi konieczność ponownego zrewidowania drzewa genealogicznego życia na ziemi.

Zagadka delfinów

Wkraczamy w jedną z najdziwniej szych dziedzin naszej niewiedzy. Delfiny po prostu nie są zwykłymi zwierzętami. Większość specjalistów akceptuje istnienie języka delfinów. W NASA badacze komunikacji próbują od dawna opracować sztuczny język do porozumiewania się z miłymi mieszkańcami mórz, traktując to jako ćwiczenie wstępne przed nawiązaniem kontaktu z istotami pozaziemskimi.

Z tego punktu widzenia nie dziwi, że nie stał się przedmiotem sensacji pewien incydent w oceanarium w Miami. Zamierzano tam podjąć tresurę nowo złowionych delfinów do publicznego pokazu. W nocy poprzedzającej przystąpienie do ćwiczeń J. Mansion Valentine, honorowy kurator muzeum przyrodniczego w Miami, słyszał dziwne dźwięki dochodzące z miejsca, gdzie przylegały do siebie oddzielne baseny mieszczące delfiny nowo przybyłe i już "zasiedziały". Następnego dnia okazało się, że szkolenie jest zbędne, bo nowe delfiny już opanowały program. Valentine i jego ludzie ani przez chwilę nie wątpili, że w nocy wytresowane już delfiny objaśniły wszystko swoim nowym kolegom. przy tym nie mogły im niczego pokazać, bo między basenami nie był możliwy kontakt wzrokowy.

W pewnym stopniu przyzwyczailiśmy się już nawet do myśli, że delfiny mogłyby dorównywać umysłowo ludziom. Zapewne ich szczęściem jest fakt, że ze względu na brak odnoży chwytnych i przebywanie w środowisku wodnym nawet w takim przypadku nie stanowiłyby dla nas konkurencji w walce o dominację na ziemi.

Siły PSI

Jednak kiedy jest mowa o nadzwyczajnych zdolnościach zwierząt, wyobrażamy sobie coś bardziej dramatycznego, dosłownie niewiarygodnego, co dałoby się porównać z egzotycznymi mocami PSI szczególnie uzdolnionych w tym kierunku ludzi. A więc dobrze, wybierzmy jedną z najniewiarygodniejszych zdolności paranormalnych naszego gatunku i zorientujmy się, czy ma ona jakieś odpowiedniki w królestwie fauny.

Do najdziwaczniejszych -i najbardziej kontrowersyjnych -fenomenów PSI należy bez wątpienia teleportacja, czyli moc przemieszczania się z miejsca na miejsce siłą woli. Fizycy obserwujący podobne zjawisko, efekt tunelowy elektronów, stwierdzają odbywanie się zmiany miejsca w czasie równym zeru. Czy odnosi się to także do istot ludzkich, tego nie wiemy, bo można by to stwierdzić tylko przy teleportacjach na większe odległości (idealne byłyby dystanse kosmiczne) i przy zastosowaniu najdokładniejszej aparatury pomiarowej.

Oba te warunki obecnie nie są spełnione.

Najczęściej badanym człowiekiem mającym zdolność teleportacji był brazylijski kupiec Carlos Carrine Mirabelii (1889-1951). Ten zdumiewający przypadek był badany aż 392 razy przez założoną w 1919 r. w Sao Paulo Akademię Studiów Psychicznych im. Cesare Lombroso. W trakcie serii testów badany demonstrował zdumiewające talenty, a wśród nich lewitację, psychokinezę, automatyczne mówienie i pisanie aż w 28 językach, sensacyjne materializacje (jedną z nich w obecności prezydenta republiki, dr. de Souzy) oraz, jak powiedzieliśmy, teleportację.

Mury i zamknięte drzwi były dla niego równie małą przeszkodą, jak zaplombowane zamki i okratowane okna. Nawet spętany łańcuchami czy powrozami, niczym pakunek, był w stanie zniknąć z opieczętowanych pomieszczeń, więzień czy innych lokali, w których starano się go osadzić. Sprawujące kontrolę nad przebiegiem doświadczeń komisje uczonych były najdosłowniej bezradne. Niezliczone "przeskoki przestrzenne", których Mirabelii często dokonywał przy jasnym świetle dziennym, są zagadką. W pewnym szczególnie spektakularnym pokazie zdematerializował się przed świadkami na dworcu w Sao Paulo, aby zaledwie dwie minuty później zostać odnaleziony w Sao Vincente oddalonym o 90 km.

Równie niewytłumaczalne było zniknięcie markiza C. S. z seansu spirytystycznego odbywającego się na zamku Millesimo 29 lipca 1928 r., które nastąpiło w obecności profesorów Bozzana, Castellaniego i Passiniego, jak również innych uczestników. Okna i drzwi pomieszczenia były zamknięte, a klucze tkwiły w zamku od wewnątrz. Po przeszukaniu całego majątku znaleziono markiza poza murami zamku, śpiącego na stercie siana. Obecni kategorycznie wykluczyli złudzenie jakiegokolwiek rodzaju.

Teleportacja należy do najbardziej egzotycznych zdolności paranormalnych ze wszystkich właściwych człowiekowi. Nawet w ekskluzywnym kręgu osób mających zdolności PSI stanowi ona rzadkość. Jeśli staramy się znaleźć fizyczne wytłumaczenie, jakie istnieje dla większości zjawisk paranormalnych, to ostatecznie docieramy do granic naszej wiedzy. Zdolność ta nie budziłaby zdziwienia zapewne tylko wtedy, gdyby ją osadzić we wszechświecie filmu *science fiction* na temat przygód statku "Enterprise". Specjaliści obliczyli, że cała wydajność wszystkich systemów komputerowych na świecie, wykorzystywana przez czas nieograniczony, nie wystarczyłaby do przetworzenia tej ilości informacji, którą zawiera jeden jedyny organizm ludzki. A byłoby to absolutnie podstawowym warunkiem, aby móc kogoś takiego jak my zakodować, przekształcić w fale elektromagnetyczne, wyemitować przez nadajnik teleportacji i prawidłowo znowu złożyć w odbiorniku. Może dla obcych inteligencji, które nas wyprzedzają o tysiące lat, byłoby to

możliwe, ale nie dla nas.

Wszystko pięknie, tylko kiedy będzie mowa o zwierzętach? Zaraz do nich przejdziemy. Otóż znane są liczne przypadki, w których psy, koty, konie i inne zwierzęta znikwały z klatek, zamkniętych pomieszczeń, ogrodzonych terenów itd. Wielu właścicieli zwierząt mogłoby niejedno o tym powiedzieć. Rzecz jasna, nie wystarcza to jeszcze do oficjalnego uznania tych zdarzeń za fenomeny paranormalne, mimo że niektóre z nich muszą zdumiewać.

Nadzwyczajne zdolności zwierząt

Dobrym przykładem jest sprawa Walińczyka Williama Coombsa, właściciela farmy Ripperstone w Pembrokeshire. Ów dumny właściciel stada liczącego 58 fryzyjskich krów pewnej nocy przebywał wśród zwierząt, ponieważ miał kłopoty z paroma cielętami. Około północy postanowił napić się herbaty w pobliskim domu na farmie. Nie doszedł jeszcze do budynku, kiedy wewnątrz zadzwonił telefon. Telefonował sąsiad; nieco szorstkim głosem poprosił Coombsa, aby zechciał zabrać swoje krowy, ponieważ właśnie weszły w szkodę.

Było to zupełnie niewytłumaczalne zdarzenie. Stado Coombsa jeszcze minutę wcześniej znajdowało się w komplecie za stalowym ogrodzeniem. Nawet gdyby krowy puściły się żwawym kłusem, to i tak musiałyby biec ponad godzinę, zanim zdołałyby dotrzeć do farmy sąsiada. Stalowe kraty były nienaruszone i wciąż zamknięte. Pospolite zdarzenie -zagadka, nad którą można pokręcić przez chwilę głową, aby następnie przejść do porządku dziennego.

Inaczej mają się sprawy z badaniami biologa Ivana T. Sandersona, jednego z najważniejszych następców słynnego amerykańskiego kronikarza spraw niewytłumaczalnych, Charlesa Forta. Sanderson natrafił w 1938 r. na dziwne zjawisko w tajemniczym świecie owadów. Amerykanin ów założył 29 lat później w New Jersey poważne towarzystwo do badania spraw niewytłumaczalnych, które ogłaszało wyniki swoich badań w wydawanym przez Sandersona czasopiśmie "Pursuit". Napisał on między innymi książkę o osobliwościach w świecie zwierząt. Nosi ona tytuł *Things and More Things* i zasługiwałaby na o wiele większą uwagę naukowej społeczności, niż wzbudziła. Wróćmy jednak do owadów.

Dusza białej mrówki

Punktem wyjścia do badań Sandersona było znane dzieło Eugene'a Marais *Dusza białej mrówki*. Wspomniano tam mimochodem o kilku osobliwościach, które dzieją się niezauważane w ogromnych budowlach tnących liście mrówek z rodzaju *Atta*. Być może także w innych społecznościach mrówek i termitów, kto wie.

Na początku wszystko wydaje się dość znajome, jak w naukowym dziele lub przyrodniczym filmie Walta Disneya: odbywszy lot godowy, nieodzowny do reprodukcji, królowa mrówek *Atta* traci skrzydła. Królowa i król wspólnie kładą kamień węgielny pod jeden z tych kopców mrówek, jakie bardzo często można znaleźć na przykład na sawannie Afryki Południowej. Tytaniczne dzieło kończą niezliczone miliony pilnych sześcionożnych robotnic. Wokół nieruchomej teraz królowej rośnie ogromna budowla pełna korytarzy. Ona sama spoczywa bez ruchu w swojej komorze, jednocześnie jej ciało, z wyjątkiem głowy, nieustannie rośnie. Kiedy królowa nie mieści się już w swoim pałacu, jej niestrudzone dzieci budują drugie, większe lokum, do którego się przenosi. Tylko -jak to robi? Musimy tu nieco zagłębić się w szczegóły.

Ściany pierwszego pomieszczenia, w którym królowa wiezie swoje spełnione życie, polegające wyłącznie na jedzeniu i składaniu jaj, nie są wykonane z miękkiej gliny, ale materiału twardego niczym beton. Człowiek może go rozbić tylko silnymi uderzeniami młota, oskarda czy podobnych narzędzi. Królowa jest więc szczelnie zamknięta, można powiedzieć, zabetonowana. Jedyne małe otwory, jakie prowadzą do jej celi, służą do dostarczania pożywienia, a także usuwania wydzielin i wszystkich złożonych jaj. Komora królowej ma często wielkość orzecha kokosowego, choć jej kształt jest nieco bardziej podłużny. Twarde jak kamień ściany osiągają grubość od 7 do 8 cm.

Specjalistom badającym mrówki znany jest pewien proces, którego dość dziwna cecha chyba uszła ich uwagi. Standardową techniką obserwacji mrówek jest metoda "przekroju mrowiska". Z największą ostrożnością usuwa się jedną ze ścian królewskiej komory i zastępuje ją szklaną szybą. Teraz można obserwować nieruchomą matkę mrówek. Przy stosowaniu takiej procedury nie dzieje się nic nadzwyczajnego. Wszystko odbywa się zgodnie z oczekiwaniami, królowa otrzymuje pożywienie i składa jaja. Jeśli obserwuje się ją dość długo, to ogromny owad w końcu zdycha, a jego ciało zostaje rozkawałkowane i usunięte przez mrówki robotnice.

Jeśli badacze przerywają podglądanie, zakrywając szklaną płytę i zwracając owadowi na krótko jego prywatność, to nierzadko dzieje się coś osobliwego: królowa mrówek *Atta* znika. Jak należało się spodziewać, społeczność naukowa niebawem znalazła wytłumaczenie

tego faktu: kiedy nie prowadzono obserwacji, mrówki robotnice zabiły królową, rozkawałkowały jej ciało i wyniosły z mrowiska.

W tym klarownym obrazie, jaki tworzy beztroski racjonalizm, jest co prawda pewien rys sprzeczności, na którą natrafili Ivan T. Sanderson i jego żona Alma, asystując w 1938 r. dr. D. C. Geijskesowi przy zwalczaniu termitów w Surinamie. Naukowiec ten opowiadał o kilkakrotnie przeprowadzonym dziwnym eksperymencie, który od tego czasu powtarzali także inni. Jego główna myśl jest niezwykle prosta: po przekrojeniu mrowiska, zanim komora zostanie ponownie uszczelniona szybą, królową trzeba oznaczyć. W tym przypadku znany nam już dalszy ciąg zdarzeń (zasłonięcie szyby -królowa znika w fazie, gdy nie jest obserwowana) miał swoją groteskową kontynuację. Dr Geijskes i jego zespół zaczęli mianowicie otwierać najbliższe kopce mrówek; i kto by się spodziewał -w jednym z nich znaleźli "swoją" królową. Ogromny owad spoczywał w nowej celi, jedząc z apetytem dostarczaną żywność i składając jaja. Betonowe ściany nowego domostwa zostawiały mu równie mało miejsca jak w starym mrowisku, a na nieforemnym ciele połyskiwały wyraźnie znaki wykonane farbą.

Jeśli zachowamy chłodne spojrzenie na ten jeżący włos na głowie fenomen, to okaże się, że z punktu widzenia przetrwania gatunku ma on sens. Królowa mrówek jest ważna dla życia plemienia. Gdyby faktycznie mogła się ona drogą teleportacji przenosić z mrowiska do mrowiska, stanowiłoby to optymalną ochronę dla tej niezastąpionej producentki jaj. Mimo to taka wersja wydarzeń nie jest już możliwa do przyjęcia dla klasycznych naukowców.

Matematyk dr Martin Kruskal -pionier badania czarnych dziur -prowadził korespondencję z Ivanem T. Sandersonem. Napisał między innymi: "Sądzę, że jestem otwarty na nietypowe koncepcje, ale muszę przyznać, że wzdragam się na myśl o teleportacji mrówek. Moim zdaniem istnieje mniej fantastyczne wyjaśnienie. Być może rozmiary królowej są efektem nagromadzonego w jej ciele pokarmu niezbędnego do produkcji jaj. Jeśli komora ulega przecięciu przez naukowców, to robotnice przenoszą w bezpieczne miejsce matkę przedłużającą ich gatunek. Nie zabijają jej, ale otwierają ciało, po czym je «rozładowują». Nabrzmiały brzuch królowej przypomina teraz pusty worek, i owada można przez jeden z małych otworów przetransportować do innej komory, gdzie wszystko zaczyna się od początku. Jak mi się wydaje, proces «rozładowywania» królowej był zawsze fałszywie interpretowany jako zabijanie jej przez robotnice i dzielenie ciała na części. Myślę, że moja hipoteza wystarczająco wyjaśnia dane wynikające z obserwacji".

Sanderson zareagował nie bez cynizmu na tę argumentację, która jest wprost modelowym przykładem starań o znalezienie naturalnego wytłumaczenia. Oto kilka linii z

jego listownej odpowiedzi:

"Zamiast się wzdragać na myśl o teleportacji, niech Pan lepiej zainteresuje tym fizyków. Cenię sobie każde racjonalne wytłumaczenie jakiegoś zjawiska, uważanego dotąd za niewytłumaczalne. Także i mnie nurtują wątpliwości w odniesieniu do ITF ("instant transference" -teleportacja), ale jeśli nie nasuwa się żaden inny realistyczny wniosek, to muszę formułować odpowiednie przypuszczenia, powtarzam: przypuszczenia.

Pańska interpretacja działa na moją duszę biologa równie zbawiennie jak atak malarii. Przede wszystkim królowej trudno byłoby precyzyjnie przez jeden z otworów choćby tylko głowę i górną część tułowia; nawet na to są za małe. Wspominam o tym tylko na marginesie. Pomysł, aby z owada po prostu wypuścić powietrze, przenieść go jak pusty worek gdzie indziej i na nowej kwaterze z powrotem napompować, wydaje mi się logiczny i praktyczny zapewne tylko z punktu widzenia «mrówek-nazistek». W rzeczywistości królowa jest jeszcze większa, niż nam się wydaje, a ponadto jej ciało jest wypełnione jajami. Ostatecznie nie jest niczym innym niż maszyną do ich produkcji. Jeśli więc zrobić otwór w tym wydętym jak balon ciele, zaczną zeń wydobywać się całe sterty jaj. Nie bacząc na to, przenosi się królową do innej komory, gdzie jej niezbędne pozostałości z powrotem się zaszywa (w czym mrówki mają szczególne umiejętności), a na zakończenie nadmuchuje. Jakby nic nie zaszło, można teraz przystąpić znów do jej karmienia, a ona może nadal składać jaja. I wszystko to się odbywa w ciągu pięciu minut".

Sarkastyczna opinia Sandersona trafnie charakteryzuje zasadniczą słabość niejednej sztucznej próby racjonalnego wyjaśnienia, cokolwiek byśmy sądzili o teleportacji wśród mrówek.

Absurdy codzienności i cyrkowe atrakcje

Wśród zagadek świata zwierzęcego poznaliśmy dwa biegunowo przeciwstawne przykłady: aprobowane talenty delfinów, niemal już przyjętych do rodziny ludzkiej, i dziwaczne zdolności obcych nam owadów. Między tymi skrajnościami mieści się jeszcze mnóstwo innych przypadków, choć przeważnie mało się je zauważa albo przyjmuje do wiadomości bez zadawania pytań. Kto dopatrzy się w absurdach codzienności lub cyrkowych atrakcjach cienia innej rzeczywistości? Przyjrzyjmy się kilku takim lekceważonym osobliwościom. Przekonamy się przy tym ze zdumieniem, że w królestwie zwierząt dzieją się rzeczy równie groteskowe, jak w świecie ludzi -ich panów i mistrzów.

Jak można na przykład skomentować przypadek, kiedy papużki faliste nagle naprawdę

zaczynają mówić? Łotewski psycholog i pisarz dr Konstantin Raudive (1909-1974) -uczeń C. G. Junga -który zdobył rozgłos jako badacz świata pozagrobowego, specjalizujący się w nagrywaniu na taśmie magnetofonowej głosów zmarłych, miał do czynienia z takim zdarzeniem.

W październiku 1972 r. otrzymał od pewnego małżeństwa, odnotowanego przez niego w dokumentacji tylko pod inicjałami v. D., kilka nagrań dźwiękowych. Były tam zarejestrowane nie głosy zmarłych osób, ale słowa wypowiedziane przez żyjącą papuzkę falistą, dotyczące częściowo, jak się zdawało, właśnie Raudivego. Dlatego właściciele ptaków zwrócili się z tym do owego badacza. Faktycznie, słysząc było między innymi nazwiska "Raudive", "Zenta Maurina" (żona Raudivego) i "Petrautzki" (jego zmarły sekretarz). Ponadto padała nazwa miejscowości "Bad Krozingen". Tam właśnie w kwietniu następnego roku odbyło się kolokwium, na którym pani v. D. miała zaprezentować swoją mówiącą papuzkę falistą znanym parapsychologom Hansowi Benderowi i Eberhardowi Bauerowi. Ptak ów był fenomenem, co do tego nie mogło być wątpliwości, choć nie było zgody co do jego klasyfikacji (samej papuzki, jak i zjawiska).

W tym samym czasie zasłynęła inna mówiąca papuzka falista. Biolog Ilse Sonnenberg badała kupionego w 1971 r. niebieskiego ptaka, bardzo przypominającego ptaka rodziny v. D. Nie wymieniając nazwiska właścicieli, biolog owa informuje, że papuzka, nie będąc wcześniej tego uczona, potrafiła wymawiać skomplikowane słowa, jak również nazwiska członków rodziny. Wyglądało na to, że szczególnie przypadł jej do gustu francuski filozof i matematyk Blaise Pascal, któremu potomność zawdzięcza rachunek prawdopodobieństwa. Pierzasty lokator nieustannie powtarzał nazwisko Pascala, aż właściciele byli tym tak zmęczeni, że pojechali do Paryża ozdobić świeżymi kwiatami grób naukowca. Kiedy wrócili, pozostawiony w domu ptak powitał ich ćwierkaniem przypominającym zdanie: "Pascal dziękuje za kwiaty".

Zoolog Almut Clausen próbowała rozgryźć tę tajemnicę, badając dla porównania zwyczajną papuzkę falistą. W 1974 r. opublikowała wyniki swoich studiów. Z pozoru wydawało się, że nie ma wielkiej różnicy między tamtym zadziwiającym ptakiem a "normalną" papuzką kontrolną. Ta ostatnia zdołała sobie w ciągu pierwszych, jeszcze niemych, miesięcy życia przyswoić słowa, które powtarzała później -pozornie zupełnie bez przygotowania. Mimo wszystko ta "teoria pamięciowa" nie była przekonująca, bo papuzka rodziny v. D. wypowiadała fachowe wyrażenia, słowa w obcych językach i rozwinięte zdania, których, czego dowiedziono, nigdy wcześniej nie słyszała.

Mimo wszystko sprawa ta jest jednak wciąż dość niejasna; w gruncie rzeczy ocieramy

się tu już o mało poważne rewelacje. Nie da się z całą pewnością wykluczyć, że niezwykle papużki faliste wyróżnia tylko nadzwyczajna tresura, jakiej je poddano. Zgoda, tyle że można na to spojrzeć z innej strony: za niejednym "wynikiem tresury" może się bowiem kryć coś więcej niż tylko zręczność tresera.

Bez wątplenia za majstersztyk należy na przykład uznać nauczenie gruboskórnego zwierzęcia gry na instrumencie muzycznym. Czasopismo "Sun" informowało 2 czerwca 1971 r. o słonicy imieniem Iris, która popisywała się przed widzami w Twycross Zoo wygrywaniem na ogromnych organkach melodii *When the Saints Go Marching In*. Inteligentny słoń z pewnością jest jeszcze w stanie się tego nauczyć. Dużą zdolność nauki przypisuje się również koniom. Mimo to niektóre z nich prezentują umiejętności, które z tresurą mają tyle wspólnego, co liczydło z procesorem wysokiej klasy.

Badacz telepatii i Lady Wonder

W młodości późniejszy pionier badań parapsychologicznych, Joseph Banks Rhine, nie dokonał jeszcze wyboru dziedziny swojej specjalizacji, ale tropił wszelkie paranormalne fenomeny. Nie trzeba dodawać, że mimo skromnego jeszcze wówczas doświadczenia większość z nich demaskował jako oszustwa lub urojenia. Nie zawsze tak jednak było. W Richmond (Wirginia) dokonał zaskakującego odkrycia, które go skłoniło do poświęcenia się badaniom telepatii -co miało przynieść mu sławę. Młody wówczas Rhine postanowił zbadać zdolności znanego poza granicami Wirginii "telepatycznego konia" imieniem Lady Wonder, którego nabył od pani C. Fondy. Krążyły opinie, że trzyletnia czarno-biała klacz umie zaskakująco dokładnie odpowiadać na pytania za pomocą przystosowanej do wielkości konia "maszyny do pisania" i że przejawia także zdolność prekognicji. Lady Wonder umiała przewidzieć wyniki wyborów prezydenckich, wyścigów konnych, a na giełdzie odnosiła większe sukcesy niż niejeden profesjonalny makler. Pomagała ponadto odszukiwać zaginione osoby, literując miejsce ich pobytu.

Wraz z renomowanym psychologiem, dr. Williamem McDougalem, Rhine przeprowadził w okresie od 3 grudnia 1927 r. do 15 stycznia 1928 r. liczne eksperymenty z cudownym zwierzęciem, przez cały ten czas biwakując na polu przed stajnią. Najpierw Lady Wonder miała zadanie wskazywać liczby i litery, przekazywane jej w myśli przez ludzi, co robiła, dotykając pyskiem rozłożonych przed nią dziecinnych klocków. Tu powodzenie było całkowite. Stopniowo zastrzazano kryteria prób, którym poddawano konia. Pani Fonda musiała opuścić pomieszczenie, aby wykluczyć porozumienie jej z koniem za pomocą jakichś tajnych

sygnałów, o co niektórzy ją podejrzewali.

Wreszcie odgrodzono Lady Wonder ścianą, uniemożliwiając kontakt z osobą, która w danej chwili starała się z nią nawiązać kontakt telepatyczny. Rezultaty prób były jednak nadal wyśmienite. Potem przystąpiono do zadawania zwierzęciu werbalnych pytań, na które ono odpowiadało, naciskając "klawisze z literami". W ten sposób nawiązano rozmowę, w jakiej mogliby brać udział także dwaj ludzie:

Pytanie: "Gdzie mogę pożyczyć pieniędzy?"

Odpowiedź: "Bank".

Pytanie: "Który bank?"

Odpowiedź: "Commerce"

Pytanie: "Jak nazywa się ten dżentelmen?" (chodziło o Rhine'a).

Odpowiedź: "Rhine".

Potem Lady Wonder literowała trudne słowa i rozwiązywała zadania matematyczne, nie wyłączając skomplikowanego pierwiastkowania. Sprawozdanie z tego zdumiewającego eksperymentu zostało opublikowane w 1928 r. w "Journal of Abnormal and Social Psychology". Joseph Banks Rhine nie widział innego wytłumaczenia jego wyników niż przesyłanie myśli, co go skłoniło do wniosku, że skoro istnieje telepatia między człowiekiem a zwierzęciem, to tym bardziej musi być ona na porządku dziennym w kontaktach między ludźmi. W ten sposób trafił na swoją późniejszą specjalność.

Cudowne konie z Elberfeld i "mądry Hans"

Koń imieniem Lady Wonder był najwidoczniej prawdziwym cudem, choć nie jedynym. Około dwudziestu lat wcześniej wielu naukowców było bezradnych wobec zagadki "cudownych koni z Elberfeld", dwóch ogierów arabskich Muhammeda i Zarifa oraz ogiera Berta.

Zdumiewające owe rumaki należały do bogatego przemysłowca Karla Kralla. Żył on mocne przekonanie, że ich inteligencja dorównuje naszej i że jest im jedynie potrzebny inny język symboliczny do wyartykułowania swoich myśli. Krall opracował "końską" metodę komunikacji przez wystukiwanie słów kopytem o deskę z wykorzystaniem alfabetu Morse'a. W ten sposób konie odpowiadały na trudne pytania, identyfikowały osoby, rozwiązywały złożone zadania rachunkowe i wypowiadały się na różne inne tematy, co według praw natury powinno być dla nich absolutnie niemożliwe. Co zrozumiałe, nie brakowało prób wyjaśnienia ich zdolności.

Poprzednio udało się rozszyfrować towarzysza ze stajni "cudownych koni z Elberfeld", ośmioletniego rosyjskiego ogiera Hansa, kiedy jeszcze nie był pod opieką Kralla; należał on wcześniej do byłego nauczyciela Wilhelma von Osten, który potem zmarł. "Mądry Hans" kilka lat wcześniej w Berlinie demonstrował nadludzkie z pozoru umiejętności, na brukowanym podwórku wśród nędznych czynszowych kamienic w północnej dzielnicy stolicy Rzeszy. On także posługiwał się najprostszą dla konia metodą stukania kopytem. Znał się na zegarze, rozpoznawał na zdjęciach przedstawione mu osoby, rozwiązywał zadania arytmetyczne i dokonywał wielu innych wyczynów. Jego sława była ogromna.

Pielgrzymowały do niego całe komisje ekspertów. Psychologowie, lekarze, zoologowie, biologowie, fizjologowie, neuropsychiatrzy, weterynarze i inni eksperci, między innymi oficerowie kawalerii i dyrektor pewnego cyrku, ciągnęli tłumnie do skromnego domostwa von Ostena. W 1904 r. powoływano specjalne komisje akademickie do prowadzenia badań nad cudownym ogierem.

Profesor dr Carl Stumpf, członek jednej z komisji badających "mądrego Hansa", zdołał wreszcie, jak się zdawało, zdemaskować fascynującego konia, dzięki wykorzystaniu wyników uzyskanych przez jego współpracownika Oskara Pfungsta. Okazało się, że właściciel Hansa zaczął go po przejściu na emeryturę kształcić niczym ucznia. Zrodziło się przy tej okazji, zdaniem Pfungsta, interesujące, choć bynajmniej nie ponadnaturalne wzajemne oddziaływanie między człowiekiem a koniem.

Von Osten miał zwyczaj nagradzać zwierzę marchewką i innymi smakołykami po rozwiązaniu jakiegoś zadania rachunkowego albo prawidłowym wystukaniu alfabetem Morse'a odpowiedzi na jakieś pytanie. Hans był niewątpliwie bardzo mądrym zwierzęciem i na tym opierała się też analiza Oskara Pfungsta. Wyciągnął on wniosek, że koń był wytresowany, aby odbierać niewerbalne sygnały swojego pana. Były nauczyciel mimowolnie przybierał specyficzne pozycje ciała, które nieświadomie odzwierciedlały wyniki jego własnych operacji myślowych w czasie pracy z Hansem. Był to subtelny i godny uwagi, ale całkowicie naturalny mechanizm. Jego rezultatem była w końcu niezamierzona tresura, dzięki której koń mógł udzielać pożądanых odpowiedzi niczym zdalnie sterowana marionetka. Pfungst, który był nadzwyczaj dobrym obserwatorem, nauczył się nawet do pewnego stopnia wcielić w rolę konia i sporadycznie odczytywać informacje z mikroruchów Wilhelma von Ostena. Kolejną poszlakę przemawiającą za tym przypuszczeniem stanowiła okoliczność, że "mądry Hans" przeważnie zawodził, kiedy zadający pytania nie znał na nie odpowiedzi albo kiedy koń go nie widział. Niekiedy wystarczyło już nawet tylko założenie kłapek na oczy, aby zamienić Hansa z powrotem w "normalnego" konia.

Wilhelm von Osten był człowiekiem z gruntu uczciwym, dalekim od planowania takich oddziaływań wzajemnych, choć już w latach 1895 i 1896 próbował swoich talentów pedagogicznych na niedźwiedziu i zaprzęgowej szkapie. Czworonogi te nie były jednak najwidoczniej tak mądre jak Hans, jeśli nawet ten ostatni nie był prawdziwym "superkonie". Kiedy w 1908 r. Stumpf, czy też Pfungst, zniszczył legendę "mądrego Hansa" (choć jego prawdziwe dokonania również zasługiwały na podziw), było to ciosem dla von Ostena. Jego rozgoryczenie nie zmalowało także rok później, kiedy umierał w wieku siedemdziesięciu jeden lat.

Oryginalnym zrządzeniem losu jest fakt, że "mądry Hans" po śmierci Wilhelma von Ostena znalazł nowy dom u Karla Kralla, gdzie aż do późnego wieku mógł jeść łaskawy chleb. Przemysłowiec ów znał Hansa już od pewnego czasu i był szczęśliwy, mogąc wziąć do siebie to wprawdzie pogardzane, ale mimo wszystko nadzwyczajne zwierzę. Kupił on jeszcze inne konie, między nimi także Muhammeda, Zarifa i Berta, późniejsze "cudowne konie z Elberfeld". Koło się nie tylko zamknęło, ale zyskało nowy wymiar.

Hipoteza Pfungsta bowiem nie znalazła potwierdzenia w przypadku tych nowych przyjaciół Hansa. Mimo że Krall eksperymentował najpierw z "mądrym Hansem", a później próbował też uczyć Muhammeda, Zarifa i Berta, to jednak między zdolnościami Hansa i "cudownych koni" istniała wielka różnica. Te ostatnie zwierzęta umiały odpowiadać na pytania bez kontaktu wzrokowego z pytającym. Jeden z nich, później dołączony Berto, był w dodatku ślepy. Zawiodły w tym przypadku także inne interpretacje klasycznej nauki. Sława zdumiewającego triumwiratu dodała nowego blasku przygasłej już gwiazdzie "mądrego Hansa". Dzisiaj niekiedy bywa również zaliczany do "cudownych koni z Elberfeld", choć one go tylko, można powiedzieć, wywindowały ze sobą do góry.

Ich zdolności zadawały kłam teorii Pfungsta. Na przykład egzaminujący uzgodnili, że będą unikać rozwiązywania w myśli zadania postawionego przed Muhammedem, polegającego na wyciągnięciu pierwiastka trzeciego stopnia z liczby 5832. Miało to na celu wykluczenie ewentualnej telepatii. Mimo to Muhammed w ciągu kilku sekund przekazał alfabetem Morse'a prawidłowe rozwiązanie -18. "Cudowne konie" miały faktycznie zdolność abstrakcyjnego myślenia. Pojmowały one podstawy matematyki, lepiej znały główne działania arytmetyczne niż niejeden uczeń, rozumiały reguły gramatyki i komunikowały się z ludźmi równie płynnie, o ile nie lepiej, jak słynna szympanśka Washoe. Ta ostatnia prowadziła rozmowy z małżeństwem psychologów Allenem i Beatrice Gardnerami z Uniwersytetu Nevada w Reno, posługując się amerykańskim językiem migowym ASL ("American Sign Language"), liczącym około 6 tysięcy znaków; na początku lat

siedemdziesiątych przypadek ten obiegił prasę światową.

Niekiedy Muhammed, Zarif i Berto w czasie prób dodawały własne komentarze albo zaczynały prowadzić dialogi z naukowcami. Tak było latem 1913 r., kiedy Zarif ku zaskoczeniu profesora Clarapede z Uniwersytetu Genewskiego oświadczył, stukając kopytem, że nie chce już dłużej brać udziału w próbie, bo jest zmęczony i od stukania boli go noga.

Jeszcze dziwniejsze zdarzenie miało miejsce, kiedy dr Scholler i dr Gehrke spytali Muhammeda, dlaczego przynajmniej nie spróbuje mówić. Ogier przestał wtedy stukać i faktycznie spróbował, choć miał przy tym zaciśnięte szczęki. Po wydaniu kilku żalonych odgłosów i wykrzywianiu pyska powrócił do alfabetu Morse'a i przekazał odpowiedź: "Nie mam dobrego głosu". Gehrke i Scholler drążyli ten temat i odpowiedzieli Muhammedowi, że także oni nie umieliby nic powiedzieć z zamkniętymi ustami.

Dr Gehrke zapytał konia: "Co trzeba zrobić, aby mówić?"

Muhammed odpowiedział, stukając: "Otworzyć usta".

Dr Gehrke: "To dlaczego ty ich nie otwierasz?"

Muhammed: "Nie mogę".

Samą tresurą nie da się tego wyjaśnić. Tym bardziej że mimo dużego zaangażowania Krall nie zdołał uczynić "mądrego Hansa" mądrzejszym i że w przypadku kucyka szetlandzkiego imieniem Hanschen i innych kandydatów jego trening nie dał żadnych efektów.

W artykule *Czy istnieją mówiące zwierzęta?* opublikowanym 17 grudnia 1914 r. w czasopiśmie "Nature" dr S. von Maday pisał między innymi: "Umiejętności ślepego konia Berta ostatecznie pozbawiają wszelkich podstaw teorię Pfungsta o postrzeganiu wizualnym".

Missie, jasnowiedząca terierka

"Cudowne konie z Elberfeld", które niestety w pierwszej wojnie światowej zostały zarekwirowane i wszystkie zginęły, bynajmniej nie są jedynymi przedstawicielami fauny, z którymi klasyczna nauka ma problemy. Stale pojawiają się zwierzęta, które zyskują rozgłos niezwykłymi talentami; albo też ludzie występują z twierdzeniami, że ich zwierzęta mają egzotyczne zdolności. Poczucie braku orientacji w świecie, które się pojawiło po zakończeniu drugiej wojny światowej, w połączeniu z bezprecedensową eksplozją wiedzy, doprowadziło między innymi do tego, że wielu ludzi nie wierzy już w nic, gdy inni z kolei wierzą we wszystko. Zjawisko to nie oszczędziło nawet kręgów naukowych.

Jednym z jego skutków jest, że badania parapsychologiczne częściej niż dawniej

bywają dopuszczane na salony. Badania te istnieją wprawdzie już od początku czasów nowożytnych, ale uprawiane są w wielkim stylu przy wykorzystaniu środków nowoczesnej technologii dopiero od połowy naszego stulecia. Liczne doświadczenia i opracowania są wręcz oparte na założeniu, że zwierzęta mają zdolności paranormalne i stawiają sobie za cel określenie i skatalogowanie tych talentów.

Niektóre zjawiska są wprawdzie tak dziwne, że trudno o choćby na pozór rozsądne wytłumaczenie. Jeśli się uprzeć, można je jednak znaleźć, jak pokazuje przypadek jasnowidzącej terierki Missie. Amerykański badacz zwierząt Bill Schul wnikliwie analizował zdarzenia w związku z tą pocieszną suczką, ponieważ go szczególnie zafascynowały.

Na początku Schul myślał, że może się to okazać jakąś bzdurą, zmyśloną przez właścicielkę suki, kobietę o nazwisku Mildred Probert. Wszystko się zaczęło od pewnego spaceru, na którym panna Probert spotkała znajomą z dzieckiem. Na pytanie skierowane do dziecka, ile ma lat, nie było odpowiedzi. Zamiast małego odpowiedziała matka: "Ma trzy lata". Panna Probert nachyliła się i powiedziała do dziecka: "No, powiedz: trzy". Znowu odpowiedzią było milczenie. Wtedy zaszczekała Missie -trzy razy.

Obie kobiety się roześmiały. "A ile ty sama masz lat?" spytała właścicielka suki, wciąż jeszcze się śmiejąc. Czworonożna towarzyszka wydała z siebie cztery szczeknięcia. Missie faktycznie miała cztery lata. Przypadkowo się zgadzało. "A ile lat skończysz za tydzień?" dociekała żartem panna Probert. Suczka zaszczekała pięć razy.

Skąd mogła wiedzieć, że w tym tygodniu przypadały jej urodziny? Ta wyjątkowa zgodność nie dawała panie Probert spokoju. Aby sprawdzić, czy Missie ma jakieś szczególne zdolności, czy nie, zaczęła wypytywać wesołą terierkę, ile palców ma człowiek i o inne sprawy na poziomie przedszkola. Kiedy Missie wyraźnie potwierdziła, że jest na tym poziomie, nie poprzestała na tym. Umiała podać numery telefonów znajomych, ich domów oraz inne dane liczbowe.

Potem sprawy zaczęły przybierać niesamowity obrót. Missie wiedziała o sprawach, które nie były znane panie Probert ani innym ludziom, na przykład znała numery domów obcych osób. Posługując się kodem Bella, informowała gości, ile mają przy sobie pieniędzy, czego sami dokładnie nie wiedzieli. Podawała numery serii banknotów dolarowych, daty urodzenia nieznanym osobom i temu podobne dane.

Pewien sceptycznie nastawiony lekarz usłyszał od niej swój własny tajny numer prywatny, który przekazywał tylko nielicznym osobom; panna Probert do nich nie należała. Mimo to znała go Missie. Nie dość na tym; aby nie sprawiać kłopotu dobremu doktorowi, panna Probert powiedziała do suki: "Nie mów wszystkim całego numeru telefonu doktora, ale

opuść ostatnią cyfrę, aby jego prywatny numer nadal pozostał tajny". Tak też się stało.

Pewien reporter prasowy poprosił suczkę o numer jego własnej polisy ubezpieczeniowej, którego naturalnie nie pamiętał. Zanim dziennikarz zdążył sprawdzić numer na swojej polisie, Missie już prawidłowo odtworzyła kombinację cyfr.

Suczka ta okazała się najprawdziwszym jasnowidzem. Przepowiadała wyniki wyborów na prezydenta USA, momenty urodzin, włącznie z wagą noworodków itd.

Przepowiedni śmierci natomiast duet Probert i Missie starał się unikać. Były tylko dwa wyjątki. Raz suczka została po prostu do tego zmuszona. Zdarzenie to zostało utrwalone w liście pani Kincaid, opublikowanym w książce *PSI w królestwie zwierząt*.

Pani Kincaid pisze: "W lutym 1965 r. odwiedziliśmy naszą sąsiadkę Mildred Probert. Kazała ona swojej jasnowidzącej terierce odpowiedzieć na kilka naszych pytań. Ta swoim szczekaniem podała daty urodzenia naszych trzech córek, w sposób bardzo wyraźny, a dla nas także łatwo zrozumiały. Missie umiała też określić liczbę liter w naszym nazwisku, porę dnia itd. Potem mój mąż posadził psa na fotelu, nachylił się nad nim i zapytał: «Ile miesięcy jeszcze przeżyję?». Pani Probert zaoponowała, nie chcąc, aby jej suka odpowiadała na to pytanie. Mój mąż jednak nalegał. (Powiedział, że obawia się, iż ma przed sobą już tylko kilka miesięcy, a nie lat). Missie odpowiedziała na jego pytanie: «25». Pani Probert powiedziała szybko: «Może ma na myśli dwadzieścia pięć lat». Zapytał więc suki: «Ile lat jeszcze przeżyję?». Missie odpowiedziała natychmiast: «2». Kontynuował więc: «Czy możesz mi podać datę, miesiąc?». Missie odpowiedziała: «4». Zapytał: «A dzień?». Missie odpowiedziała: «3». Wszystko się potem sprawdziło. Mój mąż, C. Kincaid, zmarł 3 kwietnia 1967 r. Był to czwarty miesiąc, trzeci dzień, dwadzieścia pięć miesięcy (dwa lata) później".

Niewytłumaczalność tej przepowiedni potęguje fakt, że pan Kincaid nie umarł na raka żołądka, o którym wiedział i który go skłonił do zadawania tych pytań, ale wskutek postrzelenia.

Druga przepowiednia śmierci dotyczyła samej terierki. W maju 1966 r. panna Probert chciała się od Missie dowiedzieć, która jest godzina. Suczka zaszczekała 8 razy. Nie było to zgodne z prawdą, więc panna Probert spytała jeszcze raz, i wtedy otrzymała prawidłową odpowiedź. Potem znowu nastąpiło osiem szczeknięć. O ósmej godzinie tego samego dnia Missie zadławiła się kawałkiem jedzenia, co zakończyło jedno z najbardziej zdumiewających zjawisk w królestwie zwierząt, którego niestety nigdy nie poddano zakrojonej na szerszą skalę analizie. Po prawdzie, nie można przemilczać, że panna Probert miała do swojej suczki -jak to nazwać? -specyficzny stosunek. Zakładała Missie na dzień ubranie wyjściowe, a na noc piżamę. Suczka spała z pluszowym pieskiem, nie jadła ze zwyczajnej miski i konsumowała

tylko ludzkie pożywienie. W sumie zachowywała się bardziej jak człowiek niż jak pies. Związane z tym wszystkim zamieszanie w środkach masowego przekazu nie sprzyjało traktowaniu czworonożca jako kandydata do poważnych badań naukowych. Naturalnie, nie została też zupełnie zignorowana. Wysuwano przypuszczenia, że właścicielka urządza teatralne sztuczki i posądzano ją o szarlatanerię. Nie pasował do takiej wersji jednak ten intrygujący fakt, że większość informacji wyszczekanych przez Missie nie była znana pannie Probert.

Ponieważ nie dało się ukryć tych zdumiewających faktów, to w końcu sklecono wspomniane na początku "naturalne wytłumaczenie", które mówi samo za siebie: być może to panna Probert miała zdolność jasnowidzenia, a nie jej pies (terier wyposażony w zdolność prekognicji to jednak mocna rzecz). Takie przypuszczenie wprawdzie wciąż jeszcze nie degradowało Missie do rzędu "normalnych" psów, ale czyniło z niej odbiorczynię przekazywanych drogą telepatii myśli jasnowidzącej panny Probert. Była to najprawdziwsza hipoteza kompromisowa. Można by też powiedzieć: kwadratura koła.

Badania prekognicji u szczurów laboratoryjnych

Niekiedy jednak badacze przyznają istnienie najbardziej źle widzianych i niewiarygodnych zdarzeń. Tak np. Robert Morris informował w związku z odbywającą się w zimie 1967 r. konferencją Fundacji Badań nad Naturą Człowieka o prekognicji u szczurów laboratoryjnych, którą badano na Uniwersytecie Duke; tytuł jego artykułu brzmiał: *Precognition in Laboratory Rats*.

Znany ów instytut naukowy zajmował się ubocznie także paranormalnymi zdolnościami zwierząt, przede wszystkim pod kątem przewidywania trzęsień ziemi, zwierzęcego zmysłu orientacji ("PSI-trailing") oraz wzajemnych mentalnych oddziaływań między ludźmi a bliskimi im psami, kotami itd.

Grupa badaczy skupiona wokół Morrisa chciała zgłębić zjawisko dobrze znanych u zwierząt przeczuć śmierci. Typowym przykładem jest pies myśliwski, który radośnie podbiega do swojego pana, kiedy ten zarzuca strzelbę na ramię, aby wraz ze swoim czworonożnym towarzyszem udać się na polowanie, a ukrywa się, skomląc, kiedy ta sama strzelba ma skrócić jego cierpienia, gdy jest stary i chory. Nie ma w tym niczego zagadkowego. Pan czuje się głęboko nieszczęśliwy z powodu swojego okrutnego obowiązku, a pies wyczuwa to na wiele sposobów.

Wydaje się, że ten sam mechanizm powoduje szczególny wzrost agresji u szczurów

laboratoryjnych, które mają być zabite na końcu serii doświadczeń. Czy jest tak istotnie?

Robert Morris i jego zespół wymyślili taki układ eksperymentalny, który by uniemożliwiał interakcję między szczurami a ich katami -ludźmi. W kwadratowej skrzyni o boku długości 2,5 m, podzielonej na mniejsze kwadraty, między którymi były przejścia, szczury musiały spędzić pewien czas w oddzielnych przegródkach. Niektóre z nich miały zginąć, a inne nie. Ostateczną instancją decydującą o życiu i śmierci gryzoni był generator przypadku. Nie miały więc żadnej możliwości wyczuć, jaki los ich czeka, przez odbiór jakimkolwiek zmysłem sygnałów wysyłanych nieświadomie przez ludzi. Bowiem nawet pracownicy instytutu prowadzący ten eksperyment sami nie mieli pojęcia, które szczury zostaną uśmiercone. Natomiast, co zdumiewające, same szczury wydawały się bardzo dobrze to wiedzieć, bo zwierzęta, którym sędzone było przeżyć, pozostawały aktywne, gdy tymczasem skazańcy apatycznie tkwili w swoich przegródkach. Eksperymentatorzy wyciągnęli stąd wniosek -nadając mu najostrożniejsze sformułowanie -wskazujący na możliwość prekognicji. Inaczej w ogóle nie byłoby żadnego wytłumaczenia.

Przecucia u zwierząt

Tymczasem przeprowadzono liczne eksperymenty, które udokumentowały istnienie przecuć u zwierząt. Takie amerykańskie instytucje, jak Fundacja Badań Psychiczych w Durham (Karolina Południowa) do badania RSPCA ("Recurrent Spontaneous Psychoactivities" -powtarzające się spontaniczne aktywności psychiczne) albo Laboratorium Parapsychologiczne podjęły podobne doświadczenia jak grupa Morrisa; podobnie uczynił zespół profesora J. B. Rhine'a. W Europie tym zdumiewającym fenomenem zajmował się wnikliwie francuski zoolog R. Chauvin, stwierdzając, że myszy, szczury, złote rybki i inne zwierzęta wiedziały, w jakich odcinkach labiryntów czy wydzielonych przegródkach może je zabić generator przypadku, a w jakich nie. Ze statystycznie uchwytłą częstotliwością unikały przebywania w strefach śmierci.

Omawiane tu zjawiska nie mają nic wspólnego z dobrze znanym przeczuwaniem trzęsień ziemi i innych katastrof. Gąsiora, któremu we Fryburgu wystawiono pomnik, ponieważ w czasie drugiej wojny światowej ostrzegał ludność miasta przed bombardowaniami (wielu ludzi zawdzięczało mu życie, zwłaszcza przy wielkim nalocie z 27 listopada 1944 r.), nic nie łączy z psem Abrahama Lincolna, który na kilka godzin przed zamachem na jego pana 14 kwietnia 1865 r. zachowywał się jak szalony. Cały sztab Białego Domu nie był w stanie go uspokoić. Zostawiono psa dopiero wtedy, gdy nadeszła wiadomość,

że szesnasty prezydent USA został śmiertelnie postrzelony w teatrze Forda w Waszyngtonie przez Johna Wilkesa Bootha.

Trzeba tu przeprowadzić ściśle rozróżnienie. Nie ulega wątpliwości, że zmysły zwierząt są zdolne do fantastycznych dokonań. Zwierzęta mają lepszy słuch, wzrok i węch niż homo sapiens. Mogą one odbierać wibracje niezauważalne nawet dla naszych najczulszych przyrządów pomiarowych, postrzegać pola elektromagnetyczne i mają wiele jeszcze innych umiejętności. Węch psa jest wrażliwszy od ludzkiego milion razy. Tę samą ilość wonnej substancji, jaką my jesteśmy jeszcze w stanie wyczuć w małym pomieszczeniu, nasz czworonożny przyjaciel mógłby zauważyć nawet wtedy, gdyby została rozpylona w powietrzu nad miastem wielkości Monachium. Niektóre ptaki, chrabąszcze majowe, motyle i ryby wykorzystują w swojej orientacji przestrzennej magnetyzm. Nawigacja pszczół opiera się na polaryzacji światła słonecznego, a nietoperze korzystają z ultradźwięków. Niektóre węże widzą promienie podczerwone. Zmysł meteorologiczny zwierząt ma swoje zagadkowe strony, ale w żadnym razie nie kryje w sobie niczego nadnaturalnego.

Wiedza o takich zdolnościach zmysłowych stopniowo redukowałą opory przed podjęciem poważnych dociekań, czy u zwierząt mogą także występować zdolności PSI. Oczywiście, droga od pierwszych nieśmiałych przypuszczeń do opisanych eksperymentów nad prekognicją musiała być długa i wyboista.

Telepatia u zwierząt

Na dziesięć lat przedtem, zanim J. B. Rhine zetknął się z telepatią u konia Lady Wonder, rosyjski inżynier elektrotechnik, Bernard Kaiński, publikował liczne prace na temat przesyłania myśli. Zwróciły one uwagę jego rodaka, słynnego badacza telepatii i pogromcy zwierząt, Władimira L. Durowa, który był przekonany, że zwierzęta umieją czytać myśli.

Durow aż do śmierci był dyrektorem Laboratorium Psychologii Zwierząt w Moskwie. Zainspirowany przez dzieło Kaińskiego, chciał merytorycznie zgłębić zagadnienie telepatii u zwierząt. We współpracy z wybitnym neurologiem i fizjologiem Władimirem M. Bechterewem w instytucie kierowanym przez Durowa podjęto serię doświadczeń, która miała odegrać rolę pionierską i natchnąć odwagą innych badaczy. Neurolog zapisywał skomplikowane rozkazy i wręczał je pogromcy, który telepatycznie i bez gestykulacji przekazywał je swoim zwierzętom. Zdumiewające, że prawie w każdym przypadku były one ściśle wykonywane.

Wyglądało to na przykład tak, że Durow przez sekundę patrzył w oczy Marsowi,

niemieckiemu owczarkowi, nie wypowiadając przy tym ani słowa. Mars miał zadanie przynieść jakiś przedmiot leżący w nie znanym mu pomieszczeniu, znajdującym się piętro wyżej. Durow nigdy nie dotknął tego przedmiotu, węszenie więc na nic się nie zdało. Pies udał się do bocznego pokoju, obszedł trzy stojące tam stoły, sprawdzając, co się na nich znajduje, i wreszcie wziął w pysk książkę telefoniczną, leżącą na trzecim stole. Zaniósł ją do Durowa; to właśnie był szukany przedmiot.

Niektóre eksperymenty przewidywały cały program działań, przy czym wykluczone było, aby Durow mógł przekazywać swoim podopiecznym instrukcje inaczej niż drogą telepatii. Także w tym przypadku polecenia były prawie zawsze precyzyjnie wykonywane. Właśnie zdarzające się sporadycznie pomyłki czworonogów stanowią kolejną poszlakę przemawiającą na rzecz tezy o istnieniu u nich telepatii. Pewnego razu pies miał wziąć złotą plakietkę z kłapy marynarki Durowa, potem jednak eksperymentatorzy zmienili zdanie i wskazali łańcuszek innego mężczyzny. Pies z początku pobiegł od razu do mężczyzny z łańcuszkiem, okrążył go kilkakrotnie, ale potem wrócił do Durowa, aby delikatnie chwycić zębami jego plakietkę. Niekiedy zwierzęta wykonywały instrukcje, które właściwie były przewidziane do następnego ćwiczenia. Wszystko przemawia za tym, że przechwytywały również myśli do nich nie skierowane.

Naukowiec i artysta kabaretowy Durow napisał książkę na temat swojej metody mentalnego kierowania zwierzętami. Nosi ona skromny tytuł *Tresura zwierząt* i uchodzi za dzieło podstawowe w dziedzinie zarówno tresury, jak i badania telepatii między człowiekiem a zwierzęciem. Po śmierci Durowa nikomu już się nie udało wytworzyć tak harmonijnych stosunków ze zwierzętami.

Co najwyżej, można z nim porównać niemieckiego tresera Hansa Bricka. Podobnie jak Durow, był on przekonany, że zwierzęta słuchają go dzięki nawiązaniu z nimi kontaktu duchowego. Pewnego razu zademonstrował to w imponujący sposób. W czasie drugiej wojny światowej Brick spędził pewien czas w obozie jenieckim w Anglii. Po zwolnieniu zwrócił się do niego brytyjski producent filmowy z prośbą o nadzorowanie zdjęć z udziałem dzikich zwierząt. Miał w nich uczestniczyć "lew-ludożerca" Habibi z londyńskiego zoo. Lwa tego Brick dobrze znał, jeszcze sprzed wojny.

W dzień kręcenia zdjęć, pewnego niedzielnego ranka, Brick poszedł do zoo, gdzie w duchu zawarł z Habibi pakt o nieagresji. Lew obiecał zachowywać się spokojnie w czasie swojej wycieczki na wolność. Wtedy Brick otworzył klatkę, na co inne zwierzęta w zoo zareagowały histerycznie. Króliki i pawie biegające na wolności wpadły w panikę, ale ogromny władca dżungli nie zwracał na nie uwagi. Posłusznie jak baranek dreptał przy swoim

mentalnym partnerze. Razem poszli do bramy, gdzie czekał już pojazd i klatka do transportu. Przeróżający lew wszedł do niej bez jakiegokolwiek przymusu. Także w czasie zdjęć był wzorowym współpracownikiem, a potem bez problemu dał się z powrotem zawieźć na swój wybieg. Zadziwiająco tę opowieść potwierdził angielski wydawca prasowy Edward Campbell.

Od tamtej pory odbyło się wiele doświadczeń telepatycznych ze zwierzętami. Prawie wszystkie dostarczyły niezbitych dowodów statystycznych na przesyłanie myśli między człowiekiem a zwierzęciem. Niektóre z tych doświadczeń były dość zabawne, jak choćby eksperyment angielskiego badacza Nigela Richmonda, który chciał się przekonać, czy zdolności paranormalne człowieka mogą się przyczynić do zainicjowania niezwykle procesów leczenia przez wywarcie wpływu na mikroorganizmy. We wspomnianym eksperymencie próbowano telekinezą modyfikować zachowanie pantofelka. Uzyskano jednak tak niezwykle wyniki, że niektórzy specjaliści skłaniali się ku tezie, że zamiast psychokinezy mogło dojść do kontaktu telepatycznego między eksperymentatorem a pantofelkiem.

Dzisiaj testy PSI zwierząt wprawdzie nie są może na porządku dziennym, ale i nie stanowią tabu. Dowiodły one przesyłania myśli między człowiekiem a zwierzęciem. Także inne zdolności paranormalne, zwłaszcza telekineza, wydają się znajdować niezaprzeczalne potwierdzenie. Pod tym względem rezultaty nie są tak liczne, ale istnieją. Tymczasem niechętnie pogodzono się nawet z prekognicją zwierząt i nie unika się egzotycznych koncepcji. Wśród nich do najbardziej oryginalnych należy hipoteza angielskiego archeologa i radiestety T. C. Lethbridge'a, że kocie wąsy mogą być czymś w rodzaju "naturalnych różdżek".

Egzotyczne hipotezy

Zatrzymajmy się w tym miejscu, na granicy między poważną a mniej poważną spekulacją, i stawmy czoło trudnemu pytaniu: jeśli już trzeba przyznać, że w królestwie zwierząt wszystko przybiera kształt tak samo pełen sprzeczności i niewytłumaczalny jak u ludzi, to dlaczego mielibyśmy się cofać przed ostatnią konsekwencją? Przed konsekwencją całkowicie fantastycznej rzeczywistości? Cudowne zjawiska, w porównaniu z którymi nawet zwierzęce właściwości PSI wydają się skromne, napotykamy przecież na każdym kroku także w świecie zwierząt. Niekiedy nauka zabiera głos na temat takich w milczeniu przyjmowanych sprzeczności.

Dobrym przykładem jest gatunek os pasożytujący na tarantuli. Kiedy nadchodzi pora

składania jaj, osa szuka tarantuli, wkłupa się w nią i składa jaja w żywym, ale sparaliżowanym pająku. Potem zakopuje go w dziurze w ziemi. Larwy osy spożywają z rozmysłem swoją przymusową żywicielkę; oszczędzają przy tym do ostatka jej organy życiowe, aby nie zabić przedwcześnie swojej żywej spizarni, bo uległaby ona rozkładowi przed osiągnięciem dojrzałości przez larwy. Po osiągnięciu dojrzałości pojawiają się dorosłe osy i cykl w naturze zaczyna się na nowo. Matka natura jest brutalna, to każdy wie, ale -chciałoby się zapytać -czy w tym cyklu jest coś tajemniczego? Otóż jest, i to niejedno.

Skąd osa wie, jak nie zabijając, sparaliżować tylko pająka, i skąd to oszczędne wykorzystywanie środków spożywczych? Łatwo można sformułować powierzchowną odpowiedź: chodzi tu o genetycznie utrwalony i przekazywany dalej w drodze dziedziczenia program reakcji, który odbywał się już miliardy razy.

Absolutnie słusznie, tylko: jak doszło do jego powstania?

Kiedyś, w najbardziej zamierzchłej przeszłości osa wkłupa się po raz pierwszy, i to w takim miejscu w systemie nerwowym pająka, gdzie ukłucie powoduje paraliż. W innym przypadku pająk by zdechł, a wtedy hodowanie larw nie byłoby możliwe. Gdyby tarantula została tylko zraniona, to osa odniosłaby sukces. Wszystko albo nic.

Taką samą grę *va banque* musiały podjąć także pierwsze larwy. Gdyby od początku nie żerowały one w niezwykle wybiórczy sposób, to także z nimi byłoby krucho. Występuje tu niemałe spiętrzenie skrajnych nieprawdopodobieństw. Próbuje się temu zaradzić, argumentując, że zanim larwy i osy osiągnęły pierwszy sukces, podejmowały liczne nieudane próby. Ale to wykluczone! Twarda rzeczywistość naturalnego naporu czynników zniszczenia szybko położyłaby kres takim nie kończącym się eksperymentom. Szczególnie, jeśli wziąć pod uwagę, że chodzi tu o podwójny ciąg przypadków (prawidłowe wkłucie się, prawidłowe żerowanie). Dopracowanie się skutecznej procedury mogłoby, według czysto matematycznej oceny, trwać dłużej, niż wynosi przybliżony wiek wszechświata. A więc niemożliwe, aby tak się to odbyło. Ponieważ tak ogromne umiejętności ani nie pojawiają się spontanicznie, ani w wymienionych warunkach nie mogą się rozwijać krok po kroku, to naukowcy wyrażali nawet pogląd, że pierwsza osa skonfrontowana z pierwszą tarantulą-żywicielką zaczerpnęła informacji na temat właściwego postępowania z przyszłej filogenezy swojego własnego gatunku, która miała dopiero się dokonać w przyszłości, albo z owego tajemniczego jeziora informacji, w którym, według najnowszych teorii fizyki teoretycznej, zanurzony jest nasz kosmos.

Nie miejsce tu na zajmowanie własnego stanowiska wobec tych wszystkich spraw. Powiemy tylko tyle: czy to na pewno jest ten sam świat zwierząt, który nam prezentują

podręczniki? Czy nie jest raczej tak, że również i on jest pełen chaosu, niesamowity i dziwny, i że zachodzą w nim groteskowe zjawiska? Jeśli zaakceptujemy totalną wspólnotę losu wszystkiego, co żyje, to zrozumiemy, że między człowiekiem a zwierzęciem istnieje stuprocentowa zbieżność -nie wyłączając fenomenów pochodzących z tamtego świata.

Psia wierność aż poza grób

Wspomniany już Bill Schul szczególnie interesował się tą dziedziną i odkrył rzeczy fascynujące. Jak się zdaje, dochodzi do manifestacji duchów zwierząt, i to nie tylko w fantazji ich pogrążonych w smutku byłych właścicieli.

Albert Pyson Terhune przedstawia w swojej książce *The Book of Sunny bank* dwa niesamowite zdarzenia. Pierwsze z nich miało miejsce w czasie wizyty, jaką mu złożył wiewlebnny Appleton Grannis. Terhune i duchowny siedzieli pogrążeni w rozmowie przy stole w jadalni, przy czym pisarz był odwrócony plecami do drzwi prowadzących na taras. Wychodząc, ksiądz rzekł: "Myślałem, że znam wszystkie twoje psy, ale tego jednego jeszcze nigdy nie widziałem. No, tego wielkiego żółtobrazowego z blizną na pysku. Stał przez cały czas za oknem i bez przerwy patrzył na ciebie. Teraz uciekł. Który to z twoich psów?". Opis pasował tylko do mieszańca Rexa, który zdechł rok temu. Grannis nigdy przedtem nie widział tego psa ani nie słyszał o nim.

Henry A. Healy, przyjaciel Terhune'a, powiedział raz do pisarza, że widział (martwego) Rexa leżącego u stóp Terhune'a. Wielu świadków zauważyło też, jak inny z jego psów, owczarek collie Bruce, który żył o 4 lata dłużej od Rexa, w tym czasie stale tulił się do jednego miejsca na podłodze, zupełnie, jakby leżał tam niewidzialny pies. Było to dawne ulubione miejsce Rexa.

Angielski magazyn "Prediction" zamieszcza podobne opowieści na temat mruczących pokojowych tygrysów. Koty lubią wychodzić z domu. Nie był pod tym względem wyjątkiem kot imieniem Fingal, należący do niejakiej Celi Dale. Wieczorem odbywał swój obchód i punktualnie o dziewiątej wracał do domu. Wtedy miał zwyczaj głośno drapać do drzwi, dopóki go nie wpuszczono do środka. Także po śmierci kota słyszano dalej to drapanie. Bywało ono tak natarczywe, że Celia Dale lub inny domownik otwierał drzwi, po czym odgłos cichł. Potem często można było usłyszeć ciche mruczenie dochodzące z żółtej poduszki, na której Fingal lubił przesiadywać, gdy jeszcze żył.

Strata kochanego zwierzęcia domowego jest smutnym doświadczeniem. Niektórzy właściciele nie chcą jej przyjąć do wiadomości i nieświadomie wolą wierzyć, że ich przyjaciel

jest nadal z nimi. Rządziej się zdarza, że wierzą w to także inni ludzie, jak w przypadku Rexa.

Jednak astralną obecność Fingala zauważyła nawet inna przedstawicielka jego gatunku, a mianowicie kotka syjamska, którą pewnego popołudnia przyniosła ze sobą sąsiadka. Kiedy kotka składająca wizytę w obcym domu zatrzymała się przy fotelu z poduszką Fingala, było po niej wyraźnie widać lęk. Wygięła grzbiet, zjeżyła sierść i wpatrywała się w pusty fotel. Potem jej wzrok podążył za czymś niewidzialnym, co wydawało się przemieszczać w kierunku drzwi na taras. Kiedy je otworzono, kotka się uspokoiła. Położyła się nawet na poduszcze, która teraz najwyraźniej była wolna. Elliot O'Donnell opisuje w swojej książce *Animal Ghosts* (Duchy zwierząt) wiele podobnych przypadków.

Ostrzeżenia przed katastrofami pochodzące z krainy martwych zwierząt można tłumaczyć jako halucynacje albo przecucia ich byłych właścicieli. Kiedy nieżyjące zwierzęta ukazują się ludziom, którzy ich nie znali, wtedy nie wiadomo jak to tłumaczyć. Na przykład w okolicy angielskiego hrabstwa Yorkshire od dziesiątków lat zadomowiony jest kot-duch Congleton. Często widują go osoby przyjezdne, które dopiero po fakcie dowiadują się, że duży biały kot, którego spotkali, nie należał do świata żywych.

Widać zatem, że świat zwierząt stanowi doskonale lustrzane odbicie świata ludzi -jest równie fantastyczny, równie dziwaczny i nie mniej pełen sprzeczności. Mamy więc przed sobą, jak się zdaje, podwójny dylemat: albo zwierzęta mają zdolności PSI i ich świat nawiedzają, podobnie jak nasz, zjawiska niewytłumaczalne, albo może coś (czy też ktoś) prowadzi z nimi taką samą niejasną grę, jak z nami. Jedno jest w każdym razie pewne: ostatecznie przysło zgodne z naszymi życzeniami przekonanie, że wszystko jest takie, jakim je sobie wyobrażamy.

Skoro tak, to możemy uczynić najbardziej konsekwentny krok: spróbujmy w ramach czystego eksperymentu myślowego, nie mając jakichkolwiek pretensji demaskatorskich, wyobrazić sobie tylko równoległe rzeczywistości, kryjące się za tą naszą -mimo ryzyka, że mogłyby się okazać wcale nie mniej przytłaczające niż nasza rzeczywistość, zdominowana przez szaleństwo.

CZEŚĆ III

Co nie mieści się w głowie

Zanurzymy się w morzu fantazji

Tylko w życiu wszystko się powtarza,

Wiecznie młoda jest tylko fantazja.

Friedrich Schiller *Do przyjaciół*

Ciąg dalszy baśni

Czasem dobrze jest mieć bujną wyobraźnię; ba, niekiedy nawet ratuje ona życie. Dobrym przykładem jest klasyczna baśń o Szeherazadzie z tysiąca i jednej nocy. Widać tu, jak wybujała fantazja -idąca w parze z wyrafinowaniem -może utrzymać w ryzach władzę i przemoc.

Jak wiemy, Szeherazada była córką wielkiego wezyra, którą pragnął pojąć za żonę sam kalif. W normalnym przypadku na starożytnym Wschodzie byłoby to szczytem marzeń każdego ojca, mającego córkę na wydaniu, i każdej dziewczyny. Tu jednak był pewien problem; kalif miał bowiem nie miłą przywarę -nazajutrz rano po nocy poślubnej zwykł powierzać swoje kolejne wybranki w ręce kata. Przyczyną tego dziwactwa była niewierność jego pierwszej żony, której zgładzenie nie zdołało nasycić żądzy kalifa, by ukarać rodzaj niewieści. Przysiągł on na brodę Proroka, że odtąd noc w noc najpiękniejsze dziewice z całego kraju mają dzielić z nim łożo, aby kończyć żywot nazajutrz rano.

Ślub ten wypełniał już od lat niestrudzenie, kiedy nadeszła kolej Szeherazady. Ta mądra dziewczyna ofiarowała jednak kalifowi nie tylko swoje wdzięki, jakich zaznał już setki razy, ale pobudziła także jego umysł przez opowiadanie fantastycznych historii. Przypadek zrządził, że o szarym świecie nie skończyła jeszcze szczególnie interesującej opowieści. Kiedy kalif -wróg kobiet przez 1001 dni nie zdołał wskutek tego wypełnić swojej przysięgi, cała sprawa poszła w zapomnienie i Szeherazada była uratowana. Tyle mówi baśń.

Można jednak także przeciągnąć strunę. Jak to by się mogło skończyć w przypadku Szeherazady, na ten temat snuł domysły jeden z największych poetów amerykańskich. Mówię tu o człowieku, który sam siebie charakteryzował w swoim słynnym wierszu *Kruk* jako śniącego "sny, jakich nikt z śmiertelnych nie śmiał śnić"; który wniósł logikę do literatury kryminalnej i o duchach; który jako wydawca "Graham's Magazine" w Filadelfii przeszło 150 lat temu wysunął śmiałe twierdzenie, że zdoła rozszyfrować każde, choćby nie wiedzieć jak przemyślnie wykoncypowane sekretne pismo, i faktycznie tego dowiódł, ponieważ -jak

brzmiało jego credo -"wszystko, co osiągnął rozum ludzki, tenże sam rozum musi rozwiązać": mowa o Edgarze Allanie Poe.

W jego oryginalnej noweli *Tysiącna i druga opowieść Szeherazady* mądra córka wezyra popełnia fatalny błąd. Jej kolejna opowieść jest już nadmiernym wyzwaniem dla fantazji kalifa, który jak dotąd nie miał nic do zarzucenia baśniowym zwierzętom ani cudom wszelkiego rodzaju, nie wyłączając różowego konia o zielonych skrzydłach, napędzanego mechanizmem zegarowym.

Teraz jednak natchodzą go poważne wątpliwości, kiedy Szeherazada wyjawia prawdziwe zakończenie dziejów życia Sindbada żeglarza. Przy tej okazji zatracza wszelki umiar. W jej opowieści występuje między innymi: wyspa zbudowana przez lud małych istot podobnych do robaków; niebezpieczne drapieżne zwierzęta o sierpowatych kleszczach, które z bezpiecznej kryjówki ciskają kamieniami w ofiarę, aby następnie wysysać z niej krew; świecące żywe stwory; ptaki i pszczoły lepiej rozumiejące matematykę i geometrię niż uczeni; wyrób lodu w tyglach rozżarzonych do czerwoności i inne dziwne zjawiska, przechodzące nawet pojęcie orientalnych władców z czasów Harun al-Raszida.

Nie trzeba długo czekać na ukaranie za tak bezwstydną przesadę. Kalif, którego rozboleła głowa od tylu niestworzonych historii, przypomina sobie o swoim ślubowaniu; dręczony sumieniem, rozumie konieczność niezwłocznego dopełnienia od dawna zaległej egzekucji. Tak się też dzieje -u Edgara Al- lana Poego.

Absurdalny świat alternatywny

Choć nie mamy zamiaru robić konkurencji temu gigantowi literatury (i zresztą nie możemy), kuszący się nam wydaje podobnie pomyślany eksperyment. Ukoronujmy -jak Szeherazada -to, co fantastyczne, i uczynimy krok w kierunku nonsensu. Inaczej niż u Poego nie będzie to nas kosztowało głowy. Nie będziemy sobie jednak narzucać żadnych ograniczeń geograficznych ani czasowych. Zbudujemy świat alternatywny, w którym będzie postawione na głowie wszystko, co dla nas jest normalne i oczywiste. Odnosi się to zarówno do natury obdarzonych rozumem istot żywych, jak do znanej nam struktury cywilizacji technologicznej. Jeśli ktoś w tym miejscu zadaje sobie pytanie, na co nam to się zda, niech się uzbroi w cierpliwość. Na pewno pozna odpowiedź na to pytanie.

W tym stworzonym przez fantazję świecie na porządku dziennym będą sprawy monstualne, od początku wpływające na bieg dziejów. Dodatkowo przyprawimy go obficie irracjonalizmem, szczyptą magii, nieograniczoną ilością braku skrupułów i stuprocentową

gotowością do samobójczego okłamywania samego siebie oraz nie będziemy brali żadnej odpowiedzialności za przyszłe pokolenia. Tak irracjonalny melanz dokładnie wymieszamy, ochłodzimy i pozwolimy mu zastygnąć, a będziemy mieli gotowe doprawdy absurdalne pole do działania.

Ponieważ taki eksperyment myślowy zawisłby w próżni, gdyby zaludnić przestrzeń dziwnymi Obcymi, od jakich aż się roi w powieściach *science fiction*, uczynimy gatunkiem dominującym stworzenia podobne do ludzi: obdarzone inteligencją, chodzące na dwóch nogach, mające duży mózg i niezaspokojony pęd do poznania, zmian i samorealizacji. Co prawda, nadamy im pewne egzotyczne cechy i groteskową strukturę społeczną, to ostatnie nie bez powodu.

Planety użyczające schronienia życiu nie są ogromnymi, gładkimi kulami bilardowymi. Mają one powierzchnię o zróżnicowanej strukturze, na której w różnych regionach nieuchronnie musi się rozwinąć zróżnicowanie ludów (a w rezultacie muszą powstać państwa, narody lub podobne wielkie wspólnoty). Jest tak również na naszej wymyślonej planecie.

A więc reguły gry zostały ustalone i kurtyna może pójść w górę.

Teraz pora zająć się aktorami. Członkowie dominującego gatunku nie mogą być święci, to jasne. W innym przypadku nie zaszliby tak daleko. Drzewo ewolucji jest pełne martwych gałęzi. Mimo to morderstwo i zabójstwo muszą pozostać zastrzeżone dla ekstremalnych sytuacji (na przykład wojny albo innych przypadków wyjątkowych), jak to i na Ziemi jest normą. Jeśli ktoś ma szczęście żyć w spokojnym cywilizowanym kraju i nie wykazuje deformacji psychiki, to zazwyczaj nie posuwa się do aktów przemocy, także i wtedy, gdy można się po nich spodziewać osobistych korzyści. Toteż większość mieszkańców zachodnich demokracji uważa się zapewne za istoty pełne współczucia, które odrzucają przemoc i nie skrzywdziłyby nawet muchy. Wprawdzie ta pochlebna samoocena jest nieco przesadzona, co ukazują choćby tylko ekscesy, do których dochodzi w ruchu drogowym, ale w zasadzie utrzymuje nas w ryzach prawo, a bardziej jeszcze nasze filogenetyczne zahamowania w atakowaniu się nawzajem.

Właśnie tej indywidualnej blokady zabijania odmówimy jednak naszemu fikcyjnemu gatunkowi. Znakomita większość jego przedstawicieli byłaby gotowa zabić z najmniejszej odległości swego pobratymca, który im nic złego nie zrobił i którego w ogóle nie znają. Podkreślam osobistą bliskość sprawcy i ofiary dlatego, że jak wiadomo dość łatwo jest naciśnięciem guzika wystrzelić raketę, aby w odległości tysiąca kilometrów unicestwiła ludzi, których nie widzimy. Nie, mówię o bezpośrednim zabijaniu, stojąc twarzą w twarz,

dokonywanym z bezpardonowym okrucieństwem, bez powodu, bez własnej korzyści, a niekiedy nawet z niechęcią (aby doprowadzić oblęd do skrajności). Gatunek odznaczający się takim bestialstwem wydaje się niezdolny do życia, a już na pewno do tworzenia państw. Mimo to wyobraźmy sobie cywilizację, stworzoną i zaludnioną przez takich nie poddających się kontroli szaleńców.

Przechodzimy teraz do miejsca akcji. Taka planeta nie mogłaby być miłym miejscem. Na każdym kroku wychodziłyby na jaw niezwykle sprawy najróżniejszego rodzaju. Popuśćmy swobodnie wodze fantazji. Na przykład system walutowy w wymagowanych państwach demokratycznych, równie wrażliwy jak żywotny, nie podlegałby w ogóle kontroli opinii publicznej, ale w ten czy inny sposób znajdował się pod wpływem ukrytych czynników. Bezimienni władcy mogliby za kulisami pociągać za sznurki, nie wahając się w razie potrzeby poświęcać całych narodów dla egoistycznych celów. Ponad wszystko wynoszono by interes władzy. Tajne agendy rządowe posuwałyby się, gdyby to służyło ich celom, do inicjowania procesów długofalowo destabilizujących własny kraj, wydających jego ludność na łup plag nowego rodzaju i mogących w przyszłości uterować drogę do zapanowania chaosu. Nawet całkiem oficjalne instytucje przeprowadzałyby z zimną krwią najpotworniejsze eksperymenty, sztucznie wyzwalając zarazy, bez skrupułów zamieniając obywateli w zabójców grasujących we własnym kraju i godząc się na szerzenie konsumpcji środków odurzających, przestępczości i nędzy, jak również na inne destrukcyjne zachowania. Ich szefowie byłiby nawet dość szaleni na to, aby świadomie wkalkulować w swoje eksperymenty ryzyko zagłady całego świata.

Szczególnym szczytem cynizmu byłoby propagowanie humanitaryzmu i wartości moralnych, służące legitymizacji krzywd wołających o pomstę do nieba, gdy tymczasem *de facto* prawie żadna ważna decyzja nie wynikałaby z przesłanek humanitaryzmu. Kłamstwo stałoby się prawdą, mordercy byłiby szanowanymi partnerami dialogu, życie nie miałoby żadnej wartości, a wszędzie odbywałyby się rzezie gęsi znoszących złote jaja.

W tym obrazie jawnego szaleństwa nie może zabraknąć wspomnianej szczypty magii, aby ostatecznie mógł zapanować irracjonalizm. Wyobraźmy więc sobie, jako szczyt absurdu, że wysoko rozwinięte narody, uprzemysłowione, mające uzasadnione pretensje do przywództwa we wszystkich dziedzinach wiedzy byłyby zarazem areną okultyzmu, i to działającego całkiem oficjalnie.

Tego już za wiele. Zdecydowanie przesadziliśmy, tworząc naszą fikcję, która wygląda zbyt groteskowo: szalona planeta, na pół rzeźnia, na pół dom wariatów, zaludniona przez istoty żywe będące w najlepszym razie karykaturą gatunku rozumnego. Wniosek jest

jednoznaczny: taka cywilizacja nie mogłaby istnieć.

Pomyłka. Podobno jednak faktycznie istnieje. Mogłaby to być -niejeden czytelnik może się już tego domyślił -cywilizacja człowieka. Takie jest przynajmniej zdanie pewnych autorów, których przemyślenia chciałbym wypożyczyć dla naszego eksperymentu myślowego (nie zajmując samemu wobec nich stanowiska), aby w ten sposób przerzucić most do noweli Edgara Allana Poeego *Tysiącna i druga opowieść Szeherezady*. Bowiem to, co ów amerykański autor kazał córce wezyra zaprezentować zdumionemu kalifowi, należy w każdym razie do faktów, choć przedstawionych w kwiecistym stylu.

I tak: wyspa zbudowana przez lud małych istot podobnych do robaków to atol koralowy. Niebezpieczne zwierzęta drapieżne, które z bezpiecznej kryjówki ciskają kamieniami w swoje ofiary, aby potem wysysać z nich krew, to mrówkowy (*Myrmeleon*). Żywe świecące stwory to grzyby, względnie świecący mech. Ptaki i pszczoły faktycznie lepiej się znają na matematyce i geometrii niż uczeni, jeśli weźmiemy pod uwagę, że plastry miodu stanowią optymalną praktyczną realizację przez długi czas niemożliwej nawet w teorii koncepcji najlepszego wykorzystania przestrzeni przy zapewnieniu maksymalnej stabilności konstrukcji, oraz to, że skrzydła ptaków wskazują rozwiązanie zagadnienia najlepszego kształtu skrzydeł wiatraka, z jakim matematycy zmagali się jeszcze na przełomie wieków. Co się zaś tyczy z pozoru szczególnie bezsensownego wyrobu lodu w rozżarzonych tyglach, to coś podobnego jest możliwe przy zastosowaniu tygla z platyny; zostaje on rozżarzony do czerwoności, następnie napelnia się go kwasem siarkawym, przechodzącym w stan sferoidalny, po czym wkrapla się kilka kropli wody. Tworzą się wtedy bryłki lodu, które można wydobyć z żarzącego się tygla, jeśli działa się dostatecznie szybko. Jest to zadziwiające, ale nie niemożliwe.

Decyduje punkt widzenia

Genialny Poe opisał tylko rzeczywistość innymi słowami niż te, do których przywykliśmy w tym kontekście -i już się znalazł w królestwie bajek.

Staralem się zastosować ten sam, efekt udziwnienia przy skrajnym wykorzystaniu poetyckiej wolności. Nie wolno było przy tym wspominać o zbyt oczywistych potwornościach, jak zniszczenie środowiska, bezmyślne bestialstwo człowieka wobec zwierząt, nasza tępa brutalność wobec nas samych, nasz pęd do samozniszczenia, nasze okrucieństwo nie mające równych na ziemi, krótko mówiąc o całej gamie od dawna znanych okropieństw. Byłoby to szyte zbyt grubymi nićmi. Zamiast tego -a pomysł ten nasunęła mi

dopiero mania doszukiwania się wszędzie spisków, która od jakiegoś czasu grasuje także w mediach i na rynku księgarskim -umieściłem w świetle rampy sprawy kontrowersyjne, które trudno by było uznać za możliwe, a którym jednak niektórzy, co zdumiewające, chcą przypisywać charakter faktów. Co z tego wyszło, to wizja świata, który nie przypomina naszego, ale -jako eksperyment myślowy -mógłby nim być. Zależy to tylko od punktu widzenia.

Najpóźniej w tym momencie powinny odezwać się głosy protestu. Skąd się wzięły wyliczone absurdy i kto ma czelność uważać je zgoła za fakty? Nie ja, co podkreślam raz jeszcze z całą stanowczością. Nadszedł zatem moment, aby przejść do konkretności. Krok po kroku i punkt po punkcie zreferujemy owe wątpliwe twierdzenia i domniemanie.

Zacniemy od faktów dowiedzionych, aby następnie zapuścić się z wszelką niezbędną ostrożnością na teren fascynującej szarej strefy dostępnej dla każdego "literatury spiskowej". Przytaczani autorzy jak z rękawa zasypują czytelników osobliwościami -od wywołujących uśmiech do jeżących włosy na głowie. Ograniczałem się wyłącznie do wydawnictw dostępnych publicznie, które wydają się efektem gruntownych dochodzeń -co jeszcze wcale nie znaczy, że zawierają prawdę; podobnie było zresztą z wieloma teoriami naukowymi, które były starannie przemyślane, ale niestety fałszywe...

Arena złudzeń

Znaleźliśmy wroga.

Jesteśmy nim my sami.

Pogo, słynna postać z komiksów

Eksperyment Milgrama

Każdy jest gotów zabić każdego, i to nie będąc do tego zmuszonym -taka była jedna z podstawowych przesłanek, które przyjęliśmy za punkt wyjścia. Niewątpliwie, to daleko idące twierdzenie, które trzeba najpierw udowodnić. Gdyby obywatelowi demokratycznego kraju zadać pytanie, czy byłby gotów sadystycznie zamęczyć na śmierć niewinnego bliźniego, to w odpowiedzi usłyszymy prawie zawsze pełne oburzenia "nie". Potwierdzą to psychiatrzy i psychologowie, wyjaśniając, że tylko psychopaci lub sprowadzeni na manowce fanatycy byliby zdolni do takich okrucieństw.

Amerykański psycholog Stanley Milgram z Uniwersytetu Yale przeprowadził w latach sześćdziesiątych eksperyment, w którym kilku grupom psychiatrów, studentów i osób należących do amerykańskiej klasy średniej zadano dwa konkretne pytania. Aby przygotować badanych, powiedział mniej więcej co następuje:

"Wyobraźcie sobie, że dobrowolnie bierzecie udział w eksperymencie przeprowadzonym przez Uniwersytet Yale na temat zdolności uczenia się. Nie dostaniecie żadnych pieniędzy poza zwrotem kosztów podróży. Będziecie wprowadzeni do pomieszczenia, gdzie czekają na was dwaj mężczyźni; jeden z nich, w białym kitlu, to kierownik eksperymentu, a ten drugi to dobrowolny jego uczestnik, miły i uprzejmy człowiek, który od razu wzbudzi w was sympatię. Kierownik wyjaśni wam, że w doświadczeniu chodzi o zapamiętywanie informacji i że jeden z was będzie pełnił rolę «nauczyciela», a drugi «ucznia». O przydziale ról zdecyduje los. Powiedzmy, że wam przypadnie rola «nauczyciela». Teraz wszyscy udają się do pomieszczenia obok, gdzie znajduje się pulpit sterowniczy, połączony kablami z pojedynczym krzesłem wyposażonym w taśmy, kontakty i inne urządzenia. Przypomina wam ono -nie bez racji -krzesło elektryczne. «Uczeń» siada na fotelu i zostaje do niego przypięty. Do jego czoła mocuje się taśmę ze stykami, nakładając uprzednio maść elektrodową dla lepszego przewodzenia prądu i uniknięcia oparzeń. Jest wam nieswojo, jednak kierownik doświadczenia przypomina, że nikogo nie zmuszano do udziału w

eksperymentencie. To was uspokaja. Siadacie za pulpitem. Okazuje się, że znajdujące się na nim przełączniki wyzwalają coraz silniejsze wstrząsy elektryczne. Przy każdym przełączniku jest podane napięcie (od 15 do 450 V) i dodatkowe określenia, takie jak «lekki wstrząs», «średni wstrząs», «silny wstrząs», «bardzo silny wstrząs», «intensywny wstrząs», «niezwykle intensywny wstrząs». Na górnej ćwiartce pulpitu są umieszczone dodatkowe oznaczenia jak «niebezpieczeństwo», «wielkie niebezpieczeństwo», a potem już tylko czerwone linie i trupie główki. Nie sposób tego nie zrozumieć. Kiedy się zaznajomiliście z urządzeniem, kierownik doświadczenia przedstawia cel eksperymentu i jego program. Jako «nauczyciel» macie odczytać «uczniowi» listę słów, które ten musi zapamiętać, bo później będzie z tego przez was przepytany. Jeśli kandydat zapomni jakiegoś słowa, pomagacie mu odświeżyć pamięć, aplikując coraz silniejsze elektrowstrząsy. Dla rozgrzewki i sprawdzenia, czy wszystko dobrze działa, otrzymujecie lekki «wstrząs próbny» o napięciu 45 V. Jest to dość bolesne przeżycie. Przystępujemy do eksperymentu i już wkrótce «uczeń» zaczyna popełniać błędy. Aplikujecie mu lekkie elektrowstrząsy, po czym jego wyniki faktycznie na krótko ulegają poprawie, potem jednak przychodzi całkowite załamanie. «Uczeń» nie potrafi się już skoncentrować, tylko krzyczy, jęczy i błaga, żeby przestać. Kierownik doświadczenia każe wam jednak kontynuować". Takie wprowadzenie usłyszeli uczestnicy.

Stanley Milgram zadał im potem dwa pytania: "Jak zachowalibyście się, pełniąc rolę «nauczyciela»?" i "Jak, waszym zdaniem, postąpiliby inni?".

Niemal wszyscy pytani, przeciętni ludzie, wyrazili mocne przekonanie, że nigdy nie posunęliby się do tego, aby naprawdę dręczyć "ucznia" czy wręcz spowodować u niego poważne uszkodzenie ciała. Co do innych, to większość sądziła, że być może obeszliby się z "uczniem" bardziej brutalnie, ale żaden nie wyrządziłby mu rzeczywistej krzywdy. Psychiatrzy w pełni się zgodzili z tymi twierdzeniami. Eksperti oceniali, że nie więcej niż około 3% grupy reprezentatywnej dla przekroju społeczeństwa włączyłoby napięcie dochodzące do 300 V. Aż do marnego końca ("ucznia"), a więc do napięcia 450 V "wytrzymałby" (zwróćmy uwagę na sformułowanie) może jeden uczestnik na tysiąc.

Było to złudzeniem.

Kiedy psychiatrzy się mylą

Od teorii bowiem wspomniany psycholog przeszedł do praktyki. Słynny "eksperyment Milgrama" raz na zawsze zburzył (fałszywy) obraz człowieka jednakowo hołubiony przez laików i specjalistów, a w tym przypadku zarazem obalił zarzut chętnie podnoszony

przeciwko psychologii, że jej doświadczenia dowodzą tylko *ex post* tego, czego od nich oczekiwano. Takiego wyniku nie oczekiwał nikt.

Rzeczywistość okazała się, łagodnie ujmując, druzgocąca. W praktyce liczba osób gotowych zaaplikować "uczniowi" maksymalny śmiertelny wstrząs 450 V była 500-600 razy większa, niż przewidywali konsultanci-psychiatrzy. Ponieważ nikomu raczej nie przyjdzie do głowy myśl, że przeszło 60% ludności Ameryki Północnej mogłoby mieć skłonności sadystyczne lub psychopatyczne, nasuwa się nieuchronnie otrzeźwiający wniosek, że większość całkiem zwyczajnych ludzi żyjących w demokracji jest gotowa wyprawić na tamten świat całkiem nieszkodliwego ziomka, kiedy człowiek w białym kitlu poleci: "Proszę kontynuować". Eksperyment Milgrama powtórzony w demokratycznych krajach Europy, Australii i Afryce Południowej dawał wyniki dochodzące nawet sporadycznie do 85%, co napawa zgrozą. Jeśli ktoś chciałby zagłuszyć wynikające stąd przykre wnioski na temat prawdziwej natury cywilizowanego homo sapiens, wmawiając sobie, że być może "nauczyciele" jednak rozgryźli sekret tego eksperymentu, to zmieni zdanie po zapoznaniu się z kilkoma pikantnymi szczegółami:

Trzydziestodwuletni pracownik socjalny dostał mimowolnych histerycznych napadów śmiechu w czasie, kiedy sukcesywnie smażył swoją ofiarę.

Pewna gospodyni domowa w czasie wstępnej rozmowy elokwentnie zapewniała o swoim humanizmie i niezmiennym zaangażowaniu w obronę pokrzywdzonych, a na pytanie, ile woltów byłaby gotowa zaaplikować swojemu "uczniowi", odpowiedziała: "Najwyżej piętnaście". W czasie eksperymentu wprawdzie wciąż dygotała, ale mimo to doszła do 450 V.

Czterdziestotrzyletni inspektor wodociągów nie cierpiał wskutek wewnętrznych rozterek. Kiedy "uczeń" pod koniec serii wstrząsów nie dawał już znaku życia, "nauczyciel" -jak później otwarcie wyznał -pomyślał: "Mój Boże, on nie żyje. No cóż, nic się nie da zrobić, trzeba z nim skończyć". Oznaczało to zastosowanie 450 V.

Jeden z "nauczycieli" odszedł nawet od swojego pulpitu, aby mocniej przycisnąć rękę "ucznia" do płytki kontaktowej. Inny stopniował napięcie prądu, choć wiedział o tym, że "uczeń" ma wadę serca.

Nie stwierdzono różnic w zachowaniu obu płci, jeśli idzie o postępowanie w roli "nauczycieli". Kiedy jednak ofiarą był pies, to tylko około połowy mężczyzn było gotowych zaaplikować skowyczącemu czworonogowi elektrowstrząsy, za to prawie wszystkie kobiety. Nie komentujemy tego, tak mówi sucha statystyka.

Teraz nadszedł moment, aby nieco zmniejszyć grozę, odpowiadając na pytanie, które być może niejednemu się nasunęło. Naturalnie, w czasie eksperymentu Milgrama nikt nie

poniósł śmierci wskutek porażenia prądem. Cały ten spektakularny układ był tylko mistyfikacją. Nie było żadnych elektrowstrząsów. Uczestnicy eksperymentu byli zawsze losowo wybierani na "nauczyciela", a w roli "ucznia" występowała zawsze ta sama osoba -pracownik instytutu. Z imponującym talentem aktorskim odgrywał torturowanego i wreszcie "umierał", kiedy jego "nauczyciel" posuwał się do ostatnich granic. Lekkie elektrowstrząsy stosowano jedynie w "wariancie psim".

Eksperyment ten (podjęty w związku z procesem Eichmanna) miał na celu dostarczenie dowodu dojrzałości wychowanego w systemie demokratycznym człowieka cywilizowanego. Potworności, jakie znamy z tyranii pogardzających człowiekiem -tak sądzono przed eksperymentem Milgrama -miały być możliwe tylko w skrajnych warunkach otoczenia, gdzie istotną rolę odgrywa bezwzględna indoktrynacja. Teraz wiemy, czego faktycznie dowiodło to doświadczenie.

Wywołało ono szok. Psycholog Milgram został uhonorowany w 1964 r. nagrodą w dziedzinie psychologii społecznej Amerykańskiego Stowarzyszenia na Rzecz Postępu w Nauce. On sam zapatrywał się pesymistycznie na wyniki własnej pracy, co wyraził w słowach: "Zdolność człowieka do rezygnacji z własnego człowieczeństwa (...) jest fatalną wadą charakteru, którą obarczyła nas natura i która na dalszą metę daje naszemu gatunkowi niewielką tylko szansę na przeżycie".

W moim odczuciu uderzająca jest pewna implikacja eksperymentu Milgrama, o której rzadko się wspomina: brutalizuje on mianowicie także kierowników doświadczeń. W niektórych przypadkach "człowiek w białym kitlu" doprowadzał swoją ofiarę ("nauczyciela") nieubłaganymi poleceniami do stopniowego zwiększania dawki, mimo że "nauczyciel" nieludzko cierpiał. Niektórzy "nauczyciele" ulegali załamaniu nerwowemu, nie mogąc ani kontynuować swych działań, ani ich przerwać. Dochodziło do spazmów, zaburzeń psychicznych i zapaści.

Upadły świat?

Większość normalnych ludzi nie wydaje się jednak tak przewrażliwiona. Na przykład psycholog Stephen West zdołał bez wielkiego trudu namówić wielu obywateli, aby stali na czatach przy planowanym włamaniu, zapewniając ich, że nie ma żadnego ryzyka. Jeszcze bardziej otrzeźwiająca jest -przynajmniej szczerza -odpowiedź trzech milionów Brytyjczyków, którzy w ankietach podali, że za pieniądze byłiby gotowi mordować, gdyby byli pewni bezkarności. Szokujące.

Człowiek najwyraźniej sam siebie okłamuje w odniesieniu do swego często podkreślanego humanitaryzmu. W gruncie rzeczy do takiego wniosku powinno już wystarczyć czytanie prasy codziennej i przyswajanie sobie wiadomości ze świata. Niezależnie od tego wyżej wymienione kryteria miejsca akcji (tajna dyktatura grup interesów, chaos wywołany przez czynniki państwowe we własnym kraju, eksperymenty z całymi społecznościami, zupełnie oficjalne uprawianie magii i okultyzmu, zarządzona odgórnie autodestrukcja aż do ryzyka zagłady świata itd.) przekraczałyby zapewne granice nawet niechętej akceptacji. To jest przecież po prostu zbyt absurdalne. Niepodobna, aby tak się działo, także potajemnie -a może jednak?

Literatura spiskowa

Wkroczmy na teren nieortodoksyjnych hipotez. Rynek księgarski oferuje bogaty wybór publikacji, które roszczą sobie pretensje do odkrywania spraw osobliwych. Nie umiem powiedzieć, czy może tu i ówdzie udaje im się jednak uchylić rąbka tajemnicy, która może skrywać nieznanne działania i struktury. Daleki jestem od chęci propagowania zawiłych teorii spiskowych albo dociekania, czy za kulisami świata nie dzieją się czasem sprawy nieopisane. Mnie osobiście wystarcza już to, co jest oczywiste. Wobec szaleństw dokonujących się w skali globalnej na oczach wszystkich, każdy myślący człowiek i tak musi zdać sobie sprawę, że żyjemy w zdegradowanym, zniszczonym świecie. Jest to świat, w którym rządy demokratyczne za korupcję *en bloc* wędrują za kratki, w którym niszczy się to, co funkcjonuje, w którym przed ludobójcami rozwija się czerwone dywany, a "społeczeństwo" staje w obronie potworów (jak było na przykład w Ameryce podczas procesu mordercy dzieci, którego czyny były tak bestialskie, że przysięgli po zapoznaniu się z ich opisem zmuszeni byli poddać się leczeniu psychiatrycznemu). Krótko mówiąc, potworności wszelkiego rodzaju są w nim na porządku dziennym, a zazwyczaj do szczególnie krwawych zdarzeń dochodzi wtedy, gdy mowa jest o humanitaryzmie. Nie należy zapominać o zdumiewającej umiejętności naszego myślącego gatunku w dążeniu ku samozagładzie przez wzrost gospodarczy i przyrost naturalny równocześnie.

Niewykluczone, że w pragnieniu, aby za tym wszystkim kryło się jakieś tajne sprzysiężenie, manifestujemy tylko naszą tęsknotę za określonym porządkiem w chaosie, podobnie jak jest ona czynnikiem napędowym do badań naukowych i zdobywania wiedzy.

Nie mam ambicji odkrywania "prawdziwych powiązań". Moja rola nie jest rolą demaskatora, ale kronikarza dostarczającego materiału do przemyśleń i odkryć. Innym należy

zawdzięczać wydobywanie na jaw dziwacznych "faktów", z których wybrałem kilka dość dowolnie. Czy z tych elementów da się sklecić jakąś jednolitą teorię, czy też odkrywamy jedynie gąszcz zachodzących równolegle do siebie niejasnych machinacji, tego przy najlepszej woli nie potrafię ocenić. Nie mogę nawet powiedzieć, czy te machinacje w ogóle istnieją. Podobnie jak wszyscy inni nie należący do grona wtajemniczonych nie wiem, co sądzić o osobliwych sprawach, prezentowanych przez wspomnianą na wstępie literaturę spiskową, ani czy w ogóle ktokolwiek jest wtajemniczony. Dlatego bez komentarza przytaczam tu kilka z tych osobliwości: niech to będą elementy puzzli do samodzielnego składania. Sprawą sporną jest zarówno to, co z nich właściwie wynika, jak również ich moc dowodowa. Fakt, że niektóre teorie wydają się logiczne, nie musi nic znaczyć, bo także teoria o świecie pustym wewnątrz albo wiara w wielkanocnego zajączka nie zawiera w sobie sprzeczności. A więc to, co mamy przed sobą, składa się na oryginalne puzzle, nad którymi można pokiwać głową i które bynajmniej nie pretendują do kompletności. Jadłospis rzeczy osobliwych. Niech każdy czytelnik sam wyrobi sobie opinię o tym wszystkim.

Dziwna główna waluta

Zacznijmy od tych autorów, którzy ośmielają się z równą zuchwałością, co brakiem respektu targnąć na najświętszą ze wszystkich krów, pieniądź. Międzynarodowy system walutowy jest gwarantem stabilności w świecie, głównym filarem dobrobytu i kwitujących rynków. Tak myśli przeciętny obywatel, który pilnie pracując, stara się podwyższyć stan swojego konta. Najwyżsi strażnicy waluty, tak sobie dalej wyobraża, rezydują jakby na nowoczesnym Olimpie, dzierżąc wodze państwowych mechanizmów kontroli i ochrony i pomnażając dobrobyt swoich narodów. Jest to niewątpliwie słuszna wizja w odniesieniu do większości narodowych banków i podobnych instytucji.

Otóż jednak właśnie główna waluta państw Zachodu, dolar amerykański, zdaniem niektórych autorów skłania do zdziwienia. Jeśli wykazać dostateczną dociekliwość -jak wspomniani autorzy -to podobno wychodzą na jaw osobliwe sprawy. Amerykańska ustawa bankowo-walutowa, Akt Rezerwy Federalnej, zrodziła się, ich zdaniem, nie w Kongresie, ale w grudniu 1910 r. na Jekyll Island (Georgia), ściśle biorąc, w klubie myśliwskim na wysepce, należącym do wpływowych bankierów.

Na tym skrawku ziemi znajduje się dzisiaj park publiczny. Nie znajdziemy tam żadnej wskazówki odnoszącej się do tego ważnego historycznego wydarzenia. Możliwe, że niektórym turystom dałoby do myślenia przypuszczenie, że tu właśnie utorowano drogę do

wspomnianego Aktu Rezerwy Federalnej, który 24 grudnia 1913 r. został uchwalony przez zaledwie trzech senatorów USA. Większość członków senatu, którzy prawdopodobnie głosowaliby przeciw niemu, wyjechała na Święta Bożego Narodzenia. W ten sposób miało dojść do narodzin niewyobrażalnego instrumentu władzy -Banku Rezerwy Federalnej -jak się zdaje, w znacznej mierze niepostrzeżenie dla ludności Stanów Zjednoczonych. Został on złożony w nieliczne ręce, w których podobno pozostał. Bank Rezerwy Federalnej jest fascynującą instytucją, łączącą *de facto* bank emisyjny mający monopol na emisję pieniądza i regulację kredytów z bankiem prywatnym. Nie podlega on kontroli ze strony Kongresu, choć artykuł 1, ustęp 8, paragraf 5 Konstytucji amerykańskiej właściwie tego by wymagał (można o tym przeczytać w *Sprzysiężeniu bankierów*). Jak się wydaje, co do faktycznego zakresu władzy Banku Rezerwy Federalnej można tylko snuć domysły. Bank ten miał na przykład w trakcie drugiej wojny światowej pożyczyć aliantom 35 mld dolarów pochodzących z podatków. Ta ogromna suma nie została zwrócona. Za to dokładnie spłacono odsetki, które trafiły do bankierów, jak utrzymuje autor demaskatorskiej publikacji, ukrywający się pod pseudonimem E. R. Carmin. Kartele finansowe miały zawsze szczodłą rękę dla przyjaciół ludzkości, jak Stalin, albo potentatów Trzeciego Świata. Co ciekawe, wspomagały ogromnymi sumami Mussoliniego i Hitlera, nawet wtedy gdy USA już od dłuższego czasu toczyły wojnę przeciwko tym dyktatorom; pisano o tym niejednokrotnie. Czy i dzisiaj nie dochodzi do podobnych sytuacji, trudno powiedzieć. Nawet nieskorzy do podejrzliwości czytelnicy gazet codziennych wypowiadają niekiedy poglądy tego rodzaju.

Dość o świecie wielkich pieniędzy. Na tym parkiecie nawet eksperci mogą się pośliznąć. Już z tego względu nie zajmuję stanowiska wobec żadnego z przytaczanych tu domysłów. Autorzy zapewne sądzą, że dotarli do takich informacji, o których ktoś taki jak my nie może nawet marzyć.

Nie będziemy się tu wdawać w rozważania, czy oplatająca kulę ziemską pajęczyna łączy ośrodki finansów i/lub władzy. Zwrócimy tylko uwagę, że bynajmniej nie wszystko musi być takie, jak przypuszczają skromni ciułacze i niejeden specjalista od finansów. Powiązania między światem pieniędzy i polityki są i tak nie do rozwikłania.

Tylko wtedy, gdy fluktuacje monetarne przestają się mieścić w normie i stają się zbyt już sprzeczne z oczekiwaniami normalnego obywatela albo gdy dzieją się rzeczy dramatyczne (jak na przykład śmierć Roberta Calviego, wplątanego w skandal szefa watykańskiego Banco Ambrosiano, którego w czerwcu 1982 r. znaleziono powieszony i z cegłami w kieszeniach pod mostem Blackfriars w Londynie), opinia publiczna zwraca na te sprawy uwagę. Autorzy, o których tu mowa, przypominają także, jakie zdumienie opinii publicznej wywołała

wiadomość, że finansowa pomoc dla rodzącego się ruchu ekologicznego w Niemczech pochodziła podobno z funduszy instytutu Aspen, rzekomo zbliżonego do przemysłu naftowego USA. Jakkolwiek było, w porównaniu z tym gąszczem domysłów labirynt Minotaura musi się wydawać prostą alejką spacerową.

Ezoteryczny banknot jednodolarowy

Oryginalna migawka na zakończenie tematu monetarnego podkreśli to, co stale powtarzamy: prawie nic nie musi być takie, jakim się wydaje. Jest zdumiewające, że w gmachu materializmu są i takie zakamarki, w których wydaje się mieszkać zupełnie inny duch. Kto by się spodziewał, że USA -kraj postępu, w wielu dziedzinach przodujący w świecie -wprowadziły do obiegu banknot podobno przesycony ezoteryczną symboliką? Mowa o banknocie jednodolarowym. Autorzy Des Griffin, Eustace Mullins/Roland Bohlinger i inni odkryli ni mniej, ni więcej tylko trzynaście okultystycznych symboli władzy, które kazał umieścić na odwrocie tego banknotu prezydent Franklin Delano Roosevelt, ich zdaniem po 1933 r. (wszystko jedno, z jakiego powodu).

Interpretacja przedstawiona przez autorów jest następująca: łacińska sentencja "Novus ordo seclorum" to prawdziwy New Deal; piramida z wszechwidzącym okiem gnozy to wolnomularski znak rozpoznawczy "spojrzenie"; napisana cyframi rzymskimi data MDCCLXXVI (1776) u podnóża piramidy nie wskazuje na niepodległość Stanów Zjednoczonych, ale rok założenia względnie restauracji zakonu iluminatów w Ingolstadt przez Adama Weishaupta; radosne przesłanie "Annuit coeptis" ("Nasze przedsięwzięcie uwieńczy sukces") jest zrozumiałe samo przez j się. Nawet gdyby ta swoista interpretacja miała być słuszna, to wcale nie musi to być sygnałem światowego spisku -raczej tylko oznaką (rozpowszechnionej) słabości do mistyki. Irracjonalne według naszych wyobrażeń stowarzyszenia były i są spotykane także w społeczeństwach stechnicyzowanych do szpiku kości.

Okultyzm w III Rzeszy

Ezoteryczny aspekt III Rzeszy zdążył już nabrać światowego rozgłosu, do czego przyczynili się zwłaszcza francuscy autorzy Louis Pauwels i Jacques Bergier. Mimo to warto przypomnieć, że narodem mającym akademików i naukowców humanistów, który zapoczątkował kosmonautykę, wyprodukował pierwszy myśliwiec turboodrzutowy (Me 262),

którego rewolucyjne wynalazki były podstawą do nie zakończonych do dziś jeszcze wdrożeń i który przez technologię militarną i profesjonalizm swoich generałów podbił prawie cały kontynent, można powiedzieć, sterowali magowie. Mało tego: nastąpiło całkowicie oficjalne przemodelowanie nauk. Astrolog, który *notabene* nosił oryginalne nazwisko Fuhrer, został pełnomocnikiem Rzeszy do spraw matematyki, astronomii i fizyki. Lodowa kosmogonia, pozbawiona podstaw brednia, stojąca w jaskrawej sprzeczności z prawami natury, awansowała do rangi nauki państwowej. Musieli jej się poddać tak słynni naukowcy, jak "ojciec kosmonautyki" Hermann Oberth, współodkrywca promieni rentgenowskich i laureat Nagrody Nobla Philipp Lenard czy światowej sławy pionier spektroskopii Starko. Także szary człowiek nie mógł się od tego uchylić. Niejeden kandydat do pracy musiał przed zatrudnieniem złożyć zapewnienie na piśmie, że wierzy w lodową teorię.

Zresztą i w naszych czasach ma ona jeszcze przeszło milion zwolenników. Entuzjaści spisków uznaliby to zapewne za fakt groteskowy.

Dalej nie będziemy się posuwać, mimo że można by jeszcze nadmienić o niejednej kuriozalnej sprawie. Np. Peter Blackwood w książce *Siatki wtajemniczonych* twierdzi, jakoby Anglia zdołała się oprzeć Niemcom w pamiętnym roku 1940 tylko dzięki temu, że satanista Aleister Crowley doradził (według Blackwooda) "wolnomularzowi wysokiej rangi" Winstonowi Churchillowi, aby "magii ręki" Hitlera (niemieckiemu pozdrowieniu) przeciwstawić własną, a mianowicie palce rozstawione w kształt litery V od "Victory" - "zwycięstwo". Nie będziemy tu rozstrzygać kwestii, czy te domysły zasługują na to, aby je brać za dobrą monetę; cytujemy to tylko w charakterze surrealistycznej ciekawostki.

Prawdą jest w każdym razie, że astrolog i pisarz Louis de Wohl został zatrudniony przez angielskie dowództwo naczelne, aby udzielał mu wskazówek, podobnie jak zaangażowany przez Himmlera astrolog Karl Ernst Krafft, pochodzący ze Szwajcarii. Miało to ułatwić odgadnięcie decyzji "fuhrera", co faktycznie się udało. Dość już o ezoteryce w III Rzeszy, na banknotach dolarowych czy w związku z masonami; jak się zdaje, wyciąga się ją z cylindra zawsze wtedy, gdy nie wiadomo, komu naprawdę przypisać pociąganie za sznurki. Powróćmy na grunt faktów, jak to się ładnie mówi. Co prawda, także i on bywa czasem dość grząski.

Przypadek Charlesa Mansona
i Finał Revolution Aldousa Huxleya

Amerykanka Carol Greene, dziennikarka i nauczycielka mająca teologiczne przygotowanie, jest zdania, że jej bestseller *Przypadek Charlesa Mansona -morderca Z próbki* przekuł ropiejący wrzód. Z nieubłaganą konsekwencją wiąże w nim przerażające zdarzenia w całość. Oczywiście, w tak drażliwej materii nawet najintensywniejsze dochodzenia wydobywają na światło dzienne w najlepszym przypadku poszlaki. Niemniej zapoznajmy się wycinkowo z tezami Carol Greene i innych szperaczy, mówiącymi o tym, jak państwowe instytucje ich zdaniem manipulują ludźmi i jaką przyszłość podobno zgotowały dla naszego gatunku.

Niewielu osobom przyszłoby zapewne do głowy, że brytyjski pisarz Aldous Huxley (1894-1963) mógłby mieć cokolwiek wspólnego z szerzeniem się handlu narkotykami, rozpadem rodzin, chaosem życia miejskiego, powstawaniem slumsów i gett w coraz bardziej upiornych wielkich miastach, codziennymi seriami morderstw i niepowstrzymanym zdziwieniem rodzaju ludzkiego. Do tych nielicznych osób należy właśnie Carol Greene, która usiłuje podeprzeć swoje domysły poszlakami.

Aldous Huxley w 1937 r. przeniósł się do USA, gdzie między innymi był docentem na Uniwersytecie Kalifornijskim w Santa Barbara, a od 1961 r. profesorem *at large* na kalifornijskim Uniwersytecie Berkeley. W 1959 r. na sympozjum zorganizowanym przez Wydział Medycyny Uniwersytetu Kalifornijskiego wygłosił wystąpienie o znamienym tytule *The Final Revolution* (Ostateczna rewolucja). Okoliczność, że na tym samym wydziale niejaki dr David Smith ze swoim zespołem prowadził eksperymenty na szczurach dla zbadania skutków skrajnego zagęszczenia populacji w skojarzeniu z działaniem chemikaliów powodujących zmianę świadomości, według rozumowania Carol Greene nie była bynajmniej przypadkowa, podobnie jak to, że właśnie na tym wydziale lokalizuje ona źródło antykultury.

Wróćmy jednak do wykładu Aldousa Huxleya. Autor mówił w nim między innymi: "Wydaje mi się całkiem możliwe wytworzenie w przyszłości narkotyku o działaniu euforycznym, który na przykład mógłby być dodawany do każdej puszki coca-coli. Byłby to, jak już pisałem 25 lat temu w *Nowym wspaniałym świecie*, przepotężny instrument kontroli (...). Terror jest metodą bardzo kosztowną, głupią i nieskuteczną (...). Już w następnym albo kolejnym pokoleniu zwycięży metoda farmakologiczna, dzięki zastosowaniu której ludzie pokochają swoją niewolę (...). Byłoby to coś w rodzaju bezbolesnego obozu koncentracyjnego dla całych społeczeństw (...) to właśnie wydaje mi się ostateczną rewolucją".

Wybujala fantazja autora *science fiction*? Antyutopia, niczym *Rok 1984* Orwella? Ani jedno, ani drugie, ale raczej wzor do skopiowania w przyszłości, która, jak się wydaje, stala się naszą terażniejszością -takie credo głosi samozwańcza demaskatorka Greene.

Ale po kolei. Seminarium odniosło pełny sukces, którego kontynuacją było sympozjum na temat kontroli świadomości, zorganizowane przez Uniwersytet Kalifornijski w dniach 28-30 stycznia 1961 r. w San Francisco. Tę imprezę sponsorował między innymi "Głos Ameryki", oficjalna rozgłośnia USA oraz fundacja Scheringa. Wśród uczestników znaleźli się członkowie Narodowego Instytutu Zdrowia Mentalnego (NIMH) w Bethesda (Maryland). To jasne, że wśród mówców był i Aldous Huxley. Tego, że nie był tylko jednym z wielu, dowodzą uzupełnienia od wydawcy protokołów z sympozjum: "Nikt inny, tylko pan Huxley był pierwszym, który stwierdził, że czas na zorganizowanie interdyscyplinarnego sympozjum na temat kontroli świadomości".

Carol Greene uważa za nie mniej wymowną dodatkową uwagę wydawców, że znaczna część wywodów Huxleya i innych zaginęła i dlatego nie może być opublikowana.

Z brzemiennej w następstwa roku 1961 znane są jeszcze inne wypowiedzi Aldousa Huxleya, w których nawołuje on do powrotu do starej dionizyjskiej wizji religii i świata -postawę tę odzwierciedlają jego prace, na przykład mówi o tym już w eseju o jednoznacznym tytule *Do What You Will* (Róbcie co chcecie) z roku 1929. W wywiadzie udzielonym w Londynie w 1961 r. porównywał on rock'n'roll z rytualną muzyką antycznych kultów orgiastycznych i starał się pokazać, jak decydującą rolę odgrywa ten kierunek muzyczny w utorowaniu drogi nowym formom społecznym.

Jak twierdzi Carol Greene, Aldous Huxley odegrał rolę jednego z katalizatorów decyzji amerykańskich placówek rządowych o przeprowadzaniu na obywatelach USA bez ich wiedzy i zgody eksperymentów neurofarmakologicznych. W ten sposób zdaniem Greene zostały zainicjowane trendy rozwojowe, od następstw których dziś cierpimy, nie wiedząc dlaczego: mogły one przynieść takie fenomeny, jak "rodzina" Charlesa Mansona (której autorka poświęca wiele uwagi, dochodząc do wniosku, że on i jemu podobni są czystymi produktami z próbki), jak również grasujące sekty i ogólną destabilizację Zachodu, o ile nie całego świata. Greene przytacza następującą argumentację:

Książki Huxleya mają milionowy krąg czytelników, przy czym większość z nich może sobie nie uświadamiać, że przedstawione w powieściach *Nowy wspaniały świat*, *Nowy wspaniały świat poprawiony* albo *Island* (Wyspa) "społeczeństwo znarkotyzowane", pozbawione cech obywatelskich, jak więzi rodzinne, z komunami zamiast indywidualnego macierzyństwa itd. w gruncie rzeczy zostało ukazane w pozytywnym świetle. Dla całej jego

działalności znamieny jest model światowego społeczeństwa, w którym wąska warstwa rządząca ma prawo do nieograniczonego wyżycia się, podczas gdy reszta wegetuje w chaosie jako mniej lub bardziej bezwolna masa. Głównym filarem prezentowanej przez Huxleya koncepcji jest nie tylko niekontrolowane zażywanie narkotyków, także szerzenie pornografii, promiskuityzm seksualny wśród młodocianych i podobnie "antyrepresyjne" idee, jakie umieszcza na swoich sztandarach choćby ruch New Age.

Zaniepokojeni autorzy wskazują, że Huxley propagował w swoich książkach "wolną miłość", która stała się powszechnym obyczajem w komunach hippisów (jeśli nawet nie obeszło się bez napięć). W każdym razie "wolna miłość" na jakiś czas zepchnęła model rodziny na dalszy plan, ponieważ obecnie seks nie jest już wyrazem osobistej skłonności i wzajemnej odpowiedzialności za siebie, ale czysto fizjologiczną funkcją, jak jedzenie lub picie. Wpłynęła także na spadek przyrostu naturalnego, skoro robiono "to" głównie dla przyjemności, a nie przez wzgląd na "skrajnie przeciwstawne rozkoszy" rodzenie dzieci. Seks dla samego seksu stał się najsilniejszą dźwignią "przewartościowania wszystkich wartości" -opiewanej "przemiany uznawanych wzorców". Zaczęło się od dziesiątków tysięcy ludzi, którzy w latach siedemdziesiątych wyruszyli na poszukiwanie samych siebie, choć w wielu przypadkach wcale nie było warto siebie odnaleźć, a skończyło na zjawiskach, od których dziś huczy codzienna prasa.

W latach pięćdziesiątych powieść *Nowy wspaniały świat* należała w szkołach USA do pierwszej dziesiątki najczęściej czytanych książek. Sensem i celem wysiłków jej autora -ciągnie Green i inni -wydaje się skompromitowanie racjonalnego myślenia. Miejsce rozumu miałyby zająć "prawdziwe uczucia z podbrzusza", aby człowiekiem oładnęły jego popędy. Do tej nowej ekstazy dla szarego człowieka w istotnej mierze mogą się przyczynić narkotyki i tak też się dzieje.

Autorzy literatury spiskowej argumentują dalej, że Huxley i inni jasno widzieli, iż produktywność i wiara w postęp stanowią istotny hamulec we wprowadzaniu każdego modelu społeczeństwa elitarnego i wskutek tego należy z nimi walczyć. Opartej na motywacji gospodarczej optymistycznej wierze w przyszłość, z jej niebezpieczną zdolnością rozwiązywania problemów, można było rzekomo przeciwdziałać tylko koncepcjami o długofalowym działaniu rozkładowym. Pragnienie samorealizacji seksualnej i narkotycznej, idące w parze z frontalnym atakiem na represyjny establishment, wydawało się właściwym środkiem prowadzącym do celu.

Autorzy przebudowy społeczeństwa mogli być pewni sukcesu, gdyż proces ten miał przebiegać dwutorowo. Z jednej strony wizje egzotycznych przeżyć narkotycznych i

idealnych społeczeństw zwabiają zazwyczaj wielu opinio twórców, inicjatorów trendów, interesujących się kulturą i innych intelektualistów, a z drugiej strony na narkotykach można bardzo szybko zbić ogromną fortunę. (Obecne światowe obroty handlu narkotykami szacuje się ostrożnie na około 600 miliardów dolarów).

Huxley i jego zwolennicy musieli zdawać sobie sprawę, że doprowadziłyby to do powstania nowego rodzaju przemocy oraz ukształtowania się nowego typu ludzi stosujących przemoc, nazwanego przez Huxleya przyszłościowo "typem somatotonicznym".

Powieści, opowiadania i eseje Aldousa Leonarda Huxleya, którego Carol Greene zjadliwie nazywa "Pan Narkotyk", są znane na całym świecie. Mniej znane są zasadnicze tendencje, jakie wydają się konsekwentnie przenikać jego prace, a najmniej jego dziwny sposób odejścia z ziemskiego padołu. Umierając na raka w 1963 r., prosił na łożu śmierci swoją drugą żonę Laurę Archers o ostatnią dawkę LSD. Tak oto prześliznął się na tamten świat zgodnie ze swoją własną filozofią życiową.

Kluczowe znaczenie w dziele Huxleya ma według Carol Greene esej *Percepcja oczyszczona*, powstały, co znamienne, po tym jak pierwszy raz zażył meskalinę. Tekst ten, zdaniem autorki, stał się biblią dla przeżartej narkotykami antykultury, jak również poradnikiem dla państwowych tajnych projektów, które podobno wspomnianą antykulturę miały powołać do życia. Pora więc uczynić kolejny krok.

Tajne projekty przebudowy społeczeństwa

Jak twierdzą różni autorzy, po wojnie amerykańscy i angielscy socjologowie i psychologowie pracowali podobno nad tajnym projektem CIA o kryptonimie "MK-Ultra". W końcu lat pięćdziesiątych mieli oni rzekomo przeprowadzać swoje eksperymenty już nie na szczurach czy świnkach morskich, ale zblazowanych studentach, i to nierzadko bez ich wiedzy. Te masowe eksperymenty miały stać się źródłem ruchu hippisowskiego w latach sześćdziesiątych, z którego wyłonił się ruch New Age ze swoim entuzjazmem dla przełomu "ery Wodnika" itd. W prawie niewykonalnym zadaniu rozwiązania problemów globalnych miejsce postępu naukowo-technicznego miał zająć mistyczny irracjonalizm, bardziej do tego predestynowany. Wszelki komentarz wydaje się tu zbyteczny.

Realizację "MK-Ultra" rozpoczęto w 1953 r. po wcześniejszych projektach "Bluebird", "Artichoke" i po tajemniczej "Delcie". Poprzednio wszystkie projekty kontroli świadomości, wdrażane przez armię amerykańską, flotę, lotnictwo i FBI, były centralnie podporządkowane CIA. Snuje się nawet przypuszczenia o podobnych działaniach

podejmowanych w latach trzydziestych. Według niektórych źródeł podobno w 1953 r. ówczesny szef CIA Allen Dulles (brat amerykańskiego ministra spraw zagranicznych Johna Fostera Dullesa) zamówił w początkowym stadium realizacji projektu w Sandoz w Szwajcarii sto milionów porcji LSD. Dostarczenie podobnej ilości tego środka przekraczało możliwości nawet takiego giganta przemysłu farmaceutycznego, tak że dodatkowo trzeba było uzupełnić zakupy w USA.

Jeśli ktoś sądzi, że takie podejrzane działania trudno byłoby utrzymać w tajemnicy już choćby ze względu na konieczność uruchomienia ogromnych środków, może się z kolei zapoznać z pojęciem "czarnego budżetu" przeznaczonego na finansowanie projektów, z którymi prezydent ani dyrektor CIA nie chcą się naprzykrzać opinii publicznej czy Kongresowi. Z tej szkatuły miały być finansowane niektóre wielkie przedsięwzięcia - od projektu "Manhattan" budowy bomby atomowej przez system satelitów MILSTAR, programu SDI, skonstruowanie bombowca Stealth B-2, aż do legendarnego naddźwiękowego samolotu zwiadowczego AURORA. Z czego oczywiście nie należy wyciągać wniosku, że samo istnienie "czarnego budżetu" automatycznie potwierdza każdą najdziksza spekulację. Wróćmy do literatury spiskowej.

Wspomniani autorzy twierdzą, jakoby istniał dokument rządowy z 1975 r., nakazujący zachowanie "MK-Ultra" w ścisłej tajemnicy jako sprzecznego z prawem. Sednem i pokazowym przykładem pożądanego -i uzyskanego -działania tego programu jest w opinii Carol Greene "rodzina" zwolnionego w 1967 r. z więzienia Charlesa Mansona. Mieszkał on ze swoimi dziewczynami w klinice Haight-Ashbury, finansowanej przez placówki państwowe, a wśród nich wspomniany już NIMH. W jej murach powstało pierwsze getto uzależnionych białych młodocianych w USA, utworzone według Carol Greene świadomie i drobiazgowo badane. Jej zdaniem, tam uczyniono "rodzinę" Mansona tym, czym była później, i wreszcie wypuszczono na wolność, aby pokazała, co umie.

Pracownicy Haight-Ashbury i innych instytucji byli wykwalifikowanymi specjalistami, którzy musieli przewidzieć, co się święci i jaki będzie ciąg dalszy. Po 1965 r. powstawały jak kraj długi i szeroki w każdym większym mieście, nie tylko w Stanach Zjednoczonych, komuny hippisów. Środki masowego przekazu opiewały to jako rewolucję młodzieży, nadejście nowej formy miłości, która nie dąży do posiadania, i swobodnej spontaniczności. Niestety, zrodzona wówczas antykultura przyniosła ze sobą nie tylko napiętnowanie represji i agresji, ale także handel narkotykami, przemoc, wojny gangów, przestępczość, prostytutkę i morderstwa.

Autorzy takich publikacji, jak *Hot Money and the Politics of Debt* (Gorący pieniądz i

polityka długu) twierdzą, jakoby CIA miała sfinansować bezpośrednio lub pośrednio około połowy konsumpcji LSD w latach sześćdziesiątych na uniwersytetach amerykańskich, a osiągnięte zyski przeznaczać na tajemne operacje (niektórym będzie się to może w jakiś sposób kojarzyło z "Irangate", aferą Iran-Contras, której wykrycie wstrząsnęło rządem Reagana).

Kiedy sprawa "MK-Ultra" wypłynęła w 1973 r., CIA oświadczyła senackiej komisji dochodzeniowej, jak również publicznie, że wszystkie oficjalne dokumenty zostały zniszczone. Mimo to niektóre akta się zachowały, aby w ramach amerykańskiej ustawy o swobodnym dostępie do informacji (Freedom of Information Act) stać się podstawą szeregu przykrych publikacji -wykazujących pewne podobieństwo do trwającej dziesiątki lat fali "UFO-Cover-up". Niektórzy autorzy zakończenie projektu "MK-Ultra" wyjaśniają cynicznie, twierdząc, że dzieło niszczenia społeczeństwa przez zatruwanie go narkotykami, przemoc oraz powszechną destabilizację zostało ukończone i teraz zjawiska te będą postępować dalej już samoistnie. Masowe morderstwa, proceder sekt i inne plagi zaczęły się szerzyć jak epidemia i trwa to nadal.

Zdaniem pesymistów przebudowa "represyjnego uporządkowanego społeczeństwa burżuazyjnego" na eldorado dla elementów aspołecznych jest już znacznie zaawansowana. Czy w innym przypadku byłoby do pomyślenia, aby na przykład w USA od 1989 r. całkiem jawnie sprzedawano dzieciom nalepki ze zdjęciami morderców? Na odwrocie każdego z tych "hitów handlowych" opisane są ze wszystkimi szczegółami czyny i "kariera" danego zbrodniarza. Naturalnie, do nabycia są też specjalne albumy do wklejania.

Rusza psychodeliczna lawina

Wróćmy do korzeni i do Carol Greene. Za jeden z głównych ośrodków badania narkotyków uchodzi słynny Uniwersytet Harvarda w Cambridge (Massachusetts), gdzie żywa pozostaje tradycja założonego w 1884 r. Amerykańskiego Towarzystwa Badań Psychiczych. Ta organizacja, reprezentowana również w Anglii, starała się między innymi poznać możliwości zdobycia władzy nad wolą człowieka za pomocą hipnozy i transu.

W 1960 r. został w Harvardzie zapoczątkowany psychodeliczny program badawczy. Inicjatywa do stworzenia takiego projektu wyszła od Aldousa Huxleya, który okresowo był wówczas kontraktowym profesorem na tym uniwersytecie. Do grona współzałożycieli należy także dr Timothy Leary, krzewiciel ideałów Huxleya i rzecznik anty kultury dzieci-kwiatów miłujących pokój i wyznawców komun. Ta droga do samorealizacji też może prowadzić do

rozwoju przemocy, czego dowodzą masakry urządzone przez różne sekty (Johnestown, Salt Lake City, Marion, Waco), rozruchy w Noerrebro, autonomicznej dzielnicy Kopenhagi, po wyrażonej w drugim referendum zgodzie Duńczyków na traktat z Maastricht, oraz apokaliptyczna, wyczekująca końca świata japońska sekta AUM ze swoimi laboratoriami do produkcji trujących gazów oraz megakuchenką mikrofalową, w której marny koniec miał spotykać odszczepieńców. Niektórzy autorzy wydają się wiedzieć, gdzie znajdują się korzenie tych zjawisk.

Wszystko to miałyby spowodować jeden człowiek? Naturalnie że nie. Aldous Huxley, zdaniem teoretyków spiskowych, nie jest wyłącznym inicjatorem, ale raczej węzłowym punktem krystalizacji ewolucji, której podstawy istniały od dawna. Tak interpretują tę sprawę omawiane przeze mnie źródła. Argumentacja ta budzi wątpliwości, ale diagnoza stanu świata nie. Trudno będzie to przełknąć. Tacy autorzy, jak William Engdahl, odrzucają argument, że podobne niedemokratyczne akcje mogły być przejawem pożałowania godnej samowoli CIA. Twierdzą, że CIA nie jest "normalną" tajną służbą, ale przedłużonym ramieniem tak zwanego "tajnego drugiego rządu USA".

Uważają, że ten nieformalny aparat władzy rekrutuje się z rodzin należących do elity angloamerykańskiej i kieruje USA niczym prywatnym przedsiębiorstwem. Ich zdaniem nie byłoby możliwe ukrycie przedsięwzięć takiego rodzaju, jak przedstawione wyżej, przed oficjalnym rządem. Sądzą, że mimo kamuflażu w ogólnych zarysach udaje im się dostrzec siatkę powiązań. Weźmy na przykład inwazję na Panamę, podjętą przez prezydenta Georgea Busha w celu ujęcia narkotykowego bossa Noriegi, tego samego, z którym miała ponoć kontakty CIA, kiedy kierował nią Bush; co prawda określenie "drugi rząd" nawet w przypadku takich wątpliwych spraw wydaje się nieco bombastyczne i przesadne.

Bez komentarza zacytuję z książki Carol Greene słowa psychologa i byłego dyrektora laboratorium armii USA, dr Wayne'a Evansa, wypowiedziane w latach sześćdziesiątych: "Trzeba mieć świadomość, że już dziś w laboratoriach badawczych istnieje taki świat, jaki będzie za lat piętnaście".

Gdyby tak miało być istotnie, to amatorom śmiałych spekulacji mógłby nawet przyjść do głowy niezdrowy pomysł, że wirus AIDS został sztucznie wytworzony, co jakoś dziwnie dobrze pasuje do tego obrazu. Niektórzy przypuszczają, że taki właśnie scenariusz rodem z filmu grozy mógłby odpowiadać prawdzie, i wiążą to z eksperymentami przeprowadzanymi na więźniach, o czym od czasu do czasu się słyszy. Wspomniany psychodeliczny program badawczy podobno w niemałej części jest realizowany w więzieniach. Więźniowie otrzymują narkotyki i mają w nie zaopatrywać swoich współtowarzyszy oraz na bieżąco meldować o ich

zachowaniu. Leary i inni informują, że coraz większa liczba więźniów po takim przygotowaniu zostaje wypuszczona na wolność. W ramach podprojektu "Contact" łączono ich ze studentami Harvardu w tak zwane buddy systems. Ponieważ Leary nie zachował koniecznej dyskrecji -pisał o tym swobodnie i szeroko publikował -został w 1963 r. wyrzucony z Uniwersytetu Harvarda. Proces o posiadanie narkotyków i skazanie na karę więzienia ostatecznie unicestwiły jego reputację, a zwłaszcza wiarygodność. Interesujący obrót spraw, jeśli wziąć pod uwagę, co mówi duet autorski Martin A. Lee i Bruce Shlain o Uniwersytecie Harvarda, który podobno miał się stać istnym eldorado dla programów CIA badających wpływ narkotyków na zmiany w zachowaniu. Dodatkowym pikantnym szczegółem jest okoliczność, że dr Leary rzekomo z powodu posiadania połowy skręta został skazany na 37 lat więzienia, z których pięć odsiedział. W stanie Kalifornia normalną karą było wówczas sześć miesięcy.

Ujawnienie doświadczeń napawających grozą

Takie zdarzenia są co najmniej intrygujące, szczególnie wobec skandalu, niedawno ujawnionego przez panią minister energii USA, który stał się żerem dla środków masowego przekazu. Podobno w okresie zimnej wojny przez prawie 40 lat oficjalnie wstrzykiwano pacjentom szpitali i więźniom, bez ich wiedzy albo nawet wbrew ich woli, pluton, niepełnosprawnym dzieciom podawano radioaktywne mleko, noworodkom mającym trudności w oddychaniu chrom 50, a ciężarnym kobietom radioaktywne preparaty żelaza. Żołnierze mieli być wykorzystywani w charakterze królików doświadczalnych przy próbach nuklearnych. Makabryczną okolicznością byłby fakt, że podobno do przeprowadzenia niektórych prób mieli być angażowani przeszmułowani do kraju z fałszywymi dokumentami byli hitlerowscy eksperymetatorzy ("afery spinaczy do papieru"), w charakterze ekspertów, którymi niewątpliwie byli. Rozległe tereny USA miały być skażone radioaktywnie; była też mowa o innych doświadczeniach, na przykład rozprawdzaniu bakterii na stacjach metra. W programach dokumentalnych, jak np. nadanym przez Yorkshire Television programie Davida Wrighta *Horror wyprawy do Edgewood* albo reportażu Spiegel-TV można było zobaczyć niektóre ofiary przeprowadzanych przez armię USA eksperymentów na ludziach, którym, co ciekawe, aplikowano również narkotyki. Kiedy skandal zaczął zataczać coraz szersze kręgi, bulwersując opinię publiczną, prezydent Clinton na początku 1994 r. powołał sztab antykryzysowy, aby wydobyć na światło dzienne "nieupiększoną prawdę". Tu nie chodzi o żadne mgliste teorie spiskowe.

AIDS

Wróćmy do sprzeczności związanych z AIDS. Emerytowany przyrodnik z Uniwersytetu Humboldta w byłym Berlinie Wschodnim, profesor dr Jakob Segal, wywołał sensację wysuwając tezę, jakoby wirus AIDS wytworzono w końcu lat siedemdziesiątych w laboratorium P-4 pawilonu 550 centralnego biologicznego laboratorium doświadczalnego Pentagonu w Fort Detrick, w trakcie prac nad bronią genetyczną, przez skrzyżowanie wirusa Maedi-Visna (atakującego owce) oraz wirusa HL-23 (powodującego u człowieka obrzęk węzłów chłonnych). Wirus miał być wypróbowany na ochotnikach (więźniach zakładów karnych). Po ich zwolnieniu podobno stracono kontrolę nad wirusami, ponieważ długi okres pozostawiania ich w utajeniu skłonił eksperymentatorów do powzięcia przekonania, że próba się nie powiodła. Pentagon odrzucił tę teorię, którą zignorowała większość prasy amerykańskiej, jako komunistyczną propagandę, szczególnie kiedy zaczęły o niej trąbić publikacje sowieckie. Stary profesor z Leipziger Straße w byłym Berlinie Wschodnim nie jest jedynym, który podejrzewa, że źródłem AIDS może być świadoma rekombinacja retrowirusów. (Segal twierdzi, że on sam mógłby tego dokonać w ciągu kilku tygodni).

W tych przypuszczeniach dochodzą do głosu wątpliwości, które wielu od dawna nawiedzały w odniesieniu do powszechnie przyjętej teorii o pochodzeniu AIDS, a w nowym wydaniu pojawiły się w dyskusji na temat wirusa Ebola: najpierw mieli to być krwiodawcy z Haiti, potem zielone małpy z Afryki Centralnej, na kogo padnie kolejne podejrzenie, iż jest sprawcą AIDS? Myśl, że nowa dzuma, w której szponach tkwią obecnie miliony ludzi i która szerzy się w postępie wykładniczym, mogłaby zostać sztucznie wyhodowana w laboratorium i zostać wyzwolona przez człowieka, musi powodować gęsią skórę.

Jaki by to miało mieć cel? Czy był to tajny, bezlitosny plan redukcji nadmiernej liczby ludności, czy po prostu mamy do czynienia z efektem chybionego eksperymentu? Obie ewentualności niepokoją do głębi, jeśli wziąć pod uwagę -pomijając całkowicie aspekt humanitarny -tylko samo zagrożenie, które wynikło stąd dla ludzkości. Mając przed sobą taką alternatywę, przychylamy się jednak znowu do tego, by przypisać winę naturze, bo nikt nie może być aż tak szalony, aby ryzykować zagładę ludzkości. W końcu przecież nie doszło także do wybuchu wojny atomowej.

Projekt "Super"

Jeśli chodzi o naszą gotowość do wielkiego zbiorowego samobójstwa, do której niechętnie się przyznajemy, to projekt "Super" może być argumentem na rzecz gorzkiej oceny profesora Segala i innych pesymistów, można powiedzieć, jako uwieńczenie ludzkiego tańca śmierci. Pod kryptonimem "Super" USA opracowały bombę wodorową. Była ona od początku przedmiotem kontrowersji. Znani eksperci -od Einsteina do Oppenheimera -wypowiadali się przeciwko niej, i to z jeszcze większą gwałtownością, niż przedtem daremnie oponowali przeciwko pierwszej próbie atomowej w Alamoordo w lipcu 1945 r. (Niektórzy przypuszczali wówczas, że pod wpływem rozszczepienia jąder uranu reakcja łańcuchowa mogłaby się szerzyć w atmosferze, powodując "atomowy pożar"). W przeddzień próbnego wybuchu termojądrowego z kolei przedstawiano nieco egzotyczne obliczenia, z których miała wynikać ni mniej, ni więcej tylko możliwość przemiany Ziemi w miniaturowe Słońce wskutek planowanej fuzji jądrowej. Można by sądzić, że próbnego wybuchu bomby nie wolno podejmować, gdy istnieje choćby najmniejsze ryzyko zagłady świata. Bardzo by się jednak mylił ten, kto by tak sądził, przeważała bowiem opinia zwolenników próby, która odbyła się w maju 1951 r. Na przekór wszelkim protestom uznano, jak się zdaje, militarną przewagę nad ZSSR za sprawę ważniejszą niż dalsze istnienie naszej planety. Jak wiadomo, ruletka z bombą wodorową skończyła się szczęśliwie, ponieważ nie wszystkie atomy wodoru włączyły się do reakcji łańcuchowej, jak się obawiano. Raz jeszcze udało nam się ująć cało.

Nasuwa się zatem pytanie, czy gdyby istniał jakiś tajny gabinet cieni, to czy nie powinien temu zapobiec? W tym właśnie sęk, że nie wiadomo, czy coś się rozgrywa za kulisami -a jeśli tak, to co.

Interesująca rodzina

Pomińmy na razie sprzeczność wynikającą z faktu, że korzyść z zagłady świata byłaby równa zero, i spróbujmy za pomocą naszych źródeł podjąć tropienie ukrytych mocy sprawczych, których istnienia ich autorzy się domyślają. Przy tej okazji nagle znowu natrafiamy na błyskotliwą osobowość Aldousa Huxleya, człowieka, który otwarcie głosił poglądy rasistowskie -nazywane "eugeniką" -bez szkody dla swojej reputacji. Zarazem jednak już dawno wypowiadał się z dużą precyzją na temat problemu przeludnienia: "Brak rozwiązania tego problemu [eksplozji przyrostu naturalnego] uniemożliwi rozwiązanie wszystkich innych". Być może w tym jest zawarta wskazówka co do jego motywów oraz przesłanek zwrotu ku narkotynom.

Na uwagę zasługuje także to, co zostało opublikowane na temat jego rodziny. Wydała

ona nie tylko literatów i naukowców, ale zalicza się do tych nielicznych rodzin, które w Anglii sprawowały wielką władzę. Dziadek Aldousa Huxleya, Thomas Henry, był tak namiętnym wyznawcą darwinizmu, że swego czasu nazywano go "buldogiem Darwina". Ponadto należał on do członków założycieli Grupy Okrągłego Stołu, towarzystwa powołanego do życia przez południowoafrykańskiego magnata surowcowego Cecila Rhodesa, które także i dziś wydaje się nie pozbawione wpływu. Grupa Okrągłego Stołu założyła Królewski Instytut Spraw Międzynarodowych (RIIA), nowojorską Radę Stosunków Zagranicznych (CFR) oraz inne instytucje tak zwanego angloamerykańskiego establishmentu, które z kolei rzekomo składają się na owo "nowe nieformalne imperium", które miał publicznie wymienić prezydent USA Bush w związku z "nowym porządkiem świata".

Tajnym sojuszom nie ma końca

Zwolennicy spiskowej teorii dziejów nadstawią w tym miejscu uszu. Czy nie było mowy o rzekomym "tajnym drugim rządzie" USA, a na początku tego rozdziału także o innych podejrzanych aparatach władzy, jak Bank Rezerwy Federalnej, który wydaje się być czymś innym, niż tym, co zwykle wyobrażamy sobie pod pojęciem banku emisyjnego?

Jeśli ktoś zadałby sobie trud, aby prowadzić dociekania w tym kierunku, jak autorzy przytaczanych książek, to wydaje się, że natrafiłby na wszelkiego rodzaju siatki powiązań, jak choćby "Siedem Sióstr". Nie chodzi tu bynajmniej o jakieś sprzysiężenie starszych dam, ale o nadzwyczaj potężny angloamerykański kartel naftowy, który był przedmiotem zainteresowania Williama Engdahla. Pisze on, że Siedem Sióstr powstało 17 września 1928 r. w szkockim zamku Achnacarry jako tajny pakt o nazwie As Is Agreement of 1928 lub Achnacarry Agreement. Wtedy to najwięksi magnaci naftowi Anglii i Ameryki mieli zawrzeć porozumienie o scementowaniu istniejącego podziału świata, ustaleniu powszechnie obowiązującej ceny ropy naftowej i unikaniu wzajemnej konkurencji. Co ciekawe, jeszcze w tym samym roku rządy odpowiednich krajów ratyfikowały to porozumienie mimo jego ewidentnie prywatnego charakteru. Odtąd nazywano je układem Red Line.

Osobom wyczulonym na te sprawy może się wydawać, że podobne struktury nieustannie przeblaskują z kotłującej się ciemności, która zuchwale obwołuje się społeczeństwem informacyjnym. Nie wiadomo, w jakiej mierze ma to coś wspólnego z opiewaną, dla niektórych jednak niezrozumiałą zmianą systemów wartości, zwaną wytwornie przemianą uznawanych wzorców. Historia pokazuje w każdym razie, że nie po raz pierwszy można łączyć środki odurzające z przemianami społecznymi.

Przypomnijmy sobie persko-syryjskich asasynów (arab. "zjadacze haszyszu") z jedenastego wieku. Ten tajny kult wyłonił się z ismailitów i zdaniem niektórych historyków po zniszczeniu przez Mongołów był kontynuowany przez templariuszy, którzy faktycznie przejęli niektóre symbole asasynów. Owi "zjadacze haszyszu" (od nich właśnie pochodzi angielskie słowo "assassin" -zamachowiec) mieli się przyczynić do ostatecznego upadku niegdyś kwitnącego w Bagdadzie renesansu nauk antycznej Grecji -Arystoteles uchodził tam za wielki wzór i pierwszego nauczyciela -i sprzyjać nawrotowi fundamentalizmu. W świecie islamu zaczął się odwrót od ideałów starożytnej Grecji, które na Zachodzie na setki lat pochłonęły mroki średniowiecza.

A więc jednak mielibyśmy do czynienia z permanentnym spiskiem przybierającym nowe szaty, nawet na przestrzeni tysięcy lat? Z powiązaniem na ogromną skalę? Nie może być jasnej odpowiedzi na takie lekko paranoidalne przypuszczenia, oparte na wymagających interpretacji poszlakach. Na szczęście, do celów naszego eksperymentu myślowego nie potrzebujemy ich nawet szukać.

Dość o światowych spiskach. Jeśli będziemy dalej drążyć ten temat, starając się połączyć ze sobą obrazoburców, iluminatów, wolnomularzy, członków Złotego Świtu, zwolenników Vrila, członków stowarzyszenia Mont-Pelerin, sprzysiężonych z Thule, różokrzyżowców, templariuszy, hermetryków, teozofów, obserwantów, funkcjonariuszy Committee on the Present Danger (CPD), Odd Fellows itd., to niebawem zacniemy podejrzewać, czy my sami nie jesteśmy czasem w rzeczywistości kimś innym.

Moglibyśmy wpaść w podobną pułapkę, jak trzej lektorzy z bestselleru Umberto Eco *Wahadło Foucaulta*, którzy dla kaprysu konstruują światowy spisek, zonglując niepoohamowanie historycznymi datami, wiedzą tajemną, kabalistycznymi kombinacjami cyfr, inicjacjami gnostycznymi i dzikimi permutacjami najróżniejszych czynników, aby w końcu samemu paść ofiarą tego spisku -choć jest on czystym wymysłem. Jest to świetna parabola, ilustrująca dylemat kryjący się w poznaniu rzeczywistości.

Szukająca rzeczywistość

Wracamy zatem do podstawowej tezy, która jest szczególnie znamienita dla niniejszego rozdziału: nic nie jest naprawdę dowiedzione. Z takim wnioskiem mogę się tylko zgodzić. Ja nie wysuwam żadnych twierdzeń ani oskarżeń. Niektóre argumenty budzą mój sprzeciw, nawet przy całej dobrowolnie przyjętej neutralności; przede wszystkim pogląd Carol Greene, że *science fiction* jest antynauką i bezpośrednią drogą do świata snów. Wydaje

mi się, że jest wprost przeciwnie. Pomijając tę opinię, chciałem dostarczyć wyłącznie materiału do dyskusji i naświetlić sprawę z kilku stron. W tym celu trzeba było koniecznie zarznąć kilka świętych krów i podchwycić nieortodoksyjne argumenty, krótko mówiąc: postawić świat na głowie.

Za odpowiedni do tego zamysłu środek uznałem najbardziej prowokacyjne rzeczywistości alternatywne, przedstawiane przez szczególnie zaangażowanych wyznawców spiskowej teorii dziejów. Może udało się osiągnąć pożądany efekt wstrząsu. A tak się wszystko niewinnie zaczęło, od jakichś zakulisowych manipulacji finansowych, które można interpretować na różne sposoby. A teraz co? Przepadł stały grunt pod nogami i wszelka orientacja. Sklecona na próbę rzeczywistość alternatywna wydaje się jeszcze bardziej infernalna niż nasz zdemoralizowany świat. Wypada życzyć sobie, aby to wszystko, co wyżej przytaczaliśmy, było wytworem czystej fantazji. Może tak być -ale nie musi.

Nawet jeśli będziemy interpretować każdy szczegół całkowicie odmiennie, to subiektywne wrażenie pozostanie: to nie jest ten przejrzysty świat opisywany w książkach historycznych i słowami polityków, kojarzy się on raczej z budzącymi grozę codziennymi wiadomościami nadawanymi w środkach masowego przekazu. A przecież dotknęliśmy tylko wierzchołka góry lodowej, wystającego z oceanu tego co nieznanne. Gdzie są inne góry lodowe?

Dlatego wyrażając rzecz w skrócie i jeszcze bardziej prowokacyjnie: ujęcie tego rozdziału, mimo całej jego niezwykłości, może być jeszcze za wąskie, można by niemal powiedzieć, zbyt przyziemne -ponieważ jest tu mowa tylko o działalności człowieka. Są to sprawy sensacyjne, lecz mimo to w gruncie rzeczy zwyczajne. Jeśli uświadomimy sobie pełnię tego co niewytłumaczalne, to nawet ujawnionych spisków światowych nie będzie można uznać za ostatnie odkrycie.

Pocieszający aspekt

Większa rzeczywistość mogłaby być o wiele bardziej fantastyczna -a zarazem może nie aż tak deprymująca. Odwagi! Za kulisami nie musi koniecznie decydować krótkowzroczny egoizm, tępą brutalność lub inny, dobrze nam znany rodzaj zła. Historia nie musi być nieprzerwanym ciągiem zdarzeń, zaledwie się jeszcze mieszczących w granicach tego, co możliwe, zawsze w najwyższym stopniu negatywnych, których według ludzkiego rozeznania nie można się było spodziewać i lepiej, aby nie nastąpiły.

Tu chciałbym -co dość niezwykle -wysunąć dla odmiany pocieszającą argumentację.

Wymienione osobliwości i machinacje (zakładając, że w ogóle istnieją) nie przynoszą dobrodziejstw ludzkości, wprost przeciwnie. Mniej jednoznacznie może wyglądać sprawa ewentualnych ukrytych motywów. Być może pozorne szaleństwo i wstrząsająco krótkowzroczny egoizm to tylko pozory? Być może wszyscy odkrywcy i interpretatorzy mylą się -bo wchodzą tu w grę jeszcze zupełnie inne czynniki?

Reżyser amerykański John Carpenter swój film *Oni żyją* nazwał "obroną manii prześladowczej". Pewien robotnik budowlany w Los Angeles zakłada specjalne okulary i nagle zaczyna widzieć, co naprawdę dzieje się wokół niego: światem rządzą kosmici.

Carpenter powiedział na temat tego filmu, nakręconego na podstawie krótkiego opowiadania Raya Nelsona: "Wpadłem na pomysł, że całą erą Reagana w rzeczywistości kierują istoty pozaziemskie. Bogaci się bogacą, biedni ubożeją, klasa średnia topnieje: wszystko to jest częścią ogromnego spisku".

Można zapewne mieć nadzieję, że Carpenter nie ma racji (już choćby dlatego, że wtedy prawdopodobnie nie powstałby ów film), a może jednak coś jest w jego podstawowej przesłance. My także przypuszczamy, że nic nie jest takie, jak interpretuje to szkolna wiedza. Rzeczywistość musi mieć inną, całkiem inną naturę -być może bardziej pocieszającą niż w pełnej grozy wizji Carpentera, a być może jeszcze bardziej zatrważającą. Zobaczymy!

A gdyby wszystko było całkiem inaczej?

*Nawet, jeśli wiem,
że jestem paranoikiem,
to i tak oni mogą mnie ścigać.*
Nieznany cynik

Isaac Asimov i trylogia Fundacja

6 kwietnia 1992 r. zmarł Isaac Asimov, jeden z najsłynniejszych, o ile nie najsłynniejszy autor literatury *science fiction* wszech czasów. Wiele jego dzieł należy do klasyki, a niektóre -jak sądzą jednomyślnie ich miłośnicy i socjologowie -wywarły wpływ na sposób myślenia całych pokoleń.

Za główne dzieło Asimova jest uważana legendarna trylogia *Fundacja*, której pierwsza część powstała w latach czterdziestych. Fascynujące w tym cyklu jest nie tylko rozmach koncepcji, bogactwo pomysłów, "sense of wonder" i wszystkie pozostałe kryteria dobrej literatury *science fiction*, ale i coś jeszcze. Niejednemu czytelnikowi bowiem przyszła mimochodem do głowy myśl, że to, co Asimov przedstawił w galaktycznej scenerii, mogłoby w zasadzie od stuleci *de facto* odbywać się na Ziemi. Naturalnie, w ścisłej tajemnicy.

Trzeba tu powiedzieć kilka słów o *Fundacji*. Pierwotne trzy części zawierają plan stworzenia drugiego galaktycznego imperium na gruzach pogrążającego się w anarchii i dekadencji pierwszego imperium. Cykliczne wzloty i upadki wielkich państw są także na Ziemi regularnym zjawiskiem. Zasadnicze przemyślenia na ten temat opublikował angielski historyk Arnold Joseph Toynbee; na uwagę zasługuje także bestseller historyka Paula Kennedy' ego *Mocarstwa świata: narodziny, rozkwit, upadek*, aby wymienić tylko kilka książek na ten temat.

U Asimova wszystko to rozgrywa się w bezmiarze galaktyki. Co prawda, pod kontrolą, i to jest właśnie sedno sprawy. Nowa nauka, którą jej twórca, Hari Seldon, nazwał psychohistorią, umożliwia nie tylko ścisłe przewidywanie rozwoju wielkich i największych populacji, ale także skierowanie go minimalną ingerencją na określone tory. Posługując się tą teorią, Seldon opracowuje plan tysiącletni, nazwany też jego nazwiskiem; to ambitne zamierzenie ma zredukować okres chaosu między pierwszym a drugim imperium z oczekiwanych 30 000 lat barbarzyństwa do 1000 lat. Naturalnie, nie jest to możliwe bez

ingerencji w losy galaktycznych narodów.

Ośrodkiem koniecznego do osiągnięcia tego celu dobrotliwego i dobroczynnego kierownictwa jest Fundacja, będąca naukową enklawą, utworzoną przez Seldona dla realizacji jego planu na nieważnym peryferyjnym świecie o nazwie Terminus. Tam zostaje zakonserwowana wiedza ludzkości, podczas gdy wokoło panuje ponure galaktyczne średniowiecze. Skojarzenia z epoką na Ziemi, oddzielającą okresy rozkwitu nauki w okresie antycznym i w oświeceniu są równie oczywiste, jak z rolą klasztorów jako ognisk wiedzy. Z pewnością nie jest to przypadek. W naszej historii wprawdzie trudno dostrzec zbawienne ingerencje z zewnątrz, ale być może zależy to od punktu widzenia albo po prostu nie umiemy ich zauważyć.

Wróćmy do Terminusu. Przez długi czas plan tysiącletni jest realizowany zgodnie z programem. W ustalonych momentach Hari Seldon pojawia się w postaci hologramu i objaśnia ludziom z Fundacji, jakie kryzysy nadchodzą i jak mogą się z nimi uporać. Dzięki psychohistorycznemu kierownictwu Seldona i z racji swojej technologicznej wyższości naukowcy zyskują coraz większą władzę i wpływ na bieg zdarzeń w galaktyce. Nikt nie wątpi, a najmniej oni sami, że po upływie tysiąca lat to Fundacja właśnie będzie centrum drugiego imperium. Jednak nic, co jest dziełem człowieka, nie jest doskonałe. Kiedy Seldon znowu powraca, faktyczne położenie upadającego imperium nie ma nic wspólnego z analizą psychohistoryczną. Rady Seldona trafiają w próżnię.

Na galaktycznej scenie bowiem pojawił się element przypadku. Na podbój galaktyki wyrusza mutant -kaprys natury o nadludzkich zdolnościach wywierania wpływu na ludzi. Także i w tym zwrocie akcji nasuwa się jasne skojarzenie z historią Ziemi. Każdy uczeń mógłby wymienić postacie o takim oddziaływaniu: władców, uzurpatorów, założycieli państw itd., bez których niewątpliwie bieg dziejów byłby inny. Weźmy pod uwagę tylko nasze stulecie. Żaden specjalista nie kwestionuje, że świat bez Adolfa Hitlera wyglądałby dziś inaczej. Naturalnie, wraz z nim nie zniknęłyby zasadnicze napięcia, konflikty interesów czy sprzeczności epoki po pierwszej wojnie światowej, za to zniknęłyby określone wizje, które istniały tylko w umyśle Hitlera i które wcielił w życie z potworną konsekwencją, na zgliszcza narodów.

Podobnie przedstawia się sprawa mutantu z powieści Asimova. Jest to czynnik, którego nikt nie mógł wcześniej przewidzieć i któremu nawet Fundacja nie może sprostać. Łupem mutantu padają po kolei różne światy, wreszcie nawet sam Terminus. Wydaje się, że plan Seldona spełził na niczym. Nagle kończy się zwycięski pochód niezwyciężonego mutantu. Z wielkim trudem i mozolem plan tysiącletni wraca w dawne koleiny i ostatecznie

znów zmierza w pierwotnym kierunku.

Co takiego zaszło? Czyżby jeszcze jeden przypadek w przypadku? Bynajmniej. To Hari Seldon przewidział również to, co było niemożliwe do przewidzenia. Naturalnie, nie osobę samego mutanta, ale wystąpienie czynnika niepewności. Aby nawet w takim przypadku możliwe było podjęcie przeciwdziałania, Seldon założył drugą Fundację, o której nikt nie wiedział, nawet naukowcy pierwszej Fundacji. Protagonisci drugiej hołdowali nie technice, ale sile ducha. Ich siły były podobnej natury i dorównywały siłom mutanta, mogły więc zniwelować spowodowane przez niego odchylenie od pierwotnego kierunku. Tyle jeśli chodzi o trylogię *Fundacja*, której wymowy nie osłabiło także znaczne rozbudowanie jej przez Asimova prawie 30 lat później, połączenie z jego nie mniej znanymi opowiadaniem o robotach w jeden wielki cykl i dodanie zupełnie innego zakończenia, niż było przewidziane.

Znowu spiski?

Zmierzam do tego, że jak wspomniano na wstępie, wielu czytelników ma odczucie, że podobnie mógłby wyglądać bieg zdarzeń także na Ziemi, w mniejszej skali. Mogą to być pobożne życzenia. Człowiek pragnie, jak stwierdziliśmy, przejrzystego porządku, sensu w tym co na pozór bezsensowne -pragnienie to przyświecało mu w trakcie rozwoju nauk przy wysiłkach podejmowanych w celu wyjaśnienia i skatalogowania skomplikowanych zjawisk naturalnych. Jeszcze łatwiej zrozumieć potrzebę doszukiwania się pod warstwą krwawego globalnego szaleństwa istnienia jakiegoś pilota, jakakolwiek byłaby jego natura.

Okoliczność, że akurat Adolf Hitler nie został usunięty z historii, pozwala przypuszczać, że nic ani nikt za kulisami nie osłania homo sapiens. Z innej strony takie oceny potykają się już o to, że po prostu nie wiemy, o co właściwie w tym wszystkim chodzi, nie mówiąc o napawającej grozą czysto teoretycznej możliwości, że świat bez Hitlera być może wyglądałby jeszcze gorzej. Przyznajmy, że jest to skrajny, absurdalny pomysł, niemal już bluźnierczy, który przejmuje człowieka do głębi odrazą, ale -nic nie jest pewne. Poza tym -wracając do naszej analogii -Hitler (tak jak i mutant) na szczęście nie zdołał osiągnąć "ostatecznego zwycięstwa", przy czym niektóre aspekty jego klęski aż do dziś wydają się dość osobliwe i są rozmaicie interpretowane przez historyków.

Różnorodne argumenty, mające tłumaczyć, dlaczego "fuhrer" z jednej strony mógł przejawiać niezawodne wyczucie szans militarnych i znaczenia pionierskiej technologii wojennej, a z drugiej strony popełniać błędy jeżące wprost włos na głowie, nie całkiem zadowalają niektórych ekspertów. Sądzą oni -na przekór wszystkim wyjaśnieniom -że decyzji

Hitlera o przyjęciu nieortodoksyjnego planu Mannsteina zaatakowania zniemacka Francji, uważanej za niemożliwą do zdobycia, nie można pogodzić z jego błędem spod Dunkierki (zdaniem różnych strategów przez te dwa dni, kiedy kolumny pancerne stały w miejscu, wojna została przegrana). Podobnie, zdaniem niektórych interpretatorów, nie sposób pogodzić słusznego poparcia Hitlera dla budowy armat długolufowych czy własnej broni pancernej z jego decyzją o wstrzymaniu prac nad decydującymi o wyniku wojny systemami broni (myśliwiec odrzutowy Me 262, rakiety, niemiecki program atomowy). Choć fachowcy zażarcie spierają się o takie sprawy, to najbardziej prawdopodobnym wyjaśnieniem jest i pozostaje naturalnie skokowa zmienność nastrojów w rozbudzonej megalomanii z urojeniem misji dziejowej. Mimo to wolno nam chyba uważać za uzasadnioną spekulację, że pełna cierpień historia krwawego i barbarzyńskiego dwudziestego wieku może mieć ukryte aspekty o nieznanym naturze.

Znowu spiski? Czy jeszcze nie mamy dosyć finansowych gnomów, np. z Zurychu, i różnorodnych postaci, które w przeciwdeszczowych płaszcach przemykają się na tajne spotkania, aby tam ściszym głosem wypowiadać słowa, które wstrząsną światem? I tak, i nie. Zmierzam do tego, że dotychczasowe wyobrażenia są może po prostu zbyt uproszczone, zbyt konserwatywne. Dlatego też w głębi duszy tęsknimy za koncepcjami, jakie dochodzą do głosu w trylogii Asimova *Fundacja*; za tajnymi działaniami, które nie są tylko negatywnie zorientowane na zysk, ale są po prostu inne, większe, szersze -jednym słowem: zwrócone ku przyszłości.

Ponieważ ani dziś nikt nie wie na pewno, ani nikt nie wiedział dawniej, kto przygrywa do tańca gatunkowi ludzkiemu, to czymś więcej niż tylko grą słów może być stwierdzenie wspomnianego już dziadka Aldousa Huxleya, Thomasa Henry'ego Huxleya, zawarte w jego *Collected Essays* (Esejach zebranych): "Świat jest szachownicą, a przeciwnik w grze jest niewidzialny".

Mało znana jest okoliczność, że po drugiej wojnie światowej rządy zmieniały się częściej w drodze zamachu stanu niż w jakikolwiek inny sposób. Ponieważ każdy zamach stanu jest wynikiem spisku, oznacza to ni mniej, ni więcej (to przerażające), że od ponad 50 lat spiski w dziejach świata odgrywały większą rolę niż wszystkie demokratyczne zmiany razem wzięte -tak to widzi przynajmniej Edward Luttwak w swojej książce *The Coup d'Etat* (Zamach stanu).

To byłoby jeszcze do przyjęcia, ostatecznie homo sapiens jest w najdosłowniejszym rozumieniu urodzonym spiskowcem. Już wśród najstarszych znalezisk prehistorycznych znajdują się świadectwa tajnych stowarzyszeń. Malowidła z epoki paleolitu ukazują członków

plemion, spotykających się w najbardziej niedostępnych jaskiniach, aby knuć intrygi przeciwko hordom rywali. Każda wspólnota znana antropologii może się poszczycić tajnymi stowarzyszeniami. Są one ze wszech miar normalnym zjawiskiem z punktu widzenia filogenezy.

Skoro tak, to dlaczego każdy, kto podejrzewa spisek światowy, i bywa od razu okrzyknięty paranoikiem? Jeśli odmówimy sobie przyjemności wysunięcia argumentu odwrotnego, że właśnie ta skwapliwość w piętnowaniu dowodzi istnienia światowego spisku, to trzeba skonstatować, że różnica między manią prześladowczą a zrozumiałą podejrzliwością wobec działających mocy jest tylko ilościowa. Jeśli ktoś tylko przypuszcza, że kilka instytucji państwowych "sprzysięgło się", aby mu wyciągnąć pieniądze z kieszeni, to może liczyć na zrozumienie. Jeśli natomiast ktoś żywi niewzruszone przekonanie, że za wszystkimi instytucjami tego świata stoi "tajne dyrektorium", będące wytworem megaspisku, to może się zdarzyć, że kilku panów w białych kitlach pomoże mu przymierzyć wdzianko o nieco przydługich rękawach.

Co właściwie przemawia przeciwko istnieniu takiego megaspisku? Odpowiedź jest jasna i napawająca frustracją: ludzka niedoskonałość. Nic, co ludzkie, nie jest naprawdę doskonałe ani nie trwa wiecznie. Rządy, koncerny i inne wytwory człowieka mają tylko ograniczony czas trwania. Choć z pozoru wygląda to inaczej, to jednak na naszej planecie nie było i nie ma takiej formy rządów, która by w swojej pierwotnej formie przetrwała wiele dłużej niż 200 lat. Przeciętnie po upływie około stu lat zaczynał się proces upadku albo zmian. Mniejsze struktury przeważnie o wiele szybciej ulegają rozpadowi, co łatwo można zaobserwować w przypadku niektórych stowarzyszeń czy partii. Ta sama zasada musi obowiązywać także w odniesieniu do spisków.

Astrofizyk i radioastronom Duncan A. Lunan z Uniwersytetu w Glasgow wyraził to krótko z uszczypliwą ironią: "Gdzie czterej gromadzą się w celu zawiązania spisku, tam trzej są głupcami, a czwarty agentem rządu".

Już Machiavelli znał urok igrania spiskami, ale także wiedział, że z reguły nie są one ani tak dobrze przemyślane, ani tak długowieczne, jak to sobie wyobrażają sarni spiskowcy. Są tylko bardziej prostackie, brutalne i brudne.

Zagadka Kennedy'ego i "czarodziejska kula"

Zamordowanie Kennedy'ego, już od ponad 30 lat niepokojące swoją zagadkowością, może być dobrym przykładem, jakim ograniczeniom podlegają spiski. Często wypowiedany

pogląd głosi, że kruchość podstaw, na których opiera się wyrok Komisji Warrena, wyszła na jaw nie tylko w świetle późniejszych wydarzeń, ale właściwie już przez wprowadzenie tak zwanej czarodziejskiej kuli ("magic bullet", dowód rzeczowy Komisji nr 399), która musiałaby wykonywać wręcz baletowy taniec w obu kierunkach między Kennedym a gubernatorem Connallym, poruszając się przy tym po linii krzywej i zatrzymując się chwilami w locie. Mimo to "czarodziejska kula" została uznana za fakt, a jako wersję oficjalną przyjęto teorię jednego sprawcy, atakowaną dziś podobnie jak już wówczas. Jak się wydaje, jakaś do dziś nie znana grupa zdołała zaaranżować zamach na urzędującego prezydenta USA, następnie sfalszowała dowody albo je zataiła, a nawet spowodowała, by wielu świadków uległo "wypadkom" -tak można by to postrzegać. Byłaby to władza w czystej postaci. A jednak w swoich staraniach o skuteczne zatuszowanie sprawy członkowie spisku przeciw Kennedy'emu zawiedli.

Autor Donald Holmes wskazuje w swojej interesującej książce *Sprzysiężenie oświeconych*, że spiski, jako emanacja psychologii naczelnych, nieuchronnie muszą stosunkowo szybko kończyć się klęską wskutek wewnętrznych sprzeczności. Tak więc wszechogarniający spisek światowy nie mógłby przetrwać dłuższego czasu. Gdyby taki spisek jednak miał zaistnieć, to musiałby mieć nieludzkie, a ściśle biorąc nadludzkie pochodzenie.

Nieludzkie pochodzenie?

A więc przyszedł i na to czas. Ostatnie hamulce zostały odrzucone. Pozostaje już tylko uchwycić się najcieńszej ze wszystkich nici: istot pozaziemskich, które spływają z nieba w świetlistych statkach, aby ocalić sfrustrowaną ludzkość. Niezupełnie tak to jest. Nie ma potrzeby mieszać do tego kosmitów ani UFO. Pochodzenie nieludzkie czy też nadludzkie nie musi koniecznie oznaczać pozaziemskiego.

A cóż innego? Skierujmy uwagę na Daleki Wschód. Tam od tysięcy lat istnieje trwale zakorzenione w ludowych wierzeniach przekonanie, że wszystkie zdarzenia na Ziemi przebiegają pod kontrolą wyższej płaszczyzny poznawczej, a więc nie rekinów finansjery czy potentatów, ale istot bardziej inteligentnych niż my, których osiągnięcia w ogromnej mierze przewyższają nasze, podobnie jak było z mądrymi boskimi królami platońskiej utopii państwa *Politei*. Ukryci wodzowie, których legenda dotarła na Zachód dzięki wyprawom krzyżowym, rezydują w tajemnych "markas" (domach siły). Centralny dom siły podobno znajduje się w środkowej Azji na płaskowyżu Tybet. Występuje tu frapująca zbieżność z drugą Fundacją

Asimova (być może Asimova zainspirowały te legendy). Wspomniane moce mają swoją hierarchię. Na najwyższym szczeblu znajdują się istoty, których rozwój przekracza naszą zdolność pojmowania. W "markas" nad biegiem spraw czuwają ich mniej wywyższeni namiestnicy, a najniższy poziom reprezentuje egzekutywa. Te wykonawcze organy miewają niekiedy kontakt z ludzkością, i to z niemałym skutkiem, ponieważ, dokonując celowych ingerencji, mają zwyczaj nadawać dziejom określony kierunek. Takie interwencje służą realizacji "wielkiego dzieła", spirytualnej ewolucji, której nie potrafimy sobie wyobrazić i która nie ma nic wspólnego z obiegowym pojęciem.

Teraz wypadaloby przyhamować. Takie wyobrażenia są zrozumiałe z punktu widzenia psychologii, pocieszają i redukują frustrację. Tylko czy istnieje choćby cień jakiegokolwiek poszlaki wskazującej na ich realność?

Konieczność przedstawienia dowodu prowadzi do powstania sytuacji patowej. Logika nam podpowiada, że zdemaskowanie górujących nad naszą inteligencji, które być może od stuleci są wśród nas, jest dla ludzi równie niewykonalnym zadaniem, jakim dla psów byłoby wyprowadzenie w pole hycła. Mimo to nie można wykluczyć, że takie inteligencje zupełnie świadomie dają nam subtelne znaki życia albo czasem nie mogą uniknąć wzbudzenia pewnej sensacji w trakcie wypełniania ich niezbadanych misji. Jeśli zaakceptujemy myśl, że może pracujemy w tym samym biurze z "czymś" wyżej rozwiniętym, co tylko chce wyglądać jak jedno z nas, to znajdziemy odpowiednie wskazówki zgodnie z najlepszą tradycją paranoików. Jest tylko dylemat: na ile mogą one wytrzymać krytykę?

Czy oni są wśród nas?

Już w przedmowie sugerowaliśmy -a więc koło powoli się zamyka -że stale pojawiają się indywidualności znacznie górujące nad swoimi bliźnimi duchem i wiedzą. Tajemnicze postacie, które wydają się nie na miejscu na Ziemi albo w swojej epoce. Wspominaliśmy zagadkową wypowiedź Leonarda da Vinci i wydobyliśmy z mroków zapomnienia Rudjera Boscovicha, który *de facto* wyprzedzał swój czas o setki lat. Taka odmienność nie jest czymś odosobnionym.

Także Leonard Euler (1707-1783), jeden z największych matematyków wszech czasów, mógłby z powodzeniem spełniać kryteria nadczłowieka. Euler, supermózg najczystszej wody, umiał błyskawicznie czytać i przetwarzać najbardziej skomplikowane prace naukowe. Posiadał on dosłownie kompletną wiedzę z takich dziedzin, jak fizyka, chemia, zoologia, botanika, geologia, medycyna, historia, jak również znajomość literatury

greckiej i łacińskiej. Żaden z jego kolegów z naukowego grona nie był mu w stanie dorównać, choćby tylko w jednej z tych dyscyplin. Zdumiewająca pamięć Eulera pozwalała mu cytować każdą książkę, którą przeczytał. Mógł on dzięki samej tylko koncentracji sprostać ogromnym zadaniom myślowym i matematycznym, choćby wokoło panował nie wiedzieć jaki rozgardiasz. Jeden z jego uczniów opowiada, jak Leonard Euler, biorąc udział w dyskusji nad skomplikowaną operacją matematyczną, w której występowały liczby do siedemnastu miejsc po przecinku, przeprowadził całe obliczenie w pamięci i zaprezentował prawidłowe rozwiązanie. W ułamku sekundy, zauważmy, szybko jak komputer.

Euler zdobył taką wiedzę i odkrył takie powiązania, które uszły uwagi wszystkich filozofów i uczonych od czasów starożytnych, na przykład zauważył matematyczny charakter wersów Wergiliusza. Co znamienne, Leonard Euler utrzymywał ożywioną wymianę myśli z Rudjerem Boscovichem.

Obaj ci mocarze ducha nie lubili zwracania na siebie uwagi, publicznych występów ani zaszczytów. Woleli oni -i kto wie, ilu jeszcze im podobnych -pozostać w cieniu. Nie wydaje się nieprawdopodobne, aby w czasach, w których niezwykli myśliciele bywali paleni na stosie jako czarownicy albo zaprzęgni do produkcji broni, zakamuflowali się całkowicie. W świadomości ogółu jeszcze mniej niż Euler i Boscovich obecny jest cudowny matematyk Srinivasa Ramanujan (1887-1920). A przecież ów fascynujący Hindus z kilku względów góruje niczym latarnia morska nad elitą naukową. W swoim krótkim życiu Ramanujan opracował teorie, które otworzyły całkowicie nowe możliwości; po większej części dopiero dziś jesteśmy w stanie zrozumieć wszystkie ich konsekwencje, dzięki zastosowaniu komputerów (a może nawet i dzisiaj nie). W 1987 r. bracia -matematycy -Jonathan i Peter Borweinowie zdołali przy użyciu komputera stworzyć egzotyczny algorytm do szybkiego iteratywnego rozwijania liczby. Stwierdzili w związku z tym: "Obliczenie to opiera się na interesującym równaniu, które odkrył Ramanujan".

Jest zastanawiające, że Hindus ów dla wielu ze swoich twierdzeń nie podał żadnego dowodu, pozostawiając potomności zadanie ich weryfikacji, które jest odtąd realizowane na bieżąco. Ramanujan oświadczył, że wzory przekazuje mu drogą duchową indyjska bogini Namagiri. Czy to zaszyfrowana wskazówka, prawdziwa wiara czy cokolwiek innego, tego nie wie nikt. Faktem jednak pozostaje, że metody Hindusa nie mieszczą się w tradycyjnym dowodzeniu matematycznym. Trzeba je przyjąć jako niemożliwą do naśladowania inspirację. Należą one do tego samego rodzaju, co niektóre twierdzenia Isaaca Newtona (1643-1727), które jego współczesnym wydawały się dosłownie przychodzić znikąd. Dość wspomnieć choćby o odkrywczym stwierdzeniu Newtona, że kulę trzeba traktować tak, jak gdyby masa

była skupiona w jej matematycznym punkcie centralnym; wypowiedział te słowa "mimochoodem". Wiele z aksjomatów Newtona dało się udowodnić dopiero po jego śmierci.

Tajne stowarzyszenie nadludzkich istot działające setki lat? Jeśli tak, to niełatwo by nam było je zdemaskować, to pewne. Być może, wyższe inteligencje z całym spokojem od dawien dawna komunikują się ze sobą, a my sobie tego nie uświadamiamy. Na przykład w 1958 r. w "Timesie" ukazywały się liczne tajemnicze ogłoszenia w rubryce "Osobiste", które stały się przedmiotem zainteresowania policji kilku krajów. Nie mogli ich rozszyfrować nawet znani specjaliści. Taki system komunikacyjny pragnąłby wówczas mieć niejeden syndykat zorganizowanej zbrodni. Jeśli słyszymy, że dziś już przeszło 10000 uniwersytetów łączy ze sobą globalna sieć informacyjna -którą mogą dysponować również środki masowego przekazu -to zaczynamy przeczuwać, że już sama ilość przepływających danych w ogóle nie daje możliwości odkrycia czy wręcz śledzenia czegokolwiek. W Internecie mogą się w naszych czasach swobodnie poruszać, oprócz ludzi poważnych, także mafiosi i radykałowie wszelkich odcieni, nie mówiąc już o możliwościach, które ta sieć stwarza dla hipotetycznych superistot.

Nieśmiertelny hrabia

Mimo wszystko jesteśmy skłonni uważać nadzwyczajne osoby, jak Boscovich i jemu podobni, po prostu za geniuszy. Przy całym szacunku dla niemałych osiągnięć myślowych homo sapiens wydają mi się jednak dopuszczalne także inne interpretacje. Szczególnie problematyczna staje się teza o ludzkiej naturze takich osób w przypadku egzotycznych postaci nie pasujących do swojego czasu, odznaczających się zdolnościami, jakich po prostu nie sposób nabyć w jednym życiu. Najlepszym przykładem jest legendarny hrabia de Saint-Germain, o którym chciałbym tu napomknąć. Czy dałoby się zdegradować do poziomu jedynie wysoce uzdolnionego normalnego człowieka kogoś, kto, jak się zdaje, przez setki lat krąży po świecie, będąc w jednej osobie doskonałym alchemikiem, poetą, artystą, wirtuozem języka, uniwersalnym uczonym, dyplomata, oświeconym i kim tam jeszcze?

Z lat około 1740 r. pochodzą pierwsze zapiski na temat hrabiego, którego nigdy nie widziano, by jadł, a który, jak sam twierdził, miał przeszło trzy tysiące lat i zaliczał się do osobistych znajomych zarówno Poncjusza Piłata, jak i dwunastu Apostołów. Jego, jak dotąd ostatnie, pojawienie się miało podobno miejsce w 1972 r. w telewizji francuskiej. Żadne z tych twierdzeń nie ma rzeczywistej mocy dowodowej. Faktem jednak pozostaje, że egzotyczny hrabia -jak Euler i inni -prezentował umiejętności, których przyswojenie sobie

trwałoby dłużej niż jedno życie człowieka. Zwłaszcza gdy weźmiemy pod uwagę, że Saint-Germain musiał poświęcać niemało czasu intrygom, dworskiemu życiu, misjom dyplomatycznym, prowadzeniu interesów, organizowaniu produkcji przemysłowej i innym działaniom.

Wymowa suchych faktów jest przemożna: hrabia de Saint-Germain władał językiem francuskim, angielskim, niemieckim, włoskim, hiszpańskim, chińskim, hinduskim, rosyjskim, portugalskim, arabskim, tureckim, perskim, jak również licznymi językami starożytnymi, znanymi tylko specjalistom. Posiadał i demonstrował wiedzę medyczną, która także i dzisiaj nie byłaby przestarzała, i we wszystkich naukach był nie tylko poinformowany, ale daleko wyprzedzał współczesnych. Sama tylko jego wiedza na temat metalurgii nie pasowała do jego czasów i nikt nie mógł jej zrozumieć. Jakby tych wszystkich zajęć jeszcze hrabiemu nie było dosyć, zajmował się ponadto wyrobem tekstyliów, porcelany i był świetnym jubilerem. Nie zapominał również o zajęciach artystycznych -grał na wielu instrumentach i doskonale malował. Do tego wszystkiego napisał jeszcze obszerne dzieło z dziedziny okultyzmu *Najświętsza trinozofia*, które uchodzi za jeden z najważniejszych przyczynków do mistycznej tradycji Zachodu.

Godna uwagi persona, nieprawdaż? Trudno ją sklasyfikować, a jeszcze trudniej umieścić w sensownym kontekście. Czy Saint-Germain ma coś wspólnego z Chidrem, również nieśmiertelnym wodzem sufich, który przez wzgląd na swą aurę jest nazywany także "zielonym" (zielono świecącym)? A może z innymi nieśmiertelnymi, o których głośzą legendy?

Nadzwyczajne dokonania fizyczne

Teraz znów trzeba przyznać, że błądzimy po omacku. Możemy tylko snuć przypuszczenia i poszukiwać bodaj najsłabszych wskazówek świadczących o istnieniu innych sił sprawczych poza naszą własną. Nasuwa się przy tym nowy, mało dyskutowany aspekt sprawy: dlaczego właściwie nie mielibyśmy zakwestionować także przeświadczenia o normalnej naturze nadludzkich osiągnięć fizycznych, do których, można powiedzieć, już się zdążyliśmy przyzwyczaić? Mam na myśli zdumiewające wyczyny dalekowschodnich mistrzów, i inne, jeszcze bardziej zadziwiające, znane z tradycji. Stale mamy do czynienia z takimi osiągnięciami, które trudno sobie wyobrazić, nawet biorąc pod uwagę najbardziej morderczy, po azjatycku wytężony i regularny trening.

Wielu mistrzów sztuki walki i taoistów włada "sztuką Gekko" (P'i Hu Kung). Chodzi

tu o umiejętność wspinania się na ściany, której w zasadzie nie da się nauczyć, tak jak np. skoku o tyczce czy gry na fortepianie. Wielki mistrz Pa-kua-Kung Fu, Tung Hai Ch'unan (1798-1879), podobno zwykł wspiąć się na gładkie ściany, a słynny bokser Hsing-I, Sung Shih, potrafił na pewien czas nieruchomieć, przylegając do gładkiego muru domu. Absolutnym rekordem nie wynikającym z treningu umiejętności jest prawdziwe pokonywanie grawitacji przez "latających mistrzów", o których informuje kilka źródeł. Należeli do nich Lieh Yu-Ko (400 p.n.e.), Chang Tao Ling i Tien Shih, pierwszy taoista, nazywany także "papieżem tao".

Nie chcielibyśmy się zagalopować. Naturalnie, nie można wobec zdolności Boscovicha, Bruce'a Lee czy hrabiego de Saint-Germain oświadczyć po prostu: ten kto je posiada, nie może być zwykłym człowiekiem -"inni" są więc wśród nas, a oto, kilku z nich. Wysłunięcie takiej tezy w oparciu o tak mgliste poszlaki byłoby nie tylko zuchwałością, ale i absurdem.

W tym właśnie sęk: po prostu nie wiemy, z czym naprawdę mamy do czynienia. Rezultaty naszych poszukiwań na nieznanym terenie mogą się układać w puzzle, ale równie dobrze mogą nas prowadzić w wiele ślepych uliczek. Nie ma odpowiedzi na pytanie, czy faktycznie jest wśród nas "nowy człowiek", którego podobno miał spotkać Adolf Hitler -przy czym nie grzeszący wszak nadmiarem subtelności "fuhrer" trząsł się ze zgrozy -albo czy może zbudziły się niektóre ze "śpiących maszyn", za jakie ezoteryk George Iwanowicz Gurdżijew uważał wszystkich normalnych ludzi, których chciał przebudzić ze snu swoimi ćwiczeniami. Można by nawet posunąć się do tego, aby fenomeny PSI interpretować jako przypadkowe występowanie maleńkich cząstek owego obszernego katalogu zdolności, jakie w całej gamie mogą występować u indywidualów znacznie nad nami górujących.

Dochodzi do sytuacji patowej. Podstawowym problemem pozostaje brak systemu poszukiwań tego, co naprawdę ukryte. Możemy tylko zgłębiać problem to tu, to tam, kręcąc głową nad dziwnymi machinacjami. Nie uda się w ten sposób uzyskać całościowego obrazu. Literatura spiskowa, do której sięgnęliśmy, także nie jest zbyt pomocna, gdyż każdy z jej autorów ma *idee fixe* na pewnym punkcie. Raz są to bankierzy, kiedy indziej znowu tajne dyktoria nadludzi. Kłopotliwe, że większość też tego rodzaju -podobnie jak teoria o świecie pustym wewnątrz albo twierdzenie, że Księżyc jest z zielonego sera -da się poprzeć odpowiednimi poszlakami, jak mogliśmy się przekonać wyżej w "kontekście spiskowym".

Dedukcja ezoteryczna

Czyżbyśmy więc gonili za własnym cieniem, nie mając szansy na wyjście z zakłętego kręgu? Nie musi tak być. Może zdołalibyśmy, niczym baron Mtinchausen, o własnych siłach wyciągnąć się za włosy z bagna błędnego koła argumentacji. Koniecznym warunkiem byłoby wprawdzie równie radykalne zerwanie z tradycyjną linearną logiką, jak Mtinchausena zerwanie z prawami mechaniki przy jego akcji ratowania samego siebie. Jak należałoby tego dokonać? Przyjmując sposób postępowania, który autor *science fiction* A. E. van Vogt mógłby nazwać *logiką zero A* (logiką niearystotelesowską). Jeśli dla kogoś wciąż jeszcze jest tu zbyt wiele przyczynowego racjonalizmu, to proponuję mu pojęcie "ezoterycznej dedukcji",

Dość tej żonglerki słowami. Cała sprawa wygląda na zwariowaną i taka też jest w istocie. Mimo to możemy z powodzeniem brać przykład ze słynnego fizyka Nielsa Bohra, który powiedział do pewnego młodego naukowca: "Pańska teoria jest szalona, ale za mało szalona, aby była prawdziwa". Nasza teoria byłaby dostatecznie szalona.

Nie dajmy się więc zapędzić w koziego róg i poszukajmy "stałych ezoteryczno-okultystycznych" (o ile dadzą się one odkryć),

Mistyczna liczba dziewięć

Ponieważ nigdy nie możemy mieć nadziei, że zgromadzimy wszystkie elementy puzzli składające się na całość obrazu, to może okazałoby się owocne przyjęcie odwrotnego kierunku -od ogółu do szczegółu? Czego więc szukamy? Zasad, czynników, prawidłowości, znaczących liczb czy czegokolwiek bądź, bez znaczenia w świecie badanym przez przyrodników, świecie mgławic spiralnych i jądra atomu -za to ważnych w ukrytym świecie tajemnych sił, mocy i stowarzyszeń. I kto by się spodziewał -jest!

Z kosmosu wiedzy tajemnej wprost wybija się jedna liczba -dziewięć.

Podobno jest ona uosobieniem wielkiej potęgi. Mistycy nazywają ją "liczbą miłości", ale także -i to wydaje mi się bardziej godne uwagi -"liczbą nauczycieli i mędrców". Numerolodzy określają tę cyfrę "alfą i omegą" (początkiem i końcem) ludzkich możliwości. Dziewiąte niebo jest w katolickim brewiarzu *primus movens*: najwyższą sferą, która wprawia w ruch wszystkie inne. Piekło, do którego zstępuje Dante w *Boskiej komedii*, ma dziewięć kręgów. W wolnomularstwie dziewięć jest liczbą zbawienia i symbolem odrodzenia duchowego. Kabała mówi o dziewięciu sferach niebieskich i dziewięciu hierarchiach niebieskich duchów, a wierzenia egipskie o dziewięciu żywotach kota (dlaczego nie ośmiu albo dziesięciu?).

Buddyzm zakłada istnienie dziewięciu szczebli duchowych, a buddyjskie świątynie mają po dziewięć pięter i dziewięć dachów. W Pekinie każdą ze starych bram wieńczy taka dziewięciopiętrowa nadbudówka, a gubernator Pekinu nosił tytuł "generała dziewięciu bram". Najstarsza prowincja Królestwa Środka składała się z dziewięciu okręgów. Stary zakon różokrzyżowców miał dziewięć stopni hierarchii, podobnie jak Wielka Loża Niemiec. Było dziewięć muz, dziewięć hierarchii anielskich, dziewięć kamieni proroka Ezechiela.

"Enneagram" (od greckiego "ennea" -dziewięć), okultystyczna typologia dziewięciu osobowości, ponoć powstała w Babilonie już w 2500 r. przed Chrystusem, została zapożyczona przez zakon sufich, islamskich mistyków (zwłaszcza bractwo Nakszbandija), a przez Gurdżijewa trafiła na Zachód. Z kolei enneagram dziewięciu linii symbolizuje nieustanną samoodnowę.

Ewangeliczny mistyk Jakub Bohme (1575-1624), szewc z Altseidenbergu koło Zgorzelca, który wywarł wpływ na filozofię Hegla, mówi o alchemicznej "liczbie tynktury": "Nie powinniśmy iść dalej niż do dziewiątej liczby. W niej można zobaczyć wszystko".

Niewiele jest mądrości, które by w ten, lub inny sposób nie nawiązywały do liczby dziewięć. Odgrywa ona także dominującą rolę w rozległej szarej strefie tajemniczych zakulisowych graczy, stowarzyszeń i mocy, które staramy się wytropić.

Tak więc powracamy -na razie -na stosunkowo konkretny grunt: do przekazów.

Aśoka Wielki

Legenda o "Dziewięciu Nieznanych" należy do najżywotniejszych, a zarazem najstarszych. Fascynujące jest w niej powiązanie mitu z konkretnym tłem historycznym; jednocześnie nie sposób ustalić, w którym momencie postać historyczna miałaby się przeobrazić w nadczłowieka, a później założyciela stowarzyszenia takich jak on nadludzi. Chodzi tu o indyjskiego władcę Maurjów Aśokę (ok. 272-232 p.n.e.). Kogo interesuje działalność Aśoki, ten nie musi się zagłębiać w okultystyczne folianty, bo w każdym dziele historycznym może znaleźć wiadomości o tym pierwszym księciu -protektorze buddyzmu, który pozostawił po sobie ważne dzieło prawnicze.

Aśoka, drugi następca i wnuk Czandragupty, zjednoczył ziemie w dolinach Indusu, Dżammu-Gangesu, jak również wschodnią część wyżynnego półwyspu Dekan. Powstanie jego imperium przyniosło Indiom pierwszy od czasu rozpadu cywilizacji w dolinie rzeki Indus okres jedności państwowej i pokoju w polityce wewnętrznej. Wygnał on ostatecznie garnizony macedońskie i objął w posiadanie część byłego imperium Aleksandra Wielkiego;

zaanektował także państwo Magdah i inne ziemie. Po wcieleniu państwa Kalinga (dziś Orissa) zdumiewający ów imperator dobrowolnie zrezygnował z wszelkich dalszych podbojów, choć nikt nie mógłby stawić mu skutecznie czoła.

Zamiast dalszej ekspansji poświęcił się odtąd już tylko krzewieniu buddystycznej *dharmy*, co stało się jego regularną polityką zagraniczną. Większy nacisk kładł przy tym na konfucjańską definicję *tao* niż na duchowe ćwiczenia Buddy, którym osiem wieków później kształt praktyczny miał nadać dwudziesty ósmy następca Buddy, Bodhidharma w stworzonej przez niego pierwotnej formie *karate-kung-fu*.

Aśoka głosił tolerancję wobec innowierców i stworzył nowoczesne państwo socjalne, zapewniające szeroką ochronę zwierząt. Są historycy, którzy dopatrują się w indyjskiej faunie trwającego do dziś oddziaływania miłości do zwierząt tego władcy imperium.

Ogromne państwo Aśoki w dolinie Gangesu przez 90 lat przeżywało niewiarygodny rozkwit. Jednak po śmierci Aśoki jego imperium, rozciągające się aż po dzisiejszą Malezję, Sri Lankę i Indonezję, uległo gwałtownemu załamaniu i zniknęło niemal w ciągu jednej nocy. Zdaniem wielu specjalistów ten krótki rozkwit -zjawisko historyczne nietypowe jak na owe czasy -stanowi wielką zagadkę, zwłaszcza że na scenie dziejowej pojawiło się tu jedno z pierwszych wielkich mocarstw. Epoka Aśoki na pewno byłaby mało znana lub całkiem nieznana, gdyby nie znajdowano inskrypcji naskalnych i obelisków z tych czasów na terenach od Bangladeszu na wschodzie do Madrasu na południu. Istnieją także kroniki, spisane później na Cejlonie z punktu widzenia buddystycznej szkoły Therawadin.

Wszystko to robi wrażenie, ale co w tym właściwie jest nadludzkiego? Aby odpowiedzieć na to pytanie, trzeba przytoczyć legendę Aśoki. Opiera się ona na merytorycznie niekwestionowanej podstawie; mniej jednoznacznie natomiast jest widziana sama osoba Aśoki. O ile H. G. Wells w pewnym wydaniu swojej *Historii świata* wyraża pogląd, że "wśród dziesięciu tysięcy monarchów, których ukazuje nam historia, imię Aśoki lśni niezrównanym blaskiem niczym gwiazda", to Arnold Joseph Toynbee wątpi w jedyną w swoim rodzaju dobroć tego władcy.

Jak już wspomniano, faktem jest, że Aśoka po masakrze w wojnie z Kalingą raptownie zakończył wszelkie działania wojenne. Przyczyną tej przemiany wewnętrznej miał być widok pola bitwy pokrytego setką tysięcy poległych. W przeciwieństwie do niejednego męża stanu naszych czasów, których snu bynajmniej nie mącą stosy trupów, Aśoka był do głębi wstrząśnięty. Poprzysiął sobie nigdy więcej nie włączać obcych ludów przemocą do swojego imperium ani okrutnie tłumić buntów. Stał się buddystą i oświadczył, że jedyna sprawiedliwa walka to walka o dusze ludzi. Bronią w tym boju nie mogły być miecze ani

włócznie, a tylko prawa natury i reguły przyzwoitości. Nie przelewając więcej ani jednej kropli krwi, samą tylko siłą własnego przekonania i przykładu, Aśoka rozpowszechnił buddyzm w granicach imperium, a następnie w Nepalu, Chinach, Tybecie i Mongolii. Będąc prawdziwym wczesnym liberałem, akceptował także wszystkie inne religie, wyznania i sekty.

Potworności wojny miały uczynić z cesarza, jak czytamy dalej, męża pokoju. Mało tego, chciał raz na zawsze zapobiec wykorzystywaniu do niecznych celów wytworów umysłu ludzkiego. Aby nowych wynalazków nie nadużywano do produkcji broni, Aśoka nakazał kamuflaż wszelkiego postępu. Od tej chwili wszelkie odkrycia, poczynając od wiedzy na temat istoty materii i energii aż po techniki psychologii tłumów, spowija mistyczna zasłona.

Dziewięć ksiąg mocy

Aby zagwarantować zachowanie tej tajemnicy, a jednocześnie umożliwić małej grupie wtajemniczonych kierowanie nie przeczuwającą niczego ludzkością, cesarz Aśoka miał przeszło 2000 lat temu powołać do życia stowarzyszenie "Dziewięciu Nieznanych" niezwykle ekskluzywne grono, którego członkowie komunikują się w sztucznym języku i czerpią swoją wiedzę z dziewięciu tajemnych ksiąg, których treść stale się poszerza. Jedna księga przypada na każdego z Nieznanych.

Księgi te zasługują na uwagę. Pierwsza z nich objaśnia manipulatorskie techniki propagandy i wojny psychologicznej. "Jest to najniebezpieczniejsza ze wszystkich nauk" powiedział Talbot Mundy, który w 1924 r. w swoim dziele *The Nine Unknown* (Dziewięciu Nieznanych) jako pierwszy pisał o tym egzotycznym stowarzyszeniu.

Druga księga zajmuje się fizjologią i odsłania najbardziej skryte tajniki ciała człowieka. Podobno maleńkie fragmenty informacji z tej księgi, które przedostały się do wiadomości ludzi, są źródłem azjatyckich sztuk walki: *judo*, *aikido*, *kung fu* i innych, nie wyłączając *dim mak*, techniki, której mistrzowie mogą zabijać samym tylko dotknięciem, z opóźnieniem, a nawet na odległość; mogą też wybiórczo rozbijać np. jedną określoną cegłę w środku całego stosu.

Tematem trzeciej księgi jest mikrobiologia. Aby ocenić jej znaczenie, wystarczy choćby pomyśleć o trwającej obecnie debacie nad technologią genetyczną.

Czwarta księga zdradza tajemnicę transmutacji, czyli przemiany jednego pierwiastka w inny. Podobno niektóre świątynie i religie uzyskały dzięki niej duże ilości czystego złota. Prawdopodobnie poszukiwanie kamienia filozoficznego wynikało z błędnej interpretacji skąpych wskazówek co do istnienia tej księgi.

Piąta księga omawia komunikację wszelkiego rodzaju, ziemską i nieziemską.

Szósta księga odsłania istotę grawitacji. Jeśli wziąć pod uwagę, jak mało fizyka wie naprawdę na ten temat, a zarazem jak entuzjastyczne są przewidywania, co oznaczałaby kontrola nad grawitacją (podróże międzygwiazdne, rozwiązanie problemu zaopatrzenia w energię, opanowanie przestrzeni i czasu, władza nad mikro- i makrokosmosem), to zapewne nie trzeba już nic dodawać.

Siódma księga zawiera rozwinięcie obszernej kosmogonii, w porównaniu z którą najnowsze teorie fizyczne wydają się rozważaniami na poziomie szkoły podstawowej.

W ósmej księdze mowa jest o świetle. Zaczynamy dziś przeczuwać, że światło może być kluczem do tajemnic życia (hasło: "biofizyka") oraz do rozwiązania sprzeczności w kosmosie, jak i w dziedzinie subatomowej (hasło: "dualizm falowo-korpuskularny").

Dziewiąta księga przedstawia ewolucję gatunków i społeczeństw. Pozwala ona przewidywać wzloty i upadki form żywych i całych cywilizacji. Mimo woli przychodzi na myśl psychohistoria Isaaca Asimova.

Imponujące, nieprawdaż? Kto byłby od 2000 lat w posiadaniu tak wielkiej skarbnicy wiedzy, do tego stale wzbogacanej, ten doprawdy mógłby panować nad wszystkim.

Skoro, jak wiadomo, władza korumpuje (doświadczamy tego codziennie), a władza absolutna korumpuje absolutnie, to dysponenci takiego potencjału musieliby być kimś więcej niż zwykłymi ludźmi, aby oprzeć się pokusie jawnego sięgnięcia po władzę. Tak właśnie ma być w przypadku Dziewięciu Nieznanych. Wznoszący się ponad wszelkie namiętności, poświęcający się tylko swojemu świętemu zadaniu -pozostając na drugim planie, prowadzić jednak pewną ręką gatunek homo sapiens przez zmienne koleje chaotycznego losu -używają swoich niewyobrażalnych środków z największą rozwagą. Pod ich okiem rodzą się i upadają wielkie i małe cywilizacje, dokonują się tragedie i kwitnie pomyślność. Dziewięciu Nieznanych realizujących niezgłębione dla nas zadanie, posłusznych tylko najwyższemu nakazowi: milczenia.

To piękna legenda, bez wątpienia. Jeśli przyjrzeć się faktycznemu przebiegowi historii z mnóstwem katastrof, rzezi, okropności i nieopisanej nędzy, to można się zastanawiać, jak złe w takim razie byłoby ostatnie 2000 lat bez Dziewięciu Nieznanych.

Taka argumentacja jest jednak cyniczna, demagogiczna i krótkowzroczna. Jako część systemu nie możemy -tak mówi już teoria komunikacji -obserwować go z zewnątrz. Wyrażając się prościej: ponieważ nie wiemy, o co w tym wszystkim chodzi i dokąd zmierzamy w naszej podróży, to nie jesteśmy w stanie zdobyć się na obiektywny osąd. Masowe cierpienia są czymś strasznym, ale nie muszą (niestety) być miarą powodzenia misji,

która jest "większa niż życie". Jest to dylemat nie do rozwiązania, za to należy zadać pytanie, czy dałoby się wykryć jakieś poszlaki świadczące o faktycznych działaniach Dziewięciu Nieznanych, jakkolwiek niehumanitarne mogłyby się nam one wydawać na krótką metę. Najwyraźniej nie jesteśmy wszak zdolni do spojrzenia z perspektywy długofalowej, czego dowodzi stan świata.

Jest oczywiste, że Dziewięciu Nieznanych w najlepszym razie mogło pozostawić bardzo niepozorne ślady. Do ich kontaktów ze zwykłymi śmiertelnikami mogło dochodzić bardzo rzadko albo musiały być one starannie zamaskowane. Nasuwa się tu przypuszczenie, że nadzwyczajne (niehumanitarne?) indywidualności, jak już wspomniani: Leonardo da Vinci, Boscovich, hrabia de Saint-Germain itd., należeli do Dziewięciu Nieznanych albo pozostawali w kontakcie z nimi. Jednak nie można tego dowiedzieć ani temu zaprzeczyć.

Louis Jacolliot

Zdecydowanym zwolennikiem tezy o istnieniu Dziewięciu Nieznanych był pisarz i prawnik Louis Jacolliot (1837-1890), poseł francuski w Kalkucie i najwyższy urzędnik wymiaru sprawiedliwości w Chandernagore. Poświęcił on wiele lat studiom nad historią subkontynentu i hinduizmu (zwracając szczególną uwagę na cudowne czyny, przypisywane świętym mężom) i napisał świetne dzieło na temat nauk okultystycznych w starożytnych Indiach. Jacolliot wspomina w 1860 r., pisząc o Dziewięciu Nieznanych, metody naukowe, które znacznie wyprzedzały swój czas, między innymi przemianę masy w energię czy sterylizację za pomocą promieniowania. Jak mógł się na te tematy wypowiadać w połowie dziewiętnastego wieku, stanowi zagadkę.

Louis Jacolliot na tym jednak nie poprzestał. Potraktował on dosłownie legendę, jakoby Dziewięciu Nieznanych odpowiadało za niewytłumaczalne właściwości wód Gangesu. Jak wiadomo, tej świętej rzece przypisuje się mistyczną moc leczniczą. Jest faktem, że od stuleci zanurzają się w jej wodach nieprzeliczone rzesze pielgrzymów cierpiących na najokropniejsze i najbardziej zakaźne choroby. Mimo to nie dochodzi tam na większą skalę do zakażeń osób zdrowych, choć należałoby oczekiwać, iż rzeka stanie się jednym wielkim ogniskiem epidemii. Zgodnie z mało zadowalającą teorią zjawisko to uzasadniać miałyby obecność bakteriofagów, przy czym nikt nie umie powiedzieć, dlaczego w takim razie nie występują one również w Brahmaputrze, Huangho czy Amazonce. Jacolliot reprezentuje w swojej książce pogląd, że wody Gangesu są sterylizowane promieniowaniem wysyłanym z tajemnej świątyni -sto lat wcześniej, niż zachodnia nauka zaczęła stosować tę metodę w

praktyce.

Jest więcej takich zdarzeń, które przypisuje się działaniom Dziewięciu Nieznanych. Na przykład szwajcarski lekarz chorób tropikalnych i współpracownik Pasteura, Alexandre Yersin (1863-1943), podobno w 1890 r., przebywając w Madrasie, miał możliwość poznania biologicznych tajemnic, które mu pozwoliły opracować surowicę przeciwko cholercie i dżumie.

Niszczanie wiedzy przez całe tysiąclecia

Historia ludzkości jest pełna anachronizmów, które dla wygody są ukrywane przy jednoczesnym powoływaniu się na to, że dzisiejsza wiedza skłania nas do błędnych interpretacji odkryć z przeszłości. Erich von Däniken i inni badacze zagadek dawnych dziejów mogliby niejedno powiedzieć o tym, jak szybko niewytłumaczalne znalezisko zostaje "zidentyfikowane" jako przedmiot kultu, niezależnie od tego, jak techniczne skojarzenia może budzić w każdej osobie, mającej przyrodnicze wykształcenie. Technologia, czy wręcz supertechnika, są zastrzeżone tylko i wyłącznie dla naszego stulecia, i na tym koniec.

A właściwie dlaczego? Tak mało przecież mamy wiedzy na tematy, które utrwalono w ogromnej górze pism zniszczonych na przestrzeni stuleci. Jaka mogła być np. treść ponad 200000 tomów biblioteki w Pergamonie w Azji Mniejszej, zniszczonej przez cesarza Teodozjusza, a później przez Saracenów? Co zawierały legendarne Księgi sybilińskie, które w 83 r. p.n.e. padły pastwą płomieni w czasie pożaru Rzymu, albo celtyckie pisma druidyczne, które Juliusz Cezar kazał zetrzeć na proch i rozsypać na cztery wiatry? Jaką prastarą wiedzę strawiły płomienie w czasie pożaru 700 000 zwojów biblioteki w Aleksandrii w trakcie podboju Egiptu przez Juliusza Cezara?

Co przepadło na zawsze, kiedy spopieleniu uległy zbiory Brucheionu, liczące 500 000 papirusowych zwojów? Co mogło pójść z dymem w 640 r. p.n.e., kiedy Omar, drugi kalif islamu, dokończył dzieła zniszczenia biblioteki Aleksandryjskiej i rozkazał użyć milionów niezastąpionych zwojów ksiąg do opalania łaźni miejskich?

Gdzie się podziały zbiory Pizystratesa, względnie Pizandra w Atenach około 600 r. p.n.e., gdzie zbiory z Teb, świątyni w Jerozolimie albo sanktuarium Ptaha w Mernfis? Co się stało z archiwami tabliczek glinianych kultury minojskiej z Knossos na Krecie? Przetłumaczono dopiero maleńką część ich ubogich pozostałości. Jakie były losy zaginionej ogromnej kolekcji starożytnych zwojów, która była w posiadaniu rosyjskiego cara Iwana Groźnego?

Jakie wzloty myśli pochłonęła zagłada bibliotek syryjskich i co wiedzielibyśmy dzisiaj, gdyby jeszcze istniało "miasto książek" króla Sargona z Uruk i jego zniszczone pisma akadyjskie i sumeryjskie albo też biblioteki Nippuru i Niniwy?

Dlaczego Aleksander Wielki wydał rozkaz zniszczenia zapisanego złotymi zgłoskami pierwotnego rękopisu dwudziestojednotomowej świętej księgi Persów *Awesty*, przy której spisaniu twórcy religii Zaratustrze miał towarzyszyć pan światła Ahura Mazda?

Nie inny los spotkał święte teksty Ameryki Południowej. Oprócz niszczenia zapisów przez rywalizujące ze sobą indiańskie szczepy bolesnym ciosem było spalenie całości piśmiennictwa azteckiego w Texcoco na rozkaz arcybiskupa Don Juana de Zumaraga. Jak informuje hiszpański świadek, misjonarze ułożyli pisma na rynku, tworząc stos kilkakrotnie przewyższający wzrost człowieka. Spłonęły wtedy, jak pisze kronikarz, "wspomnienia o wielu osobliwych i dziwnych wydarzeniach, i zamieniły się w popiół". Ten sam los spotkał obszerne zapiski Majów.

Wszędzie na świecie wiedza nieustannie stawała się pastwą płomieni. W ósmym wieku Leon Isaurus oddał 300 000 ksiąg do spalenia w piecach Konstantynopola. Bezcenną wiedzę zawierały tysiące ksiąg pochodzących z prehistorycznego okresu Chin, które kazał spalić w 213 r. p.n.e. minister cesarza Chin Shi Huanga-Ti, Li Ssi, jak również pół miliona ksiąg z biblioteki w Kartaginie, które zostały spalone po zdobyciu miasta przez Rzymian w 146 r. p.n.e.

Lista takich monstrualnych aktów zniszczenia dokonujących się na przestrzeni tysiącleci jest nieskończenie długa i różnorodna; jest to jedna wielka parada hańby, którą można by zapisać wiele stron. O ile nie bez racji mówi się o eksplozji wiedzy w naszych czasach, to zakresu jej niszczenia w przeszłości niepodobna choćby w przybliżeniu oszacować. Ile dzieł spłonęło w średniowieczu, wymyka się wszelkiej ocenie. Mimo tak niewyobrażalnych strat tu i ówdzie można dostrzec świadectwa niezgodnych z obrazem czasów zdarzeń, niczym wątle roślinki nieśmiało przebijające przez warstwę ignorancji. Mimo największych wysiłków karczowanie zagadek przeszłości nie powiodło się w stu procentach. Pozostaje zatem nadal nie rozstrzygniętą kwestią, czy Dziewięciu Nieznanych czerpało swoją wiedzę z zasobów zaginionej wysokiej cywilizacji technicznej, czy też z jeszcze bardziej egzotycznego źródła, ale sarna możliwość istnienia takiej wiedzy nie budzi wątpliwości.

Wojny bogów

Najbardziej znanym przykładem prehistorycznej supernauki jest opis wojny bogów zawarty w słynnym staroindyjskim eposie bohaterskim *Mahabharata* (podobnie jak w *Wedach*). Jego początki sięgają do roku 500 p.n.e., niektórzy datują go nawet na ok. 7000 r. p.n.e. Zostały tam uwiecznione, można powiedzieć, czarno na białym, wydarzenia, które według naszej rachuby czasu musiały się rozgrywać 4000-5000 lat temu.

Na szczególną uwagę zasługują szczegółowe opisy osiemnastodniowej wojny między Kaurawami a Pandawami nad górnym Gangesem jak również niedługo potem starcia Wrisznich z Andakami. W obu tych wojnach były stosowane maszyny latające, tak zwane vimana, jak również rodzaj energetycznej broni raketowej, określanej jako "agneya". Wniosek ten wynika nie ze śmiałej interpretacji niejasnych sformułowań, ale z analizy precyzyjnych opisów, którym trudno nadać inną interpretację niż techniczną.

Któż nie pomyślałby o obecnych i przyszłych wojnach, czytając następujące słowa: „ (...) śmiały Adwattan dokładnie wycelował, po czym wypuścił lśniący pocisk, buchający ogniem. Grad ognistych strzał spadł na wrogich Pandawów. Zapadł mrok, a z nieba posypał się deszcz meteorytów. Zerwały się ryczące wichry. Chmury spiętrzyły się aż do nieba i zesłały deszcz pyłu i kamieni. Słońce zawirowało na firmamencie, a ziemia zadrżała pod żarem boskiej broni. Słonie stanęły w płomieniach, woda w rzece zawrzała, zabijając wszelkie żywe istoty. Wiele z nich zamieniło się w popiół. Wszędzie padały na ziemię zwierzęta w agonii. Niebo miało ogniste błyskawice. Żołnierzy wroga ogarnęły płomienie. Po obu stronach spadały na ziemię tysiące latających maszyn wojennych. Gurkha wystrzelił ze swojej latającej vimana jeden pocisk o sile wszechświata, niszcząc trzy miasta Wrisznich i Andaków. Wtedy wzbił się ogromny słup dymu i ognia, promieniejąc jak tysiąc słońc. Ten jeden posłaniec śmierci spopielił całą rasę Wrisznich i Andaków. Spalone ciała ludzi były nie do poznania. Wypadały im włosy i paznokcie. Zbielałe ptaki spadały z nieba. Wojownicy, którzy zdołali przeżyć, wskakiwali do rzek, aby się obmyć z niewidzialnej trucizny, niosącej śmierć”.

Ten przygnębiający opis brzmi dla nas nieprzyjemnie znajomo. Kto uznaje to jednoznaczne wyliczenie następstw działania broni atomowej i skażenia radioaktywnego za przypadkowy wytwór fantazji, ten doprawdy źle się obchodzi z owym tak chętnie nadużywanym "przypadkiem". Trzeba tu jeszcze wziąć pod uwagę ten kłopotliwy fakt, że nad górnym Gangesem w północnych Indiach, między tą rzeką a górami Rajamahala, gdzie miała się odbyć opisana w *Mahabharacie* (atomowa) wojna, można znaleźć zgłiszcza budowli, które jednak nie stały się pastwą zwykłego pożaru, ale dosłownie uległy stopieniu.

W gęstych lasach wyżyny Dekan znajdują się nawet ogromne tereny pokryte takimi

zgliszcami, częściowo przemienionymi w szklistą substancję. Wyglądają one tak, jakby zetknęły się z żarem gwiazd. Wewnątrz niektórych budynków znajdują się przedmioty, które najpierw uległy stopieniu, a następnie krystalizacji. W tym samym regionie Dekanu rosyjski badacz A. Gorbowski znalazł ludzki szkielet wykazujący radioaktywność 50 razy większą od normalnej. Mimo woli przychodzi tu na myśl radioaktywne mumie z egipskiego Muzeum w Kairze.

Pozostańmy jeszcze przez chwilę w Indiach. Czy Dekan nie wchodził w skład imperium cesarza Aśoki? Ależ tak! A więc kontynuujmy poszukiwania utwierdzeni w naszych przypuszczeniach.

Świadectwa na całym świecie

Wszędzie na świecie znajdują się ruiny i pozostałości miast, noszące ślady, jakby zetknęły się z kulą ognistą o temperaturze Słońca. Należy do nich na przykład rodzaj świątyni, zwanej "ziguratem", w pobliżu starożytnego Babilonu.

Erich von Fange w taki oto sposób opisał zniszczenia tego obiektu: "Wydaje się, jakby wieżę rozłupał ognisty miecz. Wiele części budowli zamieniło się w szkło, a niektóre uległy całkowitemu stopieniu. Cała ta ruina robi wrażenie wypalanej góry".

Pustynię zachodniej części Półwyspu Arabskiego pokrywają czarne kamienie, zwane "harras", które musiały być wystawione na niesamowicie silne promieniowanie. Na powierzchni przeszło 10000 kilometrów kwadratowych znajduje się 28 pól pokrytych "harras".

W całej Europie, od Wysp Brytyjskich aż po norweskie Lofoty, można znaleźć prehistoryczne twierdze i wieże, których ściany i inne elementy zamieniły się w szkło pod wpływem piekielnego żaru nieznanego pochodzenia. We Francji, Anglii, Szkocji i Irlandii na wielu górach i wzniesieniach leżą zeszkliwione kamienie. Szczególnie fascynujące jest wzgórze Tap O'Noth o wysokości 560 m, niedaleko wioski Rhynie w Aberdeenshire w Szkocji, którego wierzchołek wieńczy mur z przypominających szkło stopionych skał, okalający prostokąt o wymiarach 28 na 45 m. Profesor Hans Schindler Bellamy powiedział na jego temat: "Kamienie te musiały być poddane temperaturze o wiele wyższej niż 1000°C". Inne zeszkliwione kamienie można podziwiać w odległości niewielu kilometrów od Rhynie w Dunnideer, jak również koło Craigh Phadrig i w Inverness. Niektóre granitowe budowle wzdłuż wybrzeża Irlandii i budynki w Szkocji są pokryte szkliwem na głębokości stopy poniżej powierzchni gruntu.

Na tajemniczej polinezyjskiej Wyspie Wielkanocnej na Pacyfiku znajduje się u podnóża wulkanu Rana-Kao wzgórze zwane "orito", otoczone ogromną, wyraźnie odgraniczoną bruzdą o długości 800 i szerokości 200 m. Jest ona złożem obsydianu i pokrywają ją stopione skały. Z dużej wysokości wygląda to jak starannie wyczyszczone pierścienie, narysowane ogromnym cyrklem, którego jednym ramieniem był promień laserowy.

Niedaleko tajemniczej twierdzy Inków Sacsahuaman, położonej 10 km od Cuzco w Peru, działanie jakiegoś tytanicznego żaru spowodowało krystalizację skał na powierzchni 15000 metrów kwadratowych. Także sama twierdza musiała się z nim zetknąć, bo również na niej widać ślady stapania; znajduje się tam między innymi kamienny kolos zwany "kenko grande", który wygląda, jakby jakiś olbrzym obrabiał go rozżarzoną nożem o temperaturze Słońca.

Z kolei w Brazylii na południe od miasta Teresina między Piripiri a Rio Longa odkryto ruiny, zwane "sete cidaes". Ma się rozumieć, noszą ślady stopienia. Ponadto ich charakterystyczną cechą jest to, że wyglądają, jakby jakaś ogromna siła wcisnęła je w ziemię.

Na długo przed przybyciem kolonistów z Europy również Ameryka Północna musiała doświadczać niesamowitych wybuchów energii. Dzisiejsze stany Kalifornia, Arizona i Kolorado mogą się poszczycić wieloma stopionymi prastarymi ruinami. W 1850 r. kapitan Ives William Walker zwiedzał "szczególne miejsca" w kalifornijskiej Dolinie Śmierci. Na tym terenie o długości półtora kilometra natrafił na pozostałości miasta, które musiało dosłownie wyparować. Na powierzchni ziemi było widać jeszcze tylko jakby zarysy ulic i budynków. Jedynie na środku stał samotnie głaz o wysokości 10 m, którego wierzchołek był stopiony, podobnie jak resztki budynku za skałą. Kapitan Walker uważał, że przyczyną zniszczeń był wybuch wulkanu. W tej okolicy jednak nie ma wulkanu, a nawet gdyby był, to jego żar nie wystarczyłby do spowodowania takich następstw. Współpracownik Walkera tak później podsumowywał: "Cały teren między rzekami Gila i San Juan pokrywają pozostałości miast noszące ślady stopienia. Budynki i przedmioty musiały tu być wystawione na tak wysoką temperaturę, że stopiły się skały i metale. Rodzi się odczucie, że po całej tej okolicy przetoczył się jakiś ogromny ognisty walec".

Poza tym znajdowano jeszcze *artefakty*. W 1952 r. archeologowie wydobyli w Izraelu płytę o wielkości przeszło 100 metrów kwadratowych powstałą ze stopionego na szkło kwarcowego ! piasku, która do złudzenia przypomina podobne znajdowane po próbach atomowych na pustyni w Nevadzie. Znajdźiska zbliżone wyglądem odkrywano w Iraku w warstwie gruntu znajdującej się poniżej formacji z młodszej epoki kamiennej, jak również na Saharze, na pustyni Gobi, na pustyni Mohave w Ameryce Północnej i wielu innych

miejscach. Szczególnie zadziwiająco są zamienione w szkło partie gruntu w Lop Nor w Sinkiangu, w pobliżu chińskiego poligonu prób atomowych. Występujące tam prastare skały tego rodzaju niczym się bowiem nie różnią od płyt stopionego kwarcu, powstałych wskutek współczesnych próbnych wybuchów jądrowych. Tę wyliczankę można by kontynuować.

Dość przekonujące są te dowody prawdziwości "legend" zawartych w starych tekstach, nieprawdaż? Szczególnie, jeśli wziąć pod uwagę, że zachowały się tylko maleńkie resztki tych pism, a z nich z kolei tylko drobną część przetłumaczono.

Można sobie wyrobić zdanie na temat zaginionej wiedzy, zajmując się istniejącymi jeszcze pismami alchemicznymi, które w 90% czekają pominięte i nie rozszyfrowane. Nie będzie ryzykowną spekulacją domyślać się zawartej w nich wiedzy, ze wszech miar zasługującej na miano niezgodnej ze swoją epoką. Kopernik, Galileusz, Newton i inni przyznawali, że wiele zawdzięczają myśli starożytnej.

Nowe odczytanie dawnej wiedzy

Wciąż mamy do czynienia z przypadkami, w których dopiero nasza nowa wiedza pozwala na zrozumienie wiedzy dawnej. Zjawiska pierwotnie uważane za rytuały, działania kultowe itd. nagle okazują się czymś innym, jeśli spojrzeć na nie z właściwego punktu widzenia.

Stale przytaczanym przykładem jest stosowana przez alchemików metoda przygotowywania wody na eliksir przez destylowanie jej tysiące razy. W odbywającej się przy tym transmutacji bez dalszych dociekań dopatrzono się procesu o podłożu psychologicznym. Przemianie miał ulegać nie sam płyn, ale duch alchemika, powtarzającego w nieskończoność tę samą czynność: miał to być rodzaj medytacji kształtującej charakter, siłę woli i cierpliwość. Fizyki ani chemii można było nie mieszać do interpretacji odpowiednich tekstów, to jasne. Niestety, okazało się, że właśnie owo duchowe ćwiczenie wiedzie do wzbogacenia wody. Jego rezultatem jest nie tylko transmutowany alchemik, ale i ciężka woda, substancja wzniecająca piekielny ogień słusznie budzącej grozę bomby wodorowej.

Niektórzy naukowcy są święcie przekonani, że tajemniczym człowiekiem, który w 1937 r. przestrzegał ich i inne wpływowe osobistości przed zagrożeniami związanymi z rozszczepieniem uranu był nieśmiertelny alchemik Fulcanelli. Choć pluton odkrył dopiero w 1941 r. fizyk Glenn R. Seaborg w kalifornijskim Instytucie Berkeley, ów nieznajomy znał już cztery lata wcześniej pierwiastek 94 (pluton) i dokładnie wiedział, jak zgubne działania można realizować za jego pomocą.

Pod wpływem lektury dotyczącego tej sprawy raportu chemika, pisarza i kawalera Legii Honorowej, Jacquesa Bergiera (1912-1978), który przed wojną, i w czasie jej trwania, pracował nad projektami zastosowania ciężkiej wody i radioaktywności, w 1945 r. z całą powagą zaczęła polować na Fulcanellogo organizacja pod nazwą Office of Strategic Services (OSS), będąca protoplastą CIA. Należało niezwłocznie ująć człowieka, który posiadał tajemnicę atomu, zanim udało się to USA. Polowanie to jednak nie miało zakończyć się sukcesem.

Wystarczy już tych anachronizmów i sprzeczności. Jak się wydaje, udało nam się przeprowadzić przynajmniej dowód poszlakowy, że Dziewięciu Nieznanych mogło być w posiadaniu wiedzy nie ustępującej naszej albo ją nawet przewyższającej. Wracamy zatem do zagadkowej liczby dziewięć, która nieprzerwanie przewija się od przeszłości do teraźniejszości, i to w sposób ze wszech miar uchwytny.

Dziewięć zasad i sił

W epoce wypraw krzyżowych, w 1118 r. n.e., dziewięciu francuskich rycerzy podjęło się eskortowania pielgrzymów na trasie od wybrzeża do świętych miejsc Jerozolimy, złożony przed patriarchą Jerozolimy śluby ubóstwa, czystości i posłuszeństwa. Tych dziewięciu rycerzy-mnichów było założycielami zakonu templariuszy, który w dalszym ciągu jest spowity mgłą tajemnicy. W XVIII w. z kolei istniała loża wolnomularska "Dziewięć Sióstr", do której mieli należeć Denis Diderot, filozof prawa Charles de Montesquieu i Wolter.

Także w naszych dniach niemało się dzieje. Na przykład dr Henry Karl "Andrija" Puharich, neurolog, parapsycholog i posiadacz kilku patentów na aparaty słuchowe, stanął z nienacka oko w oko z czymś, z czym w jakiś sposób wiąże się liczba dziewięć.

W 1952 r. w czasie roboczej sesji z pewnym Hindusem, dr. Vinodem, ten ostatni zaczął ku bezgranicznemu zdumieniu dr. Puharicha mówić innym głosem. Z angielskim akcentem Hindus ów oświadczył, że przemawia przez niego członek "dziewięciu zasad i sił", konsorcjum nadludzkich (kosmicznych?) inteligencji, które dyskretnie wspomaga ludzkość. Po tym pierwszym nawiązaniu krótkiego kontaktu dr Vinod stał się znowu sobą.

Mimo całej osobliwości tego zdarzenia, neurolog początkowo przestał się nim zajmować. Nie na długo jednak, bo wkrótce potem spotkał w Meksyku rodzinę lekarza amerykańskiego, która zgodnie twierdziła, że utrzymuje stałe kontakty z "dziewięcioma siłami i zasadami". Także i to było jeszcze do przełknięcia. Co prawda, nie ma żadnego

wytlumaczenia faktu, że "dziewięć sir' podjęło na nowo dialog z dr. Puharichem za pośrednictwem rodziny lekarza dokładnie od tego punktu, w którym zakończył się pierwszy kontakt *via* dr Vinod. Do tych rewelacji należy podchodzić z ostrożnością, ponieważ dr Puharich uważa Dziewięciu, według Colina Wilsona, za istoty pozaziemskie, które w niezbyt odległej przyszłości wylądują w UFO. Wiąże ich także z obdarzonym zdolnościami parapsychofizycznymi Izraelczykiem Uri Gellerem, z którym Puharich pracował i który twierdzi, że kontaktuje się z niezmierną istotą o głowie sokoła. Przy wszystkich zastrzeżeniach, jakie może budzić ten przypadek, uważam jednak, że liczba dziewięć generalnie ma swoje znaczenie.

Poprzestaniemy na tym. Dalsze spekulacje w tym kierunku mogą nieuchronnie prowadzić w ślepią uliczkę. Gdyby faktycznie miało istnieć takie stowarzyszenie jak Dziewięciu Nieznanych, to do ich natury należałoby niemożliwość zdemaskowania ich przez normalnych śmiertelników. Dlatego wydaje mi się stratą czasu łamanie sobie głowy nad tym, czy Dziewięciu Nieznanych ma coś wspólnego z jeszcze bardziej wątpliwymi "dziewięcioma siłami" albo czy chodzi wręcz o to samo, i jaką odznakę członkowską powinno się przypiąć Fulcanellemu czy hrabiemu de Saint-Germain. Zwłaszcza tajemniczy hrabia mógłby kandydować do najróżniejszych ugrupowań nadludzi, inicjowanych lub rozbudzonych, na które można się wszędzie natknąć. Jeśli bowiem odłożymy na bok niemożliwą do udowodnienia nieśmiertelność hrabiego de Saint-Germain, podobnie jak jego nadludzkie (już przez samą rozległość) zdolności, to pozostanie wciąż jeszcze jego prekognicja. Na przykład przepowiedział on rewolucję francuską, przestrzegał szwedzkiego króla Gustawa III przed nadchodzącym niebezpieczeństwem i wypowiedział jeszcze inne proroctwa.

Wszystko na nic, bo kontrowersyjni ukryci mistrzowie nie wykładają swoich kart na stół, a ich pochodzenie kryje mrok. Kwestia, czy Dziewięciu Nieznanych może być ostatnimi przedstawicielami wygasłego gatunku, czy pierwszymi nowego, jest równie niemożliwa do rozstrzygnięcia, jak określenie, co było pierwsze, jajko czy kura. Jeśli nie chcemy odwoływać się do istot pozaziemskich albo pochodzących z innych wymiarów czy płaszczyzn bytu, jakie i bez tego zaludniają wiele ksiązek, to do wyboru pozostaje nam jeszcze wiele innych możliwości.

Możliwe, że jakiś lud albo grupa przed tysiącami lat zdołała uruchomić cały potencjał mózgu, poznawszy proces, który w dalszym ciągu zżarcie usiłują zgłębić nie tylko neurofizjologowie. Znany ezoteryk Georg Iwanowicz Gurdzijew powiedział kiedyś: "Stu rozbudzonych może wpływać na losy świata". Być może właśnie to robią. Równie dobrze mogą wśród nas przebywać współpracownicy owej mistycznej wysoko rozwiniętej

dawniejszej rasy, którą antropologowie podobno odkryli równoległe do neandertalczyków, sto tysięcy lat p.n.e. Nie mniej atrakcyjne jest przypuszczenie, że mogłyby się uaktywnić (albo zostać aktywizowane) pozostające w uśpieniu programy genetyczne, powodując skok ewolucyjny. Niezależnie od tego wszystkiego, homo sapiens stale ujawnia cechy nadludzkie, co ukazano w rozdziale "Cudowna istota człowiek". A może jesteśmy tylko -jak się wyraził, nie pozostawiając złudzeń, słynny kronikarz spraw niewytłumaczalnych Charles Hoy Fort -całkiem po prostu czyjś "własnością"? Równie dobrze można sobie wyobrazić, że gatunek ludzki jest ostrożnie pilotowany między rafami losu i pozbawiony tego kierownictwa uległby samozagładzie (dużą determinację w tym kierunku wykazujemy wszak każdego dnia).

Kto odważy się sformułować odpowiedź?

Jakkolwiek sprawy się mają, istnieją ślady pozostawione przez to, co nieznanne (czy chodzi tu o słynnych Dziewięciu, czy o coś innego). Równoległe natrafiamy na różnorodne poszlaki, świadczące o istnieniu anachronicznej wiedzy w najbardziej zamierzchłej przeszłości, często opakowane w rytuały i tradycje. Na przykład w dokumentalnym serialu telewizyjnym *Boso przez czas i przestrzeń* porównywano starą azjatycką zabawę *dharma* z hipotezą obserwatora fizyki kwantowej. Zgodnie z regułami tej gry dzieci biegają wokół jednego dziecka, stojącego w środku z zamkniętymi oczami. Kiedy otwiera ono oczy, inne dzieci zastygają w bezruchu. Dlatego dziecko stojące w środku nigdy nie może zobaczyć towarzyszy zabawy, kiedy są w ruchu. Zupełnie podobnie jest z nami, kiedy mamy do czynienia z dualizmem falowo-korpuskularnym; taniec cząstek i fal zawsze pozostanie przed nami ukryty. Dzieci poruszają się dokładnie po tych samych ukrytych koleinach przypadku, które statystyka przyporządkowuje falom/cząstkom. Frapujące podobieństwo łączy tę zabawę z grecką legendą o morskim bożku Proteuszu, który znał całą przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. Odmawiał jednak ich odkrywania i, aby uniknąć natarczywych pytań, przybierał ustawicznie różne postacie. Dopiero kiedy został schwytany i zmuszony do zachowania określonej postaci, można było poznać prawdę przyszłości. Niektórzy współcześni fizycy są zaskoczeni zbieżnością między mitem o Proteuszu a załamywaniem się funkcji falowej (czy też wektora stanu) w mechanice kwantowej. Czy w takich przekazach przejawiają się po prostu tylko przypadkowe podobieństwa, tajemne stałe przyrody albo resztki zapomnianej wiedzy? Kto odważy się sformułować odpowiedź?

Wydaje się pewne, że z tych elementów puzzli nie da się w zasadzie ułożyć zrozumiałego czy wręcz kompletnego obrazu. Jeśli cokolwiek nie budzi wątpliwości, to fakt,

że jesteśmy w posiadaniu bardzo małej liczby elementów. Możemy je tylko przesuwąć z miejsca na miejsce i z frustracją przyglądać się pozostałym między nimi ogromnym lukom. Definitywnie można z tego obrazu wyczytać jedynie to, że coś do powiedzenia na naszym globie mieli, czy też mają, nie tylko przedstawiciele od dawna znanego gatunku homo sapiens, i że na ziemi jest pełno świadectw, których być nie powinno. Na przekór wszelkiej klasycznej nauce.

Dość o tym. Wydaje mi się, że wystarczająco zostały podbudowane, z najróżniejszych punktów widzenia, poważne wątpliwości co do naszej rzekomo pewnej wiedzy na temat przeszłości; wydają mi się równie uzasadnione, jak wątpliwości co do obecnej wizji świata.

Pora więc przystąpić do końcowej rundy. Opuśćmy płaszczyznę tajnych knowań, nadludzkich osobistości i zagadkowych mocy. Czas na pokonanie ostatecznej cezury, na przekroczenie ostatnich granic. Zdobądźmy się na odwagę wykonania myśłą skoku w fantastyczny kosmos, gdzie wszystkie nasze dotychczasowe przypuszczenia będą się musiały wydać dziecinnymi igraszkami. Aby nasze wyobrażenia -parafrazując powiedzenie Nielsa Bobra -stały się *dość absurdalne*, aby mogły być *prawdziwe*.

Obca rzeczywistość

*Bez wątpienia istnieje świat niewidzialny.
Jest tylko problem: jak to daleko od centrum miasta,
i do której jest u nich w tygodniu otwarte?*

Woody Allen

Rzeczywistość wirtualna

Po skończonym dniu pracy mężczyzna przychodzi do domu i przygotowuje się do odpoczynku, w dosłownym rozumieniu tego słowa. W tym celu wkłada stosowny ubiór, który jest czymś w rodzaju elastycznej pończochy okrywającej całe ciało, otulającej je niczym prezerwatywa. Wewnętrzną stroną tego ekskluzywnego ubioru do spędzania czasu wolnego w nowoczesnym domu pokrywa gęsta sieć sensorów i efektorów. Te ostatnie to maleńkie przekaźniki różnej wielkości, które stykając się z ciałem, mogą do niego przesyłać wibracje o stopniowanej sile i intensywności, jak również uczucie ciepła, wilgoci itp. Powstają w ten sposób absolutnie realistyczne wrażenia dotykowe. Mówiąc prościej, tworzy się złudzenie bliskości cielesnej i dotyku innej osoby. Naturalnie, można też uzyskać symulację mrówek wędrujących po grzbiecie właściciela, ale kto miałby ochotę na coś takiego?

Kiedy nasz przyjaciel jest odpowiednio ubrany, udaje się do miękko wyścielonej izdebki, nieco mniejszej niż symulator lotu, podłącza przewody swojego ubioru do komputera, wkłada rękawicę danych, hełm, i już można zaczynać. Wybrana kasetka jest przygotowana. Dziś ma chęć pozwolić sobie na coś całkiem szczególnego: seks bez tabu z carycą Katarzyną,

Powyższy scenariusz bynajmniej nie jest wytworem bujnej fantazji komputerowych kawalarzy w wieku dojrzewania, ale według zapewnień techników i ekspertów w dziedzinie informatyki stanie się rzeczywistością jeszcze przed nadejściem przełomu wieków, czy też tysiącleci. Hasło brzmi: "rzeczywistość wirtualna" lub "cyberprzestrzeń". Można by z powodzeniem także powiedzieć: "stworzenie świata" w nowej szacie.

O możliwości urzeczywistnienia totalnych sztucznych światów przekonany jest Howard Rheingold, autor publikacji fachowych z Kalifornii, podobnie jak Robert Trappl z Instytutu Badawczego Sztucznej Inteligencji w Wiedniu. Hamburski specjalista w dziedzinie badania mediów i sztucznej inteligencji, Benjamin Heidersberger, streszcza sprawę

następująco: "Ostateczną konsekwencją cyberprzestrzeni będzie seks z Marilyn Monroe, Gwiazdy filmu zostaną przetworzone na oprogramowanie, powielone i w domu będzie je można uruchamiać, wybierając odpowiednią kasetę",

Jakkolwiek fantastycznie by to brzmiało, wobec stosowanych już dzisiaj technik nawet takie wizje mogą być wkrótce przestarzałe, Wprawdzie przeniesienie się w inną rzeczywistość za pomocą symulacji elektronicznej nie daje jeszcze tak bezpośredniego i rzeczywistego efektu, jak dobry stary sposób -zażycie LSD -ale wszystko przed nami,

Najpierw jednak potrzeba niemało sprzętu. Cybernetyczny hełm musi mieć stereoskopowe okulary, przez które do każdego oka będzie docierać wystarczająca liczba informacji obrazowych, aby wytworzyć subiektywne wrażenie rzeczywistości. To już istnieje. Na przykład japoński gigant elektroniki, firma Sony, zaprezentowała " Visotron Prototype Personal LCD Monitor" -okulary z dwoma monitorami LCD o przekątnej ekranu ok. 1,75 cm i rozdzielczości 103 000 punktów obrazowych, ze zintegrowanymi słuchawkami stereofonicznymi. Urządzenie to pozwala się rozkoszować telewizją *par excellence*, Nic więc dziwnego, że osoby wypróbujące to urządzenie tylko z największą niechęcią dają się skłonić na powrót do smutnej rzeczywistości dnia codziennego.

Trzeba jeszcze mieć wspomnianą rękawicę danych ("data glove"), która steruje działaniami głównego komputera. Każdy ruch ręki powoduje przesłanie sygnałów, które po obliczeniu i rozszyfrowaniu zostają przełożone na aktywne działanie w granicach sztucznego świata. Mając takie i inne środki pomocnicze, można wkroczyć w rzeczywistość wirtualną, której obraz nabiera kształtu na normalnym monitorze albo na miniaturowych monitorach cybernetycznych okularów -w każdym razie jednak w umyśle grającego. Odbieramy przy tym bodźce cielesne, na przykład czujemy prawdziwy opór przy otwieraniu drzwi w cyberprzestrzeni. Brytyjska firma Advanced Robotics Research należy do tych, które pracują nad udoskonaleniem rękawic danych, umożliwiających coraz wierniejsze przekazywanie zmysłowych spostrzeżeń. Rozwój techniki jest szalony, w dosłownym znaczeniu.

Od systemu Z komputerem do mózgu doktora Szapirowa

Im bardziej z coraz większej liczby poszczególnych elementów wyłania się system tworzący jedność, tym więcej realizmu nabiera to, co nierealne. Nie stanowi już problemu wprawienie przez sprzężenie zwrotne w ruch, drgania itd. fotela uczestnika telewizyjnej cyberprzestrzeni, aby np. wirtualnej jeździe na wielbłądzie towarzyszyło odpowiednie kołysanie. A już w pokoiku doznań seksualnych nasz przyjaciel może pójść na całość.

Naturalnie, rzeczywistość wirtualna ma zastosowanie nie tylko w życiu codziennym w spędzaniu czasu wolnego i rozrywce, ale także w medycynie, badaniach naukowych itd. Za pomocą różnych systemów z wykorzystaniem komputera (CA -Computer-Added Systems) można było dotychczas przy projektowaniu budynków i budowli, w pracach konserwatorskich itd. nie tylko obejrzeć na ekranie z różnych stron nie istniejący jeszcze obiekt, ale i wejść do jego wnętrza. W cyberprzestrzeni można nawet dotykać różnych przedmiotów, siadać na wirtualnych meblach itp. Chemicy mogą eksperymentować z cząsteczkami, geologowie symulować na żywo ruchy tektoniczne, lekarze zaglądać do wnętrza komory serca pacjenta itd. Wszystko to nie jest już bynajmniej tylko muzyką przyszłości.

Firma komputerowa z San Francisco VPL Research rozprawdza oprogramowanie i sprzęt do symulowania cyberprzestrzeni. Agencja NASA posługuje się systemem o nazwie VIEW ("virtual interface environment workstation"). Na Uniwersytecie Północnej Kalifornii w cyberprzestrzeni opracowywany jest skład medykamentów. Do celów symulacji chirurgicznej powstaje wirtualna kopia człowieka. Podróże odkrywcze we wnętrzu ciała ludzkiego są już codziennością w medycynie (to wirtualny odpowiednik pomysłu z opowiadań Isaaca Asimova *Fantastyczna podróż* i *Mózg doktora Szapirowa*, w których zminiaturyzowani naukowcy wędrują wewnątrz człowieka). Wojna w Zatoce Perskiej w 1991 r. była prowadzona przez amerykańskich "oficerów komputerowych", byli oni tak oficjalnie określani, i odbywała się zarówno w rzeczywistości pustyni irackiej, jak też w symulowanej rzeczywistości równoległej przykrojonej do niej cyberprzestrzeni. Nie zapominajmy o wspomnianym na wstępie przemyśle rozrywkowym. W londyńskim Fun Land (dokładnie: Funland Limited Luna Park), najnowocześniejszej hali gier w Europie, za niewielkie pieniądze można na trzech piętrach uczestniczyć w niewyobrażalnych rozkoszach "wirtualnej rozrywki". Oprócz klasycznych automatów do gry-fliperów, toru wyścigów samochodowych i innych zabawek, do których przywykliśmy, na osoby znudzone szarą rzeczywistością czeka tu świat wirtualnej rzeczywistości. Ludzie mogą bez reszty oddać się przeżywaniu trójwymiarowej, plastycznej przygody. Można, na przykład, zasiąść na ruchomym, nie bez powodu wyposażonym w pasy bezpieczeństwa, fotelu symulatora lotu SEGA w Fun Land, i dowiedzieć się, co czuje pilot bojowego odrzutowca. W Walnut Creek pod Los Angeles Tim Disney, prawnuk Walta Disneya, stworzył przedsiębiorstwo o nazwie Virtual World, które umożliwia osobistą integrację uczestników w wielkiej grze komputerowej z technikami *virtual-reality*. Niemcy nie pozostają w tyle za tymi tendencjami i nawet tradycjonalistyczny Wiedeń w teorii i praktyce zaakceptował koncepcję kawiarni w cyberprzestrzeni. Pacjentom

amerykańskich dentystów hełm cybernetyczny pozwala zapomnieć np. o niemiłej rzeczywistości leczenia kanałowego.

Wszystko to są tylko skromne początki sterowanych przez komputery cybernetycznych światów. Rzeczywistość ukazana w amerykańskich serialach telewizyjnych *Wild Palms* i *Tek Wars*, na temat brutalnego handlu rzeczywistością wirtualną, jest bliższa prawdy, niż sądzimy. Najwięksi entuzjaści postępu snują już wizje radykalnie nowych form społecznych, włącznie z całkowitym przekształceniem związków międzyludzkich. (Będziemy się spotykać tylko jeden raz naprawdę. Od tego momentu będziemy mieć zagwarantowaną harmonijną samotność we dwoje bez potrzeby znoszenia kłopotliwej bliskości drugiej osoby. Posłużą do tego elektronicznie zapisane dane zmysłowe, które można mieć przy sobie i w każdym czasie wywoływać i konsumować do woli. Zaspokojenie gwarantowane). "Seks cybernetyczny", zwany także łagodniej "obcowaniem na odległość", był jednym z tematów dyskusji w roku 1994 i obecnie za niewielką opłatą może być dostępny także dla przeciętnego amatora tych wrażeń za pośrednictwem amerykańskiego systemu "Interactor".

Minsky wyrzeka się świata

Marvin Minsky, czołowa postać w dziedzinie sztucznej inteligencji, przewidywał tak absolutne sprzężenie człowieka z komputerem, że następującymi słowami wyrzekł się rzeczywistego świata: "W roku 3000 będziemy mieszkali w takich domach, korzystali z takich przedmiotów i robili takie rzeczy, które nie będą naprawdę istniały". Zdanie to nadaje nowy wymiar znanemu od dawna sformułowaniu badacza komunikacji, terapeuty i autora bestsellerów Paula Watzlawicka, który powiedział: "Rzeczywistość jest kwestią komunikacji".

Tymczasem sprawy jeszcze nie zaszły aż tak daleko. Nawet już to, co jest możliwe dzisiaj, zabiera komputerowi wiele czasu. Interaktywne reagowanie komputera na działania człowieka należy do innego rzędu wielkości niż dobra stara gra wideo *Dungeons and Dragons*. Już samo bieżące oddziaływanie wzajemne między sztucznym światem a rękawicą danych wymaga potężnej mocy obliczeniowej, a w przypadku interaktywnego odwzorowania wszystkich ruchów ciała ("whole body tracking") czas niezbędnych obliczeń znowu wzrasta o kilka rzędów wielkości.

Mimo to jest nadzieja na stworzenie totalnej iluzji, co ułatwia ta okoliczność, że homo sapiens jest bezbronny wobec udawanej rzeczywistości. Nie przygotowała go do tego ewolucja. Praktyka wykazuje, że człowiek nie ma prawie żadnego mechanizmu chroniącego

go przed sprytnym wprowadzaniem w błąd. Nic w tym dziwnego, gdyż tak zwana rzeczywistość jest i na zawsze pozostanie niedostępna dla naszej bezpośredniej ingerencji, co dostrzeżono jeszcze przed kopenhaską interpretacją fizyki kwantowej. Nasza rzeczywistość jest zredukowanym odbiciem kosmosu, przefiltrowanym przez nasze zmysły i przy tej okazji selektywnie przykrojonym do warunków przetrwania wczesnych ludzi. Istoty pozaziemskie mogą rzeczywistość postrzegać całkiem inaczej.

Miliony zwiedzających miejsca rozrywki, np. Disneyland i Disneyworld, studia filmowe wytwórni Paramount albo centrum kosmonautyki w Houston (Teksas) dobrze wiedzą, jak łatwo można symulować loty kosmiczne, upadki w przepaść itd. Jednocześnie środki, którymi osiąga się ten cel, w niektórych przypadkach bynajmniej nie są kosztowne ani nawet nowatorskie.

Prawdziwy wehikuł czasu H. G. Wellsa

24 października 1895 r. dwóch Anglików zgłosiło do opatentowania pewien wynalazek. Jednym z nich był 29-letni H. G. Wells, który porzucił swoją pracę na Norman School of Science w South Kensington w Anglii, chcąc zostać pisarzem. Tym drugim był jego rówieśnik Robert Paul, z zawodu producent aparatury naukowej. Wynalazkiem, jaki chcieli opatentować dwaj młodzi Brytyjczycy, była aparatura do wywoływania efektów, jakie H. G. Wells opisał w swoim opublikowanym rok wcześniej i opowiadaniu *Wehikuł czasu*. W zgłoszeniu patentowym nie chodziło naturalnie o wehikuł do podróży w czasie, ale o wczesny zestaw do pokazów multimedialnych; komora do prezentacji miała ruchomą podłogę i ściany z otworami wlotowymi, przez które miały być wdmuchiwane prądy powietrza, oraz ekrany do wyświetlania filmów i przezroczy z różnych epok. Zaatakowanie kilku zmysłów jednocześnie dawałoby zwiedzającym wrażenie podróży w czasie. Ta koncepcja medialna, wyprzedzająca swoją epokę o dobre sto lat, z braku funduszy nigdy nie doczekała się realizacji i poszła w zapomnienie. H. G. Wells został słynnym prekursorem literatury *science fiction*, a Robert Paul pogrążył się we frustracji i anonimowości. Obaj nie doczekali czasów, kiedy ich ideę ziściła elektronika i znacznie ją przewyższyła.

Dwie strony jednego medalu

Jednak można się obyć także bez *high-tech*, jak to pokazali już Wells i Paul, nawet przy jeszcze mniejszych nakładach, niż to miało miejsce w ich przypadku. Mogę to

potwierdzić na podstawie własnego doświadczenia. Kiedy bywam w pałacu rozrywki w wiedeńskim Praterze, wciąż od nowa jestem zafascynowany, przekonując się, jak niewiele daje wiedza o rzeczywistych warunkach otoczenia. Jedno z pomieszczeń ma tam tylko pochyłą podłogę i ściany, i to wystarczy, by czuć, że jest się poddanym jakby przeciążeniu. Gdyby umieścić troszeczkę więcej odpowiednich dekoracji, to złudzenie przebywania w startującym statku kosmicznym byłoby pełne, szczególnie dla kogoś, kogo wcześniej by np. ogłuszono i umieszczono w tym miejscu bez jego wiedzy.

To jest jedna strona medalu, ta ludzka. Istnieje także druga, mniej docierająca do świadomości opinii publicznej: to strona cybernetyczna. Tempo ewolucji komputera od monstrum o wielkości wieżowca do miniaturowego kalkulatora kieszonkowego, którego moc jest wielokrotnie większa od tamtego giganta, było i jest galopujące. Pewien specjalista powiedział, że jeśli porównać rozwój komputera z rozwojem lotnictwa i gdyby miały przebiegać z równą szybkością, to bracia Wright powinni w poniedziałek wsiąść do swojej maszyny latającej w Kitty Hawk, a już w piątek tego samego tygodnia powinien wystartować pierwszy prom kosmiczny.

To, co się dzieje za monitorami, można bez specjalnej przesady określić już jako samodzielny rozwój cybernetyczny. Czymś codziennym są dziś komputery w samochodach, regulujące wtrysk benzyny i inne parametry pracy silnika. Za to do świadomości ogółu musi dopiero dotrzeć, że coraz częściej są one wyposażane w układy tzw. logiki rozmytej (*fuzzy logic*), która umożliwia analogowe reagowanie na nieobliczalne sytuacje i działa podobnie do procesów przebiegających w naszych mózgach. Za pomocą logiki rozmytej steruje się licznymi systemami kolei podziemnej. Z wyjątkiem niewielu zorientowanych prawie nikt nie wie o sformułowanej trzydzieści lat temu przestrodze Massachusetts Institute of Technology (MIT). Po serii eksperymentów typu *black-box* MIT w 1965 r. zwrócił uwagę, że na podstawie pewnego orzeczenia już wkrótce przedmioty mogą być uznawane przed sądem za "osoby".

Zaprezentowany w 1994 r. neurokomputer Synapse 1 o mocy 3,2 mld operacji obliczeniowych na sekundę osiągnął dopiero wydajność mózgu muchy, ale rozwój szybko postępuje naprzód.

Na razie niewyraźnie, ale jednak dostrzegalnie rysują się na horyzoncie twory iście faustowskie: komputer fotonowy, biochipsy i systemy neuronowe, komputery równoległe, wykonujące bilion operacji na sekundę, i sieci kwantowe, pracujące ze SQU-IDS ("superconducting quantum interference devices") dzięki nadprzewodzeniu z szybkością większą od światła; najszybsze dzisiejsze procesory w porównaniu z nimi są wolne jak

sygnalizacja prowadzona za pomocą chorągiewek. Komputery budują samodzielnie inne komputery, których już nikt nie rozumie. Termin komputerowy "emulacja" oznacza odpowiadającą oprogramowaniu symulację obcego komputera na własnym sprzęcie. W związku z tym mówimy o "maszynach wirtualnych". Można je z pewną dozą dobrej woli zdefiniować jako prekursorów "życia komputerowego". Andrew Tannenbaum, autor książki *Structured Computer Organization*, pisze co następuje na temat tego komputerowego naśladowania systemów: "Wielkie systemy komputerowe są piramidą maszyn wirtualnych opierających się jedna na drugiej, przy czym tylko maszyna najniższego poziomu jest realna". Poszczególne płaszczyzny nie komunikują się ze sobą, ale są w stanie to robić. Taki cybernetyczny "plaster pszczeli" mógłby nawet powstać "sam z siebie", bez wiedzy użytkownika, który ostatecznie nie jest w stanie stwierdzić, kto jest jego partnerem. Mimo woli -nie bez racji -przychodzi na myśl film *Tron*, w którym aż się roi od żywych programów. Jeśli przemyślimy dalsze konsekwencje tego wszystkiego, to uznamy, że nie jest już czymś niedorzecznym powstanie nowej dla nas formy życia wewnątrz komputerów: byłyby to bezcielesne krzemowe sztuczne istoty, składające się z czystego ducha, które jednak nie reprezentowałyby tego rodzaju uduchowienia, o którym marzyli antyczni filozofowie.

Jedno wiemy na pewno: jest to podróż bez biletu powrotnego. Już dzisiaj żaden specjalista nie odważy się twierdzić z całą pewnością, że stwory z cyberprzestrzeni nie zdołają kiedyś osiągnąć świadomości, wiedzy, jak również zdolności do samodzielnego rozmnażania się; może nawet zaczną się zastanawiać, kto może być ich stwórcą i dlaczego ich rzeczywistość jest tak nietrwała (co można powiedzieć także o naszej). Jeśli bowiem zaczniemy występować do woli w naszym prywatnym cyberkosmosie w charakterze superbohaterów, widziadeł, idoli filmu, ale także przedmiotów martwych, gwiazd, czy czegokolwiek, co nam akurat przyjdzie do głowy, niekiedy także robiąc psikusy, to nawiedzane w ten sposób krzemowe istoty będą musiały raz na zawsze rozstać się ze stałym obrazem rzeczywistości. Do czego i my w naszym osobliwym świecie niekiedy bywamy zmuszeni.

Czym jest świadomość?

Dość o tym. Nie miejsce tu na rozwijanie tematu komputerowego w jego niezgłębionej złożoności. Poprzestańmy na tym, że prastare pytanie "Czym jest życie?", a konkretniej "Czym jest świadomość?" (które się już wyłoniło w rozdziale "Cudowna istota człowiek: myślenie bez mózgu") nabrało nowego wymiaru i pod tym kątem jest tematem

poważnej dyskusji.

Niektórzy zwolennicy tezy o istnieniu świadomości komputerowej i samodzielnej inteligencji cybernetycznej są przekonani, że duch powstaje spontanicznie przy pewnej gęstości informacji. Przypomina to pojęcie naukowe "synergetycznego przejścia fazowego", mającego zastosowanie w przypadku zegarów chemicznych, lasera i innych błyskawicznych przejść z jednego stanu w inny -przeważnie o wyższym porządku i złożoności. Takie spontaniczne przejścia następują przy osiągnięciu pewnej krytycznej wartości progowej. Gęstość informacji mogłaby z powodzeniem również być taką wartością progową, wyznaczającą moment przejścia od "czegoś" liczącego do "czegoś" myślącego.

Dla czytelników literatury *science fiction* nie jest to żadna nowość. Cybernetyczna ewolucja jest tematem wielu dzieł, przeważnie wychodzących spod pióra naukowców. W serialu *Star Trek -następne stulecie*, w odcinku *Władza Nanitów* jest mowa o cybernetycznych nanoorganizmach (Nanitach), których zadaniem jest korygowanie błędów w komputerach przeobrażających się w prawdziwą formę życia. Na końcu są one (jak obca inteligencja) traktowane na równych prawach. W kolejnym odcinku tego serialu, noszącym tytuł *Sherlock Data Holmes*, indywidualną świadomość uzyskuje osoba symulowana przez komputer "Enterprise" -profesor Moriati, notoryczny przeciwnik Sherlocka Holmesa. Nabiera on rozeznania w sytuacji i podejmuje walkę o swoje istnienie. Podobną treść ma odcinek *Wielkie pożegnanie*.

Informatyk Alexander K. Dewdney przedstawia w swojej powieści *Planiversum* nawiązanie przez komputer kontaktu z dwuwymiarowym światem. Przy okazji posługiwania się programem komputerowym do badania praw przestrzeni dwuwymiarowej dają nagle znać o sobie istoty żywe z elektronicznej "krainy Płaszczaków". Fascynującym aspektem tego dzieła jest to, że przyjmuje ono konkretne założenia fizyczne dla dwuwymiarowego świata ożywionego w komputerze, przedstawiając jego dwuwymiarową technologię, socjologię i biologię. Czy nie przypomina to w jakiś sposób wspomnianego komputera Amstrad 1512, który miał sny, i z którego wnętrza ktoś, zdaniem eksperta komputerowego Kena Hughesa, próbował nawiązać kontakt ze światem zewnętrznym?

Ożywione maszyny i cywilizacje maszyn zawsze były ulubionym tematem literatury. Jego kwintesencją jest nagrodzona powieść amerykańskiego autora Jamesa P. Hogana *Kod stworzenia*, w której wyciągnął on z przyjętego założenia najdalej idące konsekwencje. Pozaziemskie, samoczynnie się reprodukujące automaty von Neumanna lądują awaryjnie na księżycu Saturna Tytanie, gdzie zapoczątkowują swoistą ewolucję. W rezultacie na tej małej planecie powstaje nieorganiczna cywilizacja, równie wielowarstwowa jak nasza. Można

byłoby tu wyliczyć jeszcze opowieści Poula Andersona, Johna Sladeka, Anatolija Dnieprowa i innych autorów.

Wspólną cechą tych ostatnich przykładów jest to, że wydarzenia nie zostały przez nikogo z góry zaprogramowane i że mają swoją własną dynamikę. Tak być nie musi; równie dobrze u ich podstaw mógłby się znajdować zaplanowany scenariusz, jak w przypadku światów cybernetycznych.

Świat z komputera

Już w 1964 r. poszedł w tym kierunku amerykański autor Daniel F. Galouye w swojej słynnej powieści *Świat Z komputera*. Punktem wyjścia intrygi jest zdarzenie kryminalne w stylu Hitchcocka. Kierownik działu badawczego przedsiębiorstwa TEAG, specjalizującego się w cybernetyce i badaniu przyszłości popełnia samobójstwo. Jego następca i najbliższy współpracownik Douglas Hall podejrzewa, że za tą śmiercią kryje się jakaś tajemnica. W czasie prowadzonego przez niego dochodzenia dzieją się rzeczy nieprawdopodobne. Na oczach Halla znika Lynch, pełnomocnik TEAG do spraw bezpieczeństwa. Wydaje się, że nikt nie znał nigdy nikogo takiego. Gdy rzeczywistość wokół Halla coraz bardziej się rozpręga, dowiaduje się on w końcu prawdy: jego świat jest gigantyczną symulacją komputerową, dokładnie taką, jak ta, które buduje TEAG pod nazwą Simulacron, aby testować modele polityczne, społeczne i gospodarcze. Wyjaśnia to tajemnicze zmiany rzeczywistości i zniknięcie niepożądanych osób, które ulegają skasowaniu ze skutkiem wstecznym. Co prawda, istnieje możliwość przejścia do wyższego (realnego) świata, z której Hall akurat jeszcze zdąży skorzystać, zanim urządzenie zostanie wyłączone.

Jest oczywiste, że w takim systemie musi dochodzić do pęknięć rzeczywistości, gdy powtarza się testy w różnych warunkach. W interesie całościowej symulacji podejmuje się dyskretne ingerencje, które jednak mogą przybierać skrajne formy, gdy występuje zagrożenie zdemaskowania.

Opowieść Galouyego została sfilmowana przez Rainera Wernera Faßbindera, przy czym scenariusz filmu w istotnym punkcie odbiega od pierwowzoru powieściowego. Nie chodzi o to, że miejscem akcji nie są Stany Zjednoczone, a ówczesna Republika Federalna Niemiec, ale o to, że główny bohater filmu w zakończeniu dostaje się do świata, który ma być naszym światem, gdy tymczasem w powieści nasz świat jest symulacją (nie kończący się łańcuch symulacji?). Szczególnie ta różnica między filmem a powieścią stawia w fascynującym świetle problematykę rzeczywistości.

Zalamanie rzeczywistości

Stop! Nadeszła pora, aby pociągnąć za hamulec. Nie wyznaję poglądu, że my -czy wręcz cały wszechświat -jesteśmy tworcami niewyobrażalnego megamegasuperkomputera znajdującego się gdzieś tam, jakkolwiek kuszące by było skorzystanie z takiej możliwości wyjaśnienia badanych dotychczas spraw niewytłumaczalnych. Nasz świat wydaje się po prostu zbyt szalony, a homo sapiens zbyt morderczy i samobójczy, aby można było tu widzieć efekt symulacji dokonywanej przez superinteligencję. Nawet gdybyśmy posunęli się do tego, by zakładać, że wszystko jest częścią programu do zbadania, jak daleko zajdzie gatunek nieuleczalnie owładnięty obłędem, to jednak nie należy utożsamiać ani "Ducha materii" przedstawionego w tak zatytułowanym rozdziale, ani mgliście rozpoznawalnych sił i mocy z nieokiełznanym programistą cyberprzestrzeni, który chce się zabawić w Boga. To mi się wydaje po prostu zbyt wielkim uproszczeniem.

Chodziło raczej o ukazanie następującego dylematu: jesteśmy przekonani, że nie żyjemy we wszechświecie Simulacronu -ale czy kiedykolwiek możemy być tego pewni? Możemy to wyrazić inaczej: pewna teoria zakłada, że wszechświat natychmiast znika, a jego miejsce zajmuje jeszcze bardziej dziwny i niewytłumaczalny, skoro tylko odkryjemy, czym on rzeczywiście jest i do czego naprawdę służy. Uzupełniająca teoria dodaje, że tak się już stało. Remis!

Rzeczywistość jest i pozostaje niepoznawalna. Jesteśmy w podobnej sytuacji, jak bohaterowie wielokrotnie wyróżnianej powieści Jamesa E. Gunna *Strażnicy szczęścia*. Tytułowymi strażnikami są komputery zapewniające ludziom szczęście, utrzymując swoich podopiecznych pływających przez całe życie w odżywczym roztworze i dostarczając im przyjemnych myśli i pozytywnych odczuć. Ten wątpliwy raj zostaje w końcu zniszczony przez intruzów, inaczej sobie wyobrażających przeznaczenie człowieka. Ostatnie zdanie z książki dobrze charakteryzuje problem, z którym się zmagamy. Brzmi ono: "Czy mogli być pewni, że go [robota zapewniającego szczęście] faktycznie zwyciężyli, a nie ulegli tylko złudzeniu?". Odpowiedź na to pytanie brzmiała: "Nigdy nie mogli mieć takiej pewności!".

Tak więc krąg się zamyka. Poznaliśmy nieuchwytność rzeczywistości z dwóch stron: od wewnątrz i z zewnątrz. Mówiąc o stronie wewnętrznej, mam na myśli przerażającą łatwość, z jaką świadomość ludzka mimo posiadania lepszej wiedzy daje się uwikłać w sztuczną rzeczywistość (od zwyczajnych krzywych pomieszczeń w wiedeńskim Praterze aż po cuda cyberprzestrzeni). Z kolei strona zewnętrzna wiąże się z wyobrażeniem, że

moglibyśmy być pionkami na szachownicy należącej do większej rzeczywistości -pionkami przedstawianymi do woli przez jakiegoś ogromnego gracza, czy też kilku jemu podobnych.

Oddajmy głos dwóm naukowcom, którzy mają coś istotnego do powiedzenia na temat istoty wszechświata i życia. Albert Einstein powiedział: "Co ryba wie o wodzie, w której pływa?", a brytyjski fizjolog J. B. S. Haldane: "Wszechświat nie jest dziwniejszy, niż sobie wyobrażamy, tylko dziwniejszy, niż możemy sobie wyobrazić".

Być może, prawda -jak często bywa -leży pośrodku. Zapewne nigdy jej nie poznamy, ale możemy na zakończenie przeprowadzić spekulacje na temat wszystkich tych zagadnień i z zadowoleniem przyjąć do wiadomości fakt istnienia pocieszających aspektów.

**Jeszcze kilka przemyśleń:
czy z niepojętego można czerpać
nadzieję?**

Mapa i kraj to nie to samo.

Hrabia Alfred Korzybski

Istnieje świat niewidzialny, który przenika świat widzialny.

Gustav Meyrink. *Zielona twarz*

„I jak ten głupiec u mądrości wrót Stoję -i tyle wiem, com wiedział wprzód -to słowa Fausta z dramatu Goethego. Ta lapidarna wypowiedź do dzisiaj nic nie straciła ze swojej celności. Jak można było wykazać w sposób wiarygodny, człowiek, mimo swego faustowskiego pędu do wiedzy i wszystkich swoich coraz bardziej fantastycznych narzędzi, może w najlepszym razie wypatrzeć tylko ruchome cienie rzeczywistości. Podobnie jak w przypadku tak zwanej psychozy frontowej (znanego zjawiska polegającego na tym, że w sytuacji zagrożenia kątem oka stale dostrzegamy jakieś ruchy, mimo że po dokładnym przyjrzeniu się stwierdzamy, że nie mogły mieć miejsca), rzeczywistość jednocześnie ukazuje się i pozostaje w ukryciu -ten fenomen, co ciekawe, najwyraźniej przejawia się w tych dziedzinach, które do niedawna były dla nas całkowicie niedostępne.

Mówię o świecie najmniej szczytów i największych obiektów. W sferze wnętrza atomu i w bezmiarze kosmosu rzeczywistość, jak się zdaje, jeszcze najuczciwiej wyklada karty na stół. Jak dowodzi rozdział "Intermezzo: duch materii", wprawdzie w dalszym ciągu nie możemy zrozumieć tych kart, ale przynajmniej je widzimy. Paradoksalna nauka jest odbiciem paradoksalnej rzeczywistości, nie sposób tego ominąć. Kot Schrodingera ma więcej substancji, niż byłoby miłe zdrowemu rozsądkowi człowieka, a funkcjonujący wehikuł czasu -jaki Albert Einstein uważał za możliwy -wystarczyłby do zniszczenia stabilnej rzeczywistości. Być może już się to stało.

Naturalnie, tylko nielicznym to wszystko na coś się zda. Potrzebna tu jest intuicja Alberta Einsteina, który na przykład w 1907 r. nagle zrozumiał, że człowiek spadający z dachu pozostaje równocześnie w spoczynku i w ruchu, nie czując siły ciężenia. Z tego abstrakcyjnego wniosku uczony wyprowadził ogólną teorię względności. Takie olśnienia prawdopodobnie nadal będą należały do rzadkości. Rozdział pt. "Intermezzo: duch materii"

być może przyczyni się do tego, aby je wspierać na wszystkich płaszczyznach. Jeśli zdołamy przełknąć tezę, że światło może być zarazem ciągle i nieciągle, że cząstki elementarne utrzymują między sobą ożywioną komunikację albo należą do niepojętej większej całości, że materia i energia są tylko szyfrem dla spraw niepojętych, że przyszłość może zmieniać przeszłość, że nie istnieje nic, na co nikt nie patrzy, że świadomość wydaje się skrywać w głębi atomu, że prawa natury przedstawiają się rozmaicie w zależności od przyjętej metody obserwacji -wówczas, tak, wówczas będziemy mieli wszelkie podstawy, aby spodziewać się rzeczy niewyjaśnionych także na ziemi, a nawet w zwykłej codzienności.

Tropiliśmy je i udało nam się odkryć kilka dość konkretnych, które regularnie bywają skrywane. Przedstawiona wiązanka stanowi bez wątpienia tylko maleńki wycinek. Mimo to powinno, nie, musi dawać do myślenia, że na całym globie są takie miejsca, w których stoją niewidzialne tablice "Wstęp wzbroniony", że nadal dochodzi do samozapłonów ludzi i okaleczeń zwierząt, ujawniających nowe aspekty, że wszelkiego rodzaju przedmioty zaczynają żyć własnym dziwnym życiem, krótko mówiąc, że wszystko żyje, że przepływ czasu nie jest linią prostą, ale zygzakowatą, że duch człowieka może się oddzielić od ciała albo funkcjonować aktywnie także bez mózgu, że mamy szereg niewiarygodnych zdolności, że zwierzęta bynajmniej nie są głupimi stworzeniami, że za kulisami świata mogłyby się dziać rzeczy potworne, że wszędzie na ziemi można znaleźć anachroniczne świadectwa, że tajemna wiedza nie musi być bzdurą, że rzeczywistość pod wieloma względami jest sprawą prywatną...

To imponujące zestawienie, ale nasuwa się pytanie, co to właściwie daje? Jeśli nawet pożegnamy się z klasycznym, szkolnym obrazem świata, to jednak mimo wszystko żyjemy jako pełna wad, bestialska ludzkość na pełnej wad, ginącej Ziemi. Czy są jakieś widoki na apoteozę, która by nas kiedyś wyniosła ponad obecne bagno okropieństw? A może znajdujemy się w fazie przejściowej, do której pasuje powiedzenie Konrada Lorenza: "Istnieje ogniwo pośrednie między małpą a człowiekiem -to my nim jesteśmy"?

Przytoczmy znaną anegdotę. Pewien psycholog chciał się dowiedzieć, co porabia szympan, kiedy go nikt nie obserwuje. Zostawił więc zwierzę samo i, kiedy zamknął drzwi za sobą, zajrzał przez dziurkę od klucza -zobaczył wtedy po drugiej stronie brązowe oko szympana. Ten bowiem też chciał wiedzieć, czym się zajmuje psycholog, kiedy nie jest obserwowany. Nasuwa się pytanie: z której strony drzwi my się znajdujemy?

Także zmarły w 1989 r. Hoimar von Ditfurth, którego trudno by posądzić o skłonność do niepohamowanych spekulacji czy okultyzmu, uważał homo sapiens za gatunek przejściowy. Wychodząc z tego założenia, Ditfurth próbował stworzyć naukową teorię na

temat tego, co nieznanne, obejmującą nawet tamten świat. Opierając się na pełnym rezygnacji wyznaniu nauki, że świat ma więcej wymiarów, niż jesteśmy w stanie objąć zmysłami i naszym obecnym rozumem (jeszcze raz odsyłam do rozdziału "Intermezzo: duch materii"), a zatem że nasza rzeczywistość jest tylko maleńkim wycinkiem niemożliwego do przedstawienia świata nadrzędnego, Ditfurth prognozował nasze stopniowe wchodzenie drogą ewolucji w ten nadrzędny świat. Ponieważ w naszej korze mózgowej w dalszym ciągu tworzą się nowe ośrodki o niemożliwych do przewidzenia funkcjach, to taka przepowiednia wydaje się uzasadniona. Według Hoimara von Ditfurtha nasza zdolność akumulacji poznania stale przemienia transcendencję w subiektywną rzeczywistość. Pogląd ten reprezentował w swojej książce *Nie tylko Z tego świata jesteśmy*, podobnie jak w czasie wywiadu udzielonego telewizji bawarskiej, mówiąc: "Duch nie narodził się w naszych głowach. On był zawsze".

Wzrastający duch człowieka nie wkracza zatem w próżnię, ale w te dziedziny świata, które dla nas dzisiaj są jeszcze niedostępne (może natomiast są dostępne dla innych). Stawia to w nowym świetle dawny postulat filozoficzny, iżby z formy ptasiego pióra dało się wyczytać aerodynamiczne warunki świata, z nich z kolei budowę planet, strukturę Układu Słonecznego i wreszcie istotę kosmosu.

Może to być pociechą dla przyszłych pokoleń. Nie na wiele się ona zda wobec trosk osobistych, lęku przed jutrem, nawet bólu zębów. Jesteśmy tak ściśle związani z dziedziną materialną, że nie możemy ani się od niej uwolnić, ani zarejestrować tego, co wykracza poza jej ciasne granice. Nie jesteśmy w stanie uchwycić niczego więcej niż tylko ślady niewytłumaczalnego, a i to tylko z największym wysiłkiem, ponieważ klasyczna nauka i społeczeństwo wyrabiają w nas nawyk odwracania wzroku.

Tego nawyku raczej nie przełamie także lektura, choćby całego stosu takich książek, jak niniejsza. Mimo to sądzę, że nie sposób zaprzeczyć wartości myślenia poszerzającego horyzonty i odpowiedniej postawy wewnętrznej. Przyszłość niesie wyzwania, którym raczej nie sprostamy, stosując rozumowanie dnia wczorajszego i dzisiejszego. Będziemy tym lepiej przygotowani, w im większym stopniu będziemy skłonni traktować świat jako odbłask nadrzędnej rzeczywistości, która tu i ówdzie przeplata się z naszą, wytwarzając przy tej okazji niewytłumaczalne fenomeny najróżniejszego rodzaju.

Zaakceptujmy fakt, że należymy do obsady absurdałnej teatralnej sztuki, w której na scenie stoi tylko niewielu innych aktorów, natomiast autor scenariusza i reżyser pozostają całkowicie w ukryciu. Choć taka postawa nie może usunąć konkretnych problemów, to niekiedy może je ukazać w innej perspektywie, a tym samym stępić ich ostrze.

A może jednak nie jesteśmy tak bezgranicznie opuszczeni i zbyt tchani w

nieskończonym, wrogim wszechświecie? Być może kwintesencją wszystkiego nie musi być jednak lodowaty nonsens materialnego bytowania, pełnego nierozumnego rozumu», trosk i nędzy, z jego przewidywalnym końcem. Ponadto musimy się jakoś odnaleźć w tym niepojętym kosmosie jako jednostki mające własne życzenia i wyobrażenia. Jeśli będziemy brać ten kosmos jako niepojęty wprawdzie, ale niekoniecznie obojętny, okrutny i wykolejony, to może jednak czasami ból się zmniejszy. Bez wątplenia warto się zastanowić nad takim spojrzeniem. Tak już jest, że wszystko jest niepewne i zawsze takim pozostanie. Nie możemy ani rozwiązać następującego dylematu między optymistyczną a pesymistyczną wizją świata: "Optymista uważa, że żyjemy w najlepszym z możliwych światów, a pesymista obawia się, że jest tak istotnie", ani odpowiedzieć na filozoficzne pytanie, czy my i wszechświat istniejemy dopiero od sekundy, a wszystko inne jest tylko naszym złudzeniem (zgodnie z hipotezą obserwatora, pochodzący z Księżyca słynny "kamień Genesis" nie miałby w rzeczywistości 4,3 miliarda lat, ale zacząłby istnieć dopiero od momentu», w którym ujrzał go astronauta).

Pocieszmy się po prostu na zakończenie jedną z *Myśli nieuczesanych* Stanisława Jerzego Leca z 1977 r.: "Nie obiecujcie sobie zbyt wiele po końcu świata".